

**Gustaw Flaubert**

**Pani Bovary**

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Odrabialiśmy lekcje, kiedy wszedł dyrektor, a za nim nowy ubrany po miejsku i chłopak do posług z dużym pulpitem. Drzemiący przebudzili się i wszyscy zerwaliśmy się jakby zaskoczeni przy pracy.

Dyrektor skinieniem kazał nam usiąść, po czym zwracając się do wychowawcy:

- Panie Roger - powiedział półgłosem - polecam panu tego ucznia, przyjęty jest do piątej. Jeśli wyróżni się wzorowym zachowaniem i pracą, przejdzie do starszych, dokąd go już wiek powołuje.

Nowy, pozostawiony w kącie za drzwiami, tak że ledwie go było widać, był to chłopiec ze wsi, lat około piętnastu, wyższy od każdego z nas. Miał włosy obcięte równo nad czołem, jak wiejski ministrant, minę roztropną i bardzo zakłopotaną. Choć barczysty nie był, jego zielona sukienka kurtka z czarnymi guzikami wpijała mu się mocno w ramiona, a spod mankietów wyzierały, nienawykłe do odzieży, czerwone przeguby. Z żółtawych, wysoko na szelkach podciągniętych spodni wysuwały się nogi w niebieskich pończochach. Grube, źle oczyszczone buty podbite były gwoździami.

Rozpoczęło się wydawanie lekcji. Słuchał, pilnie nadstawiając uszu, jak na kazaniu. Nie śmiał ani nóg skrzyżować, ani oprzeć się na łokciu, a gdy o drugiej rozległ się dzwonek, wychowawca musiał mu zwrócić uwagę, że pora stanąć z nami w szeregu.

Mieliśmy zwyczaj wchodząc do klasy rzucać czapki na ziemię, by mieć potem wolniejsze ręce. Należało już od progu cisnąć je pod ławkę w taki sposób, żeby uderzyły o ścianę wzniecając tumany kurzu; taki był nasz fason.

Nowy jednak nie zauważył tego czy też nie śmiał zastosować się do naszego obyczaju, dość, że po skończonej modlitwie siedział jeszcze z czapką na kolanach. Skomplikowane to było nakrycie głowy, coś niby czapka futrzana, rogatywka, okrągły kapelusz i czepek bawełniany jednocześnie; słowem, jedna z tych ubogich rzeczy, których niema brzydota wielką ma siłę wyrazu, jak twarz głupca. Jajowata, wydęta przez fiszbiny zaczynała się trzema równoległymi wałeczkami; potem, przedzielone czerwonym pasem, biegły na przemian raby aksamitu i zajęczej skóry, a wreszcie następował rodzaj woreczka zakończonemu kartonowym wielobokiem zdobnym w skomplikowany deseń z sutaszu. Stamtąd, na długim a zbyt cienkim sznureczku, zwisał złoty chwaścik. Była nowa, daszek jej błyszczał.

- Wstań - powiedział profesor. Wstał, czapka spadła. Klasa wybuchła śmiechem. Schylił się, by ją podnieść. Sąsiad strącił ją łokciem, nowy podniósł ją raz jeszcze.

- Zostawże ten hełm! - powiedział profesor, który był człowiekiem dowcipnym.

Uczniowie znów ryknęli śmiechem, a biedny chłopiec tak się stropił, że już sam nie wiedział, czy ma czapkę trzymać w ręku, czy zostawić na ziemi, czy włożyć na głowę. Wreszcie usiadł kładąc ją sobie na kolanach.

- Wstań - powtórzył profesor - i powiedz, jak się nazywasz. Nowy wybełkotał coś niezrozumiałego.

- Powtórz.

I znów ten sam nieartykułowany bełkot zgłuszony wrzaskami klasy.

- Głośniej - krzyknął profesor - głośniej! Wówczas nowy powziął jakby ostateczną decyzję, otworzył usta, jak mógł najszerzej, i rzucił z głębi płuc, niby okrzyk, słowo: Karbovary.

Odpowiedział mu wrzask i piski, wzrastające wciąż crescendo (wyli, szczekali, tupotali nogami, powtarzając: Karbovary! Karbovary!). Z czasem w milknącej z trudem wrzawie odróżnić dały się poszczególne głosy, to znów, jakby źle ugaszona petarda, wytryskał w jakiejś ławce tłumiony wybuch śmiechu.

Grad zadanych za karę ćwiczeń uciszył jednak klasę i do profesora dotarło wreszcie imię Karola Bovary. Musiał je podyktować, przesylabizować, odczytać. Po czym profesor kazał biedakowi zasiąść w osłej ławce, u stóp katedry. Bovary wstał, ale zawahał się.

- Czego szukasz? - spytał profesor.

- Mojej czap... - szepnął nieśmiało nowy rzucając dokoła niepewne spojrzenia.

- Pięćset wierszy za karę, cała klasa! - Ten wściekły okrzyk powstrzymał nową burzę. - Siedzicież spokojnie - napominał zgorszony profesor wycierając czoło wyjętą z kapelusza chustką. - A co do ciebie, nowy, to przepiszesz mi dwadzieścia razy ridiculus sum.

Potem łagodniejszym już głosem:

- A o czapkę bądź spokojny, znajdzie się, nikt ci jej nie ukradł.

Wróciła cisza. Głowy pochyliły się nad zeszytami, a n o w y wytrwał we wzorowej postawie całe dwie godziny, choć od czasu do czasu kulki papieru, rzucając z ręcznym końcem pióra, obryzgiwały go atramentem. Wycierał twarz dłonią i siedział nieruchomo ze spuszczonej oczyma.

Wieczorem w sali, gdzie odrabialiśmy lekcje, wyciągnął z pulpitu ochraniacze na rękawy, poukładał swoje drobiazgi i starannie poliniował papier. Widzieliśmy, jak zadając sobie wiele trudu wertował słownik, pilnie wyszukując słówka. Zapewne dzięki dobrej woli, której dał dowody, nie przeniesiono go do niższej klasy, bo chociaż gramatykę znał niezłe, zdania jego pozbawiane były elegancji. Początki łaciny zawdzięczał wiejskiemu proboszczowi, gdyż rodzice przez oszczędność posiali go do szkoły, jak mogli najpóźniej.

Ojciec jego, pan Karol Dionizy Bartłomiej Bovary, był chirurg wojskowy, popełniwszy nadużycia w roku 1812 przy poborze rekruta, zmuszony był służbę opuścić. Wykorzystał wówczas swe wdzięki chwytając w lot sześćdziesiątych tysięcy posag, który mu się nawinął w osobie córki kupca-czapnika, rozkochanej w jego zgrabnej figurze. Urodziwy samochwał głośno dzwonił ostrogami, nosił faworyty sięgające wąsów, a na palcach pełno pierścionków, ubierał się jaskrawo i marsowy wygląd łączył z poufałym obejściem komiwojażera. Dwa czy trzy lata po ślubie, żył z fortuny żony, jadał dobrze, wstawał późno, palił tytoń w dużych porcelanowych fajkach, przesiadywał w kawiarniach, a do domu wracał wieczorem, dopiero po skończonym spektaklu. Teść jego umarł nic mu prawie nie zostawiając. Bovary był oburzony. Rzucił się w wir interesów, stracił część majątku w manufakturze i wycofał się na wieś: chciał gospodarować. Ale że na uprawie roli znał się nie lepiej niż na perkalikach, zajeżdżał konie, zamiast je posyłać do pługów, spijał jabłecznik "v butelkach, zamiast sprzedawać go beczkami, zjadał najpiękniejsze okazy drobiu, a buty do polowania smarował sadłem z własnych wieprzy, spostrzegł więc wkrótce, że lepiej dać spokój wszelkiej spekulacji.

Za cenę dwustu franków rocznie wynajął w okolicznej wsi, na pograniczu Caux i Pikardii, sadybę, półfermę, półdworek, i tam zamknął się w wieku lat czterdziestu

pięciu, smutny, zgorzkniały, złorzecząc niebu, pełen żalu do wszystkich, twierdząc, że jest zniechęcony do ludzi i pragnie żyć w spokoju.

Zona szalała niegdyś za nim, ale jej miłość niewolnicza jeszcze bardziej go od niej odstręczała. Wesoła, pełna życia, kochająca, na starość (niby zwiędnięte wino, które zmienia się w ocet) stała się trudna w pożyciu, wrzaskliwa, nerwowa. Tyle się kiedyś nacierpiała bez skarg, kiedy gonił za wszystkimi spódniczkami we wsi, kiedy wracał wieczorem nie wiedząc skąd, zjadaczony i cuchnący winem, aż wreszcie zbuntowała się w niej duma. Umilkła dławiąc wściekłość z niemym stoicyzmem i wytrwała tak do śmierci. Stale miała jakieś pilne sprawy do załatwienia, bywała u rejenta, u prezesa sądu, pamiętała o terminach płatności, uzyskiwała prolongaty, a w domu prasowała, szyła, prała, dozorowała robotników, płaciła rachunki. Tymczasem zaś pan małżonek nie troszcząc się o nic, nadąsany, drzemał apatycznie, budził się tylko po to, żeby powiedzieć jej coś przykrego, i całymi dniami wysiadywał przy kominku paląc fajkę i spluwając w popiół.

Kiedy urodziło im się dziecko, oddano je do mamki, a potem w domu rozpieszczano brzdąca jak książętko. Matka karmiła go konfiturami, ojciec pozwalał biegać boszo i pozując na filozofa, mawiał nawet, że malec mógłby chodzić całkiem nago jak zwierzątko. Wyrobił sobie w przeciwieństwie do pragnień matczynych ideał dziecka pełnego męskości i wedle tego ideału chciał wychować syna surowo, po spartańsku, aby miał mocną budowę. Kazał mu sypiać w nieopalanym pokoju, nauczył pić rum wielkimi łykami i wyśmiewać się z procesji. Ale mały, z natury łagodny, nie był odpowiednim materiałem dla jego metod. Nie odstępował matki; bawiła go wycinkami z tektury, opowiadała bajki - był to nie kończący się monolog pełen melancholijnej wesołości i szczebiotliwych przymilań. W swym samotnym życiu przeniosła na tę główkę dziecinną całą swą próżność, wszystkie zawiedzione nadzieje. Marzyła o wybitnym stanowisku, widziała go już rosnącym, pięknym, mądrym, dobrze sytuowanym, sędzią lub inżynierem. Nauczyła go czytać i nawet grać kilka krótkich piosenek na starym fortepianie. Ale pan Bovary lekceważył sztuki piękne, mówił, że "na nic się to wszystko nie zda". Bo czyż będą mieli kiedy na to, by opłacić szkoły państwowe albo kupić mu stanowisko urzędnika czy też sklep? Zresztą mężczyzna "byle miał pewność siebie, zawsze do czegoś na tym świecie dojdzie". Pani Bovary zagryzała wargi, a dzieciak wałęsał się po wsi.

Chodził za pługiem i grudkami ziemi ciskał w odlatujące wrony. Jadł ożyny rosnące wzdłuż rowów, poganiał żerdzią indyki, grabił siano, biegał po lesie, gdy była słońca, grał w klasy pod kościelną kruchtą, a w uroczyste święta błagał zakrystiana, by wolno mu było zadzwonić. Wieszał się wtedy całym ciałem na grubym sznurze, a wielki dzwon unosił go w swym locie.

Toteż rósł jak dąb. Miał mocne ręce i rumiane policzki.

Wreszcie kiedy skończył dwanaście lat, matka dopięła swego: zaczął się uczyć. Obarczono tym proboszcza. Ale lekcje były tak krótkie i nieregularne, że niewielki był z nich pożytek. Odbywały się w jakichś przypadkowych okolicznościach, w zakrystii, na stojąco, w pośpiechu między chrzcinami a pogrzebem; czasem znów proboszcz posyłał po chłopca wieczorem, gdy odmówił już Anioł Pański i nie miał nic innego do roboty. Wchodzili wówczas na górę, zasiadali w jego pokoju, muszki i ćmy kręciły się wokół świecy, ciepło było, dziecko zasypiało, a staruszek, drzemając z rękoma na brzuchu, zaczynał wkrótce chrapać z otwartymi ustami. Zdarzało się też, że proboszcz, gdy wracał z wiatykiem od chorego z pobliskiej wsi, spotykał Karola uganiającego się po polach; wołał go, napominał przez kwadrans i korzystając z okazji kazał mu u stóp drzewa odmieniać jakiś czasownik. Przerywał im deszcz albo

znajomy przechodzień. Zresztą proboszcz zawsze był z chłopca zadowolony i mówił nawet, że "młodzieniec" ma świetną pamięć.

Ale Karol nie mógł na tym poprzestać. Pani była energiczna. Zawstydzony, a może zniechęcony, mąż ustąpił bez oporu. Poczekano rok, by chłopak przygotował się do pierwszej komunii.

Minęło jeszcze sześć miesięcy i z początkiem następnego roku Karol został wysłany do gimnazjum w Rouen. Ojciec odwiózł go osobiście w końcu października w dzień jarmarku na św. Romana.

Nikt z nas nie potrafiłby dziś przywołać żadnego związanego z nim wspomnienia. Był to chłopak z natury łagodny, bawił się na pauzach, pracował pilnie, na lekcjach uważał, w sypialni spał dobrze, w refektarzu jadł z apetytem. Raz na miesiąc w niedzielę odwiedzał swego opiekuna, hurtownika towarów żelaznych z ulicy Ganterie, który wyprawiał go do portu, by obejrzał sobie statki, a potem o siódmej przed kolacją odprowadzał do gimnazjum. Każdego czwartku wieczorem pisał długi list do matki czerwonym atramentem i pieczętował trzema opłatkami, potem przeglądał notatki z historii albo czytał stary tom Anacharsis ponieważ się w sali, gdzie odrabialiśmy lekcję. Na spacerze gawędził ze służącym, który podobnie jak on pochodził ze wsi.

Dzięki swej pilności należał do uczniów średnich, a nawet raz udało mu się być pierwszym z przyrody. Ale z końcem trzeciego roku rodzice odebrali go ze szkoły, by kształcił się na lekarza, przekonani, że sam dojrnie jakoś aż do egzaminu końcowego.

Matka wynajęła mu pokój na czwartym piętrze przy ulicy Eau-de-Robec, u znajomego farbiarza. Omówiła z gospodarzem warunki, zdobyła meble, stół i dwa krzesła, sprowadziła ze wsi stare wiśniowe łóżko, kupiła mały piecyk żelazny i zapas drzewa, by ciepło było jej biednemu dziecku. Potem z końcem tygodnia wyjechała, udzielając mu tysiącznych przestróg, gdyż teraz miał już być pozostawiony samemu sobie.

Program wykładów przeczytany na afiszu oszołomił go zupełnie: wykłady z anatomii, z patologii, z fizjologii, z farmacji, wykłady z chemii i botaniki, ćwiczenia w klinice, terapeutyka, nie licząc już higieny i poszczególnych gałęzi medycyny, wszystkie te nazwy, których etymologia była mu zupełnie obca, wydawały mu się wrotami do sanktuariów pełnych mrocznego dostojeństwa.

Nic nie rozumiał. I chociaż słuchał pilnie, nie mógł się w niczym połapać. Pracował jednak, miał oprawione zeszyty, chodził na wszystkie wykłady, nie opuścił ani jednego ćwiczenia. Wykonywał drobne zajęcia codzienne jak koń w kieracie, który kręci się w kółko z zasłoniętymi oczyma, nie wiedząc po co.

Żeby mu zaoszczędzić wydatków, matka posyłała mu co tydzień kawał pieczonej cielęciny, którą zjadał po powrocie ze szpitala stukając miarowo podeszwą o ścianę. Potem musiał biec na wykłady do kliniki i wracał przemierzywszy wszystkie ulice. Wieczorem, po skromnej kolacji u gospodarza, szedł do swego pokoju i zabierał się znów do pracy w wilgotnym ubraniu, które parowało na ciele przy rozgrzanym do czerwoności piecyku.

W piękne wieczory letnie, kiedy ulice, ciepłe jeszcze, pustoszeją, a w bramach przed domami służące grają w wolanta, otwierał okno i wspierał się na łokciu. W dole, tuż pod nim, płynęła między mostami i śluzami żółta, fiołkowa i niebieska rzeka, zmieniając tę dzielnicę Rouen w plugawą miniaturę Wenecji. Robotnicy przykucnięci na brzegu myli ręce. Na tyczkach przytwierdzonych wysoko u poddaszy suszyły się

na wietrze motki bawełny. Na wprost okna poza dachami rozciągało się wielkie, czyste niebo z czerwonym, zachodzącym słońcem. Jak dobrze musiało być tam! Jak świeżo w bukowym gaju! Rozdymał nozdrza, by chłonąć miłe, nie docierające doń zapachy wsi. Schudł, wyciągnął się, twarz jego przybrała jakiś bolesny, niemal interesujący wyraz.

Zaniedbał się, nie czuł się już związany dawnymi postanowieniami. Raz opuścił ćwiczenia, nazajutrz wykład i rozkoszując się lenistwem nie powrócił już do pracy.

Zaczął chodzić po knajpach i namiętnie grywał w domino. Zamknąć się co wieczór w brudnym lokalu, rzucać na marmurowy blat małe baranie kostki, znaczone czarnymi punktami, wydawało mu się cennym aktem stwierdzającym jego niezależność i wzbudzało szacunek do samego siebie. Było to jakby wtajemniczenie w sprawy tego świata, dorwanie się do zakazanych rozrywek. Gdy wchodząc kładł rękę na klamce, doznawał rozkoszy niemal zmysłowej. Objawiło się w nim wówczas wiele tłumionych dotąd skłonności. Porywał go Beranger, nauczył się rozmaitych piosenek, które wyśpiewywał przygodnym znajomym, robił poncz i poznał wreszcie miłość.

Dzięki tego rodzaju pracom przygotowawczym ściał się na egzaminie. A w domu tegoż dnia wyczekiwano nań, by uczcić jego sukces!

Ruszył piechotą, przystanął na skraju wsi, posłał po matkę i opowiedział jej całą prawdę. Przebaczyła mu zrzucając całą winę na profesorów i oskarżając ich o niesprawiedliwość, uspokoiła trochę i obiecała rzecz załatwić. Pan Bovary dowiedział się prawdy dopiero w pięć lat potem, ale że zdażyła się już do tego czasu postarzeć, nie przejął się nią zbytnio. Zresztą nie dopuszczał nawet myśli, żeby jego potomek mógł być głupcem.

Karol zabrał się znów do roboty i pracując bez wytchnienia uczył się wszystkiego na pamięć. Zdał z dość dobrym wynikiem. Cóż to był za piękny dzień dla jego matki! Wydała wspaniały obiad.

Gdzie będzie praktykował? W Tostes. Był tam tylko jeden stary lekarz. Od dawna pani Bovary czyhała na jego śmierć. Starowina nie zwinął jeszcze manatków, a już Karol osiedlił się naprzeciw, niby spadkobierca.

Nie dość jednak było wychować syna, wykształcić go na lekarza i wynaleźć dobrą praktykę w Tostes, należało go jeszcze ożenić. Toteż znalazła mu żonę: wdowę po komorniku z Dieppe. Miała ona czterdzieści pięć lat i tysiąc dwieście franków renty.

Pani Dubuc, choć brzydka, sucha jak szczapa i cała w pryszczach jak wiosną drzewo okryte pąkami, miała licznych konkurentów. Stara Bovary, by dopiąć celu, potrafiła wszystkich uprzedzić i nawet zręcznymi intrygami udało się jej pokrzyżować plany popieranego przez księży rzeźnika.

Karol widział w małżeństwie zmianę na lepsze. Myślał, że będzie miał więcej swobody i stanie się wreszcie panem swej osoby i swych pieniędzy. Ale panią była żona; dyktowała, co ma mówić, a czego nie mówić, kazała pościć w piątki, ubierać się wedle jej upodobań i dręczyć upomnieniami pacjentów, którzy zalegali z opłatą. Otwierała jego listy, śledziła każdy krok; a kiedy w gabinecie lekarskim przyjmował kobiety, podsłuchiwała przez cienkie przepierzenie.

Rano na pierwsze śniadanie żądała czekolady. Wymagała rozmaitych względów, aż do znudzenia. Skarżyła się ustawicznie na nerwy, na płuca, na zawroty głowy. Drażnił ją odgłos kroków, a gdy zostawała sama - przerażała samotność. Jeśli odwiedził ją kto, ach! to chyba po to, by zobaczyć jej śmierć. Wieczorem, gdy wracał Karol, wyciągała spod kołdry długie, chude ramiona, zarzucała mu je na szyję, prosiła, by usiadł na brzegu łóżka, i zaczynała się skarżyć: zapomniał o niej, kocha

inną! Przepowiedziano jej wszak, że będzie nieszczęśliwa! Kończyło się zwykle na tym, że prosiła o jakiś syrop i o trochę więcej miłości.

Pewnego dnia dostał pilne wezwanie. Spiesznie przybył na miejsce i ujrzał jedno z typowych wiejskich podwórek. Owczarnia była długa, stodoła wysoka o ścianach gładkich jak dłoń. Pod szopą stały dwa duże wozy i cztery pługi z całym ekwipunkiem chomąt i batów. Błękitne wołkowe podbicie uprząży przybrudzone było trochę cienką warstwą pyłu prószącego ze strychu. Podwórze wysadzone w równych odstępach drzewami wznosiło się z lekka, a nad sadzawką rozlegało się wesołe gęganie stadka gęsi.

Na spotkanie pana Bovary wyszła na próg młoda kobieta, w niebieskiej, wełnianej sukni, przybranej trzema falbanami; wprowadziła go do kuchni, gdzie płonął wielki ogień. Dokoła w garnuszkach rozmaitych kształtów bulgotało śniadanie czeladzi. Nad kominem suszyła się wilgotna odzież. Łopatka, szczypce i rurka od miechu (wszystko olbrzymich rozmiarów) lśniły jak wypolerowana stal, a w baterii porozwieszanych na ścianach rondli odbijał się jasny, chybotliwy płomień ogniska i pierwsze blaski słońca wpadającego przez kwadratowe szybki.

Karol wszedł na piętro do pokoju chorego; ten leżał spocony pod kołdrami, odrzuciwszy daleko bawełniany czepek. Był to mały, gruby człowieczek lat pięćdziesięciu, o jasnej cerze i błękitnych oczach. Czoło miał zupełnie łyse, ale za uszami zwisały dwa długie pukle włosów. Tuż przy łóżku na krześle stała duża karafka wódki, z której pociągał raz po raz dla dodania sobie otuchy. Gdy zobaczył lekarza, opuściło go podniecenie i zamiast kląć, jak czynił to od dwunastu godzin, zaczął pojękiwać z cicha.

Złamanie było proste, bez żadnych komplikacji. Karol nie mógłby sobie życzyć łatwiejszego. Przypominając więc sobie, jak jego mistrzowie zwykli się byli zachowywać przy łóżku rannych, zaczął pocieszać chorego. Bo jak lancet oliwy, tak pacjent potrzebuje czułych słów chirurga. Posłano do wozowni po deszczułki, by sporządzić łubki. Karol wybrał jedną, pociął na kawałki i wygładzał odłamkiem szkła, tymczasem służąca darła prześcieradło na bandażę, a panna Emma przygotowywała poduszeczki. Ale że marudziła długo, zanim znalazła pudełko do robót, ojciec zniecierpliwiał się; nic nie odpowiedziała, ale szyjąc kłuła się w palce i podnosiła je potem do ust, by wyssać krew. Karol był zaskoczony połyskiem jej paznokci. Cieniutkie, błyszczące, wypolerowane staranniej niż kość słoniowa z Dieppe, miały kształt migdału. Ręka jej jednak nie była ładna, nie dość biała, w stawach może zbyt sucha, trochę za długa, brakło jej też miękkości w rysunku. Za to oczy miała naprawdę piękne; piwne, wydawały się niemal czarne, tak były ocienione rzęsami, i rzucały wprost przed siebie śmiałe spojrzenia pełne naiwnej zuchwałości.

Po skończonym opatrunku pan Rouault poprosił lekarza, aby przed odjazdem zechciał coś przegryźć.

Karol zszedł do dużej izby na parterze. U stóp łóżka, o perkalowym, wzorzystym baldachimie w tureckie desenie, na małym stoliczku zastawione były dwa nakrycia ze srebrnymi kubkami. Z wysokiej, dębowej szafy stojącej na wprost okna dolatywał zapach irysów i wilgotnych prześcieradeł. W rogach pokoju ustawione były worki zboża, które nie mogło pomieścić się na pobliskim strychu, dokąd wiodły trzy kamienne schodki. Dla ozdoby na zielonej, spękanej od wilgoci ścianie zawieszona była na gwoździu głowa Meduzy w złotej ramie, wyrysowana czarnym ołówkiem i nosząca u dołu wykaligrafowany gotykiem napis: "Mojemu drogiemu ojcu."

Rozmawiali o chorym, o pogodzie, o strasznych chłodach i wilkach, które nocami nawiedzały pola. Panna Rouault nie lubiła wiejskiego życia, tym bardziej że

teraz prawie sama musiała prowadzić całe gospodarstwo. Zimno było, więc dygotała jedząc i rozchyłała przy tym swe mięsiste wargi; kiedy zapadało milczenie, przygryzała je lekko.

Szyja jej wychylała się z białego, wykładanego kołnierzyka. Cienki, przez środek głowy biegnący rozda lalek delikatną linią obrysowywał kształt czaszki. Dwa czarne, lśniące, jakby z jednego kruszcu ulane pasma włosów, spod których wysuwały się tylko koniuszki jej uszu, spływały ku tyłowi w obfity węzeł, falując lekko na skroniach w sposób, który wiejski lekarz widział po raz pierwszy w życiu. Policzki jej były różowe. Między dwa guziki stanika, jak u mężczyzny, wsunięte były szkła w szylkretowej oprawie.

Karol poszedł na górę pożegnać się z panem Rouault. Kiedy wrócił do izby, panna Emma stała przy oknie oparta czołem o szybę i patrzyła na tyczki fasoli, które wiatr poprzewracał w ogrodzie.

- Szuka pan czegoś? - spytała.

- Tak, pani, szukam szpicruty.

Zajrzał na łóżko, potem za drzwi, pod krzesła. Tymczasem panna Emma dostrzegła ją na ziemi, między ścianą a workami; schyliła się. Karol pospieszył uprzejmie, wyciągnął rękę w tym samym kierunku i musnął przy tym plecy pochylonej przed nim dziewczyny. Wyprostowała się cała zarumieniona i spoglądając na Karola przez ramię podała mu pejcz.

Zamiast za trzy dni, jak obiecywał, wrócił do Bertaux już nazajutrz, a potem regularnie odwiedzał ich dwa razy na tydzień nie licząc przypadkowych wizyt.

Wszystko zresztą układało się jak najpomyślniej. Kuracja okazała się prawidłowa i pan Rouault szybko wracał do zdrowia. Kiedy po czterdziestu sześciu dniach zaczął o własnych siłach przechadzać się po swej, jak ją nazywał, ruderze, zaczęto uważać pana Bovary za bardzo zdolnego człowieka. Stary Rouault mówił, że najlepsi lekarze z Yvetot i z Rouen nie potrafiliby go lepiej wykurować.

Karol nie zastanawiał się, dlaczego z taką przyjemnością jeździ zawsze do Bertaux. A gdyby nawet pomyślał o tym, gorliwość swą przypisałby zapewne temu, iż wypadek był poważny, lub też nadziei zysku. Czy dlatego jednak wizyty te wydały mu się na tle jednostajnych zajęć codziennych wyjątkowo miłą rozrywką? W owe dni wstawał wczesnie, wyruszał galopem, nie szczędząc konia, potem przed bramą zsiadał, wycierał buty o trawę i wkładał czarne rękawiczki. Z przyjemnością wjeżdżał w podwórze. Lubił opierać się ramieniem o rozchylające się wrota, lubił koguta piejącego na parkanie i nadbiegających mu na spotkanie chłopców do posług. Lubił stodołę i stajnie. Lubił ojca Rouault, który klepał go po ramieniu i nazywał swoim zbawcą. Lubił małe saboty panny Emmy na kamiennych, czysto wymytych płytach kuchni. Wysokie obcasy dodawały jej wzrostu, a kiedy szła przed nim, drewniane podeszwy, podnosząc się szybko, stukwały o skórzany spód trzewików.

Odprowadzała go zawsze na ganek do pierwszego schodka. Czekala, aż przyprowadzą konia. Już się byli pożegnali. Stała milcząc owiana rzeźwym podmuchem; małe, figlarne, wymykające się loczki poruszały się lekko na wietrze, a tasiemki związanego w pasie fartucha furkotały - jak chorągiewki.

Pewnego razu, gdy była odwilż i kora drzew ociekała wilgocią, a śnieg topił się na dachach, wróciła od progu po parasolkę. Słońce, przenikając przez szarobłękitny, mieniący się jedwab, rzuciło ruchome plamy na jej blade policzki. Uśmiechała się spod parasolki do łagodnego ciepła i słychać było, jak krople wody, jedna po drugiej, uderzały o napiętą morę.

Gdy Karol zaczął bywać w Bertaux, młoda pani Bovary wypytywała go z początku o zdrowie chorego i nawet w książce rachunkowej o podwójnej buchalterii



wybrała dla pana Rouault piękną białą kartę. Ale kiedy doszła ją wiadomość, że ma on córkę, sięgnęła po bliższe informacje; dowiedziała się wówczas, że panna Rouault, wychowana w klasztorze urszulanek, otrzymała staranne wykształcenie, to znaczy, uczyła się geografii, tańca, rysunków, umiała haftować i grać na fortepianie. To już było ponad jej siły!

"Więc to dlatego on tak promienieje - myślała - dlatego kiedy jedzie do niej, wkłada nową kamizelkę, nie zważając nawet na deszcz, który może ją zniszczyć? Ach! Ta kobieta, ta kobieta..."

Powzięła do niej instynktowną nienawiść. Z początku pozwalała sobie na aluzje, których Karol wcale nie rozumiał, potem na złośliwe przycinki; puszczał wszystko mimo uszu, obawiając się burzy. Wreszcie spytała wprost, bez ogródek, czemu jeździ do Bertaux, skoro pan Rouault jest już zdrowy, a "ci ludzie" nie raczyli mu dotąd zapłacić? Ach, to zapewne dlatego, że jest tam pewna osoba, która umie go pięknie bawić rozmową, hafciarka, mądrała. Ach! więc to tak, trzeba mu panien z miasta! I dodawała zaraz:

- Córka starego Rouault, miejska panienska! Cóż znowu! Dziadek ich był pastuchem i mają krewniaka, który o włos, a miałby sprawę sądową za pobicie. Nie ma się z czego puszyć i pokazywać w kościele w jedwabnych sukniach, jak hrabianka. Zresztą, biedny stary, gdyby nie zeszłoroczna kapusta byłby w wielkim kłopotcie, nie miałby nawet czym spłacić zaległych rat dzierżawnych.

Karol dla świętego spokoju zrezygnował z wizyt w Bertaux. W porywie miłości, szlochając i całując go na przemian, Heloiza kazała mu przysiąc z ręką na książce do nabożeństwa, że już tam nigdy nie wróci. Ale namiętne pragnienie buntowało się w nim przeciw tej uległości i z naiwną hipokryzją wierzył, że zakaz odwiedzania Emmy daje mu prawo kochania jej. A przy tym wdowa była chuda, miała długie zęby i niezależnie od pory roku nosiła zawsze tę samą czarną chustkę, której spiczasty koniuszek zwieszał się między łopatkami, a sztywną jej kibić obciskała przykrótka suknia na kształt futerału, odsłaniając czarne, szerokie, skrzyżowane w kostkach wstążki trzewików i szare pończochy.

Matka Karola odwiedzała ich czasem. Ale synowa potrafiła już po paru dniach naostrzyć ją przeciw Karolowi jak brzytwę. Prześcigały się w robieniu mu uwag nie szczędząc złośliwych przycinków. Nie powinien jadać tak wiele! I po co to pierwszego lepszego częstować wódką? Nie nosi ciepłej bielizny? - Co za upór!

Zdarzyło się z początkiem wiosny, że rejent z Ingouville, u którego złożone były fundusze pani Dubuc, popłynął z pomyślnym wiatrem wywożąc powierzone mu kapitały. Heloiza była wprawdzie współwłaścicielką statku, ocenianego na sześć tysięcy franków, i domu przy ulicy Franciszkańskiej; jednak z całego tak osławionego majątku nie wniosła do wspólnego gospodarstwa nic prócz paru sprzętów i kilku szmat. Należało rzecz wyjaśnić. Dom w Dieppe okazał się zżarty hipotekami aż do fundamentów. Bóg jeden wiedział, ile złożone miała u rejenta, a udział w statku nie przekraczał tysiąca talarów. Kłamała więc jejmość!

W porywie gniewu, grzmotnąwszy krzesłem o podłogę, pan Bovary oskarżył żonę, że unieszczęśliwiła syna sprzęgając go ze starą szkapą, której skóra niewarta była wyprawy. Przyjechali do Tostes. Rozmówili się. Doszło do burzliwych wyjaśnień. Heloiza z płaczem rzuciła się mężowi na szyję zaklinając go, by bronił ją przed rodzicami. Karol ujął się za nią. Obrazili się więc i odjechali.

Ale cios był zadany. W tydzień potem dostała krwotoku, rozwieszając bieliznę na podwórku, a nazajutrz, kiedy Karol odwrócony plecami zaciągał firankę w oknie, powiedziała: "Ach! Mój Boże!", westchnęła i zemdląła. Nie żyła! Co za dziw!

Kiedy Karol wrócił z cmentarza do domu, nie zastał na dole nikogo. Poszedł na piętro do swego pokoju. W alkowie wisała jeszcze jej suknia; oparł się o biurko i pogrążony w bolesnej zadumie przesiedział tak do wieczora. Kochała go jednak!

Pewnego ranka ojciec Rouault przyniósł Karolowi należność za złożenie złamanej nogi: siedemdziesiąt pięć franków srebrnymi dwufrankówkami i indyczkę. Dowiedział się o jego nieszczęściu i pocieszał, jak umiał.

- Wiem, co to jest! - mówił, klepiąc go po ramieniu. - I ja przez to przeszedłem. Kiedy straciłem moją biedną nieboszczkę, uciekałem w pole szukając samotności, rzucałem się na ziemię u stóp drzewa, płakałem, wymyślałem Panu Bogu, chciałem być jak te zawieszane na drzewach krety, zżarte przez robactwo - zdechnąć po prostu! A kiedy myślałem, że inni w tej chwili mają przy sobie swoje dobre żoneczki, że mogą przytulić się do nich, waliłem kijem o ziemię, byłem jak nieprzytomny, jeść nawet nie mogłem i trudno w to uwierzyć, ale na samą myśl, że mógłbym pójść do knajpy, brało mnie obrzydzenie. I cóż, dzień schodził za dniem, wiosna za zimą, a na dokładkę przyszła jesień po lecie i tak kruszyna po kruszynie rozeszło się to wszystko, a właściwie zapadło, bo gdzieś tam w głębi leży coś zawsze, jakby kto ciężar na piersi położył. Ale że to los nas wszystkich, nie można tak się zadręczać i chcieć umrzeć dlatego, że inni umarli. Trzeba się z tego otrząsnąć, panie Bovary. Jakoś to minie. Niech pan nas odwiedzi. Moja córka często wspomina pana i powiada, że już pan o nas zapomniał. Nadchodzi wiosna, zapolujemy sobie na króliki, rozerwie się pan trochę.

Karol poszedł za jego radą. Odwiedził ich w Bertaux i zastał wszystko po staremu. Nic się tam od pięciu miesięcy nie zmieniło. Tylko grusze już kwitły, a pocziwy Rouault, zdrów teraz, wnosił dużo ożywienia kręcąc się po podwórku.

Sądził, że lekarzowi ze względu na jego smutne położenie należy okazywać szczególne względy, pro sił, by nie zdejmował czapki, mówił ściszym, głosem jak do chorego i udawał nawet, że się gniewa, iż czegoś leższego nie przygotowano na jego intencję do jedzenia, bitej śmietanki lub kompotu z gruszek. Opowiadał zabawne historyjki. Karol, zaskoczony własnym uśmiechem, wspominał nagle żonę i spochmurniał. Ale gdy podano kawę, nie myślał już o niej.

I w miarę jak przyzwyczajał się żyć samotnie, coraz mniej o niej myślał. Cieszyła go nie znana mu dotąd niezależność i czyniła samotność znośniejszą. Mógł teraz zmieniać godziny posiłków, wychodzić i wracać nie opowiadając się nikomu, a kiedy był bardzo zmęczony, wyciągnąć się wygodnie na całą szerokość łóżka. Cackał się więc ze sobą i pieścił przyjmując wyrazy współczucia, których mu nie szczędzono. Śmierć żony nie zaszkodziła mu bynajmniej w praktyce. Przez miesiąc powtarzano wciąż:

"Ach! Biedny człowiek! Cóż za nieszczęście!" Imię jego było na wszystkich ustach. Klientela wzrosła. Przy tym mógł jeździć do Bertaux, kiedy mu się podobało. Żywił jakieś nieokreślone nadzieje, czuł się niemal szczęśliwy, a gdy przeglądał się w lustrze przyczysując faworyty, zdawało mu się, że wyprzystojniał.

Pewnego dnia zjawił się około trzeciej; wszyscy byli w polu; wszedł do kuchni, lecz w pierwszej chwili nie zauważył Emmy. Okiennice były zamknięte, przez szpary wpadały długie, cieniutkie smugi blasku, odbijały się w załamaniach mebli i rzucały drgające plamy na sufit. Na stole po brudnych szklankach łążyły muchy i bzykając topiły się na dnie w nie dopitym jabłeczniku. Blask padający z komina nadawał aksamitnego połysku osiadłym na blasze sadzom i błękitnym odcieniem powlekał zimne popioły. Między oknem a kominem siedziała Emma. Szyła. Nie miała żadnej narzutki i na jej nagich ramionach widniały kropelki potu. Stosownie do wiejskich

obyczajów spytała, czyby się czegoś nie napił. Odmówił, ale nalegała i śmiejąc się zaproponowała wreszcie, że wypije z nim razem kieliszek likieru. Sięgnęła do szafy po butelkę curacao, napełniła po brzegi jeden kieliszek, a do drugiego wlała kilka kropel i trąciwszy się z Karolem, podniosła kieliszek do ust. Ale że był prawie pusty, odchyliła w tył głowę i wyginając szyję śmiała się, że nic nie czuje; szybkim ruchem wysuwała spomiędzy drobnych ząbków koniuszek języka i wylizywała dno kieliszka.

Siadła i pochyliła się znów nad robotą. Cerowała białą bawełnianą pończoszkę. Głowę miała spuszczoną. Milczała. Karol też nic nie mówił i patrząc na smugę kurzu, którą lekki podmuch, wiejący dołem przez szparę od drzwi, pędził po kamiennych płytach, słyszał tylko krew tętniącą w czaszce i dalekie gdakanie niosącej się gdzieś na podwórzu kury. Emma, by się orzeźwić, przykładła od czasu do czasu dłoń do policzków i chłodziła je potem na żelaznych prętach komina.

Zaczęła się skarżyć, że od wiosny cierpi na zawroty głowy, i spytała, czy nie posłużyłyby jej morskie kąpiele. Później opowiadała mu o klasztorze, a on o swoich czasach szkolnych i potoczyła się rozmowa. Poszli do jej pokoju, bo chciała mu pokazać nuty, książki, które dostała w nagrodę, i wieńce z dębowych liści złożone na dnie szafy. Mówiła mu potem o swej matce, o cmentarzu ł nawet pokazywała grządkę w ogrodzie, z której zrywała kwiaty na jej grób w pierwszy piątek każdego miesiąca. Ale ogrodnik ich nie znał się na niczym, jak zresztą wszyscy tu na wsi! Chciałaby przynajmniej w zimie mieszkać w mieście, choć w lecie jest może jeszcze nudniej, bo dnie tak się dłużą! - Zależnie od tego, co mówiła, głos jej był czysty, przenikliwy lub stawał się nagle omdlewający i w przeciągłych modulacjach przechodzących w szept prawie zdawała się mówić sama do siebie. Wesoła, chwilami otwierała szeroko naiwne oczy, to znów przymykała na wpół powieki i ze znużonym wejrzeniem błędziła gdzieś daleko myślami.

Wieczorem, wracając do domu, starał się przypomnieć sobie i uzupełnić każde jej zdanie, aby mieć dokładny obraz jej życia z okresu, kiedy się jeszcze nie znali. Ale widział ją zawsze taką, jaką zobaczył po raz pierwszy, albo taką, jaką przed chwilą pożegnał. Myślał o tym, co się z nią stanie, kiedy wyjdzie za mąż - i za kogo? Niestety! Ojciec Rouault był bardzo bogaty, a ona... tak piękna! Ale twarz jej stawała mu ciągle przed oczyma i brzęczało mu coś monotonicznie koło uszu, niby uprzykrzona mucha: „A gdybyś się tak ożenił, gdybyś się ożenił!” W nocy nie mógł spać, gardło miał ściśnięte. Wstał, by napić się trochę wody, i otworzył okno; niebo usiane było gwiazdami, wiał ciepły wiatr, z daleka słychać było naszczekiwanie psów. Zwrócił głowę w stronę Bertaux.

Pomyślał, że właściwie niczym nie ryzykuje prosząc o rękę Emmy, i postanowił skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji. Ale ilekroć się nadarzała, strach, że nie znajdzie odpowiednich słów, zamykał mu usta. Stary Rouault nie miał nic przeciw, by pozbyć się córki, która nie była mu w domu żadną pomocą. Usprawiedliwiał ją w duchu, uważając, że jest zbyt wykształcona, aby się poświęcić pracy na roli. "Przeklęty zawód - myślał - nikomu jeszcze nie przyniósł milionów." Rzeczywiście, daleki był biedak od zrobienia majątku, ubożał z roku na rok. Na jarmarkach wprawdzie świetnie sobie dawał radę i lubował się nawet w drobnych wybiegach kupieckich, ale mniej niż ktokolwiek inny nadawał się do uprawy roli i do prowadzenia fermi. Do pracy skory nie był, a w tym, co dotyczyło bezpośrednio jego wygód, nie umiał się ograniczać; dobrze jadł, porządnie się wysypiał i nie szczydził na opał. Lubił tęgi jabłecznik, tłustą pieczeń baranią i dobrze ubitą śmietaną. Jadał sam w kuchni, przy piecu, na małym stoliku, który przynoszono mu już całkiem nakryty, jak w teatrze.

Kiedy więc spostrzegł, że Karol rumieni się przy córce, co oznaczało, że lada dzień poprosi o jej rękę, zawczasu rzecz rozważył. Miał go za cherlaka, nie był to więc po jego myśli, ale uchodził za przyzwoitego człowieka, był oszczędny, wykształcony i nie miałby zapewne wielkich wymagań co do posagu. A że Rouault zmuszony był właśnie sprzedać dwadzieścia dwa akry ziemi, że był porządnie zadłużony u murarza i u rymarza, że należało zmienić prasę w tłoczarni, powiedział sobie: „Jeśli mnie o nią poprosi, to mu ją dam.”

Około świętego Michała Karol przyjechał na trzy dni do Bertaux. Ostatni dzień jak i poprzednie zszedł na odkładaniu oświadczyń z kwadransa na kwadrans. Ojciec Rouault odprowadzał go wąską ścieżynką - mieli się już rozstać. Chwila nadeszła. "Kiedy się skończy żywopłot" - pomyślał, a gdy minęli żywopłot:

- Ojciec Rouault - wyszeptał - chciałbym coś panu powiedzieć.

Przystanęli. Karol milczał.

- Ależ proszę, niech pan mówi! Albo to ja nie wiem o wszystkim? - powiedział stary śmiejąc się dobrodusznie.

- Ojciec Rouault... ojciec Rouault...-bąkał Karol.

- Ja tam bardzo chętnie, ale choć to pewnie po myśli małej, trzeba ją jednak o zdanie zapytać. Idźże pan teraz, a ja pójdę do domu. Jeżeli powie tak, niechże pan uważa, nie ma pan po co wracać, żeby ludzie nie gadali; no i mała byłaby za bardzo wzruszona, ale żeby pan sobie krwi nie psuł, otworzę szeroko okiennice; dojrzy pan stąd, trzeba się tylko przez płot przechylić.

Odszedł.

Karol przywiązał konia do drzewa, pobiegł na ścieżkę i czekał. Minęło pół godziny; potem naliczył jeszcze na zegarku dziewiętnaście minut. Nagle z trzaskiem otworzyła się okiennica, drżały jeszcze żelazne pręty.

Nazajutrz już o dziewiątej Karol był w fermie. Emma zarumieniła się, gdy wszedł, i lekkim uśmiechem starała się pokryć zmieszanie. Ojciec Rouault uściskał przyszłego zięcia; rozmowę o interesach odłożyli na później. Zresztą czasu było dość, bo wypadało zaczekać, aż się skończy żałoba Karola, to jest do przyszłej wiosny.

Zima zeszła im na tym oczekiwaniu. Panna Rouault zajęta była przygotowaniem wyprawy. Część jej zamówiła w Rouen, a koszule i czepki nocne szyła sama według wypożyczonych żurnali mód. Kiedy Karol zjawiał się w fermie, omawiano przygotowania weselne, zastanawiali się, w jakim pokoju zasiądą do stołu, ile będzie potraw i jakie zakąski.

Emma chciała wziąć ślub o północy przy pochodniach, ale stary Rouault nie rozumiał tych zachcianek. Odbędzie się więc huczne wesele; zaproszono czterdzieści trzy osoby; siedzieli za stołem szesnaście godzin. Uroczystości ponowiły się nazajutrz i trwały jeszcze przez kilka dni.

Już od wczesnego ranka zaczęły się zjeżdżać powozy pełne gości, jednokonne kariolki, szarabany o dwóch kołach i stare bryczki bez bud, a chłopcy z okolicznych wsi, stłoczeni na zwykłych wozach, trzęśli się jadąc ostro truchtem i trzymali się poręczy, żeby nie upaść. Zjawiali się goście z całej okolicy w promieniu dziesięciu mil, z Goderville, z Normanville, z Cany. Zaproszeni zostali wszyscy krewni obu rodzin, poszły w niepamięć właśnie z niektórymi przyjaciółmi, napisano nawet do znajomych od dawna straconych z oczu.

Od czasu do czasu słychać było zza żywopłotu trzask bicza, otwierano wówczas bramę i zajeżdżała galopem bryka. Konie jak wryte stawały przed gankiem, a z powozu wysypywał się tłum gości przeciągając się i rozcierając kolana.

Panie w czepeczkach miały suknie uszyte z miejska, zegarki na złotych łańcuszkach, pelerynki skrzyżowane w pasie lub kolorowe chusteczki spięte na plecach szpilką i odsłaniające z tyłu szyję. Kilku wyrostków, ubranych podobnie jak ich ojcowie, nie śmiało się poruszać w nowych strojach (niejeden dostał tego dnia pierwszą w życiu parę butów). Koło nich stały milcząc kilkunastoletnie dziewczęta, siostry czy kuzynki, w białych sukniach od pierwszej komunii, podłużonych na tę uroczystość. Czerwone, wystraszone, z włosami posklejanymi różaną pomadą, zdawały się myśleć tylko o tym, żeby nie zawalać białych rękawiczek. Brakło parobków do wyprzęgania koni, zakasując więc rękawy, panowie sami zabrali się do roboty. Ubrani byli rozmaicie, zależnie od pozycji społecznej, we fraki, surduty, marynarki - paradne stroje, chluba rodziny, wyjmowane z szafy tylko na wielkie uroczystości. Rozwiewały się długie poły tużurków o zaokrąglonych kołnierzach i wielkich workowatych kieszeniach; z grubymi sukiennymi kurtkami szły w parze czapki z daszkiem otoczonym metalową obwódką; były i kuse fraczki z dwoma guzikami z tyłu, świecącymi jak para oczu, o krótkich, jakby toporem odrąbanych połach. Niektórzy (ale ci oczywiście zasiąść mieli na samym końcu stołu) mieli odświętne bluzy z wykładanym kołnierzem, drobno zmarszczone na plecach i nisko wszyte w pasek.

Koszule wydymały się na piersiach jak pancerze; głowy były krótko ostrzyżone, aż uszy sterczały; ci, którzy wstali przed świtem i golili się prawie po ciemku, mieli skośne szramy na twarzy, pod nosem, na szczękach lub naskórek zdarty z policzków całymi płatami wielkości talara. Wiatr zaognił blizny i wszystkie te białe, tłuste, kwitnące twarze pocętkowane były różowymi plamami.

Z fermy do gminy było tylko pół mili, udano się tam więc pieszo i pieszo też powrócono, po dopełnieniu kościelnych obrządków. Orszak weselny, zrazu jednolity jak barwna wstęga wijąca się ścieżką wśród zielonych zbóż, rozciągnął się wkrótce i podzielił na małe gromadki, które gawędziły i przystawały chwilami. Na czele szedł grajek ze skrzypcami przystrojonymi w barwne wstęgi, za nim trochę bezładnie nowożeńcy, rodzice i przyjaciele. Dzieci pozostawały w tyle bawiąc się i wyskubując źdźbła owsa. Suknia Emmy, trochę przydługa, wlokła się po ziemi. Emma zatrzymywała się więc niekiedy, unosiła ją lekko i delikatnie, nie zdejmując rękawiczek, wyskubywała szorstkie trawy i osty, a Karol stojąc przy niej ze zwieszonymi rękoma czekał, aż skończy. Ojciec Rouault w nowym, jedwabnym kapeluszu i w nowym ubraniu o zbyt długich rękawach, sięgających palców, prowadził panią Bovary-matkę. Pan Bovary-ojciec, pogardzając w duchu całym tym światkiem, zjawił się w skromnej kurtce wojskowego kroju, zapiętej na jeden rząd guzików, i zalecał się obcesowo do młodej, płowowłosej wieśniaczki, która dygała, rumieniła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pozostali goście rozmawiali o interesach albo płatali sobie figle za plecami, starając się zawczasu wzniecić wesołość. Z daleka dochodziło wciąż rzępolenie grajka. Kiedy spostrzegł, że orszak pozostał w tyle, przystawał na chwilę, by zaczerpnąć tchu, smarował powolutku smyczek kalafonią, żeby struny głośniejsz dźwięczały, i ruszał znów w drogę to podnosząc, to znów opuszczając gryf skrzypiec dla lepszego pochwycenia rytmu. Dźwięk instrumentu płoszył z daleka małe ptaszki.

Stół zastawiono pod wozownią. Znalazły się na nim cztery pieczenie wołowe, sześć kurcząt, duszona cielęcina, trzy ćwiartki baranie, a pośrodku pieczone prosię przybrane czterema kiełbaskami ze szczawiem. Po rogach stały karafki z wódką. Słodki jabłecznik musując w butelkach otaczał korki gęstą pianą, a kieliszki już zawczasu nalane były winem aż po brzegi. Na wielkich półmiskach z żółtą galaretką, która drgała za każdym potrąceniem stołu, wypisane były kolorowym maczkiem

monogramy nowożeńców. Ciasta i torty piekł cukiernik sprowadzony z Yvetot. Starał się, jak mógł, bo był to pierwszy jego występ w okolicy. Deser był arcydziełem i powitany został okrzykami podziwu. Na niebieskiej tekturowej podstawie w kształcie świątyni z portykami, kolumnadą, posążkami ze stiuku ustawionymi w niszach, usianych złotymi gwiazdami z papieru, stała wieża z ciasta otoczona pomniejszych fortyfikacjami z tataraku, migdałów, rodzynków i pomarańczowych skórek. Wreszcie na najwyższej kondygnacji przedstawiającej zieloną łączkę wśród skał i jezior z konfitur, wśród okrętów z łupinek orzecha kołysał się mały amerek na czekoladowej huśtawce, której słupy ozdobione były, niby kulkami, pąkami świeżych róż.

Jedli do wieczora; kto był zmęczony siedzeniem, szedł przejść się trochę na podwórze albo do stodoły na partię kręgli i wracał znów do stołu. Wreszcie kilka osób zdrzemnęło się, niektórzy chrapali nawet. Ale przy kawie ożywili się wszyscy. Śpiewali, mocowali się, nosili ciężary, próbowali dźwignąć wóz na ramionach, dowcipkowali i całowali panie. Wieczorem, gdy przyszła pora odjazdu, konie po chrapy spasione owsem, wierzgały, stawały dęba, aż pękała uprząż, a panowie klęli lub wybuchali śmiechem. W całej okolicy widać było w tę księżycową noc pędzące galopem po kałużach, wybojach i bezdrożach bryczki, z których wychylały się kobiety, by chwycić lejce.

Ci, co zostali w Bertaux, spędzili całą noc w kuchni pijąc. Dzieci posnęły pod ławkami.

Panna młoda błagała ojca, by oszczędzono jej tradycyjnych żartów. Mimo to jeden z jej kuzynów, handlarz rybami (przywiózł nawet parę fląder w ślubnym podarku), usiłował wdmuchiwać wodę przez dziurkę od klucza. Stary Rouault nadszedł jednak w porę i wytłumaczył mu, że poważne stanowisko jego zięcia nie pozwala na takie żarciki. Krewniak z trudem dał się przekonać tym argumentem i pomawiając w duchu ojca Rouault o dumę, przyłączył się do czterech czy pięciu siedzących w kącie gości, którym przypadkiem trafiły się przy stole gorsze kąski. Skarżyli się po cichu, że źle ich przyjęto, szydzili z gospodarza i w skrytości życzyli mu ruiny.

Pani Bovary-matka, urażona, że nie zasięgnięto jej rady ani co do sukni synowej, ani co do uczy weselnej, słowem się nie odezwała przez cały dzień i wyjechała wcześniej. Małżonek, zamiast jej towarzyszyć, posłał po cygara do St.-Victor i palił do rana popijając grog zakrapiany wiśniakiem. Mieszanka ta nie znana reszcie towarzystwa wzmogła jeszcze szacunek dla jego osoby.

Karol nie był z natury skłonny do żartów, nie zabłysnął w czasie uczy. Dwuznaczniki, kalambury, życzenia i tłuste żarty, których zgodnie z tradycją nie szczędzono mu już przy zupie, zbywał byle czym.

Następnego dnia za to zdawał się być innym człowiekiem. Jego to raczej można było uważać za onegdajszą dziewicę, podczas gdy zachowanie panny młodej niczego nie pozwalało się domyślić. Najodważniejsi nie śmieli jej zaczepić i gdy przechodziła, wpatrywali się w nią z niezwykłym natężeniem. Ale Karol niczego nie ukrywał. Mówił do niej po imieniu, nazywał "swoją żoną", rozpytywał wciąż o nią, szukał wszędzie, wyciągał ją na podwórze; z daleka widać było, jak chodził z nią pośród drzew, obejmował ją wpół i pochylając się gniótł koronkowy kołnierzyk jej bluzki.

Nowożeńcy odjechali w dwa dni po weselu. Karol nie mógł na dłużej opuścić chorych. Ojciec Rouault odesłał ich swoją bryczką i towarzyszył im aż do Vassonville. Tam pocałował córkę po raz ostatni i wysiadł. Gdy uszedł jakieś sto kroków, przystanął, obejrzał się za oddalającym się powozem i patrząc na koła toczące się

szybko wśród tumanów kurzu, westchnął głęboko. Przypomniał sobie swoje wesele, dawne lata młodzieńcze, pierwszą ciążę żony; i on był szczęśliwy tego dnia, kiedy zabrał ją od ojca do swego domu; jechała za nim na jednym koniu, truchtem po śniegu; było to około Bożego Narodzenia i pola były całkiem białe; obejmowała go jednym ramieniem, a na drugim miała przewieszony koszyk; długie, powiewające na wietrze koronki jej czepka muskały go czasem po ustach, a kiedy odwracał się, widział tuż za sobą pochyloną na jego ramieniu różową buzię; uśmiechała się, milcząc, spod złotej obwódki czepeczka i żeby ogrzać zziębnięte palce, wsuwała mu je czasem w zanadrze. Jakże dawno było już to wszystko! Syn ich miałby dziś trzydzieści lat! Odwrócił się raz jeszcze, ale nic już na drodze nie dojrzał. Zrobiło mu się w sercu smutno jak w opuszczonym domu. W mózgu przyćmionym oparami pijaństwa tkliwe wspomnienia mieszały się z czarnymi myślami. Chciał zboczyć w stronę kościoła, ale bał się, że będzie mu wtedy jeszcze smutniej, poszedł więc wprost do domu.

Państwo Karolowie przyjechali do Tostes około szóstej. Sąsiedzi pośpieszyli do okien, żeby przyrzeć się nowej żonie doktora.

Na progu powitała ich stara służąca i przepraszając, że obiad niegotów, prosiła panią, by zechciała tymczasem obejrzeć mieszkanie.

Dom o ceglanej fasadzie stał tuż przy szosie, a raczej przy drodze. Za drzwiami wisi płaszcz z wąskim kołnierzem, uzda i czarna skórzana czapka, a w kącie stały sztylpy pokryte jeszcze zeschniętym błotem. Na prawo była jadalnia, to znaczy duży pokój, gdzie jadano i przebywano w ciągu dnia. Kanarkowe tapety, ozdobione u góry wieńcem z bladych kwiatów, źle były przyklejone i odstawały od ścian. W oknach wisały białe perkalowe firanki z czerwonym szlakiem, a na kominku między dwoma platerowanymi świecznikami lśnił zegar z głową Hipokratesa. Świeczniki przykryte były szklanymi kloszami. Gabinet Karola mieścił się w małym, mniej więcej na sześć stóp szerokim pokoiku po drugiej stronie korytarza. Stał tam stół, trzy krzesła i kancelaryjny fotel. Wielotomowy Słownik Nauk Medycznych (nie rozcięty, ale zniszczony przez koleje swego losu) zapełniał prawie sam sześć półek sosnowej biblioteki. Podczas konsultacji dochodziły tu zapachy kuchenne, a w kuchni słychać było w zamian kaszel chorych i nie kończące się historie ich cierpień. Dalej była duża, zupełnie zaniedbana izba, z której wychodziło się wprost na podwórze i do stajni. Niegdyś wypiekano w tej izbie chleb, a teraz służyła za drwalnię, spiżarnię i skład najrozmaitszych rupieci: starego żelaziwa, pustych beczek, połamanych narzędzi rolniczych i mnóstwa innych zakurzonych gratów, których przeznaczenia nie sposób się było domyślić.

Długi, ale wąski ogród ciągnął się między dwoma murami z gliny i słomy, zakrytymi brzoskwinowym szpalerem, aż do ciernistego żywopłotu, który oddzielał go od pola. Pośrodku, na wysokim piedestale, wmurowany był kamienny zegar słoneczny. Cztery symetryczne grządki wątych róż zasłaniały bardziej produktywną część ogrodu, gdzie rosły warzywa, a w głębi, pod tujami, odlany w gipsie ksiądz pochylał się nad brewiarzem.

Emma poszła na piętro. Pierwszy pokój był nie umeblowany, w drugim, który był małżeńską sypialnią, stało w alkowie mahoniowe łóżko zasłonięte czerwoną kotarą; komodę zdobiło wyklejone z muszelek pudełko, a na sekretarzyku przy oknie tkwił w karafce bukiet pomarańczowych kwiatów związany białą atłasową wstążką. Był to bukiet ślubny, bukiet tamtej! Karol spostrzegł skierowane nań spojrzenie Emmy i wyniósł bukiet na strych. A Emma pogrążona w zadumie, siedząc w fotelu, otoczona

kuframi, myślała o swoim bukietcie ślubnym, zapakowanym w tekturowe pudełko. Co by się z nim stało, gdyby przypadkiem umarła?

W pierwszych dniach zajęła się uporządkowaniem domu. Zdjęła szklane klosze ze świeczników, kazała zmienić tapety, przemaalować klatkę schodową, a w ogrodzie poustawić ławki wokół słonecznego zegara. Chciała nawet mieć basen z rybkami i wodotryskiem. A mąż, pamiętając, że lubi spacerować, kupił okazji stary powozik, który z nowymi latarniami i błotnikami z pikowanej skóry wyglądał prawie jak tilbury.

Karol był szczęśliwy, nie miał żadnych trosk. Obiad w jej towarzystwie, spacer szosą, ruch ręki, kiedy poprawiała włosy, widok zawieszonych na oknie kapelusza i tyle innych drobiazgów, które dawniej nie przynosiły mu żadnej radości, składało się teraz na nieprzerwany łańcuch szczęścia. W łóżku, nad ranem, leżąc tuż przy niej, patrzył na jasny prześwietlony słońcem puszek jej policzków przesłoniętych na wpół różkami czepka. Oczy jej widziane z tak bliska wydawały mu się większe, szczególnie kiedy budząc się raz po raz otwierała i zamykała je na przemian; w cieniu czarne, a szafirowe w świetle, zdawały się mieć warstwy rozmaitych kolorów; ciemne u spodu, barwy te, im bliżej powierzchni, tym się stawały jaśniejsze. Własne jego oko tonęło w tych głębokościach; widział swoje malutkie odbicie aż do ramion, z fularem na włosach i z rozchyloną na piersiach koszulą. Wstawał, a ona w luźnym szlafrocisku wychylała się za nim przez okno, wsparta na łokciu między dwiema doniczkami geranium. Karol przypinał ostrogi na ulicy opierając nogę o milowy kamień, a ona, nie przerywając rozmowy, ustami zrywała jakiś kwiat czy Usteczek i zdmuchiwała w jego stronę; kołysał się lekko na wietrze, zataczał koła, półkregi i zaczepiał się wreszcie na poplątanej grzywie białej klaczy stojącej nieruchomo przed bramą. Karol dosiadłszy konia posyłał jej całusa; kiwała ręką na pożegnanie i zamykała okno. Odjeżdżał. Na zakurzonej wstędze drogi, w cieniu gałęzi wygiętych na kształt kolebki, wśród zbóż, które sięgały mu po kolana, grzejąc plecy w ciepłe słońca, wciągając w nozdrza powiewy poranka, jechał, pełen rozkosznych wspomnień nocy, ze spokojnym umysłem i nasyconym ciałem, przeżywając swe szczęście jak smakosz, który po obiedzie, trawiąc, rozkoszuje się jeszcze smakiem trufli.

Cóż zaznał dotąd dobrego w życiu? Czyż był szczęśliwy w szkole, zamknięty wysokimi murami, sam wśród bogatych i zdolniejszych kolegów, którzy kpili z jego wymowy, wydrwiwali jego stroje i rozpieszczani byli przez matki, przychodzące do rozmównicy z muffkami pełnymi ciastek? Albo kiedy studiował medycynę i zawsze bez grosza, nie mógł nawet zaprosić na tańce jakiejś skromnej szwaczuszki, która mogłaby zostać jego kochanką? Potem przez czternaście miesięcy żył z wdową, której nogi zimne były w łóżku jak sople lodu. Ale teraz piękna, ubóstwiana kobieta należała do niego już na zawsze. Świata nie widział poza rąbkiem jej spódnicy i wyrzucając sobie, że nie dość ją kocha, gnany żądzą zobaczenia jej natychmiast, wracał, wbiegał na schody z bijącym sercem (Emma ubierała się w swoim pokoju), wchodził cichymi krokami, cało wał ją w plecy, aż wystraszona, wydawała lekki okrzyk.

Dotykał ciągle jej grzebienia, pierścionków, chusteczki, czasem wyciskał na jej policzkach głośne całusy albo drobnymi pocałunkami zasypywał jej rękę od czubka palców aż do obnażonych ramion. Odpychała go, jak odpycha się uprzykrzone dziecko; pół uśmiechnięta i znudzona.

Przed ślubem zdawało się jej, że go kocha, ale oczekiwane szczęście nie nadeszło.

"Pomyliłam się "więc" - myślała i starała się dociec znaczenia słów: szczęście, namiętność, upojenie, słów, które tak pięknie brzmiały w książkach.



Czytała niegdyś Pawła i Wirginię i marzyła jej się chatka bambusowa, Murzynek Domingo, pies Wierny, a nade wszystko słodka przyjaźń jakiegoś dobrego braciszka, który zbiera czerwone owoce na drzewach wysokich jak dzwonnice lub biegnąc boso po piasku przynosi ci gniazdko ptasie.

Gdy skończyła lat trzynaście, ojciec sam odwiózł ją do miasta, by oddać na pensję do klasztoru. Stanęli w gospodzie w dzielnicy Św. Gerwazego. Kolację podano im na malowanych talerzach przedstawiających dzieje panny de la Valliere. Napisy, tu i ówdzie porysowane nożem, wystawiały pobożność, delikatność uczuć i przepych dworu.

Z początku wcale się nie nudziła w klasztorze; lubiła towarzystwo siostrzyczek, które dla rozrywki prowadziły ją do kaplicy; długi korytarz wiodł do niej z refektarza. Niewiele się bawiła na pauzach, rozumiała dobrze katechizm i ona to zawsze najlepiej odpowiadała księdzu wikaremu na trudne pytania.

Zamknięta w mdłej atmosferze klas, pośród tych bladych kobiet z mosiężnymi krzyżkami u różańca, pogrążyła się niepostrzeżenie w półsen, pełen mistycznej tęsknoty, która wiała z kadzideł ołtarzy, z chłodu kropielnic, z blasku gromnic. Zamiast słuchać mszy, oglądała w książce do nabożeństwa pobożne winietki z błękitną obwódką. Lubiła chorą owieczkę, Przenajświętsze Serce przebite ostrymi strzałami i biednego Jezusa, który upada pod ciężarem krzyża. Spróbowała raz dla umartwienia nic nie jeść przez cały dzień i przemyśliwała nad tym, jaki by ślub uczynić.

U spowiedzi wynajdywała małe, urojone grzechy, żeby jak najdłużej klęczeć w półmroku ze złożonymi rękoma, z twarzą przyciśniętą do kraty, słuchając szeptu księdza. Porównania mistyczne o oblubieńcu, małżonku, kochanku niebiańskim i ślubach wieczystych, które często powtarzają się w kazaniach, budziły w głębi jej duszy nieoczekiwane słodycze.

Wieczorem przed pacierzem czytano na głos jakąś pobożną książkę. W dni powszednie były to streszczenia Historii świętej albo Pogadanki opata Frayssinous, a w niedzielę dla rozrywki ustępy z Ducha chrystianizmu. Z jakąż chciwością słuchała po raz pierwszy dźwięcznych skarg romantycznej melancholii, powtarzanych przez wszystkie echa ziemi i nieba! Gdyby dzieciństwo jej upłynęło w jakimś ciemnym, zakamarku handlowej dzielnicy, duszę jej porwałby może liryczny urok przyrody, który objawia się nam zazwyczaj dopiero w zetknięciu z dziełami pisarzy. Ale zbyt dobrze znała wieś: beczenie owiec, wieczorny udój, pługi. Oswojona ze spokojem natury, szukała w niej przeżyć niezwykłych. Lubiła morze jedynie za jego burzliwość, a zieleń tylko wśród ruin. Z każdej rzeczy musiała wydobyć jakąś korzyść dla siebie i odrzucała jako zbędne to wszystko, co w danej chwili nie mogło być pokarmem dla jej serca. Mając naturę raczej uczuciową niż artystyczną, szukała wzruszeń, a nie widoków.

Co miesiąc przychodziła na tydzień do klasztoru pewna stara panna, by szyc i naprawiać bieliznę. Popierał ją arcybiskup, gdyż pochodziła ze starej, szlacheckiej rodziny zrujnowanej przez rewolucję. Jadała w refektarzu z siostrzyczkami, ucinając pogawędkę po posiłku i znów szła na górę do roboty. Często pensjonarki wymykały się do niej. Umiała na pamięć zalotne piosenki zeszłego stulecia i śpiewała je półgłosem, nie przerywając szycia. Opowiadała ciekawe historie, znosiła plotki, załatwiała na mieście sprawunki, a starszym pożyczła po kryjomu powieści; zawsze miała jakąś w kieszeni fartucha i sama w wolnych chwilach połykała ją całymi rozdziałami. Pełno tam było miłości, kochanek, kochanków; prześladowanych dziewic

mdlejących w ustronnych altanach, pocztylionów mordowanych na każdym postoju, koni zajeżdżanych na każdej stronicy, mrocznych borów, burzliwych serc, łez, szlochów, pocałunków, łódek w blasku księżyca, słowików w gajach, młodzieńców odważnych jak lwy, łagodnych jak baranki, cnotliwych, jak to się nigdy nie zdarza, zawsze starannie ubranych i płaczących jak łzawnice. Przez sześć miesięcy, mając piętnaście lat, Emma wałała sobie ręce pyłem starych bibliotek. Potem, wraz z Walter Scottem, rozmiłowała się w dawnych dziejach. Marzyła o średniowiecznych skrzyniach, rycerskich komnatach i menestrelach. Pragnęła mieszkać w jakimś starym zamczysku, jak te kasztelanki o wydłużonych stanikach, które pod rzeźbionym w kształt trójliścia ostrołukiem spędzały całe dnie z łokciem na kamiennej balustradzie, z twarzą na dłoni, wyglądając, aż zjawi się w oddali rycerz o białym pióropuszu, galopujący na karym rumaku. Żywiła w tym okresie kult dla Marii Stuart i zachwyty pełen czci dla sławnych lub nieszczęśliwych kobiet. Joanna d'Arc, Heloiza, Agnieszka Sorel, piękna Ferroniera i Klemencja Isaure lśniły dla niej jak komety w mrocznych otchłaniach historii, skąd wynurzały się jeszcze tu i ówdzie, ale już nie tak świetliste i bez żadnego ze sobą związku: postać świętego Ludwika ze swym dębem, umierający Bayard, jakieś okrucieństwa Ludwika XI, coś niecoś z nocy św. Bartłomieja, szyszak Bearneńczyka i niezatarte wspomnienie malowanych talerzy wystawiających Ludwika XIV.

Na lekcjach muzyki, w piosenkach, które śpiewała, była mowa tylko o małych aniołkach ze złotymi skrzydełkami, o madonnach, lagunach i gondolierach. Ale mimo niemądrych słów i niedołęstwa melodii, przeświecała przez te niewinne utwory pociągająca fantasmagoria uczuć rzeczywistych. Niektóre z jej koleżanek przynosiły do klasztoru Iceepsakes, otrzymane w upominku na gwiazdkę. Trzeba je było chować; wymagało to nie byle jakich zabiegów. Czytało się je w sypialni. Otwierając delikatnie piękne atlasowe oprawy, Emma wpijała olśnione spojrzenie w nazwiska nieznanych autorów, którzy nosili zwykle tytuły hrabiów lub wicehrabiów. Przebiegał ją dreszcz, gdy poruszona jej oddechem jedwabna bibułka unosiła się z lekka, by opaść znów na ryciny z cichym szelestem. Był tam za poręczą balkonu młodzieniec w krótkim płaszczu, obejmujący dziewicę w białych szatach z sakiewką u pasa, albo portrety nieznanych angielskich ladies o jasnych puklach. Niedbale rozparte w powozach, sunących alejami parku, spoglądały przezrzystymi oczyma spod rond słomkowych kapeluszy. Przed zaprzęgiem, jadącym kłusa i kierowanym przez dwóch groomów w białych spodniach, biegł w podskokach zgrabny chart. Inne znów damy siedziały rozmarzone na sofach, z rozpieczętowanym listem w ręku, wpatrując się w księżyc przez uchylone okno, na wpół przysłonięte czarną kotarą. Naiwne dziewczęta ze łąką w oku całowały w dzióbek turkawki przez kraty gotyckiej klatki lub uśmiechając się, z główką przechyloną na ramię, skubały sto krotkę wysmukłymi palcami, których spiczaste koniuszki wyginały się jak zadarte noski ciżemek. I wyście też tam byli, sułtani z długimi fajkami, omdlewający z rozkoszy u boku bajader, giaury, szable tureckie, czapki frygijskie, a przede wszystkim wy, mdłe wizerunki dytyrambiczných krain, które ukazujecie nam naraz palmy i jodły, lwy na prawo, tygrysy na lewo, minarety tatarskie na horyzoncie, na pierwszym planie rzymskie ruiny, przyklękające wielbłądy - a wszystko to otoczone starannie wypielęgnowanym lasem dziewiczym i przeszyte prostopadłym promieniem słońca, odbitym w drgającym zwierciadle stalowej wody, usianej tu i ówdzie drobnymi, niby szpilką wydrapanymi, plamkami białych łabędzi.

Blask osłoniętej abażurem lampy, zawieszzonej nad głową Emmy, oświecał przesuwające się przed nią obrazy w ciszy sypialni, przy dalekim turkocie zapóźnionej na bulwarach dorożki.

Kiedy matka jej umarła, Emma płakała bardzo przez kilka pierwszych dni. Kazała zrobić sobie żałobny obrazek z włosów nieboszczki i w liście do ojca, pełnym smutnych rozmyślań o życiu, prosiła, aby pochowano ją później w tym samym grobie, Poczciwy Rouault odwiedził ją myśląc, że jest chora. A Emma cieszyła się w głębi duszy, że jest istotą smętną, że udało jej się tak od razu osiągnąć ideał niedostępny sercom pospolitym. Zapuściła się więc w zawily labirynt lamartinowskiej melancholii, słuchając harfy nad jeziorem, śpiewu wszystkich umierających łabędzi, szelestu wszystkich opadłych liści, pienia wznoszących się w niebo dziewic i głosu Wiekuistego, rozlegającego się w dolinach. Znudziło ją to wreszcie, ale nie chciała się do tego przyznać i brnęła dalej z przyzwyczajenia, potem przez próżność, aż wreszcie spostrzegła ze zdziwieniem, że jest zupełnie ukojona i że nie więcej ma smutku w sercu niż zmarszczek na gładkim czole.

Dobre siostrzyczki, które takie nadzieje pokładały w jej powołaniu, nadziwić się nie mogły, że panna Rouault, jakby się wymykała ich pieczy. Tak szczerze karmiły ją nabożeństwami, rekolekcjami, nowennami, kazaniami, tyle jej mówiły o poszanowaniu, które winniśmy świętym i męczennikom, tyle dobrych rad udzieliły co do skromności ciała i zbawienia duszy, że jak koń, którego zbyt mocno szarpie się za uzdę, stanęła nagle, a wędzidło wyskoczyło spomiędzy zębów. Lubiła kościół dla kwiatów, muzykę dla słów piosenek, poezję dla namiętnych podniet, ale wśród tych wszystkich entuzjasmów pozytywny jej umysł buntował się przeciw tajemnicom wiary, a jeszcze bardziej burzył przeciw dyscyplinie sprzecznej z jej naturą. Toteż kiedy ojciec odebrał ją z pensji, nie żałowała wcale, że odjeżdża, a matka przełożona zauważyła nawet, że Emma nie okazywała ostatnio zgromadzeniu należytego szacunku.

Po powrocie do domu bawiło ją z początku rozkazywanie służbie, ale wieś zbrzydła jej wkrótce i z żalem myślała o klasztorze. Kiedy Karol po raz pierwszy przyjechał do Bertaux, Emma uważała się za istotę rozczarowaną, która niczego już od życia nie oczekuje i nie jest zdolna do żadnych uczuć.

Ale niepokój spowodowany nowymi warunkami, a może drażniąca obecność tego człowieka wystarczyły, aby uwierzyła, że zjawia się wreszcie w jej życiu ta cudowna namiętność, która dotąd jak różanopióry ptak unosiła się w przestworzach poetyckich błękitów; a teraz nie mogła sobie wyobrazić, żeby jej obecne, spokojne życie miało być tym. wymarzoną szczęściem.

W zamyśleniu mówiła sobie jednak czasem, że to najpiękniejsze dni jej życia - miodowe miesiące, jak powiadają. Żeby móc się nacieszyć ich słodyczą, trzeba było zapewne wyjechać do tych krain o dźwięcznie brzmiących nazwach, gdzie dni po ślubie pełne są rozkosznej beczynności. W pocztowej karecie o błękitnych jedwabnych firankach wspinać się po stromych zboczach słuchając śpiewu pocztyliona powtarzanego przez echo, dzwoneczków kóz i głuchego szumu wodospadu. O zachodzie słońca nad zatoką oddychać wonią drzew cytrynowych, a potem wieczorem, na tarasie samotnej willi, z dłonią w dłoni snuć plany na przyszłość, patrząc w gwiazdy. Myślała, że szczęście jest owocem pewnych krain i jak roślina w niewłaściwej glebie nie może rozkwitać gdzie indziej.

Czemuż nie mogła oprzeć się o poręcz balkonu w szwajcarskim szalecie albo ukryć swego smutku w cottage'u szkockim u boku męża w czarnym, aksamitnym ubraniu o długich połach, z mankietami, w miękkich butach i spiczastym kapeluszu.

Pragnęła może zwierzyć się komuś z tego wszystkiego, ale jak wypowiedzieć ten nieokreślony smutek, zmienny jak rozplywające się obłoki, nieuchwytny jak wiatr. Brakowało jej słów, okazji i śmiałości.

Gdyby jednak Karol zechciał, gdyby coś przeczuł, gdyby spojrzenie jego choć raz jeden spotkało się z jej myślą, nadmiar jej wezbranych uczuć oderwałby się i spadł z jej serca, jak dojrzały owoc, gdy się po niego rękę wyciągnie. Ale w miarę jak zacieśniała się ich zażyłość, jakaś wewnętrzna obcość odsuwała ją od niego.

Rozmowa z Karolem była płaska jak uliczny chodnik, a jego myśli, które każdy mógłby wypowiedzieć, przesuwają się w codziennych strojach nie budząc ani wzruszeń, ani śmiechu, ani marzeń.

Przyznawał, że gdy mieszkał w Rouen, nigdy nie przyszło mu do głowy pójść do teatru, by zobaczyć paryskich aktorów. Nie umiał ani pływać, ani fechtować się, ani strzelać z pistoletu, a kiedyś nie potrafił nawet wytłumaczyć jej fachowego terminu dotyczącego konnej jazdy, który spotkała w jakiejś powieści.

A czyż właśnie mężczyzna nie powinien znać tego wszystkiego, celować we wszelkim działaniu, wtajemniczać kobiety w porywy namiętności i w wyrafinowane tajnie życia? Ale on nie potrafił jej niczego nauczyć, nic nie umiał, niczego nie pragnął. Sądził, że jest szczęśliwa. Miała do niego żal za ten spokój pewny siebie, za pogodną ociążałość i nawet za to szczęście, które mu dawała.

Rysowała czasami; dla Karola było wielką radością stać przy niej i patrzeć, jak pochyla się nad papierem, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć swoje dzieło, lub jak skręca w palcach kuleczki z chleba. Gdy grała na fortepianie, im prędzej biegły jej palce, tym bardziej był zachwycony.

Uderzała w klawisze z wielką pewnością siebie i nie zatrzymując się przebiegała od góry do dołu całą klawiaturę. W ciepłe dni przez otwarte okno słychać było aż na drugim końcu wsi dźwięk wstrząsanego przez nią starego instrumentu o pokręconych strunach i nieraz kancelista komornika przechodząc mimo drogą, w pantoflach, z gołą głową, zatrzymywał się z papierem w ręku, by posłuchać, jak grała.

Umiała jednak prowadzić dom. Posyłając chorym rachunki układała zręczne bileciki, które nie trąciły stylem kupieckim. A kiedy w niedzielę mieli paru sąsiadów na obiedzie, potrafiła przyrządzić jakąś wyszukaną potrawę, ułożyć na liściach winorośli piramidę z renklod i zgrabnie podać na talerzyku konfitury; zamierzała nawet kupić szklaneczki do płukania ust po deserze. Wszystko to podnosiło pana Bovary w oczach sąsiadów.

Mając tak niezwykłą żonę Karol sam zaczął nabierać do siebie więcej szacunku. Pokazywał z dumą w sali jadalnej jej dwa małe ołówkowe szkice, która kazał oprawić w szerokie pozłacane ramy i zawiesił na ścianie na długich, zielonych sznurach. A w niedzielę, w porze powrotu z kościoła, stawał na progu w pięknie wyhaftowanych pantoflach.

Wieczorem wracał późno, o dziesiątej, czasem o północy. Głodny był, a że służąca już spała, Emma podawała mu kolację. Zdejmował surdut, żeby się czuć swobodniej, opowiadał po kolei o wszystkich spotkanych znajomych, o wsiach, gdzie był, o receptach, jakie zapisał, i zadowolony z siebie, zjadał resztę pieczeni, oskrobywał ser, chrupał jabłko, wypróżniał karafkę wina, szedł do łóżka, kładł się na wznak i chrapał.

Przyzwyczajony od dawna do bawełnianej szlafmocy, nie mógł się oswoić z fularem; zsuwał mu się z uszu i gdy budził się rano, spadały mu na twarz splątane włosy, pełne puchu z poduszki, której tasiemki rozwiązały się w nocy. Nosił zawsze grube buty, które miały na podbiciu dwie duże fałdy biegnące skośnie wzdłuż kostki i sztywne przyszwyy, jakby naciągnięte na drewniane kopyto. Mówił, że na wieś to i tak aż za dobre.

Matka pochwałała tę oszczędność. Gdyż po dawnemu odwiedzała syna, kiedy u niej w domu doszło do jakiejś gwałtowniejszej sceny. Zdawała się jednak być

uprzedzona do synowej. Uważała, że prowadzi życie nad stan: drzewo, cukier, świece - topnieją w oczach, jak w jakim, wielkim domu, a na węglu wypalonym pod płytą można by ugotować dwadzieścia pięć potraw! Układała w szafach bieliznę i pouczała, jak należy pilnować rzeźnika, kiedy przynosi mięso. Emma przyjmowała te uwagi; pani Bovary nie szczędziła ich. Przez cały dzień słychać było:

"Moja córko", "Moja matko", wypowiedane drżącymi wargami, gdyż mówiąc te słodkie wyrazy obie dygotały ze złości.

Za czasów pani Dubuc staruszka czuła, że jest ta bardziej kochaną; ale teraz miłość Karola dla Emmy zdawała się być ucieczką przed czułością dla niej i zagarniała to, co jej się należało; i jak zrujnowany człowiek, który przez szybę patrzy na obcych ludzi uczujących w jego dawnym domu, tak ona z żalem patrzyła na szczęście syna. Wracając myślą do dawnych czasów przypominała mu troski, jakich był powodem, i porównując swe poświęcenie z niedbałością Emmy stwierdzała, że nie jest rzeczą rozsądną obdarzać kogoś tak wyłączną miłością.

Karol nie wiedział, co odpowiedzieć; szanował matkę i uwielbiał żonę; wierzył w nieomylność pierwszej, a jednak uważał, że druga jest bez zarzutu. Po wyjeździe pani Bovary próbował czasem nieśmiało, używając tych samych co ona zwrotów, wtrącić jakąś błahą uwagę, jaką słyszał w ustach matki. Emma jednym słowem potrafiła mu udowodnić, że się myli, i odsyłała go do chorych.

A jednak, stosując teorie, które uważała za dobre, chciała wzbudzić w sobie miłość.

W ogrodzie, przy księżycu, deklamowała mu wszystkie namiętne poezje, które umiała na pamięć, i wzdychając śpiewała melancholijne adagia. Ale czuła się potem równie spokojna jak i przedtem, a Karol nie wydawał się ani bardziej zakochany, ani bardziej wzruszony.

Gdy tak bezskutecznie próbowała wzniecić płomień w sercu, a nie wykrzesać ani iskierki, niezdolna zresztą zrozumieć tego, czego nie czuła, ani też uwierzyć w to, co się nie objawiało w konwencjonalnych formach, doszła łatwo do przekonania, że miłość Karola zdążyła już zupełnie spowszednieć. Wybuchy jego czułości stały się regularne: całował ją w określonych godzinach. Było to przyzwyczajenie - jedno z wielu - jak po monotonii obiadu z góry przewidziany deser.

Pewien leśniczy, którego Karol wyleczył z zapalenia płuc, podarował jej małą włoską charciczkę. Brała ją często ze sobą na spacer, gdyż lubiła teraz czasem przejść się trochę, żeby być przez chwilę sama i nie mieć wciąż przed oczyma wiecznie tego samego ogródka i zakurzonej drogi.

Szła aż do bukowego lasu Banneville, gdzie stał opuszczony budynek, narożem zwrócony ku polu. W rowie, pośród traw, rosły długie trzciny o ostrych liściach.

Rozglądała się z początku, żeby zobaczyć, czy nic się nie zmieniło od chwili, kiedy tu była po raz ostatni. Odnajdywała na tych samych miejscach naparstnice, żółty lak, kępy pokrzyw wokół dużych kamieni i liszaje mchów wzdłuż trzech okien, których wiecznie zamknięte okiennice rozpadały się w próchno na żelaznych, zardzewiałych sztabach. Myśl jej błądziła początkowo bez celu, goniąc jak charciczka, która zataczała kręgi, czekała na motyle, polowała na sroki i zbytkując chwytła zębami maki rosnące na skraju pola. Potem stopniowo myśli jej skupiały się. Siadała na trawie i uderzając z lekka o ziemię końcem parasolki, powtarzała:

- Mój Boże, i po cóż wyszłam za męża? Zastanawiała się, czy dzięki jakiemuś zbiegowi okoliczności nie mogła była spotkać innego człowieka, i usiłowała wyobrazić sobie, jakie by mogły być te niedosze zdarzenia, to inne życie, ten mąż, którego nie

znała. Nie wszyscy wszak byli podobni do Karola. Mógł to być ktoś piękny, mądry, wytworny, pociągający, taki, jakimi zapewne byli mężowie jej koleżanek z klasztoru. Cóż się z nimi teraz działo? W mieście wśród turkotu powozów, w rozgwarze teatrów, w blasku sal balowych wiodły pewno życie, w którym serce rozkwita i rozwijają się zmysły. Ale jej życie było zimne jak poddasze, którego okienko wychodzi na północ. I nuda - milczący pajak - snuła w mroku swą nić we wszystkich zakątkach jej serca. Wspominała dni rozdawania nagród, kiedy wchodziła na estradę po swoje wianuszki. Z warkoczem, w białej sukience, w prunelowych, wyciętych pantofelkach wyglądała milutko i panowie, gdy wracała na swoje miejsce, pochylali się, by jej wieszować. Dziedziniec pełen był powozów, żegnano się z nią przez drzwiczki, a nauczyciel muzyki kłaniał się przechodząc z pudłem od skrzypiec. Ach! Jakże dalekie było już to wszystko, jakże dalekie! Wołała Dżali, brała ją na kolana i głaszcząc jej długą, delikatną główkę mówiła:

- Pocałuj panią, ty, która nie masz żadnych zmartwień!

Potem patrząc na melancholijną minę smukłego zwierzęcia, które ziewało przeciągle, rozczuła się i biorąc je za równą sobie istotę, przemawiała do niego głośno jak do kogoś zasmuconego, kogo trzeba pocieszyć.

Zdarzało się czasem, że gwałtowne podmuchy wiejącego od morza wiatru przetaczały się jednym porywem przez płaską równinę Normandii, przynosząc aż daleko w pola świeży, słony powiew. Trzciny ze świstem pochylały się do ziemi, gwałtowny dreszcz wstrząsał bukowymi liśćmi, a wierzchołki drzew, kołysząc się, szumiały głucho. Emma otulała się szalem i wstawiała.

W alei zielony blask, sącząc się przez liście, oświecał gładkie, niskie mchy, które trzeszczały lekko pod jej stopami. Słońce zachodziło; między konarami płonęło czerwone niebo, a podobne do siebie pnie drzew, rosnących w równym rzędzie, rysowały się na złotym tle jak brązowa kolumnada. Jakiś strach ją ogarniał, wołała Dżali i gościńcem wracała prędko do domu, znużona rzucała się na fotel i milcząc siedziała tak przez cały wieczór.

Z końcem września zdarzyła się jednak w jej życiu rzecz niezwykła: została zaproszona do Vaubeysard do markiza d'Andervilliers.

Markiz, były sekretarz stanu za Restauracji, chciał znów powrócić do życia politycznego i od dawna już przygotowywał swą kandydaturę do Izby Deputowanych. W zimie rozdawał drzewo na opał, a na posiedzeniach Rady Głównej Departamentu domagał się w egzaltowanych przemówieniach dróg dla swego okręgu. W czasie największych upałów zrobił mu się ropień w ustach. Karol wyleczył go niemal cudem, przeciąwszy wrzód w porę jednym ruchem lancetu. Rządca wysłany do Tostes, by zapłacić za operację, opowiedział wieczorem, że w ogródku lekarza widział wspiane wiśnie. A właśnie w Vaubeysard wiśnie były nieszczególne; poproszono więc pana Bovary o kilka szczepów; markiz czuł się w obowiązku podziękować mu za nie osobiście; zobaczył wówczas Emmę i zauważył, że ma zgrabną figurkę i nie kłania się po wiejsku. Uznano więc w zamku, że nie przekroczy się granic zwykłej uprzejmości i nie popełni żadnego nietaktu zapraszając młodą parę.

Pewnej więc środy o trzeciej po południu państwo Bovary wyruszyli swym powozikiem do Vaubeysard z wielką walizą przywiązaną z tyłu, z pudłem do kapeluszy na fartuchu i z dużą paczką, którą Karol wcisnął między nogi.

Przybyli o zmroku, gdy w parku zapalano już lampiony, żeby oświecić drogę nadjeżdżającym powozom.

Nowoczesny pałac we włoskim stylu, z dwoma wysuniętymi skrzydłami i trzema podjazdami, położony był na samym dole olbrzymiego trawnika, na którym, wśród

bukietów drzew rozrzuconych z rzadka, pasły się tu i ówdzie krowy. Wzdłuż biegnącej wygiętą linią alei, wysypanej piaskiem, rododendrony, jaśminy i buldenezę zieleniły się kępami rozmaitych odcieni. Pod mostem płynęła rzeka, a dalej widać było we mgle słomą kryte budynki na łące, zamkniętej dwoma łagodnymi stokami lesistych wzgórz. Z tyłu wśród zarośli wznosiły się, ustawione w dwa równoległe rzędy, stajnie i wozownie, jedyne pozostałości zburzonego zamku.

Powozik Karola zatrzymał się przed środkowym gankiem. Zjawiło się kilku lokai; ukazał się markiz i podając ramię żonie lekarza wprowadził ją do sieni pałacowej, wyłożonej marmurowymi płytami.

Pod wysokim sklepieniem odgłos rozmów i 'kroków rozlegał się jak w kościele. Na wprost wejścia biegły w górę szerokie schody, a na lewo wychodząca na ogród galeria wiodła do sali bilardowej, z której dochodził już od drzwi stuk karambolujących kul z kości słoniowej. Mijając tę salę, żeby wejść do salonu, Emma spostrzegła dokoła bilardu kilku panów, ozdobionych licznymi orderami, o poważnych twarzach z podbródkiem opartym na wysokich Halsztukach. W milczeniu, uśmiechając się posuwali swoje długie kije. Wielkie złoczone ramy, zawieszane na ciemnych boazeriach, miały u dołu napisy wyryte czarnymi zgłoskami. Przeczytała:

"Jan Antoni d'Andervilliers d'Yverbonville, hrabia de la Vaubeysard i baron de la Presnay, poległ w bitwie pod Coutras 20 października 1587." A pod drugim: "Jan Antoni Henryk Guy d'Andervilliers de la Vaubeysard, admirał Francji i kawaler Orderu Św. Michała, ranny w bitwie pod La Houge-Saint-Vaast 29 maja 1692, zmarł w Vaubeysard 23 stycznia 1693." Dalsze napisy były już ledwo widoczne, gdyż blask lamp, skierowany na zielone sukno bilardu, pozostawiał w mroku resztę komnaty. Na płótnach wiszących pionowo w półcieniu światło łamało się ostrą siatką drobnych linii w potrzaskanym werniksie obrazów i ze wszystkich "tych czarnych prostokątów w złotych obramowaniach występowały tu i ówdzie jakieś jaśniejsze partie malowidła: blade czoło, dwoje oczu spoglądających uważnie, wypudrowane peruki spływające na ramiona, czerwone fraki, klamra podwiązki nad okrągłą łydką.

Markiz otworzył drzwi do salonu. Jedna z pań (była to sama markiza) wstała, podeszła do Emmy i wskazując jej miejsce koło siebie na kanapce, zaczęła gawędzić z nią przyjaźnie, jakby ją znała od dawna. Była to kobieta lat około czterdziestu, o pięknych ramionach, orlim nosie i przeciągłej wymowie; narzuciła tego dnia na kasztanowate włosy zwyczajną gipiurówką chusteczkę, która spadała z tyłu trójkątem. Tuż przy niej na krześle o wysokim oparciu siedziała młoda, jasnowłosa panienska, a do koła kominka kilku panów we frakach z kwiatkami w butonierkach bawiło rozmową damy.

O siódmej podano obiad. Mężczyźni, bardziej liczni, zasiedli przy pierwszym stole, a panie z markizą i markizem przy drugim, w sali jadalnej, Emmę, gdy weszła, ogarnęło ciepłe powietrze przesycone wonią perfum, kwiatów, cienkiej bielizny stołowej, nęcącym zapachem mięsa i trufli. Świece, jarzące się w kandelabrach, rzucały długie, migotliwe blaski na srebrne klosze. W rżniętych kryształach, pokrytych matowym oparem, mieniły się blade promyki. Wzdłuż całego stołu ustawiony był rząd bukietów, a na talerzach o szerokiej obwódce, w fałdy serwet zwiniętych na kształt biskupiej infuły włożone były małe podłużne bułeczki. Czerwone łapy homarów wystawały z półmisków; w ażurowych koszykach, wśród mchu, piętrzyły się olbrzymie owoce; kuropatwy podane były z piórami; zewsząd wznosiły się lekkie opary. Mistrz ceremonii, w krótkich spodniach, w jedwabnych pończochach i białym żabocie, uroczysty jak sędzia, wsuwał między ramiona gości półmiski z pokrajanymi potrawami i jednym zręcznym ruchem łyżki podawał wybrany kawałek. Na wielkim

porcelanowym piecu z mosiężnym obramowaniem posąg kobiety, udrapowanej aż po szyję, patrzył nieruchomo na salę pełną gości.

Pani Bovary zauważyła, że kilka pań nie włożyło rękawiczek do swych kieliszków.

Na pierwszym miejscu, sam wśród tych wszystkich kobiet, z serwetą zawiązaną pod brodą jak u dziecka, siedział nad pełnym talerzem jakiś zgarbiony starzec, a krople sosu kapały mu z ust. Powieki miał zaczerwienione i wyżarte, a z tyłu sterczał mu krótki kosmyk włosów związanych czarną wstążką. Był to teść markiza, stary książę de la Lavardiere, dawny faworyt hrabiego d'Artois z czasów polowań w Vaudreuil, u markiza de Conflans. Powiadano, że był kochankiem królowej Marii Antoniny, między panem de Coigny a panem de Lauzun. Ku przerażeniu rodziny roztrwonił cały majątek i prowadził życie głośne z rozpusty, pełne pojedynków, zakładów i porywanych kobiet. Lokaj, stojący za jego krzesłem, pochylając się do ucha, wymieniał mu głośno potrawy, które książę, bełkocąc coś, wskazywał palcem. Oczy Emmy wracały wciąż mimo woli do tego starca o obwisłych wargach, jak do czegoś niezwykłego i dostojnego. Bywał na dworze, sypiał w łóżach królowych!

Podano szampana z lodem. Dreszcz przebiegł po całej jej skórze, kiedy poczuła ten chłód w ustach. Nie widziała nigdy granatów, nie jadła ananasów i nawet miarki cukier wydawał się jej bielszy i drobniej utłuczony niż gdzie indziej.

Po obiedzie panie udały się do swych pokoi, by przebrać się w balowe toalety.

Emma przygotowywała się do występu z drobiazgową sumiennością debiutującej aktorki. Ułożyła włosy według wskazówek fryzjera i wśliznęła się w baretową suknię rozłożoną na łóżku. Spodnie Karola ścisnęły mu brzuch.

- Strzemionka będą mi przeszkadzać w tańcu - powiedział.

- W tańcu? - powtórzyła Emma.

- Tak.

- Oszalałeś! Naraziłbyś się na pośmiewisko, siedź spokojnie na swoim miejscu. Zresztą - dodała - to właściwsze dla lekarza.

Karol umilkł. Przechadzał się wzdłuż i wszerz po pokoju, czekając, aż Emma będzie gotowa. Widział z tyłu jej odbicie w lustrze, między dwiema płonącymi świecami. Czarne jej oczy wydawały się jeszcze czarniejsze, pasma włosów, łagodnie uwypuklając się na uszach, lśniły błękitnym połyskiem; wpięta z tyłu róża, ze sztucznymi kroplami rosy na listkach, drżała na ruchomej łodydze. Bładoszafranową suknię zdobiły trzy bukietki drobnych różyczek, otoczonych zielenią.

Karol chciał pocałować ją w ramię.

- Dajże spokój! - powiedziała - pognieciesz mi suknię.

Rozległ się dźwięk trąbki i przygrywka skrzypiec. Emma, schodząc ze schodów, powstrzymywała się, żeby nie biec.

Kadryl już się zaczął. Przybywało wciąż gości. Tłoczono się. Siadła tuż przy drzwiach na malej ławeczce.

Gdy skończono kontredansa, krzątać się zaczęli lokaje w liberiach; kilku panów gawędziło stojąc. Wzdłuż rzędu kobiet trzepotały malowane wachlarze, bukiety na wpół zasłaniały uśmiechające się usta, flakoniki o złotych koreczkach migotały w rozchylonych dłoniach, opiętych białymi rękawiczkami, które ścisnęły rękę w przegubie i podkreślały wyraźnie kształt paznokci. Koronki, diamentowe brosze, bransolety z medalionami drżały na gorsach, mieniły się na piersiach, szeleściły na obnażonych ramionach. We włosy, gładko zaczesane nad czołem i związane na karku w duży węzeł, wplecione były lub wpięte pęki niezapominajek, jaśminu, kwiaty



granatu, bławatki lub kłosa zboża. Znużone matki o nadętych twarzach siedziały z niewzruszonym spokojem, w czerwonych turbanach.

Serce Emmy zabiło żywiej, gdy podawszy tancerzowi koniuszki palców stanęła z nim w szeregu, oczekując na uderzenie smyczka. Ale wzruszenie znikło szybko i kołysząc się w takt orkiestry, sunęła lekko naprzód, pochylając szyję. Gdy milkły inne instrumenty i słychać było tylko słodkie solo skrzypiec, uśmiech wypływał na jej wargi. Dochodził wówczas od stolików czysty dźwięk padających na sukno złotych monet. Potem rozległo się donośne wezwanie trąbki i brzmiały znów razem wszystkie instrumenty. Nogi wpadały w takt, spódnice wzdymały się i szeleściły, dłonie łączyły się, rozłączały; tańczący to spuszczały oczy, to znów wpatrywali się w siebie.

Kilku panów (piętnastu mniej więcej) w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, rozproszonych wśród tancerzy lub gawędzących w drzwiach, wyróżniało się w tłumie jakimś nieuchwytnym podobieństwem, niezależnym od różnic wieku, stroju i postawy.

Fraki ich, lepiej skrojone, zdawały się uszyte z cieńszego sukna; włosy, zaczesane puklami ku skroniom, lśniły wykwinniejszą pomadą. Delikatna ich cera była wykwittem bogactwa; blada, podkreślona jeszcze przez biel porcelany, przez mieniące się atłasy i połysk pięknych, politurowanych mebli, zawdzięczała zdrowy wygląd doborowi starannie przemyślanych potraw. Szyje ich poruszały się swobodnie nad węzłami niskich krawatów. Długie bokobrody spadały na wykładane kołnierzyki. Wycierali usta w pachnące, haftowane chusteczki, znaczone dużymi monogramami. Ci, którzy zaczynali się starzeć, wyglądali jeszcze młodo, a w wyrazie twarzy młodych widać już było coś dojrzałego. W ich obojętnych spojrzeniach malował się dosyt zaspokajanych co dzień namiętności, a poprzez delikatne obejście przeświecała brutalność, cechująca ludzi przyzwyczajonych do zdobywania rzeczy pozornie trudnych, które wyrabiają siłę fizyczną i łechcą próżność, jak ujeżdżanie rasowych koni i towarzystwo upadłych kobiet.

O trzy kroki od Emmy jakiś pan w błękitnym fraku bawił rozmową o Włoszech młodą, bladą kobietę w diademie z pereł. Mówili z podziwem o grubości filarów w kościele Św. Piotra, o Tivoli, Wezuwiuszu, Castellamare, o różach w Genui, o Colosseum w noc księżycową. Drugim uchem Emma łowiła rozmowę pełną niezrozumiałych dla niej wyrazów. Kilka osób otaczających jakiegoś bardzo młodego człowieka wieszowało mu zwyczajstwa odniesionego w ubiegłym tygodniu nad Miss Arabellą i Romulusem i wygrania 2000 ludwików za przeskoczenie jakiegoś rowu w Anglii. Ktoś skarżył się, że wyścigowce jego porastają tłuszczem, ktoś inny, Pani Bovary że zniekształcono nazwę jego koni błędem drukarskim.

Było duszno. Lampy bladły, goście zaczęli przechodzić do sali bilardowej. Lokaj wszedł na krzesło i wybił dwie szyby. Na dźwięk tłuczonego szkła pani Bovary odwróciła głowę i spostrzegła w ogrodzie przylepione do szyb twarze przypatrujących się chłopów. Przypomniała sobie wówczas Bertaux. Stanęła jej przed oczyma ferma, bagnista sadzawka, ojciec w bluzie pod jabłonią; ujrzała też samą siebie, jak w mleczarni zbierała palcem śmietankę z glinianych garnków. Ale w blaskach obecnej chwili całe przeszłe jej życie, które dotąd było tak wyraźne, zacierało się, nikło. Trudno jej było uwierzyć, że je naprawdę przeżyła. Była tu na balu, a poza balem był tylko mrok rozciągający się na wszystko. Jadła maraskinowe lody; w lewym ręku trzymała pozłocaną muszelkę i przymykała oczy, z łyżeczką w ustach.

Siedząca obok niej dama upuściła wachlarz. Przechodził właśnie jakiś tancerz.

- Czy nie zechciałby pan podnieść wachlarza, który spadł za kanapę?

Pan ów pochylił się i w chwili kiedy wyciągał ramię, Emma spostrzegła, że rączka młodej damy wrzuca mu do kapelusza coś białego złożonego w trójkącik. Pan

podał wachlarz damie z ukłonem pełnym szacunku. Podziękowała mu skinieniem głowy i zanurzyła twarz w pachnący bukiet.

Po kolacji, do której podano dużo hiszpańskiego i reńskiego wina, zupę rakową i zupę z migdałów, puddingi a la Trafalgar i najrozmaitsze gatunki zimnych mięs, otoczonych drżącą na półmiskach galaretką, powozy jedne po drugich zaczęły się rozjeżdżać. Odchylając rąbek firanki, można było dostrzec światła sunących w mroku latarń. Ławeczki pustoszały. Pozostało jeszcze kilku graczy. Muzykanci chłodzili językiem końce palców. Karol drzemał wsparty plecami o jakieś drzwi.

O trzeciej nad ranem rozpoczął się kotylicjon. Emma nie umiała tańczyć walca. A tańczyli wszyscy, nawet panna d'Andervilliers i markiza. Pozostali już zresztą tylko gospodarze zamku, coś około dwunastu osób. Jeden z panów, którego poufale zwano wicehrabią, w głęboko wyciętej kamizelce, jakby ulanej na jego piersi, przyszedł po raz drugi zaprosić panią Bovary do walca, zapewniając, iż potrafi ją poprowadzić tak, że świetnie da sobie radę. Zaczęli powoli, później wirowali coraz szybciej i wszystko wirowało wraz z nimi: lampy, meble, obicia, posadzka, jak koło na rozpędzonej osi. Kiedy przesuwali się w pobliżu drzwi, suknia Emmy zaczepiała się w dole o jego spodnie; nogi ich były splątane.

Spuszczał oczy ku niej, a ona podnosiła swoje ku niemu; ogarniać ją zaczęło jakieś odrętwienie. Zatrzymali się i znów zawirowali. Ruchem coraz szybszym wicehrabia pociągał ją za sobą. Znikli na końcu galerii. Bez tchu, tracąc równowagę, Emma przez chwilę wsparła głowę na jego piersi. Wirując wciąż, ale już spokojnie, odprowadził ją na miejsce. Przechyliła się, oparła o ścianę i ręką zastoniła oczy.

A gdy je znów otwarła, na środku sali, na małym taboreciku siedziała jakaś pani, a przed nią klęczało trzech tancerzy. Wybrała wicehrabiego. Skrzypce znów zaczęły grać. Wszyscy patrzyli na nich. Oddalali się i powracali; ona sztywna, ze spuszczoną głową, on zawsze w tej samej pozycji, wygięty w pasie, z zaokrąglonym ramieniem, z wysuniętą naprzód twarzą. Ta, to umiała tańczyć! Wirowali tak długo, aż znużyło to wszystkich.

Gawędzono jeszcze przez chwilę, a potem, mówiąc sobie „dobranoc”, a raczej „dzień dobry”, mieszkańcy pałacu udali się na spoczynek.

Karol trzymając się poręczy włókł się z trudem. Nogi uginały się pod nim. Spędził pięć godzin z rzędu stojąc przy stolikach i przyglądając się grze w wista, z której nic nie rozumiał. Toteż z głębokim westchnieniem ulgi ściągnął buty.

Emma narzuciła szal, otworzyła okno i oparła się na łokciu.

Noc była ciemna. Kropił deszcz. Wilgotny powiew chłodził jej rozpalone powieki. Dźwięki muzyki dzwoniły jeszcze w jej uszach. Starła się odegnać sen, żeby przedłużyć złudzenie tego wielkopańskiego życia, które jednak niebawem trzeba będzie porzucić.

Świtało. Wpatrywała się długo w okna pałacu, starając się odgadnąć, jak wyglądały pokoje tych wszystkich, których zauważyła wczoraj. Chciała poznać ich istnienia, wnikać, wtopić się w nie.

Ale dygotała z zimna. Rozebrała się więc i wsunęła pod kołdrę, przytulając się do śpiącego Karola.

Na śniadaniu było dużo osób. Trwało zaledwie dziesięć minut; nie podano żadnych trunków, co bardzo zdziwiło lekarza. Panna d'Andervilliers zebrała okruchy bułeczek do koszyczka, by je zanieść łabędziom na stawie, a potem wszyscy poszli przejść się do cieplarni, gdzie dziwaczne, włochate rośliny piętrzyły się w wiszących wazonach, skąd - niby z przepelnionych gniazd węży - opadały w płątaninie długich, zielonych łodyg. Z oranżerii, znajdującej się na końcu, wiodła oszklona galeria do

zabudowań dworskich. Markiz, chcąc zabawić młodą kobietę, zaprowadził ją do stajni. Nad drabkami w kształcie koszyka przybito porcelanowe tabliczki, na których wypisane były czarnymi zgłoskami imiona koni. Kiedy cmokając przechodzili wzdłuż przegród, konie poruszały się niespokojnie. Podłoga w wozowni lśniła jak posadzka salonu. Na dwóch ruchomych słupach ułożona była uprzęż, a wędzidła, baty, strzemiona i uzdy wisiały rzędem wzdłuż ścian. Karol wszakże zwracając się do jednego ze stajennych poprosił, aby zaprzężono jego brek. Gdy powozik zajechał przed ganek i gdy zapakowana wszystkie pudła, państwo Bovary pożegnali się z markizą i markizem i odjechali do Tostes.

Emma w milczeniu patrzyła na obracające się koła. Karol, siedząc na brzegu ławeczki, powoził z rozstawionymi rękoma, a konik biegł drobnym truchtem między zbyt szeroko rozsuniętymi dyszlami. Luźne lejce klepały go po zadzie nurzając się w pianie. Przymocowane z tyłu pudło stukotało o powozik.

Byli na wzgórku Thibourville, gdy nagle, tuż przed nimi, przegalopowało kilku roześmianych jeźdźców; z cygarami w ustach. Emmie zdawało się, że rozpoznaje wicehrabiego; odwróciła się, ale dojrzała na horyzoncie już tylko głowy jeźdźców opuszczające się lub wznoszące, w miarę nierównego tempa kłusa lub galopu.

O ćwierć mili dalej trzeba było stanąć, żeby związać sznurkiem zerwany naszelnik.

Rzucając ostatnie spojrzenie na uprzęż Karol zauważył, że koło nóg konia leży coś na ziemi. Była to cygarnica, wyhaftowana zielonym jedwabiem z herbem pośrodku, jak na drzwiczkach karety.

- O, są nawet dwa cygara - powiedział - będą na wieczór, po obiedzie.

- To ty palisz? - spytała.

- Czasem, jak się nadarzy okazja. Włożył zdobycz do kieszeni i zaciął konia. Kiedy przyjechali, obiad nie był jeszcze gotów. Pani uniosła się. Nastazja odpowiedziała zuchwale.

- Wynoś się! - krzyknęła Emma. - Cóż to, kpisz ze mnie? Precz z mego domu.

Na obiad była zupa cebulowa i kawał cielęciny ze szczawiem. Karol, siadając naprzeciw Emmy, powiedział zacierając ręce z uszczęśliwioną miną:

- Jak to miło znaleźć się znów w domu. Z kuchni dochodził płacz Nastazji. Lubił dość tę biedną dziewczynę. Nieraz w samotne wieczory, gdy był wdowcem, dotrzymywała mu towarzystwa. Była jego pierwszą pacjentką i najdawniejszą znajomą w całej okolicy.

- Czy odprawiłaś ją na dobre? - spytał wreszcie.

- Tak, któż mi zabroni?

Potem gdy Nastazja słała im łóżka, poszli do kuchni ogrzać się trochę, Karol zabrał się do palenia. Palił, wysuwając wargi, spluwając co chwila i za każdym zaciągnięciem się odchylał głowę.

- Zaszkożysz sobie - rzekła pogardliwie. Położył cygaro i wybiegł pod pompę wypić szklankę zimnej wody. Emma chwyciła cygarnicę i rzuciła ją szybko na dno szafy.

Nazajutrz dzień dłużył się jej. Spacerowała po ogródku, tam i na powrót, wciąż po tych samych alejkach. Przystawała przed szpalerem drzew owocowych, przed rabatkami, przed gipsową figurą księdza i ze zdumieniem przyglądała się tym wszystkim tak dobrze znanym rzeczom. Jakże ten bal wydawał się już daleki! Któż to rozciągnął tę wielką przestrzeń między onegdajszym rankiem i dzisiejszym wieczorem? Wyprawa do Vaubeysard zrobiła wyrwę w jej życiu, podobnie jak burza, która czasem w jedną noc potrafi wyżłobić w górach niezgłębione szczeliny. Nie buntowała się jednak. Schowała z pietyzmem w komodzie piękną suknię i nawet

atłasowe pantofelki o podeszwie poźółkłej od wosku posadzki. Serce jej, jak one, otarłszy się o bogactwo, powlekło się czymś, co nie miało się już nigdy zetrzeć.

Wspomnienie balu stało się ulubionym tematem jej rozmyślań. Co śróde budząc się mówiła: "Ach! tydzień temu... dwa tygodnie... trzy tygodnie temu byłam tam!" Z czasem rysy widzianych twarzy zatarły się w jej pamięci, zapomniała melodii kontredansa, nie widziała już tak wyraźnie salonów i liberii; szczegóły znikły, ale żal pozostał.

Często, gdy Karol wychodził, wyjmowała z szafy zieloną, jedwabną cygarnicę schowaną między bielizną.

Patrzyła na nią, otwierała i nawet wdychała zapach podszewki nasiąkłej werweną i tytoniem. Do kogo mogła należeć?... Do wicehrabiego. Może był to upominek od kochanki? Wyhaftowano tę cygarnicę na palisandrowych krosienkach, malutkim sprzęcie, ukrywanym przed oczyma wszystkich. Przez długie godziny pochylały się nad robotą miękkie pukle zamyślonej pracownicy. Tchnienie miłości przewiało przez oczka kanwy. Każdy ścieg utrwalił tam jakąś nadzieję lub jakieś wspomnienie i wszystkie te skrzyżowane nitki jedwabiu były jednym nieprzerwanym pasmem cichej namiętności. A potem któregoś ranka wicehrabia zabrał cygarnicę ze sobą. O czymże rozmawiano, gdy spoczywała na rozłożystych kominkach, między wazami kwiatów i zegarami a la Pompadour? Ona, Emma, była w Tostes, a on... on był teraz tam... w Paryżu! Jaki był ten Paryż? Cóż za nazwa niezmierna! Powtarzała ją sobie półgłosem dla przyjemności. Dźwięczała jej w uszach jak wielki dzwon katedry, jaśniała przed oczyma nawet na etykietach stoików z kremami.

W nocy, kiedy handlarze ryb przejeżdżali na wozach pod jej oknami śpiewając Marjolaine, budziła się i słuchając, jak turkot okutych żelazem kół cichnie nagle, gdy zjeżdżali z bitego gościńca: "Jutro tam będą!" - mówiła sobie.

I myśl jej biegła za nimi, wspinała się na wzgórza i zjeżdżała z nich, mijała wsie, mknęła bitym gościńcem pod roziskrzonym gwiazdami niebem. W pewnej nieokreślonej odległości znajdował się zawsze ów niejasny punkt, gdzie gaśło jej marzenie.

Kupiła sobie plan Paryża i wodząc końcem palca po mapie wędrowała po stolicy. Spacerowała po bulwarach zatrzymując się na każdym rogu, pomiędzy kreskami ulic, przed białymi kwadracikami znaczącymi domy. Wreszcie przymykała znużone powieki i w mroku chwiały się przed jej oczyma targane wiatrem płomienie lamp gazowych i opadały z łoskotem stopnie karet -przed portykami teatrów.

Zaabonowała dwa pisma kobiece "Koszyce" i "Sylf Salonów" i pochłaniała, nie opuszczając ani linijki, wszystkie sprawozdania z premier teatralnych, z wyścigów, z balów. Interesowała się debiutem jakiejś śpiewaczki, otwarciem nowego magazynu. Znała nowe mody, adresy dobrych krawców, dni spacerów w Lasku Bulońskim i przedstawień w operze. Studiowała w powieściach Eugeniusza Sue opisy wnętrz. Czytała Balzaka i George Sand, szukając w nich złudnego zaspokojenia własnych pragnień. Nawet przy stole nie rozstawiała się z książką. Karol jadł, mówił coś do niej - ona przewracała stronicę. A przy lekturze wracało wciąż wspomnienie wicehrabiego. Szukała podobieństwa między nim a urojonymi bohaterami romansów. Z czasem krąg, którego był ośrodkiem, zaczął się rozszerzać i promienna aureola, oddalając się od jego twarzy, oświetliła inne marzenia.

Paryż, rozleglejszy od oceanu, lśnił przed jej oczyma skąpany w złocistym blasku. Życie, rojące się w tym mrowisku, dzieliło się jednak na odrębne części, zamykało w określonych obrazach. Emma dostrzegała jedynie dwa czy trzy, które przesłaniały jej pozostałe i które uważała za pełny wyraz całej ludzkości. Świat

ambasadorów kroczył po lśniących posadzkach zwierciadlanych salonów, wokół owalnych stołów, przykrytych aksamitną serwetą ze złotymi frędzlami. Były tam suknie z trenami, wielkie tajemnice i niepokoje ukryte pod maską uśmiechów. Potem przychodził świat bladych księżniczek: wstawano tam o czwartej; kobiety, biedne anioły, nosiły halki przybrane szwajcarskim haftem, a mężczyźni, zapoznani geniusze o pozorach lekkoduchów, zajeżdżali konie dla rozrywki, spędzali sezon letni w Baden, a wreszcie, po czterdziestce, żenili się z posażnymi pannami. W gabinetach restauracyjnych, gdzie ucztuje się po północy, śmiał się w blasku świec różnobarwny tłum literatów i aktorek. Byli oni rozrzutni jak królowie, pełni szlachetnych ambicji i oszałamiających upojeń. Życie ich nie miało sobie równego, zawieszane wśród burz pomiędzy niebem a ziemią, ach! jakże było wzniosłe! Reszta świata nie miała określonego miejsca, była zagubiona, nie istniała. Zresztą im bliżej coś jej dotyczyło, tym bardziej się od tego odsuwała. Zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza: nudna wieś, bezmyślni jej mieszkańcy, całe to przeciętne życie, jest wyjątkiem, jakimś szczególnym przypadkiem, w który wplątała się nie wiedzieć czemu, podczas gdy wokół niej, jak okiem sięgnąć, rozciąga się kraina szałów i upojeń. W pragnieniach swych nie odróżniała zmysłowego zadowolenia, które było wynikiem zbytku, od czystej radości serca ani wytwornych obyczajów od delikatności uczuć. Bo czyż miłość, jak egzotyczna roślina, nie wymaga właściwie przygotowanego gruntu i odpowiedniej temperatury? Westchnienia przy blasku księżyca, długie uściski, łzy, które spływają na rozłączające się dłonie, gorączkowe życie zmysłów, czułe tęsknoty były nieodłączne od balkonów wielkich zamków, gdzie wiedzie się życie beztroskie, od buduaru o jedwabnych zastłonach, wysłanego puszystym kobiercem, z koszami pełnymi kwiatów, z łóżkiem na wzniesieniu, nieodłączne od połysku drogich kamieni i galonów liberii.

Chłopak z poczty, który co rano oporządzał klacz, przechodził przez korytarz, stukając grubymi sabotami. Miał dziurawą bluzę i nie nosił skarpetek. To był ten groom w krótkich spodniach, którym trzeba się było zadowolić! Kiedy zrobił, co do niego należało, nie przychodził już więcej w ciągu dnia. Karol, wróciwszy do domu, sam wprowadzał konia do stajni, zdejmował siodło, zakładał kantar, a służąca zarzucała niedbale wiązkę siana za drabinę.

Na miejsce Nastazji (która wyjechała wreszcie z Tostes wylewając potoki łez) Emma wzięła młodą, czternastoletnią dziewczynę, sierotę o słodkiej twarzyczce. Zabroniła jej nosić bawełniane czepki, wytłumaczyła, że trzeba zwracać się do pani w trzeciej osobie, podawać szklankę wody na spodku i pukać do drzwi; nauczyła ją prasować, krochmalić, pomagać przy ubieraniu, słowem, chciała mieć z niej pokojówkę. Nowa służąca, żeby nie być odprawioną, przyjmowała wszystkie uwagi bez szemrania, a że pani miała zwyczaj klucz od bufetu zostawiać w zamku, Felicja brała sobie co wieczór porcyjkę cukru, którą po odmówieniu pacierza, zjadała wieczorem w łóżku.

Po południu wybiegała czasem naprzeciwko, żeby pogawędzić z pocztylionami, a pani tymczasem siedziała w swoim pokoju na górze. Miała głęboko wycięty szlafrok, spod którego, między wyłogami szalowego kołnierza, dojrzeć było można plisowaną kamizeleczkę ze złotymi guzikami; zamiast paska gruby, kręcony sznur zakończony dużymi chwastami w kształcie żółędzi i małe pasowe pantofelki przybrane na podbiciu szerokimi, płaskimi kokardami. Kupiła sobie bibułę na biurko, obsadkę, papier listowy i koperty, choć nie miała do kogo pisać. Wycierała kurz na półeczce, przeglądała się w lustrze, brała jakąś książkę i rozmarzona, opuszczała ją po chwili na kolana. Pragnęła podróżować albo wrócić do swego klasztoru. Chciała jednocześnie umrzeć i mieszkać w Paryżu.

Karol w deszcz i śnieg człapał na przełaj polnymi drogami do swych chorych. Jadał jajecznicę po fermach, na chłopskich stołach, wsuwał rękę w wilgotne łóżka, puszczając krew twarz miewał zabryzganą ciepłymi jej strugami, słuchał rżężeń, badał zawartość kubłów i zadzierał niemało brudnej bielizny. Ale gdy wracał, czekał go co wieczór ogień płonący na kominku, nakryty stół, miękkie meble i ta kobieta w wykwinnym stroju, urocza i pachnąca tak świeżo, że nie wiadomo było, skąd się brał ten zapach i czy to nie jej skóra nasącza wonią bieliznę.

Czarowała go tysiącami drobiazgów: raz były to profitki do lichtarzy, zręcznie zrobione z papieru, to znów falbana u sukni lub jakaś nadzwyczajna nazwa, nadana bardzo pospolitej i nieudanej potrawie, którą Karol zjadał z przyjemnością, nie zostawiając ani odrobiny. Zobaczyła raz w Rouen, że panie noszą breloczki przy zegarkach; kupiła breloczki. Zachciało się jej potem mieć na kominku dwie duże wazy z błękitnego szkła i nesoser z kości słoniowej ze złoczym naparstkiem. Im mniej Karol rozumiał te zbytki, tym większy miały dlań urok. Wzbogacały jego zmysłowe doznania i dodawały słodczy domowemu ognisku. Niby złoty pył rozsypane były wzdłuż ścieżki jego życia.

Czuł się dobrze, dobrze wyglądał i cieszył się jak najlepszą opinią. Wieśniacy przepadali za nim, bo się nie wynosił ponad nich. Głaskał dzieci, nie zaglądał nigdy do karczmy i w ogóle wzbudzał zaufanie swymi obyczajami. Najszczęśliwiej leczył uporczywe katary i choroby płuc. Obawiając się bardzo, żeby nie uśmiercić swych chorych, Karol w istocie przepisywał tylko środki uspokajające, czasem jakiś emetyk, moczenie nóg w gorącej wodzie lub pijawki. Nie dlatego jednak, żeby chirurgia miała go przerażać - bynajmniej - puszczał ludziom krew obficie jak koniom, a jeśli chodzi o wrywanie zębów, to miał "diabelny uchwyt".

Wreszcie, żeby "iść z postępem", zaabonował "Ul Lekarski", nowe pismo, którego prospekt mu przesłano. Próbował czytać po trochu, po obiedzie. Ale ciepło mieszkania, połączone z procesem trawienia, już po kilku minutach morzyło go snem. Drzemał więc z brodą wspartą na obu rękach i włosami, jak końska grzywa, rozrzuconymi aż pod lampę. Emma, patrząc na niego, wzruszyła ramionami. Ach! Czemu jej mąż nie był przynajmniej jednym z tych wytrwałych uczonych, cichych i pełnych zapału, którzy całe noce spędzają nad książkami i wreszcie, koło sześćdziesiątki, gdy przychodzi wiek reumatyzmu, noszą rozetkę na czarnym, źle skrojonym fraku. Pragnęła, aby nazwisko Bovary, które było jej nazwiskiem, stało się sławne, by zjawiało się w witrynach księgarń, by powtarzały je wszystkie pisma i znała cała Francja. Ale Karol nie miał ambicji! Pewien lekarz z Yvetot, z którym ostatnio byli razem na konsylium, upokorzył go nieco przy łożu chorego, wobec zgromadzonej rodziny. Kiedy wieczorem opowiedział jej to zajście, Emma uniosła się gwałtownie przeciw jego koledze. Karol rozczulił się i ze łzą w oku pocałował ją w czoło. Ale ona dławiła się ze wstydu, miała ochotę go zabić, wybiegła na korytarz, otworzyła okno i wdychając chciwie świeże powietrze, żeby się uspokoić, powtarzała cicho, zagryzając wargi: - Co za niedołęga! Co za niedołęga!

Zresztą drażnił ją coraz bardziej. Z wiekiem nabierał prostackich nawyków; przy leguminie krajał korki od wypróżnianych butelek, po jedzeniu przesuwiał językiem po zębach, przy zupie za każdym łykiem "wydawał donośny odgłos podobny do gdakania kury, a że zaczął tyć, oczy jego, które zawsze były małe, teraz, pod naporem tłustych policzków, zdawały się uciekać ku skroniom.

Emma wsuwała mu niekiedy pod kamizelkę czerwony brzeżek wystających trykotów, poprawiała krawat albo rzucała w kął zniszczone rękawiczki, które zamierzał włożyć. Ale nie było to - jak sądził - przez miłość dla niego; robiła to dla siebie samej, w rozdrażnieniu, przez egoizm. Czasem mówiła mu o tym, co

wyczytała w powieści czy sztuce, albo opowiadała jakąś anegdotkę z "wielkiego świata", o której donosiły felietony. Bo jednak Karol był ostatecznie kimś, uchem zawsze otwartym, zawsze gotową aprobatą. Zwierzała się przecież nieraz swojej charcicze. Zwierzałyby się i główniom w kominku i wahadłu ściennego zegara.

W głębi duszy wyczekiwała jednak jakiegoś zdarzenia. Jak marynarze w niebezpieczeństwie, rzucała zrozpaczone spojrzenie na swe samotne życie, wypatrując zjawienia się białego żagla na mglistym widnokręgu. Nie wiedziała, co by to mógł być za przypadek, jaki wiatr go przywieje i ku jakim wybrzeżom ją zanieśie, czy będzie to mała łódeczka, czy okręt o trzech pokładach naładowany niepokojem czy wypełniony szczęśliwością aż po brzegi. Ale co rana, gdy się budziła, miała nadzieję, że nastąpi to właśnie tego dnia. Nasłuchiwała wszystkich odgłosów, zrywała się niespokojnie i dziwiła, że oczekiwane zdarzenie nie nadchodzi. Wreszcie, coraz smutniejsza, o zachodzie słońca wyczekiwała już dnia jutrzejszego.

Wróciła wiosna. W pierwsze ciepłe dni, gdy zakwitły grusze, miewała ataki duszności.

Od początku lipca liczyła na palcach, ile jeszcze tygodni pozostaje do października. Myślała, że markiz d'Andervilliers wyda może znów bal w Vaubeyssard. Ale cały wrzesień upłynął bez żadnego listu i żadnej wizyty.

Gdy minął smutek po tym. zawodzie, pustka znowu opanowała jej serce; znów rozpoczął się szereg jednakowych dni.

Miały więc tak już zawsze następować jedne po drugich, wciąż takie same, nieprzeliczone i nic nie przynoszące. Życie innych ludzi, choć płaskie, bywało urozmaicone czasem jakimś zdarzeniem. A jedna przygoda pociąga za sobą nieraz całą nieskończoność innych, aż zmienia się wreszcie otoczenie. Ale w jej życiu nic się nie wydarzyło. Widać Bóg tak chciał! Przyszłość była jak czarny korytarz, z głucho zamkniętymi drzwiami na końcu.

Porzuciła muzykę. Po cóż grać? Któż ją posłyszyci? A skoro nigdy nie będzie mogła w aksamitnej sukni z krótkimi rękawami koncertować na fortepianie Erarda, przebiegając palcami po klawiszach z kości słoniowej, czuć, jak opływa ją zewsząd powiew zachwyconych szeptów, nie warto tracić czasu na ćwiczenia. Nie wyjmowała już z szafy rysunków i haftowanych robótek. Bo i po co to wszystko? Na co? Szycie ją niecierpliwiło.

"Wszystko już przeczytałam" - mówiła sobie.

I siedziała całymi dniami przy kominku, rozgrzewając do czerwoności szczypce, lub patrzyła, jak deszcz pada.

A jakże smutno było jej w niedzielę, kiedy dzwoniło na nieszpory! Z uwagą, w jakimś osłupieniu, słuchała jednego po drugim uderzeń pękniętego dzwonu. Jakiś kot łąził leniwie po dachu, wyginając grzbiet w bladych promieniach jesiennego słońca". Wiatr na gościńcu unosił tumany kurzu, niekiedy pies zawył z daleka, a miarowe bicie dzwonu rozlegało się monotennie, gubiąc się po odległych polach.

Wreszcie ludzie zaczęli wychodzić z kościoła; kobiety w starannie oczyszczonych sabotach, chłopcy w nowych bluzach, a przed nimi gromadka podskakujących dzieciaków z gołymi głowami. Wszyscy wracali do domu. Tylko pięciu czy sześciu mężczyzn, zawsze tych samych, zatrzymywało się, by grać w korki przed drzwiami oberży aż do późnego wieczora.

Zima była surowa. Co rano szyby pokryte były szronem; mleczne światło, przesączaając się przez nie jak przez matowe szkło, nie zmieniało się czasem przez cały dzień. Już o czwartej trzeba było zapalać lampę.

W pogodne dni wychodziła do ogrodu. Krople zamrożonej rosy perliły się na główkach kapusty, jak srebrna koronka, i lśniły na cienkich, jasnych niteczkach,

rozciągających się od jednej główki do drugiej. Ptaki milczały. Wszystko zdawało się pogrążone w głębokim śnie: słomą pokryty szpaler i podobny do chorego węża skręcony pień pnącego się po murze wina. Z bliska widać tam było wypełzające spod kamieni stonogi. Księdzu, czytającemu brewiarz między jodełkami przy żywopłocie, odpadła prawa stopa, a gips, łuszczący się na mrozie, powlekł mu twarz białymi liszajami.

Potem wracała, zamykała drzwi i rozgarniała węgle na kominku; omdlewając z gorącą, odczuwała coraz dotkliwiej ciężar wzrastającej nudy. Zesłaby chętnie na dół pogawędzić ze służącą, ale jakiś wstyd ją wstrzymywał.

Codziennie o tej samej godzinie nauczyciel w czarnej jedwabnej szlafmicy otwierał okiennice swego domku, a strażnik polowy przechodził mimo, z szablą na roboczej bluzie. Rano i wieczór pędzono trójkami przez ulicę konie pocztowe, by je napić w sadzawce. Czasem zadzwieczał dzwonek przy drzwiach do szynku. A kiedy był wiatr, skrzypiały umocowane na dwóch prętach małe, miedziane miseczki cyrulika, które służyły za szyld jego budce. Zdołała ją stara rycina z żurnalu mód przyklejona do szyby i woskowe popiersie kobiety o żółtych włosach. Cyrulik także użalał się nad swym zmarnowanym losem, nad przyszłością bez widoków i marzył o jakimś zakładzie w wielkim mieście, na przykład Rouen, przy porcie, koło teatru. Ponury, przechadzał się całymi dniami wzdłuż głównej ulicy miasteczka od merostwa do kościoła, wyczekując na klientów. Ilekroć pani Bovary podnosiła oczy, widziała go zawsze przed sobą, jak stał we frygijskiej czapce na bakier, w lekkiej wełnianej kurtce, niby żołnierz na warcie.

Często po południu ukazywała się za oknem jadalni głowa mężczyzny, głowa o śniadej cerze i czarnych bokobrodach; w szerokim, spokojnym uśmiechu rozchyłały się wargi ukazując białe zęby i równocześnie rozlegała się melodia walca. Na pudle katarynki, w małym saloniku, tancerze wielkości palca, kobiety w różowych turbanach, Tyrolczycy w kurteczkach, mały w frakach i panowie w krótkich spodniach wirowali między fotelami, kanapkami i konsolkami, odbijając się w kawałkach lustra posklejanych ze sobą na rogach cienkim paseczkiem złotego papieru. Człowiek kręcił korbą spoglądając na prawo, na lewo i ku oknom. Od czasu do czasu, strzyknąwszy brunatną śliną na kamień milowy, podnosił kolaniem instrument, którego twardy rzemień wpiął mu się w ramię; muzyka, już to rzewna i przeciągła, już to skoczna i wesoła, wymykała się przez różową taftową firankę, ujętą w mosiężną klamrę, zdobną w arabeski. Były to melodie, które gdzie indziej grywano w teatrach, śpiewano w salonach, przy których tańczono pod jarzącymi się żyrandolami. Docierały tu aż do Emmy, przynosząc echo ze świata. Nie kończące się sarabandy brzęczały jej w uszach i jak bajadera, marząca na kwiecistym dywanie, myśl jej, czepiając się nut, kołysała się z marzenia w marzenie, z tęsknoty w tęsknotę. Grajek, zebrawszy do czapki jałmużnę, zarzucał na instrument stary pokrowiec z niebieskiej wełny, zakładał katarynkę na plecy i oddalał się ciężkim krokiem. Patrzyła w ślad za nim, kiedy odchodził, Ale najnieznośniejsze były posiłki. W tej małej jadalni na parterze, z dymiącym piecem, ze skrzypiącymi drzwiami, ze ścianami ociekającymi wilgocią i z wiecznie wilgotną, kamienną podłogą, miała wrażenie, że podają jej na talerzu całą gorycz istnienia i wraz z oparami unoszącymi się z potraw unosiły się z głębi jej duszy mdłe wyziewy nudy i obrzydzenia. Karol jadł powoli, a ona tymczasem chrupała orzeszki albo końcem noża rysowała kreski na ceracie.

Nie dbała teraz wcale o dom i gdy pani Bovary-matka przyjechała do Tostes na kilka tygodni w czasie wielkiego postu, nadzieić się nie mogła tej zmianie. Bo też rzeczywiście Emma, tak niegdyś staranna i wymagająca, potrafiła teraz całymi



dniami chodzić nieubrana, nosiła szare, bawełniane pończochy, zadowalała się łożową świeczką. Powtarzała, że powinni oszczędzać, bo nie są bogaci, i dodawała zaraz, że jest zupełnie zadowolona ze swego losu, bardzo szczęśliwa, że Tostes bardzo się jej podoba i inne temu podobne, zgoła nowe wypowiedzi, które zamykały usta teściowej. Zresztą Emma nie zdawała się już być skłonna do przyjmowania jej rad. A nawet raz, kiedy pani Bovary orzekła, że obowiązkiem państwa domu jest dbać o religijność służby, Emma odpowiedziała jej spojrzeniem tak pełnym gniewu i uśmiechnęła się tak zimno, że poczciwa staruszka wołała się już więcej nie narażać.

Emma stała się teraz wymagająca, kapryśna. Dysponowała specjalnie dla siebie jakieś potrawy, których potem wcale nie tykała. Jednego dnia piła tylko mleko, drugiego znów całe tuziny filiżanek herbaty. Często upierała się, żeby nie wychodzić, a potem dusiła się, otwierała okna, przebierała się w lekkie suknie. Skrzyuczawszy służącą, robiła jej później prezenty albo wysyłała do sąsiadów na pogawędkę. Zdarzało się jej czasem rozdać ubogim całą zawartość portmonetki, choć jak większość ludzi pochodzących ze wsi, którzy zachowali w duszy coś z szorstkości rąk ojcowskich, nie była bynajmniej czuła i nie przejmowała się łatwo ludzką niedolą.

W końcu lutego stary Rouault przywiózł osobiście Karolowi wspaniałą indyczkę na pamiątkę swego wyzdrowienia i zabawił w Tostes trzy dni. Karol zajęty był wciąż chorymi, więc Emma dotrzymywała ojcu towarzystwa. Palił w jej pokoju, pluł w kominek, rozprawiał o gospodarstwie, o krowach, cielętach, o drobiu i radzie gminnej, tak że gdy wyjechał, Emma zamknęła za nim drzwi z uczuciem ulgi, które ją 'samą zdziwiło. Zresztą nie ukrywała już swej pogardy dla nikogo i dla niczego i czasem wyrażała przekonania tak szczególne, potępiając to, co się cieszyło powszechnym uznaniem, i pochwalając rzeczy przewrotne i niemoralne, że mąż jej szeroko otwierał oczy.

Ach! Czyż ta udręka będzie trwała wiecznie? Czyż nigdy się z niej nie wydobędzie? Wszak nie jest mniej warta od tych, które są szczęśliwe! W Vaubeyssard widziała księżniczki, które były mniej od niej smukłe i miały pospolitsze maniery. Przeklinała tę niesprawiedliwość boską i płakała opierając głowę o ścianę. Zazdrościła ludziom burzliwego życia, balów maskowych, zakazanych rozrywek, których nie znała, a które dawały na pewno zawrotne upojenia.

Stawała się coraz bledsza i miewała bicia serca. Karol przepisał jej walerianę i kąpiele kamforowe. Ale wszystkie te zabiegi zdawały się ją drażnić jeszcze bardziej. Były dni, kiedy mówiła dużo, w gorączkowym podnieceniu, ale potem następowały okresy zupełnej apatii; siedziała wówczas milcząc, bez ruchu, i tylko flakon wody kolońskiej, wylanej na ramiona, potrafił ją wówczas orzeźwić.

Ponieważ uskarżała się ciągle na Tostes, Karol pomyślał, że może miejscowe warunki są przyczyną jej choroby, i utwierdzając się coraz bardziej w tym mniemaniu, zaczął poważnie myśleć o urządzeniu się gdzie indziej.

Zaczęła wówczas pokaszliwać sucho, piła ocet, żeby schudnąć, i straciła całkiem apetyt.

Po czterech latach pobytu, właśnie w chwili, kiedy zaczynał wyrabiać sobie pozycję, decyzja opuszczenia Tostes nie przyszła Karolowi łatwo. Ale cóż, skoro tak trzeba! Zawiózł Emmę do Rouen, do jednego ze swych dawnych profesorów, który orzekł, że jest to choroba nerwowa: należy zmienić klimat.

Zasięgając tu i ówdzie wiadomości, Karol usłyszał, że w powiecie Neufchatel jest duże osiedle zwane Yonville - Opactwo, z którego lekarz, polski uchodźca, umknął gdzieś w zeszłym tygodniu. Napisał wówczas do miejscowego aptekarza, żeby się dowiedzieć, jaka jest ilość mieszkańców, w jakiej odległości znajduje się najbliższy lekarz i jakie były roczne dochody jego poprzednika. Odpowiedzi wypadły

zadowolająco, zdecydował więc, że jeśli stan zdrowia Emmy nie polepszy się, przeniosą się tam na wiosnę.

Pewnego dnia, gdy przygotowując się do wyjazdu robiła porządki w szufladzie, ukłuło ją coś w palec. Był to drucik z jej ślubnego bukietu. Pomarańczowe kwiaty pożółkły, a zakurzone, atlasowe wstążki ze srebrnym rąbkiem wystrzępiły się na brzegach. Rzuciła go w ogień. Zajął się szybko jak słomka; potem, niby krzak czerwony na siwym popiele, wypalał się powoli. Przyglądała mu się: małe jagódki kartonowe wybuchały nagle, zwijały się mosiężne druciki, topił się srebrny galonik, a pokurczone kielichy papierowych kwiatów kołysały się wzdłuż blachy jak czarne motyle, zanim wyfrunęły przez komin.

Gdy w marcu opuszczali Tostes, pani Bovary była w ciąży.

## CZĘŚĆ DRUGA

Yonville-Opactwo to spore osiedle nazwane tak od starego opactwa kapucynów, po którym zaginął nawet ślad ruin. Leży ono o osiem mil od Rouen, między drogą do Abbeville a drogą do Beauvais, w głębi doliny, gdzie wije się mała rzeczka Rieule; wpada ona do Andelli, a jej wody obracają koła trzech młynów przy swym ujściu. Jest w niej trochę pstrągów, które chłopcy, zabawiając się w niedziele, łowią na wędkę.

Przy La Boissiere skręca się z gościńca i jedzie równiną aż na wyżynę Leux, skąd otwiera się szeroki widok na całą dolinę. Dzięki rzece ma ona dwa zupełnie różne krajobrazy. Cały lewy brzeg to pastwiska, prawy - grunty uprawne. Łąki ciągną się wzdłuż niewielkiego wału niskich pagórków i łączą się z tyłu z pastwiskami z Bray, a od wschodu, na pochyłych polach rozpościerają się, jak okiem sięgnąć, płowe łąny zbóż. Woda, płynąc wzdłuż traw, rozdziela białą kreską barwę łąk od barwy pól i dolina wygląda jak wielki rozłożony płaszcz o aksamitnym kołnierzu obszytym srebrnym galonem.

Gdy się tam przyjeżdża, widać w głębi, na horyzoncie, dęby z lasu Argueil i strome zbocza św. Jana, poznaczone z góry do dołu długimi, nierównymi czerwonymi pręgami. Są to ślady deszczów, a ten ceglasty odcień odbijający jaskrawo od szarości skał pochodzi z mnóstwa żelazistych źródeł, w które obfituje cała okolica.

Jesteśmy tu na pograniczu Normandii, Pikardii i Ile-de-France, w kraju pozbawionym własnego oblicza, gdzie język nie ma żadnego akcentu, a pejzaż jest bez charakteru. Tu robi się najgorsze w całym okręgu sery Neufchatel, uprawa zaś roli jest bardzo kosztowna, bo trzeba dużo nawozu, żeby użyźnić piaszczyste gleby pełne kamieni.

Do 1835 roku nie było żadnej znośnej drogi do Yonville. Ale w tym okresie przeprowadzono drogę komunalną, która połączyła gościńce wiodące do Abbeville i do Amiens. Korzystają z niej czasem dyliżanse jadące z Rouen do Flandrii. Ale mimo tych nowych możliwości, Yonville pozostało osiedlem martwym. Zamiast podnieść uprawę roli, mieszkańcy jego upierają się przy pastwiskach, mimo że są one zupełnie bezwartościowe, i leniwe miasteczko odsuwając się od pól cięży ku rzece. Widać je już z daleka, jak leży rozciągnięte na brzegu, niby pastuch drzemiący nad wodą.

U stóp pagórka, za mostem, aleja wysadzana młodą osiczną prowadzi wprost do pierwszych domków miasteczka. Domki te, ogrodzone żywopłotem, otaczają rozmaitego rodzaju zabudowania gospodarskie, tłoczarnie, wozownie, destylarnie, rozrzucone pod cienistymi drzewami, na których zawieszane bywają wśród gałęzi drabiny, żerdzie i kosy. Słomiane strzechy, niby futrzane czapy nasunięte na oczy, zasłaniają mniej więcej jedną trzecią niskich okien, których szyby z grubego, wypukłego szkła mają pośrodku duże guzy, jak dna butelek. Na otynkowanych ścianach, po których przebiegają ukośnie szerniałe belki, rozpięta bywa czasem mizerna grusza, a drzwi wejściowe mają u dołu małą obrotową furteczkę dla ochrony przed kurczętami, które przychodzą na próg dziobać okruszyny czarnego chleba, rozmoczonego w jabłeczniku. Podwórza stają się jednak coraz węższe, domy zbliżają się do siebie, znikają żywopłoty. Pęk paproci, przywiązany do kija od miotły,

kołysz się pod oknem. Mija się kuźnię, a potem domek kołodzieja, przed którym stoją dwa czy trzy nowe wozy wysunięte aż na drogę. Wreszcie poprzez strzyżoną aleję widać duży, biały dom, a przed nim półokrągły gazon ozdobiony posążkiem amorka trzymającego palec na ustach. Dwie wazy z lanego żelaza stoją po obu rogach ganku, a na drzwiach błyszczą tabliczki szyldów, To dom rejenta, najpiękniejszy w całej okolicy.

Kościół stoi po drugiej stronie ulicy o dwadzieścia kroków dalej, u wejścia na plac. Mały cmentarz przykościelny, ogrodzony niskim murkiem, wypełniony jest tak szczelnie nagrobkami, że stare, wrastające w ziemię płyty tworzą jakby jednolitą powierzchnię, na której trawa wykreśliła regularne, zielone kwadraty. Kościół został całkowicie przebudowany za ostatnich lat panowania Karola X. Drewniane sklepienie zaczyna próchnieć w górze i gdzieś tam na jego błękitnym tle występują ciemne, wklęsłe plamy. Nad drzwiami, w tym miejscu, gdzie powinny być organy, jest chór dla mężczyzn. Wiodą do niego kręcone schody, na których rozlega się donośnie stukanie sabotów.

Pełne światło dnia, wpadając przez bezbarwne witraże, rzuca ukośne promienie na rzędy ławek. ustawionych poprzecznie do ścian, na których tu i ówdzie przybite są słomianki, a nad nimi wypisane wielkimi literami. „Ławka pana tego a tego”. Dalej, tam gdzie nawa zwęża się, stoi naprzeciw konfesjonu posążek Matki Boskiej w atłasowej sukni, z tiulowym welonem, usianym srebrnymi gwiazdkami, z czerwonymi policzkami, niczym bóstwo z wyspy Sandwich; wreszcie kopia św. Rodziny, dar Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, królując między czterema świecznikami nad głównym ołtarzem, zamyka w głębi perspektywę. Stalle z jodłowego drzewa pozostały niemalowane.

Same hale, to znaczy szopa, pokryta dachówką i wsparta na dwudziestu słupach, zajmują prawie połowę głównego placu Yonville. Merostwo w stylu greckiej świątyni, zbudowane według rysunku architekta z Paryża, tworzy narożnik sąsiadujący z domem aptekarza. Ozdobione na parterze trzema kolumnami jońskimi, ma ono na pierwszym piętrze galerię romańską, a zakończone jest tympanonem, na którym kogut galijski opiera jedną łapę na karcie praw, a w drugiej trzyma szale sprawiedliwości.

Ale to, co najbardziej pociąga spojrzenia, to mieszcząca się naprzeciw oberży "Pod Złotym Lwem" apteka pana Homais. Szczególnie wieczorem, kiedy zapalony żyrandol, poprzez czerwone i zielone kule zdobiące wystawę, rzuca daleko długie, kolorowe światła, wówczas w tych smugach blasku dostrzec można, jak wśród ogni bengalskich, cień aptekarza pochylonego nad swym kantorkiem. Zakład jego od góry do dołu pokryty jest napisami, wykaligrafowanymi pismem angielskim, rondem lub drukiem: Woda Vichy, Woda selcerska, Pigułki reformackie, Pastyłki arabskie, Bandaże, Kąpiele, Czekolada zdrowotna itp. Na szyldzie, rozciągającym się na całą szerokość sklepu, widnieje wypisane dużymi literami: "Homais, aptekarz." Dalej w głębi sklepu, między dwiema szalami wagi przyśrubowanej do lady, rzuca się w oczy napis „Laboratorium” umieszczony nad oszklonymi drzwiami, na których raz jeszcze powtórzone jest złotymi literami na czarnym tle nazwisko Homais.

Poza tym nie ma już w Yonville nic do zobaczenia. Ulica (jedyna zresztą), długa na odległość wystrzału, przy której stoi kilka sklepików, urywa się nagle na zakręcie. Jeśli pozostawimy ją z prawej strony, idąc podnóżem zbiega św. Jana, dojdziemy wkrótce do cmentarza.

Podczas epidemii cholery, by powiększyć go trochę, rozebrano mur z jednej strony i dokupiono trzy akry sąsiadującej ziemi; ale cały ten nowy szmat jest prawie pusty, a groby, jak dawniej, skupiają się koło bramy. Stróż, który jest równocześnie

grabarzem i zakrystianem i wyciąga w ten sposób ze zmarłych w parafii podwójny dochód, skorzystał z tej wolnej przestrzeni i posadził na niej kartofle.

Jednak z roku na rok kurczy się jego pólko i kiedy wybucha jakaś epidemia, sam już nie wie, czy cieszyć się ze zgonów, czy martwić z pochówków.

- Karmisz się zmarłymi, Lestboudois! - powiedział mu kiedyś ksiądz proboszcz.

Te ponure słowa dały mu do myślenia i powstrzymały na pewien czas, ale jednak po dziś dzień sadi on swe bulwy, utrzymując bezczelnie, że rosną same.

Od czasu wydarzeń, o których tu opowiemy, nic się w istocie nie zmieniło w Yonville. Na szczycie dzwonnicy obraca się blaszana, trójkolorowa chorągiewka, a nad sklepem galanteryjnym powiewają dwie perkalowe wstęgi. Embriony aptekarza, podobne do białej hubki, psują się coraz bardziej w zmętniałym spirytusie, a nad wielką bramą wjazdową oberży wypływały od deszczu, stary, złoty lew ukazuje przechodniom fryzowaną jak u pudła grzywę.

Wieczorem, w dzień przyjazdu państwa Bovary, wdowa Lefrancois, właścicielka oberży, taki miała nawał roboty, że krzątając się koło garnków ociekała potem. Nazajutrz wypadał właśnie dzień targu w miasteczku. Trzeba było zawczasu poćwiartować mięso, wypatroszyć kurczętą, ugotować zupę i kawę. Prócz tego musiała jeszcze przygotować posiłki dla swych stałych stołowników, a także dla lekarza, jego żony i ich służącej. Przy bilardzie rozlegały się co chwila wybuchy śmiechu. W małej sali trzech młynarzy dopominało się głośno o wódkę. Trzeszczał chrust, płonęły główne, a na długim kuchennym stole, między surowymi ćwierciami baraniny, wznosiły się stosy talerzy, drżąc za każdym uderzeniem tasaka, którym siekano szpinak na pieńku. Z podwórka dochodził krzyk drobiu, za którym uganiała się służąca z nożem w ręku.

Przy kominku, grzejąc sobie plecy, siedział jakiś człowiek w pantoflach z zielonej skórki, w aksamitnej czapce ze złotym chwastem. Na jego twarzy, z lekka poznaczonej przez ospę, nie malowało się nic, prócz zadowolenia z siebie. Zdawał się być równie pogodny jak szczygieł w klatce, zawieszony nad jego głową. Był to aptekarz.

- Artemizo! - krzyknęła oberżystka. - Nałam chrustu, napełń karafki, przynieś wódkę, śpiesz się! Ach! Gdybym miała przynajmniej leguminę dla pańskich gości. Boże miłosierny! Ci tragarze! Znów zaczynają hałasować przy bilardzie, a "Jaskółka", gdy nadjedzie, gotowa jeszcze roztrzaskać wóz z meblami. Zawołaj Plipolita, żeby wciągnął wóz pod szopę. Niech pan sobie wyobrazi, że od rana rozegrali już chyba piętnaście partii i wypili osiem litrów jabłeczniaka. Zniszczą mi w końcu bilard! - dorzuciła patrząc na nich z daleka, z warząchwią w ręku.

- Szkoda byłaby niewielka - odparł Homais - kuliłaby sobie pani nowy.

- Nowy bilard! - krzyknęła wdowa.

- No tak, przecież ten już jest do niczego. Sama pani sobie robi krzywdę, wielką krzywdę, powtarzam A przy tym amatorowie bilardu wołają dziś małe worki i ciężkie kije. Nie grywa się już wprost. Wszystko się zmieniło. Trzeba iść z duchem, czasu! Proszę spojrzeć na pana Tellier...

Oberżystka zaczerwieniła się ze złości.

- Niech pani sobie mówi, co chce, ale jego bilard jest miłszy - dodał aptekarz - i jeśli ktoś rzuci myśl, żeby rozegrać partyjkę patriotyczną na rzecz Polski albo powodzian z Lyonu...

- Nie boimy się takich łapserdaków jak on - przerwała oberżystka wzruszając pulchnymi ramionami, - Niech pan będzie spokojny, dopóki żyje „Złoty Lew”, będą go odwiedzać. Już my tam mocno stoimy na nogach. A co do tamtych, to zobaczy pan

pewnego dnia „Kawiarnię Francuską” zamkniętą, i w dodatku z pięknym ogłoszeniem naklejonym na okiennicy. Zmienić bilard - ciągnęła dalej już sama do siebie - mój bilard, na którym tak wygodnie układać bieliznę do prasowania i na którym w okresie polowań mogłam przenocować aż sześciu myśliwych. Ale cóż ten maruda Hivert nie nadjeżdża!

- Czeka pani na niego z podaniem kolacji dla swoich stołowników? - spytał aptekarz.

- Czekać? A cóż by powiedział pan Binet? O szóstej punkt, z uderzeniem zegara, zobaczy go pan tutaj. Bo co do punktualności to nie ma sobie równego na całej kuli ziemskiej. I zawsze musi mieć to samo miejsce w małej salce. Dałby się raczej zabić, niżby miał usiąść gdzie indziej. A jaki wybredny, jaki wymagający. O, to nie to, co pan Leon! Ten potrafi przyjść i o siódmej, i o pół do ósmej. I nawet nie spojrzy na to, co je. Co to za miły młodzieniec! Jaki równy, głosu nigdy nie podniesie!

- Bo też, widzi pani, jest niemała różnica między człowiekiem wykształconym a byłym karabinierem, który został poborcą.

Wybiła szósta. Wszedł Binet.

Ubrany był w niebieską, luźną kurtkę, wisząca równo na jego chudym ciele. Spod skórzanej czapki, o nausznikach związanych tasiemką na czubku głowy, widać było łysiejące czoło, odgniecione od kasku. Miał kamizelkę z czarnego sukna z kołnierzem z włosia i niezależnie od pory roku zawsze starannie wyczyszczone buty, wypchane w tych samych miejscach przez zgrubienia koło wielkiego palca. Ani jeden włoszek nie sterczał z jego jasnej, starannie zaczesanej brody, która okalając szczękę stanowiła niby ramkę dla ziemistej twarzy o małych oczkach i zakrzywionym nosie. Świetnie grał w karty, był dobrym strzelcem i odznaczał się pięknym charakterem pisma. Miał w domu małą tokarkę i bawił się toczeniem kółek do serwet, gromadząc zazdrośnie całe ich stosy z zachłannością artysty i drobnomieszczańskim egoizmem.

Skierował się do małej sali. Ale trzeba było pierwaj usunąć z niej młynarzy. Przez cały czas, gdy nakrywano dlań do stołu, Binet siedział milcząc przy piecu na swoim miejscu. Potem, jak zwykle, zamknął drzwi i zdjął czapkę.

- Ten przynajmniej nie wystrzępi sobie języka na prawieniu uprzejmości - powiedział aptekarz, gdy tylko został sam na sam z oberżystką.

- Nigdy nie bywa bardziej rozmowny - zauważyła. - W zeszłym tygodniu było tu dwóch komiwojażerów z branży włókienniczej; przez cały wieczór opowiadali mnóstwo dowcipnych dykteryjek, aż się popłakałam ze śmiechu, a on siedział bez słowa, jak ryba.

- Tak - potwierdził aptekarz. - Brak wyobraźni, brak dowcipu, nic z tego, co się składa na człowieka z towarzystwa.

- Powiadają jednak, że ma zdolności.

- Zdolności! On! Zdolności? - oburzył się Homais. - Chyba że w swoim zawodzie. Tak, to możliwe - dodał już łagodniej.

I dorzucił:

- Ach! Że jakiś kupiec, który ma rozległe stosunki, jakiś prawnik, doktor czy aptekarz bywają tak pogrążeni w pracy, że aż czasem stają się szorstcy lub dziwacznej nawet, to rozumiem. Niejeden taki fakt cytuje historia. Ale przynajmniej myślą o czymś. Mnie na przykład - ileż to razy zdarzyło się szukać pióra na biurku, żeby napisać jakąś etykietkę, i wreszcie okazywało się, że włożyłem je za ucho, Tymczasem pani Lefrancois wyszła na próg, żeby zobaczyć, czy nie nadjeżdża "Jaskółka". Drgnęła i cofnęła się, przerażona. Do kuchni wszedł nagle jakiś człowiek

ubrany na czarno. W ostatnim blasku zorzy można było dostrzec, że ma twarz rumianą i atletyczną budowę.

- Czym mogę służyć księdzu proboszczowi? - spytała oberżystką chwytając jeden z mosiężnych lichtarzy stojących rzędem, na kominku. - Czy nie zechce ksiądz napić się czegoś? Kropelkę nalewki, a może szklaneczkę wina?

Duchowny grzecznie odmówił. Przyszedł tu po parasol, którego zapomniał był poprzedniego dnia w klasztorze d'Ernemont. Poprosił panią Lefrancois, by odesłała mu go wieczorem na plebanię, i wyszedł udając się do kościoła, gdyż dzwoniło właśnie na Anioł Pański. Kiedy na placu ucichł odgłos jego kroków, aptekarz stwierdził, że zachowanie proboszcza przed chwilą było bardzo niewłaściwe. Odmowa wypicia czegokolwiek to najohydniejsza obłuda. Wiadomo przecież, że księża pociągają niezgorzej po kryjomu i że radzi by wrócić do czasów kościelnej dziesięciny.

Gospodyni wzięła księdza w obronę.

- Zresztą czterem takim jak pan dałby radę. W zeszłym roku pomagał naszym ludziom przy zwożeniu słomy: po sześć snopków brał naraz. Taki z niego siłacz.

- Winszuję! - zakrzyknął aptekarz. - I posyłajże tu, człowieku, córki do spowiedzi do zuchów o takiej kompleksji. Ja, na miejscu rządu, kazałbym księżom puszczać krew co miesiąc, tak, moja pani, co miesiąc porządnie krwi upuścić w interesie publicznego bezpieczeństwa i dobrych obyczajów!

- Milczałbyś pan lepiej, panie Homais! Co za bezbożnik z pana! Nie uznaje pan żadnej religii! Aptekarz odpowiedział:

- Uznaję, uznaję moją własną religię i bardziej jestem na swój sposób religijny niż oni wszyscy z ich błazeństwami i kuglarskimi sztuczkami. O tak! Ja wielbię Boga. Wierzą w Istotę Najwyższą, w Stwórcę, kimkolwiek by on był, który zesłał nas tu, abyśmy spełniali obowiązki obywateli i ojców rodzin. Ale nie mam żadnej potrzeby chodzić do kościoła, całować relikwii i tuczyć z własnej kieszeni stada błaznów, którym wiedzie się lepiej niż nam. Gdyż równie dobrze można czcić Boga w lesie, w polu lub nawet, idąc wzorem starożytnych, zapatrzywszy się w sklepienie niebieskie. Bóg, mój Bóg, to Bóg Sokratesa, Franklina, Voltaire'a i Berangera. Jestem za Wyznaniem wiary wikarego z Sabaudii i za nieśmiertelnymi zasadami 89 roku! Toteż nie uznaję tego pocziwego Boga-człowieka, który przechadzając się po swym ogródku z laską w ręku, umieszcza swych przyjaciół w brzuchu wieloryba, umiera z krzykiem i zmartwychwstaje po trzech dniach; są to rzeczy same w sobie zupełnie pozbawione sensu i zresztą całkowicie sprzeczne z wszelkimi prawami fizyki. Wykazują tylko, że księża zawsze murszeli w bezecnym nieuctwie i że chcą wraz ze sobą pogrążyć w nim wszystkie ludy.

Umilkł szukając oczyma wokół siebie publiczności, gdyż w swym podnieceniu sądził przez chwilę, że zabiera głos w pełnym toku zgromadzenia rady miejskiej. Ale oberżystka już go nie słuchała. Nastawiała ucha na daleki turkot. Rozległ się wreszcie hałas nadjeżdżającego powozu zmieszany ze szczękiem luźno puszczonego łańcuchów, wlokących się po ziemi, i w końcu "Jaskółka" stanęła przed bramą.

Było to żółte pudło wzniesione na dwóch dużych kołach, które sięgając aż do budy, zasłaniały podróżnym widok i wały im ramiona. Gdy powóz był zamknięty, małe szybki wąziutkich okienek popstrzone grudkami błota trzęsły się w swych ramach między grubymi warstwami kurzu, którego spłukać nie mogły nawet ulewne deszcze. Zaprzężony był w trzy konie, z których jeden biegł na przedzie. A gdy zjeżdżano z góry, dno pudła dotykało ziemi, podskakując na wybojach.

Kilku mieszkańców Yonville pośpieszyło na placyk. Wszyscy mówili naraz, wypytując o nowiny, żądając wyjaśnień i prosząc o swe kosze. Hivert nie wiedział, komu odpowiadać. On to bowiem załatwiał sprawunki wszystkim w całej okolicy. Chodził po sklepach, kupował pęki skór dla szewca, żelazo dla kowala, beczkę śledzi dla swojej gospodyni, czepki od modniarki, peruczki od fryzjera i wracając oddawał to wszystko po drodze: stawał na koźle, krzyczał ile tchu w piersiach i wrzucał paczki za płot, a konie jego biegły tymczasem samopas.

Zatrzymał go dzisiaj wypadek: charciczka pani Bovary wymknęła się w pole. Gwizdano na nią przez kwadrans. Hivert zawrócił nawet o ćwierć mili, bo co chwila wydawało mu się, że ją gdzieś dostrzega. Trzeba było jednak jechać dalej. Emma rozplakała się i w uniesieniu oskarżała Karola o to nieszczęście. Pan Lheureux, kupiec bławatny, który odbywał z nimi tę podróż, próbował pocieszyć ją, cytując niezliczoną ilość przykładów zgubionych psów, które odnajdywały swych panów po długich latach. - Słyszałem - powiadał - o takim psie, który z Konstantynopola wrócił do Paryża. - Inny przebiegł pięćdziesiąt mil w prostej linii i przebył wpływ cztery rzeki; a jego ojciec miał pudła, który znikł, a po dwunastu latach skoczył mu nagle na plecy pewnego wieczoru, gdy szedł do miasta na kolację.

Pierwsza wysiadła Emma, za nią Felicja, pan Lheureux i jakaś mamka, a Karola trzeba było obudzić, bo zasnął w kącie, gdy się tylko ściemniło.

Homais przedstawił się: wyraził swe uszanowanie pani, powitał pana. Powiedział, że jest uszczęśliwiony, iż mógł im wyświadczyć parę drobnych usług, i dodał kordialnie, że pozwolił sobie zaprosić się sam na ich powitanie. Żona jego zresztą była nieobecna.

Znalazszy się w kuchni, pani Bovary podeszła do komina. Ujęła suknię końcami palców na wysokości kolana, uniosła ją aż do kostki i poprzez obracającą się na różnie pieczeń przysunęła do płonących głowni nóżkę w czarnym trzewiku. Blask ognia oświecał ją całą, przenikając jaskrawym światłem tkaninę jej sukni, gładką, białą skórę i nawet powieki, które przymrużała niekiedy. A gdy podmuchy wiatru wpadały przez uchylone drzwi, przesuwały się po niej czerwone odbłaski. Z drugiej strony kominka siedział młodzieniec o jasnych włosach i przyglądał się jej w milczeniu.

Pan Leon Dupuis (on to był właśnie tym drugim stałym bywalcem "Złotego Lwa") nudził się bardzo w Yonville, gdzie był pisarzem notarialnym na praktyce u rejenta Guillaumin. Opóźniał umyślnie godzinę kolacji w nadziei, że zjawi się w oberży jakiś podróżny, z którym będzie mógł pogawędzić wieczorem. Ale w dzień, kiedy wcześniej kończył pracę, nie mając nic lepszego do roboty, przychodził punktualnie i musiał, od zupy aż do sera, znosić towarzystwo milczącego Bineta. Toteż gdy gospodyni zaproponowała mu, żeby zjadł kolację z nowo przybyłymi, z radością przyjął zaproszenie. Przeszli więc do wielkiej sali, w której to pani Lefrancois, ze względu na uroczystość, kazała przygotować cztery nakrycia.

Pan Homais, z obawy przed katarem, poprosił, aby pozwolono mu pozostać w czapce.

Po czym zwracając się do sąsiadki:

- Pani zapewne zmęczona? „Jaskółka” tak niemiłosiernie trzęsie.
- Tak, to prawda - odpowiedziała Emma - ale podróże bawią mnie zawsze: lubię zmieniać miejsce pobytu.
- Ach! - westchnął pisarz - to taka przykra rzecz być przykutym do jednego miejsca.
- Gdyby pan musiał, tak jak ja, spędzać całe dnie na koniu... - wtrącił Karol.



- Ależ nie ma chyba nic miłszego - ciągnął Leon, zwracając się do pani Bovary. - Jeżeli się tylko może.

- Zresztą praktyka lekarska w naszej okolicy nie jest zbyt uciążliwa - zauważył aptekarz - stan naszych dróg jest dobry, można więc jeździć kabrioletem, a honoraria są na ogół dość wysokie, bo chłopcy są zamożni. Pod względem medycznym, oprócz zwykłych zaburzeń żołądkowych, bronchitów, dolegliwości wątrobianych, mamy tu w porze żniw gorączki okresowe, lecz w sumie nic poważnego, nic szczególnego do zanotowania, chyba tylko liczne wypadki infekcji wynikające z opłakanego stanu higieny włościańskich mieszkań. Ach! Panie Bovary, będzie pan tu miał dużo przesądów do zwalczania, wiele uporów i zakorzenionych zwyczajów, które co dzień przeciwstawiać się będą pańskim naukowym poczynaniom, gdyż wciąż szuka się tu jeszcze pomocy w nowennach, w relikwiach, u proboszcza, zamiast zwrócić się po prostu do lekarza albo do farmaceuty. Klimat jednak, prawdę rzekłszy, nie i jest zły i mamy nawet w naszym okręgu kilku dziewięćdziesięcioletnich starców. Termometr (badałem tę sprawę) w zimie opada do czterech stopni poniżej zera, a w porze upałów wznosi się nie wyżej jak dwadzieścia pięć, trzydzieści stopni, co wedle Reaumura daje nam najwyżej dwadzieścia cztery stopnie albo inaczej, według Fahrenheita (jest to miara angielska), pięćdziesiąt cztery stopnie, nie więcej! Gdyż przed wichrami z północy osłaniają nas lasy Argueil, a góra Św. Jana chroni nas przed wichrami z południa. Upał zaś, który z powodu pary wodnej unoszącej się z rzeki i z powodu znacznej ilości bydła na łąkach, a bydło, jak panu wiadomo, wydiera dużo amoniaku, tj. azotu, wodoru i tlenu (nie, tylko samego azotu i wodoru), upał ten, powiadam, wysysając soki z ziemi wiąże ze sobą te rozmaite emanacje, jeśli się tak wyrazić można, w jeden snop i łącząc się z elektrycznością, jeśli takowa jest w powietrzu, mógłby z czasem, jak w krajach tropikalnych, wydzielać niezdrowe miazmaty. Na szczęście, jest on złagodzony od strony, z której nadchodzi, to jest, z której mógłby nadejść, a więc z południa, przez wiatry południowo-wschodnie. Oziębiamy się one przelatując nad Sekwaną i przynoszą nam czasem nagle chłodne podmuchy, jak z głębi Rosji.

- A czy są przynajmniej w okolicy jakieś miłe przechadzki? - podjęła pani Bovary zwracając się do młodzieńca.

- O! bardzo niewiele - odparł. - Jest na szczycie wzgórza, tuż na skraju lasu, miejsce, które zowią "Pastwiskiem". Chodzę tam czasem w niedzielę i siedzę z książką, patrząc na zachodzące słońce.

- Nie ma nic piękniejszego - dodała - jak zachód słońca, szczególnie nad morzem.

- Uwielbiam morze! - wykrzyknął Leon.

- Czy nie sądzi pan - ciągnęła dalej - że na tej bezkresnej przestrzeni myśl buja swobodniej i że kontemplacja morza wznosi duszę i zbliża nas do nieskończoności, do ideału?

- Podobnie jest z widokami w górach - zauważył Leon. - Mam kuzyna, który w zeszłym roku podróżował po Szwajcarii i opowiadał mi, że trudno sobie wyobrazić poezję jezior, wdzięk wodospadów, potęgę lodowców. Spotyka się tam, rzucone w poprzek potoków sosny niewiarogodnej wysokości i małe chatki zawieszane nad brzegiem przepaści. A gdy się chmury rozwieją, widać o tysiąc stóp niżej rozległe doliny. Te widoki porywają, skłaniają do modlitwy, do ekstazy! Toteż nie dziwię się owemu słynnemu muzykowi, który dla podniety wyobraźni miał zwyczaj grywać na fortepianie podziwiając jakiś wspaniały krajobraz, - Uprawia pan muzykę? - spytała.

- Nie, ale bardzo ją lubię.

- Ach, niech go pani nie słucha - przerwał Homais, pochylając się nad talerzem - to chodząca skromność. Jak to, mój drogi! Wczoraj w swoim pokoju śpiewał pan Anioła Stróża wręcz zachwycająco! Słyszałem pana z laboratorium. Wykonał pan to jak prawdziwy artysta.

Leon istotnie mieszkał u aptekarza w małym pokoiku na drugim piętrze, od strony placu. Zarumienił się uradowany komplementem gospodarza, który zwracając się znów w stronę doktora wymienił mu po kolei wszystkich głównych mieszkańców Yonville. Opowiadał ploteczki, dawał wskazówki. Nie wiadomo było dokładnie, ile wynosiła fortuna rejenta, a dom handlowy Tuvache'a nastroczał dużo kłopotów.

Emma znów podjęła rozmowę:

- A jaką muzykę lubi pan najbardziej?

- Ach! muzykę niemiecką, tę, która skłania do marzeń.

- A czy zna pan operę włoską?

- Jeszcze nie, ale zobaczę ją w przyszłym roku, kiedy pojedę do Paryża kończyć prawo.

- Otóż, jak miałem to już zaszczyt oświadczyć małżonkowi pani - powiedział aptekarz - dzięki szaleństwu tego biednego Yanody, który uciekł, będą państwo korzystali teraz z jednego z najwygodniejszych domów w Yonville. Dla lekarza jest on tym dogodniejszy, że ma wyjście wprost na aleję, dzięki czemu można wychodzić i wracać nie będąc przez nikogo widzianym. Zresztą zaopatrzony jest we wszystko, co może być przydatne w gospodarstwie. Jest tam pralnia, kuchnia, pokój czeladny, salon, ogród owocowy itd. Ten ptaszek Yanoda nie liczył się z wydatkami! W końcu ogrodu, nad wodą, kazał sobie wybudować altankę specjalnie po to, żeby w lecie pić w niej piwo dla ochłody, a jeżeli pani lubi ogrodnictwo, będzie mogła...

- Moja żona wcale się ogrodem nie zajmuje - wtrącił Karol - i choć zalecają jej ruch, woli całe dni spędzać w swoim pokoju na lekturze.

- To tak jak ja - zauważył Leon - bo rzeczywiście, czyż może być coś miłszego, jak siedzieć z książką wieczorem przy kominku, podczas gdy wiatr bije w szyby, a w pokoju pali się lampa?

- Prawda? - powiedziała Emma, wlepiając weń czarne, szeroko otwarte oczy.

- Nie myśli się wówczas o niczym - ciągnął Leon - i tak mijają godziny. Nie ruszając się z miejsca człowiek przechadza się po krajach, które widzi oczyma duszy, i fantazja wplatając się w baśń igra ze szczegółami lub biegnie za głównym wątkiem. I zdaje się nam, że sami jesteśmy bohaterami tych opowieści, że pod ich szatą biją nasze serca.

- O! To prawda! To prawda! - powtarzała.

- Czy zdarzyło się pani kiedy - spytał Leon - spotkać w jakiejś powieści myśl, która i pani błysnęła, jakiś zamglony obraz, który wraca z daleka, odnaleźć jasno wyłożone, własne, najtajniejsze uczucia?

- O tak, doznałam tego - przytwardziła.

- Dlatego też - ciągnął - najwięcej lubię poetów, wiersze wzruszają bardziej niż proza i rzewniej się nad nimi płacze.

- A jednak nużą po pewnym czasie - podjęła Emma - i teraz, przeciwnie; przepadam za powieściami, które czyta się jednym tchem, które budzą lęk i niepokój. Nie znoszę pospolitych bohaterów i przeciętnych uczuć, takich, jakie się spotyka w życiu.

- Istotnie - przytaknął pisarz notarialny - zdaje mi się, że dzieła takie, nie wzruszając czytelnika, rozmijają się z prawdziwym celem sztuki. Jakże to miło uciec myślą od rozczarowań naszego życia do tych szlachetnych charakterów, do tych

czystych uczuć, do obrazów prawdziwego szczęścia. Co do mnie, żyję z dala od świata i jest to moja jedyna rozrywka. Ale w Yonville jest tak mało możliwości!

- Zapewne tak jak w Tostes - dodała Emma - toteż byłam zawsze zaabonowana w czytelnicy.

- Jeśli zechce pani skorzystać z mej biblioteki - wtrącił aptekarz, który dosłyszał ostatnie jej słowa - mam do jej dyspozycji księgozbiór złożony z najlepszych autorów: Voltaire'a, Rousseau, Delille'a, "Waltera Scotta, z "Echa Felietonów" itp. Abonuję też kilka pism, między innymi „Pochodnię Rouen”, której mam zaszczyt być korespondentem dla okręgów Buchy, Forges, Neufchatel, Yonville i okolicy.

Od dwóch i pół godzin siedziano przy stole, gdyż służąca Artemiza, powłócząc leniwie trepami po kamiennych płytach, przynosiła każdy talerz z osobna, zapominała o wszystkim, nic nie rozumiała i wciąż zostawiała niedomknięte drzwi do sali bilardowej, które uderzały klamką o ścianę. Leon, pogrążony w rozmowie, nie zauważył nawet, kiedy oparł nogę o drążek krzesła, na którym siedziała pani Bovary. Miała ona tego ćmią niebieski, jedwabny krawacik, który sztywno podtrzymywał rurkowaną kryzkę, i w miarę jak poruszała głową twarz jej zanurzała się w biały kołnierzyk lub wychylała się z niego łagodnie. Tak więc gdy Karol rozprawiał z aptekarzem, oni, siedząc tuż przy sobie, pogrążyli się w jedną z tych rozmów o nieokreślonym temacie, gdzie każde przypadkowe zdanie podnosi wzajemną sympatię. Przedstawienia paryskie, tytuły powieści, nowe kadryle, cały ten świat, którego nie znali, a także Tostes, gdzie mieszkała, Yonville, gdzie znajdowali się teraz, wszystko to było tematem ich rozmowy, dzielili się wszystkimi wrażeniami aż do końca obiadu.

Gdy podano kawę, Felicja poszła oporządzić trochę ich pokój w nowym domu i po chwili wszyscy powstali. Pani Lefrancois drzemiała przy wystygłym popiele, a chłopak stajenny czekał z latarnią, żeby odprowadzić państwa Bovary. Ruda jego czupryna była pełna słomy i kulał na lewą nogę. W drugą rękę wziął parasol proboszcza i ruszono w drogę.

Miasteczko spało. Słupy hal targowych rzucały długie cienie. I jak to bywa w letnie noce, ziemia zdawała się całkiem szara.

Ale że dom doktora stał o pięćdziesiąt kroków od oberży, towarzystwo musiało się rozstać niemal zaraz, życząc sobie nawzajem dobrej nocy.

Gdy Emma weszła do przedpokoju, chłód bijący od świeżego tynku opadł na jej ramiona, jak wilgotne prześcieradło. Ściany były nowe. Drewniane schody trzeszczały. W pokoju sypialnym na pierwszym piętrze białawe światło sączyło się przez okna bez firanek. Dostrzec było można wierzchołki drzew, a dalej łukę pogrążoną we mgle, która dymiła w blasku księżycyca wzdłuż krętej linii rzeki. Na środku mieszkania w największym nieładzie leżały szuflady od komody, butelki, pręty i złote drągi do firanek, materace na krzesłach i miednica na podłodze, gdyż dwaj ludzie, którzy przywieźli meble, rzucili wszystko niedbale.

Po raz czwarty w swym życiu Emma miała spędzić noc w nieznanym miejscu. Pierwszy raz było to w dzień, kiedy przybyła do klasztoru, drugi, gdy przyjechała do Tostes, trzeci w Vaubeyssard, teraz zdarzało się to po raz czwarty. A za każdym razem był to jakby początek nowej fazy w jej życiu. Nie sądziła, aby rzeczy mogły się przedstawiać jednakowo w miejscach odmiennych, a ponieważ dotąd nie doznała nic dobrego, myślała, że to, co jej pozostało do przeżycia, będzie zapewne lepsze.

Nazajutrz, gdy się tylko obudziła, spostrzegła na placu pisarza notarialnego. Była w szlafroku. Podniósł oczy i ukłonił się. Szybko skinęła głową i zamknęła okno.

Leon przez cały dzień czekał, kiedy nadejdzie wreszcie szósta wieczór, ale gdy wszedł do oberży, zastał tam tylko siedzącego za stołem Bineta. Wczorajsza kolacja była poważnym wydarzeniem w jego życiu. Nigdy dotąd nie rozmawiał przez dwie godziny z rzędu z damą. Jakże więc zdołał jej wyłożyć, i to takim językiem, tyle rzeczy, których przedtem nie potrafiłby tak dobrze wypowiedzieć? Zazwyczaj był nieśmiały i zachowywał się z powściągliwością, która ma swe źródło zarazem w uczuciu wstydu i w obłudzie. W Yonville uważano, że "ma dobre maniery". Umiął z szacunkiem słuchać wywodów ludzi dojrzałych i nie przejmował się zbytnio polityką, rzecz niezwykła jak na młodego człowieka. Był przy tym utalentowany: malował akwarelę, potrafił odczytać klucz wiolinowy, a po obiedzie, gdy nie było z kim grać w karty, chętnie zajmował się literaturą. Pan Homais považał go za wykształcenie, a pani Homais lubiła za uczynność, gdyż często pilnował jej dzieci, gdy bawiły się w ogródku. Były to bachory wiecznie umorusane, bardzo źle wychowane i trochę limfatyczne, tak jak matka. W opiece nad nimi, prócz służącej, pomagał Justyn, daleki krewny pana Homais, którego przygarnięto z łaski; był on zarazem praktykantem i służącym.

Aptekarz okazał się najlepszym z sąsiadów. Wskazał pani Bovary dostawców, sprowadził specjalnie swego handlarza jabłecznikiem, sam skosztował przyniesiony napój i dopilnował, by odpowiednio ustawiono beczki w piwnicy. Doradził, gdzie można najtaniej nabyć odpowiedni zapas masła, i zawarł umowę z organistą Lestiboudois, który oprócz swych funkcji kościelnych i pogrzebowych zajmował się jeszcze głównymi ogrodami w Yonville, pobierając od właścicieli wynagrodzenie roczne lub umawiając się od godziny, jak woleli.

Nie sama jednak chęć przysłużenia się bliźniemu skłaniała aptekarza do tak uprzedzającej grzeczności. Miał też w tym pewien własny interes.

Przekroczył artykuł ustawy z dnia 19 Ventose'a roku XI, który zabrania każdemu nie posiadającemu dyplomu udzielać porad lekarskich, i na skutek jakiejś tajemniczej denuncjacji został wezwany do prywatnego gabinetu prokuratora królewskiego. Dostojnik przyjął go stojąc, w gronostajowej todze i w birecie. Było to wczesnym rankiem przed posiedzeniem trybunału. W korytarzu rozlegały się ciężkie stapania żandarmów, a z daleka dochodził jakby zgrzyt zasuwanego rygli. Aptekarzowi krew uderzyła do głowy, zaszumiło mu w uszach i omal nie upadł rażony atakiem apopleksji. Stały mu w oczach lochy więzienne, rodzina tonąca we łzach, sprzedaż apteki, potłuczone słoje. Żeby się jakoś uspokoić, musiał zająć się knajpą na szklanke rumu z wodą sodową.

Z czasem jednak wrażenie tej admonicji osłabło i zaczął znów, jak niegdyś, udzielać niewinnych porad lekarskich w małym pokoiku za apteką. Ale burmistrz miał mu to za złe, koledzy byli zazdrośni, należało więc mieć się na baczności. Zjednując sobie pana Bovary tysiącem uprzejmości, chciał zaskarbić jego wdzięczność i w ten sposób zobowiązać go do milczenia, jeśliby doktor zauważył coś kiedykolwiek. Toteż co rano przynosił mu "Dziennik" i często po południu opuszczał na chwilę aptekę, by udać się do lekarza na pogawędkę, Karol był smutny. Pacjenci nie przychodzili. Siedział beczynnie przez długie godziny, milcząc, potem szedł do swego gabinetu zdrzemnąć się lub patrzył, jak żona szyje. Żeby zająć się czymś, wykonywał najcięższe prace domowe i nawet próbował pomalować ściany na strychu resztką farb, które zostawili malarze. Niepokoiły go jednak troski materialne. Wydał tyle na odnowienie domu w Tostes, na stroje pani i na przenosiny, że cały posag, a potem jeszcze trzy tysiące dukatów poszły w dwa lata. A przy tym ileż to rzeczy zniszczono lub zgubiono w drodze z Tostes do Yonville, pomijając już gipsową figurę księdza,

która spadła z wozu na jakimś większym wyboju i roztrzaskała się w drobne kawałki na bruku w Quincampoix!

Inna pogodniejsza myśl odrywała go od tych trosk, a mianowicie myśl o żonie, która była w ciąży. W miarę jak zbliżał się dzień rozwiązania, stawała mu się coraz droższa. Zadzierzgnąć się miała oto między nimi nowa więź cielesna i doznawał uczucia jakby jeszcze pełniejszego zespolenia. Kiedy widział z daleka jej leniwy chód i jej kibić, nieskrępowaną gorsetem, kołyszącą się ociężale w biodrach, kiedy siedział naprzeciwko niej i mógł przypatrywać się do woli znużonym pozom, jakie przybierała w fotelu, nie posiadał się wówczas ze szczęścia. Wstawał, całował ją, gładził po twarzy, nazywał małą mateczką, chciał z nią tańczyć i na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc, obsypywał ją mnóstwem pieszczotliwych żartów, które mu przychodziły na myśl. Nadzieja ojcostwa napełniała go niewypowiedzianą radością. Niczego mu już teraz do szczęścia nie brakowało. Znał życie ludzkie wzdłuż i wszerz i zasiadał doń jak do stołu, rozparty na obu łokciach, z pogodą.

Emma odczuła początkowo wielkie zdumienie, potem niecierpliwie oczekiwała rozwiązania, żeby dowiedzieć się, co to właściwie jest - być matką. Ale że musiała ograniczać się w wydatkach, że nie mogła pozwolić sobie na kołyskę z firankami z różowego jedwabiu i na haftowane czepeczki, zrezygnowała z wyprawki i w przypiływie goryczy zamówiła wszystko u wiejskiej szwaczki, nie wybierając nic i nie omawiając żadnych szczegółów. Nie bawiła się więc w te przygotowania, które podsycają tkliwość macierzyńską, i być może, na skutek tego uczucie jej od pierwszej chwili zubożało w pewnym stopniu. Ponieważ jednak Karol przy każdej okazji mówił o spodziewanym maleństwie, wkrótce i ona zaczęła więcej o nim myśleć.

Pragnęła syna, mocnego chłopca o ciemnych włosach. Nazywałby się Jerzy. Myśl, że zostanie matką mężczyzny, była jakby wynagrodzeniem za wszystkie jej dotychczasowe zawody. Mężczyzna jest przynajmniej wolny, może przemierzać namiętności i kraje, przewyciężać przeszkody, zakosztować najbardziej niedostępnych rozkoszy. A kobieta jest wiecznie skrępowana. Bierna i zarazem ulegająca wpływom, ma przeciw sobie wraz z pokusami ciała i zależność prawną. Drży za każdym powiewem, jak jej własna woalka, przypięta do kapelusza. Zawsze jakieś pragnienie ją pociąga, a powstrzymuje jakiś wzgląd na pozory.

Powiała pewnej niedzieli około szóstej, o wschodzie słońca.

- Dziewczynka! - powiedział Karol. Odwróciła głowę i zemdląta.

Niebawem nadbiegła pani Homais, by ją uściskać, a także pani Lefrancois z "Pod Złotego Lwa". Aptekarz, jako człowiek dyskretny, złożył jej chwilowo życzenia przez uchylone drzwi. Chciał jednak zobaczyć dziecko i orzekł, że jest dobrze zbudowane.

Podczas rekonwalescencji pani Bovary zajęta była bardzo wyszukiwaniem imienia dla córeczki. Z początku pociągały ją imiona o końcówkach włoskich, jak np. Klara, Luiza, Amanda, Atala. Podobała się jej też Galswinda, a jeszcze bardziej Izolda i Leokadia. Karol chciał, by mała nazywała się jak jej matka. Emma jednak sprzeciwiła się temu. Przeglądano kalendarz od początku do końca i radzono się znajomych.

- Pan Leon - powiedział aptekarz - z którym wczoraj mówiłem właśnie o tym, dziwi się, że nie wybrali państwo imienia Magdalena, które jest teraz najmodniejsze.

Ale pani Bovary-matka obruszyła się bardzo na to imię grzesznicy. Co do pana Homais, to gustował on w imionach, które przypominały wielkich ludzi, sławne zdarzenia lub myśl szlachetną, i ochrzcił swoje dzieci stosownie do tych upodobań.

Napoleon więc reprezentował sławę, Franklin - wolność, Irma była może ustępstwem na rzecz romantyzmu, lecz Atalia - hołdem dla największego arcydzieła francuskiego teatru. Albowiem przekonania filozoficzne pana Homais nie mąciły bynajmniej jego zamiłowań artystycznych; człowiek myśli nie stłumił w nim człowieka wrażliwych uczuć. Umiał rozdzielić te rzeczy. Wiedział, kiedy dać folgę wyobraźni, a kiedy być fanatykiem. W tej tragedii np. ganił myśli, ale podziwiał styl. Buntował się przeciw jej koncepcji, ale przyklaskiwał wszystkim szczegółom. Potępiał bohaterów, ale porywały go ich tyrady. Kiedy od czytywał najsłynniejsze ustępy, nie posiadał się z zachwytem; ale na myśl, że klechy wyzyskują to na swą korzyść, był zrozpaczony, i w tym pomieszaniu uczuć pragnął jednocześnie móc uwieńczyć Racine'a obiema rękami i podyskutować z nim przez dobry kwadransik.

Wreszcie Emma przypomniała sobie, że markiza w Vaubeysard, zwracając się do jakiejś młodej kobiety, nazwała ją Bertą. Wybrała więc to imię, a że stary Rouault nie mógł przyjechać, zaproszono pana Homais na ojca chrzestnego. Przyniósł w podarku wszystkie wyroby swego zakładu, a mianowicie:

sześć pudełek suszonych jagód, cały słoik mączki odżywczej, trzy paczki ślazowych cukierków i ponadto sześć lasek mrożonego cukru, które znalazł przypadkiem w ściennej szafie. Wieczorem w dzień uroczystości wydano wspaniałą kolację, na której był też i proboszcz. Podochocili sobie wszyscy. Przy likierze pan Homais zaintonował: Boże dobrych, ludzi, pan Leon odśpiewał barkarolę, a pani Bovary-matka, która była matką chrzestną, romans z czasów cesarstwa. Wreszcie pan Bovary-ojciec zażądał, aby przyniesiono dziecko, i zaczął je chrzczyć wylewając mu z wysoka na głowę kieliszek szampana. Te drwiny z pierwszego sakramentu oburzyły księdza Bournisien. Stary Bovary odpowiedział cytując ustęp z Wojny bogów. Proboszcz chciał wyjść. Panie błagały go, by został. Homais pośredniczył między zwaśnionymi i wreszcie udało się udobruchać księdza, który spokojnie powrócił do niedopitej filiżanki kawy. Pan Bovary-ojciec zabawił jeszcze miesiąc w Yonville i olśnił wszystkich mieszkańców wspaniałą policyjną czapką ze srebrnym galonem, w której co rano palił fajkę na placyku. A że miał zwyczaj pić dużo, posyłał często służącą "Pod Złotego Lwa" po butelkę wódki, którą wpisywano na rachunek syna, a na perfumowanie swych chustek zużył całą wodę kolońską synowej.

Emma lubiła jednak jego towarzystwo. Zwiedził kawał świata, opowiadał o Berlinie, o Wiedniu, o Strasburgu, o swoich oficerskich czasach, o kochankach, które miał, o wielkich przyjęciach, które wydawał, a przy tym był uprzejmy dla niej i nawet czasem, na schodach albo w ogrodzie, chwycił ją wpół wołając:

- Karolu, strzeż się!

Pani Bovary-matka, zaniepokojona o szczęście syna, obawiając się, że przy dłuższym obcowaniu z Emma małżonek jej mógłby wyrzeć zły wpływ na młodą kobietę, przyspieszyła wyjazd. Może miała też i poważniejsze obawy. Pan Bovary był człowiekiem, dla którego nie istniało nic świętego.

Pewnego dnia Emma zapragnęła nagle zobaczyć swoją małą, którą oddano do mamki, żony stolarza, i nie sprawdzając w kalendarzu, czy minęło już sześć obowiązujących ją tygodni odosobnienia, udała się do Rolletów. Mieszkali oni na drugim końcu miasteczka, u stóp wzgórza między gościńcem a łąkami.

Było południe. Okiennice były pozamykane. Łupkowe dachy lśniły pod błękitnym niebem w ostrym blasku i zdawało się, że z ich szczytów sypią się iskry. Wiał duszny, południowy wiatr. Emma zmęczyła się wkrótce. Kamienie chodnika kaleczyły jej stopy. Zawahała się, czy nie wrócić albo nie zejść do kogo, żeby odpocząć.

W tej właśnie chwili z sąsiednich drzwi wyszedł pan Leon z plikiem papierów pod pachą. Przywitał się z nią i stanął w cieniu pod szarą, płócienną markizą przed sklepem pana Lheureux.

Pani Bovary powiedziała, że idzie odwiedzić córeczkę, ale poczuła się zmęczona.

- Jeśli... - odparł Leon, lecz nie odważył się skończyć swej myśli.

- Czy ma pan coś do załatwienia? - spytała. I wobec przeczącej odpowiedzi pisarza poprosiła, by zechciał jej towarzyszyć. Już tego samego wieczoru całe Yonville wiedziało o tym, a pani Tuvache, żona mera, oświadczyła swojej służącej, że pani Bovary kompromituje się.

Aby dojść do mamki, trzeba było przy końcu ulicy skręcić w lewo w kierunku cmentarza w wąską ścieżkę, ocienioną szpalerem ligustru, która wiała się między domkami i podwórzami. Ligustr kwitł właśnie. Kwitły też i ostróżki, róże polne, pokrzywy i lekkie pędy jeżyn wzbijające się ku górze z gąszczu krzewów. Przez dziury w żywopłotach widać było wśród ruder koło chlewów prosiaki, tarzające się na kupach nawozu, i spętane krowy, trące rogi o pnie drzew.

Szli we dwoje powoli, ona wspierała się lekko na jego ramieniu, a on zwalniał kroku, żeby dostosować się do niej. Nad ich głowami w rozgrzanym powietrzu unosił się rój brzęczących muszek.

Poznali domek po starym orzechu, który go ocieniał. Niski, pokryty ciemną dachówką domek ten miał poddasze z małym okienkiem, z którego zwieszały się różańce cebuli. Chruściany płótek ogradzał zagonik sałaty, kilka krzaczków lawendy i pachnącego groszku, wijącego się na tyczkach. Środkiem płynęła struga brudnej wody, gubiąc się w trawie, a dokoła na żywopłocie rozwieszane były jakieś nędzne szmaty: para pończoch, czerwony bawełniany kaftan i duże prześcieradło z grubego płótna. Na skrzyp furtki wyjrzała mamka z dzieckiem przy piersi i z drugim umorusanym, wątlym i skrofulicznym brzdącem, którego ciągnęła za rękę. Był to syn czapnika z Rouen, którego rodzice, zbyt zajęci handlem, oddali na wieś.

- Proszę, niech pani wejdzie - powiedziała - maleńka śpi tutaj.

W jednej dużej izbie stało w głębi, pod ścianą, szerokie łóżko bez firanek, a z drugiej strony, pod oknem o wybitej szybie, zaklejonej krążkiem niebieskiego papieru, duża dzieża. W kącie, za drzwiami, pod balią obok butelki oliwy z piórkiem we tkniętym w szyjkę, stały grube buty podkute błyszczącymi gwoździami. Jakaś książka poniewierała się na zakurzonej kominku wśród skałek, niedopalonych świec i kawałków hubki. Jediną ozdobą mieszkania była bogini sławy, dmąca w trąby. Obrazek ten, przybity do ściany sześcioma gwoździami, wycięty był zapewne z jakiejś reklamy fryzjerskiej.

Dziecko Emmy spało w wiklinowej kołysce, stojącej wprost na ziemi. Wzięła je wraz z kołderką, w którą było owinięte, i kołysząc się zaczęła cichutko śpiewać.

Leon przechadzał się po pokoju. Dziwny mu się wydawał, wśród tej nędzy, widok eleganckiej kobiety w nankinowej sukni. Pani Bovary zaczerwieniła się. Odwrócił oczy myśląc, że spojrzenie jego było może zbyt śmiałe. Ona tymczasem włożyła z powrotem do koszyka małą, która zwymiotowała jej na kołnierzyk. Mamka przybiegła zaraz, by wyczyścić plamę, i zapewniała, że nie będzie nic znać.

- Nie tak mnie ona urządza - mówiła - a myć to ją muszę bezustannie. Może pani łaskawa zechce poprosić pana Camus z galanteryjnego sklepu, żeby wydał mi zawsze trochę mydła; jak będę potrzebowała. I pani tak będzie też wygodniej, bo bez fatygi.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Emma. - Do widzenia, pani Rollet!

I wyszła wycierając nogi na progu.

Kobiecina odprowadziła ich przez całe podwórze skarżąc się, że męczy ją zrywanie w nocy.

- Czasem tak jestem wyczerpana, że zasypiam na krześle. Mogłaby mi też pani dać przynajmniej z funt zmielonej kawy; piłabym ją rano z mlekiem i wystarczyłoby mi na cały miesiąc.

Wysłuchawszy wszystkich jej podziękowań, pani Bovary pożegnała się wreszcie. Uszli jakiś kawałek ścieżynką, gdy rozległ się za nimi stuk sabotów. Odwróciła głowę. Była to mamka, - Cóż tam jeszcze?

Wówczas chłopka, odciągając ją na bok za pień wiązu, zaczęła jej mówić o mężu, który przy swym zawodzie i sześciu frankach rocznie, jakie kapitan...

- Prędej, prędzej - nagliła Emma.

- No więc - ciągnęła dalej mamka wzdychając głęboko za każdym razem - boję się, żeby mu nie było przykro, kiedy rano będę sama piła kawę. Wie pani, jak to mężczyźni.., - No przecież będziecie mieli kawę, przecież obiecałam, nudzicie.

- Moja kochana paniusiu, bo to on właśnie ma od ran straszne klucie w boku. Mówi nawet, że jabłecznik go osłabia.

- Ależ mówcie prędzej, o co chodzi.

- Więc - podjęła znów, dygając - gdyby się pani nie rozgniewała... - dygnęła raz jeszcze - to proszę, jeśli łaska, o flaszeczkę wódki - wykrztusiła wreszcie, rzucając błagalne spojrzenie - a będę nią nacierać stopki malutkiej, bo takie ma delikatne jak ten jedwabik. Pozbywszy się wreszcie mamki, Emma ujęła znów pod rękę pana Leona. Przez pewien czas szła szybko, po czym zwolniła kroku. Błądząc wzrokiem dokoła napotkała ramię młodzieńca i czarny aksamitny kołnierzyk jego kurtki, na który spadały kasztanowate włosy, gładkie i starannie zaczesane. Zauważyła też, że paznokcie ma dłuższe, niż było to przyjęte w Yonville, Dbanie o paznokcie było jednym z głównych zajęć pisarza i chował w swym kantorku specjalny scyzoryk do tego użytku.

Wracali do Yonville nad wodą. W lecie poziom jej opadał odsłaniając mury ogrodów aż do ich fundamentów wraz ze schodkami, które prowadziły do rzeki. Płynęła cicho, bystra i zimna. Długie, cienkie wodorosty wiły się, kołysane jej prądem, i rozścielały w przezroczystej strudze pasma zielonych włosów. Niekiedy na czubku trzciny lub na liściu nenufaru przysiadł lub przechadzał się jakiś owad o cienkich nóżkach. Promienie słońca prześwieślały błękitne, pękające wciąż bańki wody, płynące jedna za drugą. Stare wierzby, ogołoczone z gałęzi, przeglądały się w wodzie siwą korą. A dalej łąka zdawała się całkiem pusta. Była to pora obiadu w fermach. Młoda kobieta i jej towarzysz słyszeli tylko rytm własnych kroków na ubitej ścieżce, słowa, które zamieniali, i szelest sukni Emmy.

Mury ogrodów, najeżone na szczytach szkłem potłuczonych butelek, rozgrzane były jak szyby w cieplarni. W szparach między cegłami rósł żółty lak i pani Bovary, przechodząc, potrącała brzegiem otwartej parasolki zwiędłe kwiatki, rozsypujące się w złoty pył. A czasem wychylająca się z za muru gałązka kaprifolium lub powojnika sunęła przez chwilę po jedwabiu, zaczepiając o frędzelki.

Mówili o balecie hiszpańskim, który miał wkrótce wystąpić w teatrze w Rouen.

- Pojedzie pan? - spytała.

- Jeżeli będę mógł - odparł.

Czy nie mieli sobie nic innego do powiedzenia? Oczy ich jednak zdawały się być pełne bardziej ważkich rozmów. I gdy wysilali się na wynajdywanie zdawkowych słów, czuli oboje, że ogarnia ich jakaś błoga niemoc; był to jakby nieprzerwany szepcący głos, górujący nad ich głosami. Zaskoczeni tą nieznaną słodyczą, nie pomyśleli nawet o tym, żeby się z niej zwierzyć lub szukać jej źródła. Przyszłe szczęście, jak



podzwrotnikowe wybrzeża, rzuca daleko, na nieskończoność wód rodzimy czar, powiew pachnący, który odurza tak, że nie troszczymy się już o niewidzialny horyzont.

W pewnym miejscu ziemia tak była zryta kopytami zwierząt, że trzeba było przeskakiwać po dużych, zielonych kamieniach leżących w błocie. Emma często zatrzymywała się na chwilę, zastanawiając się, gdzie postawić nogę, i chwiejąc się na drżącym kamieniu pochylała się z rozstawionymi łokciami, podnosząc ramiona, rzucając niepewne spojrzenia i śmiejąc się w obawie, że wpadnie w kałużę.

Gdy doszli do jej ogródka, pani Bovary pchnęła furtkę, wbiegła po schodach i znikła.

Leon wrócił do kancelarii. Rejenta nie było. Rzucił okiem na teczki z aktami, zatemperował pióro, wreszcie wziął kapelusz i wyszedł.

Powędrował aż na szczyt Argueil, pod las, na "Pastwisko". Położył się na ziemi pod jodłami i patrzył w niebo poprzez palce.

- Nudzę się - mówił sobie. - Ach! jak się nudzę!

Użalał się nad sobą, że wypadło mu żyć w tej zapadłej dziurze, mając za przyjaciela pana Homais, a za przełożonego pana Guillaumin. Ten ostatni zajęty był wyłącznie interesami, nosił okulary w złotej oprawie, rude bokobrody na białym halsztuku i nie miał żadnego zrozumienia dla finezji umysłu, choć pozował na sztywnego Anglika i z początku olśnił tym Leona. Co do pani aptekarzowej, to była ona najlepszą małżonką w całej Normandii. Łagodna jak baranek, kochała dzieci, ojca, matkę i wszystkich krewnych, płakała nad nieszczęściami bliźnich, nie miała pojęcia o gospodarstwie i czuła wstręt do gorsetów. Ale była tak powolna w ruchach, tak nudna w rozmowie, o wyglądzie tak pospolitym, o zainteresowaniach tak ograniczonych, że choć miała trzydzieści lat, a on dwadzieścia, choć mieszkali drzwi w drzwi, choć rozmawiali ze sobą co dzień, nie przyszło mu nigdy na myśl, że mogła być dla kogoś kobietą i że prócz sukni ma jeszcze inne cechy, właściwe jej płci.

A poza tym któż był jeszcze? Binet, paru kupców, dwóch czy trzech karczmarzy, proboszcz i wreszcie mer miasteczka, Tuvache, wraz ze swymi dwoma synami. Byli to ludzie majątni, mrukliwi i tępi. Sami uprawiali rolę, upijali się w rodzinnym kółku, a w towarzystwie byli nudni nie do wytrzymania i pełni bigoterii. Lecz na pospolitym tle tych wszystkich twarzy oblicze Emmy odbijało wyraźne, a jednak dalekie, gdyż czuł, że dzieli ich nieuchwytna przepaść.

Z początku odwiedził ją parę razy w towarzystwie aptekarza. Karol jednak nie był mu rad i Leon nie wiedział, jak zbliżyć się do niej. Nie chciał się narzucać, ale zarazem pragnął jakiejś bliższej zażyłości, choć wydawała mu się prawie nieosiągalna.

Gdy tylko nastały pierwsze chłody, Emma przeniosła się ze swego pokoju do dużej sali o niskim suficie, gdzie pod lustrem, na kominku, stał nastroszony polipnik. Siedząc w fotelu przy oknie widziała wszystkich mieszkańców miasteczka przechodzących ulicą.

Leon dwa razy dziennie chadzał ze swej kancelarii "Pod Złotego Lwa". Emma z daleka poznawała jego kroki i wychylała się nasłuchując. A młodzieniec, zawsze tak samo ubrany, przesuwał się za firanką nie odwracając głowy. Ale o zmierzchu, gdy opierała podbródek na lewym ręku i opuszczała na kolana zaczęty haft, nieraz drgnęła na widok tego cienia prześlizgującego się za oknem. Wstawała wówczas i kazała nakrywać do stołu.

Pan Homais przychodził podczas obiadu z czapeczką w ręku, wsuwał się cichymi krokami, żeby nikomu nie przeszkadzać, i zawsze powtarzał te same słowa:

"Moje uszanowanie towarzystwu!" Potem gdy zasiadł już na swoim miejscu przy stole, między małżonkami, rozpytywał lekarza o pacjentów, a ten ze swej strony naradzał się z nim co do ewentualnych honorariów. Później mówili o nowinach z gazety; Homais o tej porze znał już ją prawie na pamięć i referował w całości wraz z komentarzami dziennikarzy i sprawozdaniami ze wszystkich katastrof, jakie wydarzyły się we Francji lub za granicą. Ale temat ten wyczerpywał się wkrótce i Homais nie omieszkował wówczas rzucić kilku uwag o potrawach, które miał przed oczyma. Czasem nawet, podnosząc się z lekka, pozwalał sobie delikatnie wskazać pani najsmaczniejszy kąsek lub, zwracając się do służącej, udzielał rad w sprawie gulaszy i właściwego przyrządzania zapraw i sosów. Mówił o aromatach, esencjach, sokach i żelatynach w sposób zupełnie olśniewający. Miał on zresztą w głowie więcej przepisów niż słoí w aptece i celował w robieniu najrozmaitszych konfitur, octu i słodkich likierów. Znał też wszystkie nowe wynalazki oszczędzające paliwo, a także posiadał sztukę konserwowania serów i przechowywania win.

O ósmej przychodził po niego Justyn, by zamknąć aptekę. Wówczas Homais rzucał na niego filuterne spojrzenie, szczególnie jeśli była w pokoju Felicja, gdyż zauważył, że uczeń jego chętnie przesiaduje w domu lekarza.

- Mój zuch - powiadał - zaczyna mieć jakieś niezdrowe myśli i niech mnie diabli porwą, jeśli nie kocha się w waszej dziewczynie!

Ale miał mu za złe rzecz znacznie gorszą: ustawiczne przysłuchiwanie się rozmowom. Na przykład w niedzielę nie było sposobu wyprowadzić go z salonu, gdy pani Homais wołała go, by zabrał dzieci, które zasypiały w fotelach, ściągając zbyt szerokie, perkalowe pokrowce.

Niewiele osób przychodziło do aptekarza na te niedzielne wieczory, gdyż jego zły język i przekonania polityczne zraziły do niego kolejno rozmaite szanujące się osoby. Pisarz jednak nie opuszczał ich nigdy i gdy tylko rozlegał się dzwonek, wybiegał na spotkanie pani Bovary, odbierał jej z rąk szal i jeśli był śnieg, pomagał zdjąć grube sukienne buty, które wkładała na swe pantofelki, i stawiał je z boku, pod biurkiem aptekarza.

Grano najpierw w trzydzieści jeden. Potem pan Homais zasiadał z Emmą do ecarte, a Leon udzielał jej rad. Stojąc za nią z tyłu, kładł ręce na oparciu krzesła i wpatrywał się w drobne zęby wsuniętego w jej włosy grzebienia. Za każdym razem, gdy rzucała karty, suknia jej unosiła się z lekka z prawej strony. Wysoko upięte włosy rzucały na plecy brunatny cień, który coraz to blednąc rozplątywał się w mroku, a niżej bufiasta spódnica opadała po obu stronach krzesła i słała się po ziemi, pełna fałd. Gdy Leon przydepnął czasem jej brzeżek, szybko odsuwał nogę, jakby nastąpił na coś żywego.

Po skończonej partyjce aptekarz grał z doktorem w domino, a Emma przechodziła do innego stołu i zabierała się do przeglądania "Illustration". Przynosiła też swoje żurnale mód. Leon przysiadł się do niej; oglądali razem ryciny i przy końcu stronicy czekali na siebie nawzajem. Często prosiła go, żeby zadeklamował jej jakieś wiersze. Recytował je, śpiewnie przeciągając sylaby i zniżał odpowiednio głos, gdy była mowa o miłości. Ale stuk domina przeszkadzał mu, pan Homais był zawsze górá i bił Karola podwójną szóstką. Rozegrawszy trzy setki, zasiadali wygodnie przed kominkiem i niebawem zasypiali obydwoj.

Ogień dogasał w popiele; imbryk był pusty; Leon czytał jeszcze, a Emma słuchając go obracała bezwiednie jedwabny abażur, na którym wymalowane były pierrotki w powozach i tancerki na linie. Wreszcie Leon przerywał czytanie, wskazując uśpione audytorium; ścisiali wówczas głos i rozmowa wydawała się im tym milsza, że nie była przez nikogo słyszana.

I tak przez ciągłą wymianę książek i nut wytworzyła się między nimi stała łączność. Pan Bovary, nie będąc z natury zazdrosny, wcale się temu nie dziwił.

Dostał na imieniny piękną głowę frenologiczną, wymalowaną na niebiesko i całą, aż do klatki piersiowej, poznaczoną cyframi. Był to prezent od pisarza.

Leon wyświadczał mu zresztą i wiele innych uprzejmości. Posuwał się nawet do tego, iż załatwiał mu sprawunki w Rouen, a że właśnie pewna głośna powieść wprowadziła w modę kaktusy, przywoził je pani, trzymając na kolanach w "Jaskółce" i kłując sobie palce o ich twarde kolce.

Emma kazała przybić w oknie półeczkę na doniczki. Niebawem pisarz też założył sobie wiszący ogródek i spoglądali na siebie z daleka, pielęgnując kwiaty.

Wśród okien miasteczka jedno bywało jeszcze częściej zajęte, było to okno pana Binet. W każdą niedzielę od rana do wieczora i każdego popołudnia, dopóki się nie ściemniło, widniał w nim suchy profil Bineta pochylonego nad tokarnią, której monotonne warczenie słychać było aż "Pod Żółtym Lwem".

Pewnego wieczoru Leon wróciwszy do domu znalazł w swym pokoju kapę z wełny i aksamitu, z liśćmi wyszytymi na jasnym tle. Zawołał panią Homais, Justyna, dzieci i kucharkę. Powiedział o tym swemu pryncypałowi. Wszyscy pragnęli zobaczyć kapę. Czemu żona lekarza robiła pisarzowi takie wspaniałe podarki? Wydało się to podejrzane i wszyscy doszli do wniosku, że na pewno jest jego przyjaciółką.

Zresztą sam utwierdzał znajomych w tym mniemaniu, rozprawiając wciąż o jej wdziękach i inteligencji, aż wreszcie Binet odpowiedział mu kiedyś szorstko:

- Cóż mnie to wszystko obchodzi, przecież nie należę do tego towarzystwa!

A Leon dręczył się, szukając sposobu, jak zrobić wyznanie. Wahał się wciąż, bojąc się ściągnąć na siebie jej gniew, a jednocześnie pogardzał sobą za tę małoduszność i płakał z bezsilnej żądz. Potem, powziąwszy stanowczą decyzję, zdobywał się na list, dał go po chwili lub wyznaczał sobie terminy i sam je odraczał. Często szedł do niej, zdecydowany na wszystko. Ale gdy tylko ją ujrzał, zmieniał zaraz postanowienie. I kiedy Karol zjawiał się, proponując mu przejażdżkę powozikiem, bo wybierał się właśnie do chorego, przyjmował chętnie zaproszenie, żegnał panią i wychodził. Czyż mąż jej nie był jakąś częścią jej samej?

Emma zaś nie zastanawiała się wcale nad tym, czy kocha Leona. Myślała, że miłość powinna spaść wśród gromów i błyskawic jak huragan, który z niebios wtargnąwszy nagle w życie trąca wszystko, porywa ludzkie postanowienia, jak liście, i serce pociąga za sobą w otchłań. Nie wiedziała, że gdy zatkają się rynny, deszcz może zalać taras domu, i czuła się wciąż bezpieczna, gdy nagle pewnego dnia odkryła rysującą się na ścianie szczelinę.

Było to w lutym w jakieś niedzielne popołudnie.

Całe towarzystwo, państwo Bovary, państwo Homais i pan Leon wybrali się razem, by zwiedzić nową przędzalnię Inu, założoną w dolinie o pół mili od Yonville. Aptekarz wziął Napoleona i Atalię, by użyli przechadzki, a Justyn towarzyszył im, niosąc na ramieniu parasole.

Nie było tam jednak nic a nic ciekawego. Na dużej przestrzeni leżały rozrzucone w nieładzie, wśród kup piasku i żwiru, zębate i już zardzewiałe koła przed długim prostokątnym budynkiem o licznych małych okienkach. Budynek był nie dokończony i przez belkowanie dachu przeświecało niebo. Trójbarwne wstęgi przywiązanego do belki szczytowej słomianego wiechcia, w którym tkwiło kilka kłosów, łopotwały na wietrze.

Homais rozprawił, tłumacząc całemu towarzystwu znaczenie, jakie w przyszłości mieć będą te zakłady; obliczał przypuszczalną wytrzymałość podłóg,

grubość murów i żałował bardzo, że nie ma laski metrycznej, jak pan Binet, który miał taką laskę do swego prywatnego użytku.

Emma wsparta na jego ramieniu wpatrywała się w tarczę słoneczną, która w dali, we mgle, płonęła biała i olśniewająca. Lecz odwróciła głowę: Karol stał przy niej. Czapkę miał nasuniętą aż na brwi, grube jego wargi drżały i nadawało to jego twarzy głupkowaty wyraz. Nawet jego plecy, spokój jego pleców był irytujący i zdawało się jej, że na kurtce rozpościera się cała popolitość jego osoby.

Gdy tak przyglądała mu się, doszukując się w swej odrazie jakiejś perwersyjnej rozkoszy, zauważyła Leona, który wysunął się o krok naprzód. Zimno zdawało się powlekać jego twarz subtelniejszą bledością. Między krawatem a luźnym kołnierzykiem można było dostrzec kawałek obnażonej skóry, spod pasma włosów wychylał się koniec ucha, a wielkie, błękitne oczy, wzniesione w obłoki, wydały się jej piękniejsze i bardziej przejrzyste od górskich jezior, w których przegląda się niebo.

- Nieszczęsny! - krzyknął nagle aptekarz.

I pobiegł do syna, który wskoczył do gaszonego wapna, żeby umalować sobie na białe buciki. Na grad wyrzutów Napoleon odpowiedział dzikimi wrzaskami, a Justyn wycierał mu tymczasem buty wiechciem słomy. Trzeba było jednak oskrobać je nożem. Karol podał swój.

"Ach! - powiedziała sobie - nosi nóż w kieszeni, jak chłop!"

Prószył drobny śnieg, wrócono więc do Yonville. Pani Bovary nie poszła wieczorem do sąsiadów. Po wyjściu Karola, gdy została wreszcie sama, porównanie między mężem a pisarzem notarialnym narzuciło jej się znów z całą ostrością świeżych doznań, a jednocześnie w owym oddaleniu, jakiego użycza przedmiotom wspomnienie. Patrząc ze swego łóżka w jasny płomień ognia widziała Leona, jak tam, przed chwilą, gdy jedną ręką wspierał się na giętkiej laseczce, a drugą trzymał za rękę Atalię, która spokojnie ssała kawałek lodu. Wydawał się jej uroczy. Nie mogła odeń myśli oderwać. Przypominała sobie jego wygląd w inne dni, zdania, które był wypowiedział, brzmienie głosu, całą jego osobę i wysuwając wargi jak do pocałunku powtarzała:

"O tak, uroczy! uroczy! Czy zakochany? - zapytywała siebie. - Zapewne! Ale w kim?... Ależ we mnie przecie!"

Uświadomiła sobie nagle wszystkie dowody jego uczucia i serce jej podskoczyło z radości. Ogień płonący w kominku rzucał na sufit wesoly, migotliwy blask. Położyła się na wznak, przeciągając ramiona.

Zaczęła się wówczas odwieczna skarga: "Ach! Gdyby Bóg tak zechciał! Czemuż tak nie jest? Cóż stało na przeszkodzie?"

Gdy Karol wrócił około północy, udała, że się budzi, a że rozbierał się hałaśliwie, zaczęła się uskarżać na migrenę, potem zaś spytała od niechcenia, jak spędzili wieczór.

- Pan Leon - odparł - wyszedł wcześniej.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu i zasnęła z duszą pełną nowego, nieznanego upojenia.

Nazajutrz późnym wieczorem złożył jej wizytę imć pan Lheureux, kupiec galanteryjny. Sprytny to był handlarz.

Rodem z Gaskonii, osiedlił się jednak na stałe w Normandii i łączył gadatliwość południowca z przebiegłością właściwą mieszkańcom północy. Twarz jego tłusta, nalana i pozbawiona zarostu zdawała się być skąpana w lekkim odwarze lukrecji, a biała czupryna podkreślała przenikliwe spojrzenie małych, czarnych oczu. Nikt nie wiedział, czym trudnił się przedtem: jedni twierdzili, że był tragarzem, inni, że bankierem w Routot. To tylko było pewne, że robił w pamięci nader skomplikowane

obliczenia i przerażał tym samego pana Binet. Uprzejmy aż do śmieszności, zginał się zawsze wół, jakby się kłaniał lub zapraszał.

Zostawiwszy w przedpokoju kapelusz, przybrany krepą, postawił na stole zielone tekturowe pudło i zaczął uskarżać się pani, prawiąc jej przy tym mnóstwo uprzejmości, że nie okazała mu dotąd zaufania. Skromny jego sklepik nie mógł oczywiście zainteresować takiej elegantki, dodał z naciskiem. Niech jednak zechce tylko mu rozkazać, a dostarczy jej wszystkiego, czego zażąda, czy to z galanterii, czy z bielizny lub nowych materiałów, gdyż co tydzień jeździ do miasta i jest w stałym kontakcie z najpoważniejszymi firmami. Można to sprawdzić u "Trzech Braci", pod "Złotą Brodą" lub i u "Dzikusa". Wszyscy ci panowie znają go jak własną kieszeń. Dziś więc zaszedł do pani pokazać jej rozmaite towary, które zdobył dzięki wyjątkowej okazji. I wyciągnął z pudełka pół tuzina haftowanych kołnierzyków. Pani Bovary przyjrzała się im i powiedziała:

- Niczego mi nie potrzeba.

Wówczas pan Lheureux wyjął delikatnie dwie i szarfy algierskie, kilka paczek angielskich igieł, parę słomkowych pantofli i wreszcie dwa kieliszki na jajka, rzeźbione przez więźniów w łupinie kokosowego orzecha. Potem pochyłony, z rękoma opartymi na stole, z wyciągniętą szyją śledził pilnie z otwartymi ustami spojrzenie Emmy, której wzrok błędził niezdecydowanie po rozłożonych towarach. Czasami, jakby chcąc strzepnąć jakiś pyłek, trącał paznokciem szarfy, rozwinięte na całą długość; drżały z cichnym szelestem i tkanina ich migotała, jakby usiana drobnymi złotymi gwiazdkami.

- Ile kosztują?

- Grosze - odparł - grosze, zresztą nie ma pośpiechu. Zapłaci pani, kiedy pani zechce. Nie jesteśmy Żydami.

Namyślała się przez chwilę i wreszcie odmówiła. Pan Lheureux odparł bez żadnej urazy:

- To nic! Innym razem dojdziemy do porozumienia. Z wszystkimi paniami, z wyjątkiem mojej żony, umiem dojść do ładu.

Emma uśmiechnęła się.

- Chciałem tylko powiedzieć - dodał dobrodusznie po tym żarciku - że nie o pieniądze mu chodzi. Służę nimi chętnie, gdyby zaszła potrzeba.

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Ach! - mówił szybko, zniżając głos. - Nie potrzebowałbym ich daleko szukać, żeby je dla pani znaleźć. Proszę na mnie liczyć.

I zaczął wypytywać o zdrowie starego Tellier, właściciela "Kawiarni Francuskiej", którego leczył wówczas pan Bovary.

- Cóż to dolega ojcu Tellier? Kaszle, aż się cały dom trzęsie, i obawiam się, że wkrótce bardziej mu będzie potrzebny paltocik z sosnowych desek niż barchanowy kaftan! Ale się też nahulał za młodu! Tacy ludzie, proszę pani, nie znają w niczym miary! Nasiąkł wódką, jak gąbka! A jednak przykro jest patrzeć, jak się znajomi wynoszą.

I zamykając tekturowe pudło rozprawił o pacjentach doktora.

- To z tej niepogody biorą się te wszystkie choroby - mówił, rzucając niechętnie spojrzenie na okno. - Ja też jestem jakiś nieswój. Powinienem się wybrać w tych dniach do pana doktora po poradę, bo mnie coś w plecach kłuje. No, do widzenia, pani Bovary - zawsze do usług, sługa uniżony.

I cicho zamknął drzwi za sobą.

Emma kazała sobie podać obiad na tacy, przy kominku, w swoim pokoju. Jadła powoli. Wszystko jej smakowało.

"Jakże byłam rozsądna" - mówiła sobie myśląc o szarfach.

Usłyszała kroki w przedpokoju: był to Leon. Wstała i wzięła z komody, ze stosu ścierek przygotowanych do obrębiania pierwszą z brzegu. Gdy wszedł, zdawała się być bardzo zajęta.

Rozmowa nie kleiła się. Pani Bovary milkła co chwila, a on był jakby zakłopotany. Siedział na niskim taboreciku przy kominku i obracał w palcach igielnik z kości słoniowej. Emma szybko przesuwiała igłę lub niekiedy paznokciem zaginała na płótnie obrębek. Nic nie mówiła. On siedział cicho, urzeczony jej milczeniem, jak słowami.

"Biedny chłopiec!" - myślała.

"Cóż się jej we mnie nie podoba?" - zapytywał się w duchu. Wreszcie powiedział, że wybiera się w tych dniach do Rouen w sprawach rejenta.

- Pani abonament już się skończył; czy mam go odnowić?
- Nie - odparła.
- Dlaczego?
- Bo tak...

I przygryzając wargi, wyciągała powoli długą, szarą nitkę. Ta praca drażniła Leona. Końce palców Emmy zdawały się kaleczyć o grube płótno. Przyszedł mu do głowy zgrabny komplement, ale nie ośmielił się go wypowiedzieć.

- Rezygnuje więc pani z abonamentu? - podjął znów.  
- Co? - odparła żywo. - Muzyka? Ach! Tak, mój Boże! Czyż nie muszę dbać o dom, o męża, troszczyć się o tysiąc innych spraw, pamiętać o mnóstwie obowiązków, które mają pierwszeństwo. Spojrzała na zegar. Karol spóźnił się. Udała zaniepokojoną. Powtórzyła dwa razy:

- On jest taki dobry!

Pisarz lubił pana Bovary, ale ten przyływ jej czułości dotknął go niemile; mimo to jednak rozwodzić się zaczął w pochwałach, które, jak powiadał, słyszał o nim od wszystkich, a w szczególności od aptekarza.

- O, to zacy człowiek - podjęła znów Emma.  
- Tak, zapewne - dorzucił. I zaczął jej mówić o pani Homais, której zaniedbanie dostarczyło im nieraz tematu do żartów.

- I cóż to znaczy - przerwała Emma. - Dobra matka rodziny nie powinna się troszczyć o toalety.

I znów zapadło milczenie.

Podobnie zachowywała się w następne dni. To, co mówiła, i cały jej sposób bycia, wszystko się w niej zmieniło. Zajęła się gospodarstwem, zaczęła regularnie chodzić do kościoła i trzymała krótko służącą.

Odebrała też Bertę od mamki i kiedy miała gości, kazała Felicji przyprowadzać małą: rozbierała ją i pokazywała jej ciało. Mówiła wszystkim, że kocha dzieci, że to jedyna jej pociecha, cała jej radość, że szaleje za nimi; pieśczętom jej towarzyszyły wybuchy liryczne, które komu innemu niż mieszkańcom Yonville, przypominałyby żywo Sachette z Katedry Panny Marii.

Karol, gdy wracał, zastawał przy kominku pantofle. Kamizelki jego miały teraz całą podszewkę, a koszulom nie brakło guzików i nawet mógł z przyjemnością podziwiać w szafie stosy starannie ułożonych, bawełnianych szlafmyc. Nie grymasiła jak dawniej, gdy chciał przejść się z nią po ogrodzie. Zgadzała się nawet na wszystko, co zaproponował, i choć nie rozumiała jego życzeń, poddawała się im bez szemrania; i gdy Leon widział Karola, który siedział przy kominku z rękoma na

brzuchu, z nogami opartymi o żelazne pręty, zarumieniony od trawienia, z oczyma wilgotnymi ze szczęścia, a przy nim na dywanie małe dziecko i tę smukłą kobietę, która przechylając się przez poręcz fotela całowała go w czoło, mówił sobie:

- Cóż za szaleństwo! Jakże będę mógł dotrzeć do niej?

Wydawała mu się tak cnotliwa i nieprzystępna, że stracił już nawet cień nadziei.

Ale wyrzekając się jej, stawiał ją jednocześnie na piedestale. Wyzbyła się w jego oczach swej cielesności, od której niczego już nie oczekiwał, i wznosiła 13i"

się coraz wyżej w jego sercu, jakby ulatując w apoteozie. Było to jedno z tych czystych uczuć, nie zakłócających życia, które pielęgnuje się, bo są rzadkie, i których utrata martwi bardziej, niż posiadanie raduje.

Emma schudła, policzki jej zbladły, twarz wydłużyła się. Zawsze teraz milcząca, z pasmami kruczych włosów, z wielkimi oczyma, prostym nosem i ptasimi ruchami, czyż nie zdawała się przechodzić przez życie nie tykając ziemi i czyż nie miała na czole nieokreślonego piętna jakichś wzniosłych przeznaczeń? Była taka smutna, tak spokojna, tak łagodna i tak powściągliwa, że rozsiewała dokoła jakiś lodowaty czar, podobny do dreszczu, jaki przejmuje nas nieraz w kościele, wśród woni kwiatów i chłodu marmurów. Inni również ulegli temu urokowi.

Aptekarz mawiał:

- To kobieta o wielkich możliwościach. Byłaby na swoim miejscu nawet w podprefekturze.

Mieszczanie podziwiali jej oszczędność, chorzy uprzejmość, a biedni miłosierdzie. Ona zaś pełna była żądz, wściekłości i nienawiści. Pod prostymi fałdami sukni kryło się wzburzone serce, a wstydlive wargi nie zdradzały jego szamotań. Kochała się w Leonie i szukała samotności, żeby móc do syta rozkoszować się jego obrazem. Widok jego osoby mącił rozkosz tej kontemplacji. Drżała na odgłos jego kroków, a gdy zjawiał się, wzruszenie zniknęło i pozostawało tylko jakieś ogromne zdumienie, pełne smutku.

Leon nie wiedział, że gdy wychodzi od niej zrozpaczony, ona wygląda za nim, by zobaczyć go jeszcze na ulicy. Tropiła jego kroki, śledziła bacznie wyraz twarzy i wymyśliła jakieś niestworzone historie, żeby mieć pretekst do zobaczenia jego pokoju. Uważała żonę aptekarza za bardzo szczęśliwą, gdyż mogła spać z nim pod jednym dachem. I myśli jej nieustannie krążyły wokół tego domu, jak gołębie z "Pod Złotego Lwa", które przylatywały tam kapać w rynnach swe różowe łapki i białe skrzydła. Ale im wyraźniej uświadamiała sobie swą miłość, tym głębiej spychała ją na dno, by ją ukryć i stłumić. Chciała, by Leon odgadł jej uczucie. Wyobrażała sobie zdarzenia i wypadki, które by to ułatwiły. Powstrzymywało ją zapewne lenistwo czy strach, a także i wstyd. Myślała, że odepchnęła go zbyt daleko, że już za późno, że wszystko stracone. A pycha i radość, że może sobie powiedzieć: "Jestem cnotliwa", i przeglądać się w lustrze przybierając zrezygnowane pozy, pocieszały ją trochę w tym, co zdawało się jej poświęceniem.

Pragnienie ciała, żądza pieniędzy i melancholijna namiętność, wszystko to splotło się w jedno cierpienie i zamiast odwrócić odeń myśli, przywiązywała się doń coraz bardziej, szukając wszędzie okazji, by rozjątrzyć swój ból. Irytowała ją źle podana potrawa i niedomknięte drzwi, wzdychała żałośnie do aksamitów, których nie miała, i do szczęścia, którego jej brakło, opłakiwała swoje marzenia zbyt górne i domek zbyt ciasny.

Doprowadzało ją do rozpaczyny to, że Karol nie zdawał się wcale domyślać jej męczarni. Jego przekonanie, że potrafił ją uszczęśliwić, uważała za najgłupszą obelgę, a pewność siebie w tym względzie za niewdzięczność.

Dla kogóż to była tak cnotliwa? Czyż nie on właśnie był przeszkodą we wszystkich radościach, przyczyną całej męki i jakby ostrym kolcem w splocie tych rozlicznych więzów, które oplatały ją ze wszystkich stron?

Toteż na nim jednym skupiła całą nienawiść, wynikającą z goryczy jej życia, a każdy wysiłek, żeby ją stłumić, wzmagał ją tylko. Bo ten próżny trud, dodany do powodów rozpacz, przyczyniał się jeszcze bardziej, by ją od męża odsunąć. Własna uległość podniecała ją do buntu. Przeciętność jej życia budziła zbytkowne zachcianki, a czułości małżeńskie - wiarołomne pragnienia. Chciała, by Karol ją bił, aby mieć większe prawo do nienawiści, do zemsty. Zdumiona była czasem okrucieństwem obrazów, które przychodziły jej na myśl; a trzeba się było wciąż uśmiechać, słuchać własnych zapewnień, że jest szczęśliwa, udawać, że jest nią w istocie, i pozwolić mu w to wierzyć. Jednak ta hipokryzja budziła w niej wstręt. Brała ją czasem pokusa, by uciec z Leonem gdzieś daleko i zacząć nowe życie. Ale otwierała się wówczas w jej duszy jakaś otchłań pełna ciemności.

"Zresztą nie kocha mnie już - myślała. - Co począć? Skąd oczekiwać pomocy, ulgi, pociechy?"

Złamana, wyczerpana, bezwładna, łkała cicho, zalewając się łzami.

- Dlaczego nie powiedzieć o tym panu? - pytała służąca, gdy zdarzyło się jej wejść podczas takiego ataku.

- To nerwy - odpowiadała Emma - nie mów mu o tym, zmartwiłabyś go.

- Ach, tak! - podejmowała Felicja. - Z panią to jest jak z tą córką starego Guerin, rybaka z Pollet, którego poznałam w Dieppe, zanim przyjechałam do pani. Była taka smutna, taka smutna, że kiedy wychodziła za próg, to jakby kto całun pogrzebowy wywiesił na drzwiach. Mówili, że jej choroba to taka jakaś mgła, co ją miała w głowie, i ani doktorzy, ani ksiądz nic na to poradzić nie mogli. Kiedy ją gorzej napadało, szła sama nad morze i strażnik celny przechodząc widział nieraz, jak płacze leżąc twarzą do ziemi. Powiadają, że jej to potem przeszło, jak wyszła za męża.

- Ale mnie - odparła Emma - mnie to właśnie spotkało, jak wyszłam za męża.

wi Pewnego wieczoru, gdy siedziała w otwartym oknie patrząc, jak Lestiboudois przycina krzaki bukszpanu, posłyszała nagle dzwon na Anioł Pański.

Było to na początku kwietnia, gdy rozkwitają pierwiosnki i ciepły wietrzyk przebiega po skopanych grzędach, a ogrody, jak kobiety, zdają się przystrajać na święto lata. Przez kratę altany widać było kręty bieg rzeki, wijącej się kapryśnie wśród traw. Wieczne opary zacierały kontury bezlistnych topoli liliową mgiełką, która zawieszana się na gałązkach delikatna, bardziej przejrzysta od najcieńszej gazy. W oddali przechodziły stada bydła, a nie słychać było ani tupotu, ani porykiwań, tylko miarowe bicie dzwonu, jak łagodna skarga, rozlegało się wciąż w powietrzu.

Myśl młodej kobiety, zasłuchanej w te powtarzające się dźwięki, błąkała się wśród wspomnień młodości, gdy była na pensji. Przypomniały się jej wielkie lichtarze, wznoszące się nad wazonami pełnymi kwiatów, i tabernakulum z kolumienkami. Pragnęła, jak niegdyś, zagubić się w długim szeregu białych woali, wśród których czerniały tu i ówdzie sztywne kwefy siostr, pochylonych nad klęcznikiem. Gdy w niedzielę podczas mszy podnosiła głowę, dostrzegła poprzez błękitnawe kłęby dymu, unoszące się z kadzideł, słodkie oblicze Przenajświętszej Panny. Ogarnęło ją wzruszenie; poczuła się bezradna, opuszczona jak piórko ptasie, porwane wichrem, i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, skierowała się do kościoła, skłonna do wszelkiego rodzaju pobożnych praktyk, byleby w nich mogła zatopić duszę i zatracić całe swe istnienie.



Na placu spotkała pana Lestiboudois, który wracał z kościoła; żeby nie tracić czasu przeznaczonego na inną robotę, wolał przerwać ją w środku, a potem znów do niej powrócić, dzwonił więc na Anioł Pański, kiedy mu to najbardziej dogadzało. Zresztą, jeśli wypadło to wcześniej, dzwon przypominał chłopcom o godzinie katechizmu.

Kilku z nich grało w kulki na płytach cementarza. Inni, siedząc okrakiem na murze, wymachiwali nogami i ścinali sabotami pokrzywy rosnące między niskim ogrodzeniem a rzędem ostatnich mogił. Było to jedyne miejsce, gdzie się coś zieleniło. Cała reszta była kamieniem, który mimo miotły zakrystiana, pokrywał się wciąż drobnym pyłem.

Dzieci w łapciach biegały tu jak po umyślnie dla nich ułożonej posadzce i poprzez bicie dzwonu słychać było ich donośne okrzyki. Dzwiezczał on coraz ciszej kołysząc się na grubym sznurze, który zwisał ze szczytu dzwonnicy, a końcem włóczył się po ziemi. Jaskółki przelatywały z ostrym piskiem i. tnąc w locie powietrze wracały szybko do żółtych gniazdek, przylepionych pod gzymsem. W głębi kościoła płonęła lampa, to jest mały knocik w zawieszanej szklaneczce. Z daleka światło jej zdawało się białawą plamką, drżącą na oliwie. Długi promień słońca, przecinając główną nawę, pogrążał w jeszcze głębszym cieniu boczne nawy i kąty.

- Gdzie jest ksiądz proboszcz? - spytała chłopca, który bawił się, kołysząc furtką osadzoną na zbyt luźnych zawiasach.

- Zaraz przyjdzie - odparł, I rzeczywiście, skrzypnęły drzwi od plebanii i zjawił się ksiądz Bournisien. Dzieci bezładną gromadą wpadły do kościoła.

- Ach! te urwisy - mruknął ksiądz - zawsze tacy sami.

I podnosząc katechizm, cały w strzępach, który właśnie potracił nogą, dodał:

- Niczego to nie uszanuje! Wtem spostrzegł panią Bovary.

- Przepraszam - rzekł - nie zauważyłem pani. Wsadził katechizm do kieszeni i przystanął, obracając wciąż w palcach ciężki klucz od zakrystii.

Pełny blask zachodzącego słońca padał mu prosto na twarz i prześlizgiwał się po alpagowej sutannie, wyświeconej na łokciach i postrzępionej u dołu. Na szerokiej piersi wzdłuż rzędu małych guziczków biegły plamy tłuszczu i tabaki, coraz to liczniejsze, w miarę jak oddalały się od rabatu, na którym spoczywały obfite fałdy czerwonej skóry usianej piegami, niknącymi pod twardym włosiem siwiejącego zarostu. Wstał właśnie od stołu i sapał głośno.

- Jak się pani miewa? - spytał.

- Źle - odparła Emma - cierpię.

- Ach! - podjął duchowny - ja również. Te pierwsze upały szczególnie człowieka osłabiają, prawda? Ale cóż? Urodziliśmy się po to, żeby cierpieć, jak powiada św. Paweł. A co myśli o tym pan Bo- On? - rzuciła z pogardliwym ruchem.

- Jak to? - zdziwił się poczcwiiec - nic pani nie zaordynował?

- Ach! - westchnęła Emma - nie ziemskich lekarstw mi potrzeba.

Ale proboszcz zerkał raz po raz w stronę kościoła, gdzie chłopcy na klęczkach popychali się łokciami i przewracali jak żołnierzyki z kart.

- Chciałabym wiedzieć... - podjęła.

- Czekał no, czekaj, Tyboudet - krzyknął duchowny gniewnym głosem - natrę ci zaraz uszu, hultaju!

Potem zwracając się do Emrny:

- To Boudet, syn cieśli, rodzice jego są zamożni i pobłażają wszystkim jego wybrykom. A gdyby chciał, mógłby się dobrze uczyć, bo jest bardzo pojętny. Czasem żartami nazywam go Ty-boudet! jak wybrzeże koło Maromme. I mówię nawet: Ach!

moje Tyboudet! Onegdaj powiedziałem to biskupów'. Śmiał się... raczył się śmiać. A jakże się miewa pan Eovary?

Zdawała się nie słyszeć; więc ciągnął dalej:

- Pewno zawsze bardzo zajęty, gdyż w całej parafii on i ja mamy z pewnością najwięcej pracy. Ale on jest lekarzem ciał, a ja - dodał z rubasznym śmiechem - jestem lekarzem dusz.

Emma utkwiała w nim błagalne spojrzenie.

- Pani Bovnry - Tak - rzekła - ksiądz niesie pomoc wszystkim niedolom.

- Ach! Droga pani, nie mówmy nawet o tym. Właśnie dziś rano wezwano mnie do BasDiauville, bo krowę wzdęło. Myśleli, że to urok. Wszystkie krowy, nie wiem, czemu to przypisać... Ale przepraszam! Longuemarre i Boudet, ach! nicponie, dość już tego!

I jednym susem znalazł się w kościele. Chłopcy tłocząc się koło dużego pulpitu, włązili na stołek organisty, otwierali mszał i ośmielali się nawet zakradać do konfesjonatu. Lecz proboszcz obsypał nagle wszystkich gradem policzków i chwytając malców za kołnierze podnosił w górę, a potem rzucał na oba kolana, na kamienne płyty prezbiterium, z mocą, jakby chciał ich przygwoździć.

Gdy wrócił do Emmy, rzekł rozwijając dużą perkalową chustkę, której jeden róg wziął w zęby:

- Niech mi pani wierzy, rolnicy są naprawdę godni pożałowania.

- Nie oni jedni - odparła.

- oczywiście! Na przykład robotnicy w miastach.

- Nie, to nie oni...

- O, przepraszam! Znałem tam niejedną biedną matkę, kobietę pełną cnot, prawdziwą świętą, której brakło nawet chleba.

- Ale te - podjęła znów, a kąciki jej ust drgały - te, które mają chleba pod dostatkiem, a nie mają...

- Opału na zimę - wtrącił ksiądz.

- Czyż o to chodzi?

- Jak to, czy o to chodzi? Mnie się zdaje, że gdy kto ma ciepło w domu, dobre pożywienie... bo ostatecznie...

- Mój Boże! Mój Boże! - wzdychała.

- Pani słabo? - spytał niespokojnie, podchodząc do niej. - To zapewne niestrawność. Proszę wrócić do domu i napić się trochę herbaty, to panią wzmocni, albo szklankę zimnej wody z sokiem.

- Po co?

Wyglądała jak wyrwana ze snu.

- Przesunęła pani ręką po czole, myślałem, że to zawrót głowy - a przypominając sobie coś, dodał: - Ale pani pytała mnie o coś? O cóż chodzi? Nie pamiętam.

- Ja? Nie, nic, nic - powtarzała. I wzrok jej, błędząc dokoła, spoczął wreszcie na starcu w sutannie. Patrzyli na siebie twarzą w twarz, w milczeniu.

- A więc - rzekł wreszcie - daruje pani, ale obowiązek przede wszystkim. Muszę się zająć moimi urwisami. Zbliża się pora pierwszej komunii. Boję się, że nie będziemy gotowi na czas. Toteż począwszy od Wniebowstąpienia zatrzymuję ich recte każdej środy o godzinę dłużej. Biedne dziatki, nigdy nie jest za wcześnie, aby je skierować na ścieżki Pańskie, jak nam zresztą sam Pan zalecił za pośrednictwem swego boskiego Syna. Życzę pani zdrowia. Ukłony dla małżonka.

I wszedł do kościoła, przyklękając już w progu. Emma widziała, jak zniknął między dwoma rzędami ławek, stąpając ciężko z głową przechyloną nieco, rękami odstającymi od tułowia i rozchyłonymi dłońmi. Potem sztywno, jednym ruchem, obróciła się jak posąg na swej osi i skierowała się ku domowi. Ale gruby głos proboszcza i cienkie głosiki chłopców docierały jeszcze do jej uszu, biegly za nią:

- Czy jesteś chrześcijaninem?
- Tak, jestem chrześcijaninem.
- Kto jest chrześcijaninem?
- Ten, który będąc ochrzczony... ochrzczony...  
ochrzczony....

Szła po schodach, trzymając się poręczy, a znalazłszy się w pokoju padła na fotel.

Białawe światło łagodnie i faliście spływało przez szyby. Meble zdawały się tkwić na swych miejscach bardziej nieruchomo niż zazwyczaj i gubiły się w cieniu jak w mrocznej otchłani. Ogień wygasł na kominku, słychać było tykanie zegara i Emma czuła jak ogarnia ją jakieś niejasne zdumienie wobec spokoju tych rzeczy, gdy w niej wszystko było tak wzburzone. Ale między oknem a stolikiem do robót stała mała Berta i chwając się we włóczkowych pantofelkach próbowała zbliżyć się do matki, by chwycić tasiemki jej fartucha.

- Daj mi spokój - rzekła odsuwając ją ręką. Dziewczynka jednak podeszła wkrótce jeszcze bliżej do jej kolan i wspierając się o nie rączką, podniosła na matkę duże błękitne oczy, a cienka niteczka czystej śliny sączyła się z jej warg na jedwab fartucha.

- Daj mi spokój - powtórzyła z gniewem młoda kobieta. Dziecko przerażone wyrazem jej twarzy zaczęło płakać.

- Ach! Dajże mi wreszcie spokój! - krzyknęła Emma odpychając ją łokciem, Berta potoczyła się aż pod komodę i rozcięła do krwi policzek o mosiężne okucie. Pani Bovary rzuciła się, by ją podnieść. Zerwała sznurek od dzwonka, wołała na cały głos służącą i już chciała złożyć sobie, gdy zjawił się Karol. Była to pora obiadu. Wracił do domu.

- Widzisz, mój drogi - powiedziała Emma spokojnie - mała bawiąc się upadła i skaleczyła się.

Karol uspokoił ją, że to nic poważnego, i poszedł po plaster.

Pani Bovary nie zeszła na obiad, chciała sama posiedzieć przy dziecku. Patrząc na śpiącą dziewczynkę uspokajała się stopniowo i pomyślała, że była przed chwilą bardzo niemądra i bardzo dobra, przejmując się taką drobnostką. Berta istotnie przestała już płakać. Równy jej oddech poruszał teraz leciutko bawełnianą kołderkę. W kącikach oczu stały jeszcze łzy, a spod niedomkniętych powiek, pomiędzy rzęsami, widać było zapadłe źrenice. Plaster, przyklejony do policzka, ukośnie ściągał napiętą skórę.

„Dziwna rzecz - pomyślała Emma - jakie to brzydkie dziecko!”

Kiedy Karol o jedenastej wieczorem wrócił z apteki, dokąd udał się po obiedzie, by odnieść resztę plastra, zastał żonę stojącą nad kołyską.

- Ależ zapewniam cię, że nic jej nie będzie - rzekł całując Emmę w czoło. - Nie dręcz się, biedactwo kochane, bo się rozchorujesz!

Zabawił długo u aptekarza; choć wcale nie zdawał się być przejęty, pan Homais wysilał się jednak, by go uspokajać i podnieść na duchu. Rozmawiali więc o rozmaitych niebezpieczeństwach, na jakie narażone bywają dzieci, i o niedbalstwie służby. Pani Homais wiedziała coś o tym. Miała jeszcze do dziś na piersi ślady

ukropu, który roztargniona kucharka wylała jej na kaftanik. Toteż troskliwi rodzice przedsięwzięli mnóstwo środków ostrożności. Nie ostrzyli nigdy noży i nie froterowali posadzek. W okna wstawili żelazne kraty, a kominki zaopatrzyli w grube sztaby. Dzieci, choć rozpuszczone, nigdzie nie mogły ruszyć się bez dozoru. Przy najłżejszym katarze ojciec faszerował je środkami wykrztuśnymi i do czwartego roku życia zmuszano je bezlitośnie do noszenia watowanych czapeczek na głowie. Było to, co prawda, dziwactwo pani Homais. Małżonek martwił się tym w duchu, obawiając się, że ucisk może wyrzucić złe skutki na rozwój umysłowy dzieci, i czasem nawet wymykały mu się takie zdania:

- Chcesz więc, by wyrosli na Karaibów czy Botokudów? Karol próbował kilkakrotnie przerwać rozmowę.

- Mam panu coś do powiedzenia - szepnął na ucho pisarzowi, który schodził przed nim ze schodów.

"Czyżby domyślał się czegoś?" - zastanawiał się Leon. Serce biło mu niespokojnie i gubił się w rozmaitych przypuszczeniach.

Wreszcie Karol zamknąwszy drzwi poprosił, aby Leon zechciał osobiście dowiedzieć się w Rouen o cenę dagerotypów. Pragnął bowiem sprawić żonie subtelną niespodziankę i na dowód czulej pamięci ofiarować jej swój portret we fraku. Chciał jednak wiedzieć przedtem, czego się trzymać; a panu Leonowi nie powinno to sprawić wiele kłopotu, gdyż prawie co tydzień jeździ do Rouen.

W jakim celu tam bywał? Pan Homais podejrzewając go o kawalerskie sprawy myślał, że ukrywa jakąś miłośćkę. Mylił się jednak. Leon nie gonił za przygodą. Był smutniejszy niż kiedykolwiek i pani Lefrancois poznawała to dobrze po ilości jedzenia, jakie zostawiał teraz na talerzu. Zęby dowiedzieć się czegoś więcej, próbowała wy badać poborcę. Binet odpowiedział jej opryskliwie, że nie jest policjantem.

Towarzysz jego wydawał mu się jednak bardzo dziwny, gdyż Leon nieraz przechylał się do tyłu na krześle i rozkładając ręce uskarżał się niejasno na swój los.

- Bo też brak panu rozrywek - mówił poborca.

- Jakich?

- Ja na pana miejscu kupiłbym tokarkę.

- Nie umiem toczyć - odpowiadał pisarz.

- Ach tak! To prawda - zgadzał się tamten, gładząc brodę z wyrazem pogardy połączonej z zadowoleniem.

Leon był zmęczony tą bezowocną miłością, przy tym zaczął odczuwać przygnębienie wynikające z jednostajnego życia, któremu nie przyświeca żaden cel i którego nie ożywia żadna nadzieja. Tak był znudzony tym miasteczkiem i jego mieszkańcami, że już sam widok pewnych ludzi i pewnych domów drażnił go nie do wytrzymania; a towarzystwo aptekarza, choć był to pocziwina, stało mu się zupełnie nieznośne. Jednakże perspektywa zasadniczej zmiany w równej mierze przerażała go, co i pociągała.

r Obawa ta przerodziła się rychło w zniecierpliwienie i Paryż zaczął go nęcić fanfarami maskarad i śmiechem gryzetek. Skoro zamierzał kończyć tam prawo, czemuż nie miałby pojechać zaraz? Któż mu tego wzbraniał? Zaczął w myślach przygotowywać się do wyjazdu i układał zawczasu plan swych zajęć. Miał już w głowie całe umeblowanie mieszkania. Będzie prowadził życie artysty! Zacznie brać lekcje gry na gitarze! Sprawia sobie szlafrok, beret baskijski i nocne pantofle z

niebieskiego aksamitu! Podziwiał już nawet na kominku dwa skrzyżowane florety i trupią główkę, a nad nimi gitarę.

Najtrudniej było uzyskać pozwolenie matki; nic jednak nie zdawało się bardziej rozsądne. Nawet jego zwierzchnik namawiał go, by przeniósł się do innej kancelarii, gdzie mógłby więcej korzystać. Leon obrał więc drogę pośrednią i zaczął szukać w Rouen miejsca młodszego pisarza; nie znalazłszy go jednak, napisał wreszcie do matki szczegółowy list, w którym wyłuszczał powody skłaniające go do natychmiastowego przeniesienia się do Paryża. Zgodziła się na to.

Nie śpieszyło mu się jednak wcale. Codziennie, przez cały miesiąc, Hivert przewoził dlań z Rouen do Yonville i z Yonville do Rouen kufry, paczki, walizy i gdy Leon odnowił już całą garderobę, kazał odnowić swoje trzy fotele, nakupił zapas fularów, słowem, zrobił więcej przygotowań, niż ich było potrzeba do podróży naokoło świata, z tygodnia na tydzień odkładać zaczął swój wyjazd, aż wreszcie dostał drugi list od matki przynaglający go, skoro przed wakacjami miał zdać egzamin.

Gdy przyszła chwila pożegnania, pani Homais rozplakała się, Justyn szlochał, a Homais jako człowiek z charakterem ukrył wzruszenie. Chciał jednak sam odnieść przyjacielowi palto aż do bramy notariusza, który miał swoim powozem odwieźć Leona do Rouen. Ten ostatni miał zaledwie chwilę, aby pożegnać pana Bovary.

Gdy wbiegł na schody, przystanął, bo zabrakło mu tchu. Na jego widok pani Bovary zerwała się gwałtownie.

- To jeszcze ja! - powiedział.

- Byłam tego pewna!

Zagryzła wargi i fala krwi zaróżowiła jej skórę od nasady włosów aż po kołnierzyk. Stała opierając się ramieniem o boazerię.

- Pana Bovary nie ma w domu?

- Nie, nie ma. I powtórzyła:

- Nie ma go.

, Nastąpiła wówczas chwila milczenia. Popatrzyli na siebie i myśli ich złączone we wspólnym cierpieniu przywarły do siebie jak dwa drżące ciała.

- Chciałbym uściskać Bertę - rzekł Leon. Emma zeszła kilka stopni i zawołała Felicję. Objął szybko jednym spojrzeniem ściany, półki, kominek, jakby chciał przemknąć to wszystko, wszystko zabrać ze sobą.

Ale Emma wróciła, a służąca przyprowadziła Bertę, która ciągnęła za sobą na sznurku wiatraczek przewrócony do góry nogami. Leon kilka razy pocałował dziewczynkę w szyję.

- Bądź zdrowa, dziecino, bądź zdrowa, kochane maleństwo. Żegnaj! I oddał ją matce.

- Proszę ją odprowadzić - rzekła.

Zostali sami.

Odwrócona plecami, pani Bovary miała twarz opartą o szybę; Leon trzymał w ręku czapkę i uderzał nią lekko po udzie.

- Będzie padać - rzekła Emma.

- Mam płaszcz - odparł.

- A!

Odwróciła się, z głową spuszczoną, z wysuniętym czołem, po którym światło prześlizgiwało się jak po marmurze aż po łuki brwi. I nie można było odgadnąć, czego wypatrywała na widnokręgu ani jakie myśli tała w sobie.

- A więc żegnaj! - westchnął. Podniosła głowę gwałtownym ruchem.

- Tak, żegnaj pan, jedź już!

Podeszli ku sobie: wyciągnął rękę. Zawałała się.

- Po angielsku więc - rzekła i podała mu swoją, usiłując się roześmiać.

Gdy uczuł w swych palcach jej rękę, Leonowi zdawało się, że cała treść jego istoty przelewa się w tę miękką, wilgotną dłoń.

Potem puścił ją, oczy ich spotkały się raz jeszcze i znikł.

Gdy znalazł się pod halami, przystanął, schował się za filarem, by móc po raz ostatni spojrzeć na ten biały dom z zielonymi żaluzjami. Zdawało mu się, że za oknem w pokoju widzi jakiś cień: ale firanka odczepiła się od haka jak gdyby sama, bez niczyjego dotknięcia, rozsunała swe długie, ukośne fałdy i zwisała teraz prosto, nieruchomo, jak biała ściana. Leon zaczął biec.

Z daleka na drodze dostrzegł kabriolet swego zwierzchnika, a obok człowieka w grubej, płóciennej bluzie, który trzymał konia. Homais gawędził z panem Guillaumin. Czekano na niego.

- Uściśnij mnie - rzekł aptekarz ze łzami w oczach. - Oto twój płaszcz, drogi przyjacielu. Wystrzegaj się przeziębień! Dbaj o siebie, oszczędzaj się!

- No, Leonie, wsiadaj - rzekł notariusz. Homais pochylił się nad błotnikiem i głosem przerywanym przez łkanie, rzucił te dwa smutne słowa:

- Szczęśliwej drogi!

- Do widzenia! - rzekł Guillaumin. - jazda! Ruszyli, a Homais zawrócił do domu.

Pani Bovary otworzyła okno wychodzące na ogród i patrzyła w chmury.

Gromadziły się na zachodzie w stronie Rouen i kłębiąc się toczyły szybko swe czarne zwoje, spoza których przezierwały wielkie pręgi słońca jak złote strzały wbite w zawieszono trofea, reszta zaś nieba była pusta i lśniła porcelanową bielą. Lecz gwałtowny, poryw wiatru pochylił wierzchołki topoli i lunął deszcz szeleszcząc wśród zielonych liści. Potem zabłysło znów słońce, zapiały koguty, wróble zatrzepotały skrzydełkami w wilgotnych krzewach, a strumyki wyciekając z kałuż unosiły po piasku różowe kwiatki akacji.

"Ach, jakże już jest daleko" - pomyślała.

Pan Homais, jak zwykle, przyszedł o wpół do siódmej, podczas obiadu.

- A więc - rzekł siadając - wyprawiliśmy już naszego młodzieńca.

- Podobno - odparł lekarz i odwracając się na krześle dodał: - A cóż nowego u państwa?

- Nic właściwie, tylko żona była dziś trochę wzruszona. Wie pan, jak to kobiety, przejmują się byle drobiazgiem! A moja żona szczególnie. I nie należy potępiać ich za to, gdyż ich system nerwowy jest o wiele wrażliwszy od naszego.

- Biedny ten Leon! - rzekł Karol. - Jakże da sobie radę w Paryżu? Czy się przyzwyczai? Pani Bovary westchnęła.

- Ba! - rzekł aptekarz młasnawszy językiem. - Bale maskowe, szampan, kolacyjki w knajpach! Czego tam nie będzie! Zapewniam pana.

- A ja nie myślę, żeby się zbałamucił - zaproponował Bovary.

- Ani ja - odparł żywo Homais - choć będzie musiał żyć jak inni, żeby nie uchodzić za jezuitę. A nie wyobrażasz pan sobie, jakie to życie wiodą te wisusy w Dzielnicy Łacińskiej z aktoreczkami! Zresztą studenci są bardzo dobrze widziani w Paryżu. Byle tylko mieli jakieś talenty towarzyskie, bywają przyjmowani w najlepszych sferach. I zdarza się nawet, że kochają się w nich damy z Faubourg St.-Germain, co w następstwie stwarza okazje do świetnych ożenków.

- Obawiam się jednak - rzekł lekarz - że tam...

- I masz pan rację - przerwał aptekarz - to odwrotna strona medalu. Nie można spuścić ręki z sakiewki. Znajdziesz się pan, powiedzmy, w publicznym ogrodzie i oto zjawia się nagle jakiś jegomość, starannie ubrany, czasem nawet odznaczony jakimś

orderem; można go wziąć za dyplomatę. Zawiera znajomość, gawędzicie, częstuje cię tabaką lub podnosi ci kapelusz. Znajomość staje się zażyła, tamten zaprasza cię do kawiarni, potem do siebie na wieś, między jednym kieliszkiem a drugim przedstawia ci mnóstwo osób, a przeważnie robi to tylko po to, żeby wyłudzić od ciebie zawartość sakiewki lub wciągnąć w jakieś ryzykowne przedsięwzięcie.

- To prawda - odparł Karol - ale myślałem raczej o chorobach, o tyfusie na przykład, na który zapadają studenci z prowincji.

Emma zadrżała.

- Z powodu zmiany trybu życia - ciągnął dalej aptekarz - i zaburzeń, jakie powoduje ona w całym organizmie. A przy tym woda paryska, wie pan, obiady w restauracjach i te wszystkie pieprzne potrawy zaostrzają krew i cokolwiek by się mówiło, nie warto są dobrej sztuki mięsa. Co do mnie, wołałem zawrze domową kuchnię, bo zdrowsza! Toteż gdy studiowałem farmację w Rouen, jadałem w pensjonacie z profesorami.

I rozwijał dalej swe poglądy, mówił o osobistych upodobaniach, aż do chwili gdy Justyn przyszedł po niego, bo trzeba było zrobić kurze mleczko.

- Ani chwili wytchnienia! - wykrzyknął - zawsze w kieracie. Nawet na sekundę nie mogę się oddalić! Jak koń roboczy ociekać muszę krwawym potem. Cóż za jarzmo!

A gdy był już w drzwiach:

- Ale czy słyszałeś pan nowinę?

- Jaką?

- Jest rzeczą wielce prawdopodobną - podjął Homais podnosząc brwi i przybierając niezwykle poważny wyraz twarzy - że zjazd rolny okręgu Dolnej Sekwany odbędzie się w tym roku w Yonville-Opactwie. W każdym razie krąży taka pogłoska. Dziś rano była już wzmianka w gazecie. Sprawa niezwyklej doniosłości dla naszego okręgu. Ale pomówimy o tym później. Widzę dobrze, dziękuję; Justyn ma latarnię.

Dzień następny był dla Emmy dniem żałoby. Wszystko zdawało się jej jakby spowite czarnym cieniem unoszącym się na powierzchni przedmiotów i smutek wtargnął w jej duszę z cichym jękiem jak wiatr, gdy zimą hula po opuszczonym zamczysku. Była to tęsknota za tym, co już nie wróci, znużenie, ogarniające zawsze, gdy coś dokonało się nieodwołalnie, i wreszcie ów ból, spowodowany ustaniem tego, do czegośmy przywykli, nagłym zamilknięciem przeciągle wibrującego dźwięku.

Ogarnęła ją ponura melancholia, tępa rozpacz, jak po powrocie z Vaubeyssard, gdy wirowały jej w głowie kadryle. Leon zjawiał się wciąż przed nią, większy, piękniejszy, bardziej uroczy i nieuchwytny. Choć rozstali się, nie opuścił jej, a cień jego zdawał się ukrywać w ścianach tego domu. Nie mogła oderwać wzroku od dywanu, po którym stapał, od pustych foteli, w których siadywał. Rzeka płynęła wciąż, tocząc leniwie drobne fale wzdłuż śliskiego brzegu. Ileż to razy przechadzali się po kamieniach obrosniętych mchem, słuchając szumu jej wód. Jak pięknie świeciło im słońce! Jak miło spędzali popołudnia, sami, w głębi cienistego ogrodu. Czytał na głos, siedząc bez kapelusza na wyplatany stołeczku. Świeży powiew od łąk poruszał kartki książki i nasturcje na altance... Ach! Odjechał, jedyny urok jej życia, jedyna nadzieja radości. Czemuż nie uchwyciła tego szczęścia, kiedy było blisko? Czemuż nie zatrzymała go obu rękoma, na klęczkach, gdy chciał uciec! Przeklinała siebie za to, że odrzuciła jego miłość; paliło ją pragnienie jego warg. Porywała ją chęć, by biec za nim, paść mu w ramiona, powiedzieć: "To ja, jestem twoja!" Ale już z góry była przerażona trudnościami takiego kroku i żądze jej, spotęgowane przez bezsilność, stawały się tym gwałtowniejsze.

Od tej chwili wspomnienie Leona stało się ośrodkiem jej udręki. Iskrzyło się jaśniej niż ognisko podróżnych porzucone na śniegu, na stepach Rosji. Brnęła ku niemu, ogrzewała się przy nim i gdy dogasało, rozniecała je pieczołowicie, poszukując wszystkiego, co mogłoby je podsycić. Najodleglejsze wspomnienia jak i najdrobniejsze codzienne okoliczności, wszystko, czego doświadczała, co sobie wyobrażała, gasnące pragnienie rozkoszy, marzenia o szczęściu targane wiatrem jak suche gałęzie, jałowa cnota, stracone nadzieje, Jarzmo codzienności małżeńskiej, wszystko to gromadziła, wszystko zbierała i wszystkim posługiwała się, by rozgrzać swój smutek.

Jednak płomień przygasł. Może wypaliło się ich tworzywo, a może zduśliła je narzucając zbyt wielki stos. Z czasem miłość jej, z dala od przedmiotu uczuć, wystygła, przyzwyczajenie stłumiło żal, a łuna pożaru na jej bladym niebie powlekała się cieniem i zatarła powoli. W zamąconej świadomości brała wstręt do męża za tęsknotę do kochanka i żar nienawiści za płomień odradzającej się tkliwości, ale że burza szalała wciąż, że namiętność strawiła się na popiół, że znikąd nie nadszedł ratunek, że nie zabłysnął żaden płomień, ogarnęła ją ze wszech stron zupełna ciemność, przenikając straszliwym chłodem.

Wróciły wówczas najgorsze dni Tostes. Uważała, że teraz jest daleko bardziej nieszczęśliwa, gdyż poznała cierpienie i miała pewność, że nie skończy się ono nigdy. Kobieta, która zdobyła się na takie poświęcenie, mogła pozwolić sobie teraz na drobne zachcianki. Kupiła więc gotycki klęcznik, wydała w ciągu miesiąca czternaście franków na cytryny do czyszczenia paznokci, obstałowała w Rouen suknię z błękitnego kaszmiru, wybrała u pana Lheureux najpiękniejszą z jego szarf i przewiązywała nią swój szlafroczek; wystrojona tak, zamknawszy okiennice, leżała na kanapie z książką w ręku. Często zmieniała uczesanie i upinała włosy gładko, „po chińsku”, spuszczała w miękkie pukle, zaplatała w ciasne warkocze, wreszcie zrobiła przedziałek z boku i chowając je z tyłu pod spód, zaczesywała gładko, jak mężczyzna.

Chciała się uczyć włoskiego: kupiła słownik, gramatykę i zapas białego papieru. Próbowwała czytać poważne dzieła: historyczne i filozoficzne. Karol czasem zrywał się w nocy, myśląc, że wzywają go do chorego. "Idę, idę" - bełkotał.

A był to trzask zapałki, którą Emma pocierała, aby zaświecić lampę. Ale z czytaniem było jak z haftami, które, pozaczynane, poniewierały się w szafach. Brała książkę, rzucała ją dla innej i nie kończyła żadnej.

Zdarzały się chwile, że była skłonna do najdziwniejszych wybryków. Dowodziła raz mężowi, że potrafi wypić duży kieliszek wódki, a że miał nieostrożność wyrazić powątpiewanie, wychyliła kieliszek do dna.

Ale choć płocha (było to wyrażenie kumoszek z Yonville), Emma nie robiła wrażenia szczęśliwej i w kącikach jej ust tkwił zawsze nieruchomo gorzki grymas, który wykrzywia twarze starych panien i ludzi zawiedzionych w swych ambicjach.

Była blada, biała jak płótno; skóra na nosie ściągała się ku nozdrzom, oczy rzucały błędne spojrzenia. Gdy zdarzyło jej się odkryć trzy siwe włosy, zaczęła mówić o starości.

Często robiło jej się słabo. Pewnego dnia splunęła krwią, a gdy Karol podbiegł nie ukrywając niepokoju:

- Ach - rzekła - cóż to znaczy!

Karol ukrył się w gabinecie i płakał, siedząc w fotelu pod głową frenologiczną, z łokciami na stole.



Napisał wówczas do matki prosząc, by przyjechała, i wiedli długie narady na temat Emmy.

Co począć? Co przedsięwziąć, skoro odmawia wszelkiego leczenia?

- Wiesz, czego potrzeba twojej żonie? - powtarzała swoje starsza pani Bovary. - Obowiązkowych zajęć, pracy fizycznej. Gdyby, jak tyle innych kobiet, zmuszona była zarabiać na chleb, nie miałaby tych waporów, co uderzają jej do głowy od myśli, które ją bałamucają, i od bezczynności, w której żyje.

- Jednak ma zajęcia - mówił Karol.

- Ach! tak, proszę, i czymże się to zajmuje? Czytaniem romansów, złych książek przeciwko religii, gdzie wyszydza się księży słowami Voltaire'a. Ależ, drogie dziecko, to może Bóg wie dokąd zaprowadzić, a kto wiary nie ma, źle skończyć musi.

Uradzili więc, że nie pozwolą Emmie na czytanie powieści. Było to jednak przedsięwzięcie niełatwe. Zaczyna jejmość podjęła się tego. Przejeżdżając przez Rouen miała osobiście udać się do czytelnicy i powiedzieć, że Emma nie będzie już wypożyczać książek. A w ostateczności można by się może udać do policji, gdyby księgarz upierał się przy swej roli truciciela.

Pożegnanie teściowej z synową było oschłe. Przez te trzy tygodnie spędzone razem nie zamieniły na wet dwóch słów, poza codziennymi zwrotami i uprzejmościami, które sobie prawily przy obiedzie i przed udaniem się na spoczynek. Pani Bovary-matka wyjechała pewnej środy w dzień targu w Yonville. Rynek już od rana zapchany był rzędem wózków, które ciągnęły się od kościoła aż do karczmy, ze sterczącymi ku górze dyszlami. Z drugiej strony stały płócienne budy, gdzie sprzedawano perkaliki, wełniane koce, pończochy, uzdy dla koni i pęki błękitnych wstążek trzepoczących na wietrze. Między stosami jaj i koszami serów, z których wystawała brudna i lepka słoma, ustawione były rondle i garnki. Obok narzędzi rolniczych gdaczące kury wyciągały głowy przez kratę płaskich klatek. Zbity tłum cisnął się uparcie w tym samym miejscu i zagrażał chwilami rozbięciem aptecznej witryny. W środy apteka była zapchana; tłoczono się tam nie tyle po lekarstwa, ile po rady, tak głośna była w okolicznych wioskach sława imię pana Homais. Jego niezachwiana pewność siebie urzekała wieśniaków.

Uważali go za doktora nad doktorami.

Emma, wsparta na łokciu, wyglądała przez okno (często siadywała w oknie - na prowincji zastępuje ono teatr i przechadzki) i zabawiała się widokiem ciżby, gdy spostrzegła nagle jakiegoś pana w zielonej aksamitnej kurtce; miał żółte rękawiczki, mimo iż był w wysokich getrach; kierował się wprost do domu doktora, a za nim szedł z wyrazem głębokiego skupienia chłop ze spuszczoną głową. - Czy pan w domu? - spytał Justyna, który gawędził w progu z Felicją.

I biorąc go za służącego: - Powiedz mu - dorzucił - że pan Rudolf Boulanger z Huchette chce go zobaczyć. Nowo przybyły dodał nazwę majątku bynajmniej nie przez szlachecką próżność, ale żeby się dokładniej przedstawić. Istotnie bowiem nabył właśnie tę posiadłość sąsiadującą z Yonville wraz z zamkiem i dwoma folwarkami, którymi sam zarządzał, nie przepracowując się zresztą zbyt. Wiódł życie kawalerskie i powiadano, że ma co najmniej piętnaście tysięcy renty!

Karol wszedł do pokoju. Pan Boulanger wskazał mu swego parobka, który chciał, by mu puszczo krew, bo "mrówki mu chodziły po ciele".

- To mnie przeczysci - odpowiadał na wszelkie argumenty.

Bovary zaczął więc przygotowania; przyniósł bandaż, miednicę i poprosił Justyna, aby ją potrzywał. Potem zwracając się do pobladłego już wieśniaka:

- Nic się nie bój, mój zuchu.

- Nie, nie - odparł tamten - niech pan zaczyna. śmiało. - Iż pewną siebie miną wyciągnął grube ramię. Pod nakłuciem lancetu krew chlusnęła aż na lustro.

- Przysuń miednicę! - krzyknął Karol.

- Cię, cię! - mówił chłop - dalibóg, płynie jak strumyczek! Ależ czerwoną mam krew! To pewno dobry znak, prawda?

- Niekiedy - zauważył lekarz - z początku nie odczuwa się nic, a potem nagle następuje omdlenie. Zdarza się to szczególnie u ludzi o tak mocnej budowie jak ten.

Na te słowa wieśniak wypuścił z ręki pudełko, które obracał w palcach. Ramiona zdrząły mu tak gwałtownie, że aż zatrzeszczała poręcz krzesła. Kapelusz spadł mu z głowy.

- Przeczuwałem to - rzekł Karol przyciskając palcem żyłę.

Miednica zaczęła drżeć w rękach Justyna, kolana ugięły się pod nim, zbladł.

- Żono, żono! - zawołał Karol.

Emma jednym susem zbiegła ze schodów.

- Octu! - krzyknął. - Ach, mój Boże, aż dwóch naraz!

I tak -ię przejął, że nie mógł sobie dać rady z kompresem.

13 - Pani Bovary - Ależ to głupstwo - powiedział najspokojniej pan Boulanger biorąc Justyna w ramiona.

I posadził go na stole opierając plecami o ścianę.

Pani Bovary zaczęła rozwiązywać mu krawat. Na tasie przy koszuli zrobił się węzeł. Przez chwilę palce jej poruszały się lekko przy szyi młodego chłopca, potem zwilżyła octem batystową chusteczkę i przykładła mu ją raz po raz do skroni, dmuchając mu delikatnie w twarz.

Parobek ocknął się, ale omdlenie Justyna trwało nadal i źrenice jego znikwały w białku jak niebieskie kwiaty w mleku.

- Trzeba mu to zabrać sprzed oczu - rzekł Karol.

Pani Bovary wzięła miednicę, żeby postawić ją pod stół. Gdy pochyliła się, jej suknia (była to letnia suknia z czterema falbanami, żółta, o wydłużonym stanie dołem bufiasta) rozesała się dokoła niej na kamiennych płytach; gdy Emma zachybotła wyciągając ręce, tkanina wgłębiła się miejscami, posłuszna ruchom jej kibici. Potem przyniosła karafkę wody i rozpuszczała w niej kawałki cukru, gdy wszedł aptekarz. Służąca pobiegła go zawołać wśród ogólnego rozgardiaszu; widząc, że jego uczeń ma oczy otwarte, odetchnął. Potem obchodząc dokoła mierzył go wzrokiem od stóp do głowy.

- Głupiec! - mówił. - Co za głuptas, doprawdy! Głupi i nic więcej! Wielkie rzeczy puszczenie krwi! I to zuch, który się niczego nie boi! Bo ten, którego tu widzicie, wspina się, jak prawdziwa wiewiórka, na zawrotne wysokości, by lasować orzechy, a teraz ładnie się spisał, nie ma co mówić! Oto piękne kwalifikacje, aby zostać kiedyś aptekarzem; możesz przecie zostać kiedyś wezwany przed trybunały, w poważnych sprawach, by wobec sędziów dać świadectwo prawdzie, i trzeba wówczas zachować zimną krew, przytomność umysłu i pokazać, że się jest mężczyzną, jeśli nie chce się uchodzić za osła! Justyn milczał. Aptekarz ciągnął dalej:

- I któż cię prosił, żebyś tu przychodził? Zawsze naprzykrzasz się państwu! Zresztą w środy twoja obecność jest mi nieodzowna. Dwadzieścia osób czeka teraz na mnie. Wszystko porzuciłem przez troskliwość o ciebie. No, jazda! Ruszaj! Czekaj tam na mnie i pilnuj stó!

Gdy Justyn ubrał się i wyszedł, rozmawiano przez chwilę o omdleniach.

Pani Bovary nie doświadczyła ich nigdy.

- O, to niebywałe jak na damę - rzekł pan Boulanger. - Zresztą są ludzie szczególnie wrażliwi. Widziałem raz przy pewnym pojedynku, jak świadek zemdłał na sam szczęk nabijania pistoletów.

- Na mnie - rzekł aptekarz - widok cudzej krwi nie robi żadnego wrażenia; ale na samą myśl, że moja popłynąć by miała, robi mi się słabo.

Tymczasem pan Boulanger odprawił parobka zalecając mu, by się uspokoił, teraz kiedy stało się zadość jego życzeniu.

- Zawdzięczam mu zresztą znajomość z państwem - dodał.

I mówiąc te słowa patrzył na Emmę. Potem położył trzy franki na rogu stołu, skłonił się niedbale i wyszedł.

Niebawem był już po drugiej stronie rzeki, gdyż tędy właśnie wiodła droga do Huchette. Emma dostrzegła go na łące pod topolami, jak szedł zwalniając niekiedy kroku, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Bardzo miłutka! - mówił sobie. - Bardzo miłutka ta żona lekarza! Piękne zęby, czarne oczy, zgrabna nóżka i szyk jak u paryżanki. Skąd się tu wzięła, u diabła! Gdzie ją wynalazł ten niezdara?

Pan Rudolf Boulanger miał lat trzydzieści cztery. Był brutalny z natury i bystrego umysłu, a że wiele miał do czynienia z kobietami, znał je dobrze. Ta wydała mu się ładna; rozmyślał więc o niej i o jej mężu.

- Jest pewno bardzo głupi. Musi być nim znudzona. Pan doktor ma brudne paznokcie i brodę od trzech dni nie goloną. Gdy drepce do chorych, ona siedzi w domu i ceruje skarpetki. I nudzi się, biedactwo. Chciałoby to zamieszkać w mieście, tańczyć polkę co wieczór! Biedna kobietka! Tęskni to za miłością jak karp na kuchennym stole za wodą. Pokochałoby to za parę tkliwych słówek, jestem pewien! Byłoby czułe, urocze!... Tak, ale jak się jej potem pozbyć?

Perspektywa kłopotów, nieodłącznych od przyciemności, przywiodła mu na myśl jego obecną kochankę. Była to utrzymywana przez niego aktorka z Rouen. Ale gdy stanął przed nim jej obraz, którego samo wspomnienie budziło w nim przesył:

"O! Pani Bovary jest daleko ładniejsza - pomyślał - a nade wszystko daleko bardziej świeża. Wirginia zaczyna być stanowczo za tęga, a przy tym jaka nudna ze swymi czułościami i jakie ma gminne gusta!"

Pusto było na łące i Rudolf usłyszał tylko miarowy szelest traw chłostających go po butach, a z dala granie świerszczy ukrytych w owsie. Miał przed oczyma Emmę taką, jaką ją widział w pokoju, ubraną, i rozbierał ją w myśli.

- Oh! Będę ją miał - wykrzyknął, miażdżąc uderzeniem kija grudkę ziemi przed sobą.

I zaczął rozważać taktyczną stronę przedsięwzięcia.

- Gdzie ją widywać? - zadał sobie pytanie. - W jaki sposób? Będę miał ciągle na głowie bachora, niańkę, sąsiadów, męża i mnóstwo najrozmaitszych, niemałych kłopotów. Ba! - rzekł. - Szkoda czasu!

A po chwili zaczął znowu:

- Bo też ma oczy, które wiercą w sercu jak świdy. I ta bladość! Ja, który uwielbiam blade kobiety!

Na szczycie wzgórza Argueil decyzja zapadła. - Chodzi jedynie o znalezienie okazji. Ha! cóż, wpadnę tam czasem, pošlę im zwierzyny, drobiu; każę sobie puścić krew, jeżeli będzie trzeba; zaprzyjaźnimy się, zaproszę ich do siebie... Ach, do licha! - dodał - toż to zbliża się Zjazd Rolny; będzie na nim, zobaczą ją. Zabiorę się ostro do rzeczy, to najpewniejszy sposób.

VIII nadszedł wreszcie ów sławetny zjazd. Już od rana w dzień tej uroczystości wszyscy mieszkańcy, stojąc w drzwiach, rozprawiali o poczynionych

przygotowaniach. Uwieńczono girlandami bluszczu fronton merostwa; na łące ustawiono namiot na festyn, a przybycie prefekta i nazwiska nagrodzonych wieśniaków miał zwiastować na środku rynku przed kościołem wystrzał z moździerza. Gwardia narodowa z Buchy (Yonville nie miało własnej) przybyła, by stanąć u boku oddziału strażaków, którego komendantem był Binet. Włożył on tego dnia kołnierzyk jeszcze wyższy niż zwykle, tułów miał opięty czarnym mundurem i pierś tak sztywną i nieruchomą, że cała jego żywotność zdawała się skupiać jedynie w nogach, które podnosiły się miarowo, znacząc każdy krok jednym ruchem. Ponieważ istniało współzawodnictwo między poborcą a pułkownikiem gwardii, obaj więc, aby popisać się talentem, ćwiczyli osobno swych ludzi. I widać było defilujące na przemian czerwone epolety i czarne wyłogi. Maszerowali wciąż, bez wytchnienia, i końca temu nie było. Nie widziano tu nigdy tak oszałamiającego przepychu. Kilku mieszczan już dnia poprzedniego wyszorowało swe domy. Trójbarwne chorągwie wisały w uchylonych oknach. Wszystkie karczmy były przepelnione, a przy pięknej pogodzie nakrochmalone czepki, złote krzyżyki, kolorowe chustki lśniły jak śnieg, mieniły się w blasku słońca i pstrymi plamami, rozrzuconymi tu i ówdzie, urozmaicały jednostajność ciemnych surdutów i granatowych bluz. Okoliczne chłopki zsiadały z koni, wyciągając duże szpilki, którymi podpięły suknie z obawy przed zawałaniem, mężowie ich zaś, aby oszczędzić kapeluszy, nakrywali je chustkami do nosa, których rozek przytrzymywali zębami.

Tłum ścigał główną ulicą z obu stron miasteczka, ściekał ze wszystkich zaułków, alei i domów. Raz po raz rozlegał się głośny stuk drzwi zatraskujących się za jakąś mieszczką, która w nicianych rękawiczkach wychodziła przypatrzeć się uroczystości. Największy podziw wzbudzały dwa duże maszty ozdobione lampionami, ustawione po obu stronach estrady, na której mieli zasiąść przedstawiciele władz. Prócz tego zatknięto jeszcze przy czterech kolumnach merostwa coś w rodzaju czterech żerdzi, na których powiewały małe chorągiewki z zielonego płótna, ozdobione złotymi napisami. Na jednej z nich wyczytać było można: „Niech żyje Handel”, na drugiej „Wiwat Rolnictwo”, na trzeciej „Cześć Przemysłowi”, a na czwartej „Cześć Sztukom Pięknym”.

Lecz radość, która opromieniała wszystkie twarze, zdawała się zasępieć panią Lefra'ncois, oberżystkę. Stojąc na schodkach przed kuchnią mruczała półgłosem:

- Co za głupota, co za głupota z tą płócienną budą! Myślą może, że prefekt rad będzie ucztować pod namiotem, jak jaki linoskoczek z cyrku.

I te wszystkie niedorzeczne pomysły nazywają pracą dla dobra kraju! Wartoż to było sprowadzać kucharza z Neufchatel? I dla kogo? Dla pastuchów! Dla obdartusów!...

Przechodził właśnie aptekarz. Był we fraku, w nankinowych spodniach, w miękkich, skórzanych trzewikach i rzecz niezwykła - w kapeluszu, w cylindrze.

- Sługa uniżony - rzekł - wybaczy pani jednak, ale bardzo mi się spieszy.

A na pytanie zażywej wdowy, dokąd idzie -

odparł:

- Dziwi to panią, prawda? że ja, który kryję się w zaciszu laboratorium jak szczur w serze...

- W jakim serze?

- Nie, nie - ciągnął Homais - chciałem tylko wyrazić, że wiodę życie odosobnione. Dziś jednak, zważywszy na okoliczności, zamierzam...

- Ach! wybiera się pan tam? - rzuciła z pogardą.

- Tak, idę tam - odparł zdziwiony aptekarz. - Czyż nie jestem członkiem Komisji Doradczej?

Stara Lefrancois przyglądała mu się przez chwilę i wreszcie rzekła z uśmiechem:

- A, to inna sprawa. Ale co pana obchodzi rolnictwo? Czy zna się pan na tym?

- Oczywiście, że się znam, przecież jestem farmaceutą, a więc chemikiem. A że chemia zajmuje się wzajemnym oddziaływaniem molekuł wszystkich ciał w przyrodzie, wynika z tego, że rolnictwo wchodzi w jej zakres. Bo też w samej rzeczy skład nawozów, fermentowanie płynów, analizy gazów, wpływy miazmatów - cóż to innego, pytam, jak nie najprostsza i najzwyczajniejsza chemia?

Oberżystka milczała. Homais ciągnął dalej:

- Czyż sądzi pani, że aby być agronomem, trzeba samemu chodzić za pługiem i hodować drób? Bynajmniej, ale za to trzeba znać skład rozmaitych substancji, złoża geologiczne, wpływy atmosferyczne właściwości gruntów, minerałów i wód, gęstość i włóskowatość przeróżnych ciał! Bo ja wiem, co jeszcze? Trzeba posiadać gruntownie znajomość wszystkich zasad higieny, żeby móc ocenić plany budynków, sposób karmienia bydła, żywienia czeladzi. I trzeba jeszcze znać botanikę, umieć rozróżniać rośliny. Pojmuje pani? Wiedzieć, które są pożyteczne, a które szkodliwe, które są nieprodukcyjne, a które odżywcze; czy dobrze jest wyrwać je tu, a zasiać gdzie indziej, jedno uprawiać, inne znów niszczyć; słowem, trzeba iść zawsze z postępem, czytać broszury i publikacje urzędowe, być zawsze czujnym, by móc wskazać nowe ulepszenia...

Oberżystka nie spuszczała oczu z drzwi „Kawiarni Francuskiej”. Aptekarz zaś ciągnął:

- Dałby Bóg, aby nasi rolnicy byli chemikami lub przynajmniej bardziej słuchali wskazań nauki! Ja np. napisałem ostatnio sporą rozprawkę, broszurę o przeszło siedemdziesięciu dwóch stronach pt.: O jabłeczniku, jego wyrobie i właściwościach wraz z kilku nowymi uwagami na ten temat, którą posłałem do Towarzystwa Rolniczego w Rouen. Dzięki tej pracy zostałem przyjęty jako członek sekcji rolnej w gałęzi nauk pomologicznych. I tak, gdyby moja praca została ogłoszona drukiem...

Lecz widząc, że pani Lefrancois jest czymś bardzo zaabsorbowana, przerwał.

- Patrzcie, państwo! - zawołała. - Nie pojmuję!

Taka podła knajpa!

I "wzruszając ramionami, aż się rozciągał trykot na jej piersi, wskazywała obu rękoma karczmę konkurenta, skąd dolatywały skoczne piosenki.

- Zresztą niedługo to już potrwa - dodała - nim tydzień upłynie, będzie po wszystkim.

Homais aż cofnął się ze zdumienia. Zeszła ze schodków i szepnęła mu do ucha:

- Jak to, nie wie pan o tym? Zlicytują go w tym tygodniu. To sprawka Lheureux. Zaduśił go weksłami.

- Cóż za straszna katastrofa! - wykrzyknął aptekarz, który na każdą okoliczność miał w zapasie jakiś odpowiedni zwrot.

Pani Lefrancois zaczęła mu więc opowiadać całą historię, o której dowiedziała się od Teodora, służącego pana Guillaumin. I choć nienawidziła starego Tellier, potępiała jednak Lheureux. Był to podstępny, obłudny płaz.

- Ach! Otóż i on. Tam pod halami, kłania się właśnie pani Bovary, która ma zielony kapelusz i idzie pod rękę z panem Boulanger!

- Pani Bovary! - krzyknął Homais. - Lecę złożyć jej moje uszanowanie! Może będzie rada, jak jej zarezerwuję miejsce pod kolumnami.

I nie słuchając już starej Lefrancois, która wołała za nim chcąc skończyć opowiadanie, aptekarz oddalił się szybko, elastycznym krokiem, z uśmiechem na

ustach, rozdając mnóstwo ukłonów na prawo i lewo i wypełniając dużą przestrzeń długimi połami czarnego fraka, które unosiły się za nim na wietrze.

Rudolf, dostrzegłszy go z daleka, przyspieszył kroku. Lecz pani Bovary zadyszkała się; zwalniając więc, uśmiechnął się i rzekł brutalnie:

- Chciałem, żeby nas nie przyłapał ten grubas, wie pani, aptekarz.

Trąciła go łokciem.

"Co to znaczy?" - pomyślał.

I rzucił na nią spojrzenie spod oka, nie zatrzymując się jednak.

Profil jej był tak pełen spokoju, że nie pozwalał się niczego domyślić. Rysował się w pełnym blasku, na tle owalnego ronda budki, związanej bladymi wstążkami podobnymi do liści szuwarów. Oczy jej o długich, wygiętych rzęsach patrzyły wprost przed siebie i choć były szeroko otwarte, zdawały się nieco zwężone linią policzków, ożywionych barwą krwi, pulsującej łagodnie pod delikatną skórą.

Różowy blask przenikał przegródkę jej nosa. Pochylała głowę na ramię i widać było spomiędzy warg perłowe koniuszki białych zębów.

"Czy kpi sobie ze mnie?" - zastanawiał się Rudolf.

Ale ten ruch Emmy był tylko ostrzeżeniem. Gdyż pan Lheureux, który im towarzyszył, zagadywał coś do nich niekiedy, jakby chciał nawiązać pogawędkę.

- Cóż za wspaniały dzień! Wszyscy powychodzili z domów... Wiatr mamy wschodni.

Pani Bovary, podobnie jak i Rudolf, zbywała go milczeniem. On zaś na najmniejszy ich ruch, zbliżał się mówiąc: - Co proszę? - I podnosił rękę do kapelusza.

Przed domem kowala, zamiast iść dalej drogą do rogatki, Rudolf skręcił nagle na ścieżkę, pociągając za sobą panią Bovary, i zawołał:

- Żegnam, panie Lheureux! Do zobaczenia!

- Ależ go pan odprawił! - rzekła śmiejąc się.

- Czemuż nie bronić się przed natarczywością innych? Skoro mam dziś szczęście być z panią...

Emma zarumieniła się, on nie dokończył zdania i zaczął mówić o tym, jaka ładna pogoda i jak przyjemnie jest chodzić po trawie. Kwitło jeszcze kilka rumianków.

- Jakie miłutkie stokrotki - rzekł. - Można by z nich wyróżyć przyszłość wszystkim zakochanym pannom w całej okolicy. A potem dodał:

- A może zerwę jedną? Jak pani myśli?

- Czy pan jest zakochany? - spytała pokaszując.

- A! Kto wie? - odparł Rudolf.

Łąka zaczęła się zaludniać. Baby poszturchiwały wszystkich ogromnymi parasolkami, koszami i bachorami. Często trzeba było schodzić z drogi przed długim szeregiem dziewczyn folwarcznych; miały niebieskie pończochy, trzewiki na płaskich obcasach i pierścionki ze srebra. Pachniały mlekiem, gdy się je mijało. Szły trzymając się za ręce i zagarniały całą szerokość łąki, od alei wysadzonej csiczyzną aż po namiot. Była to właśnie chwila przeglądu bydła przez ekspertów. Rolnicy jedni po drugich wkraczali w obręb czegoś w rodzaju hipodromu, wyznaczonego długim sznurem na tyczkach.

Zwierzęta, zwrócone pyskami do sznura, ukazywały grzbiety rozmaitej wysokości. Ociężałe wieprze wtykały ryje w ziemię, cielęta porykiwały, owce beczały, krowy leżały na murawie, z jedną nogą podgiętą, i przeżuwały z wolna, przymykając ciężkie powieki przed rojem drobnych muszek, brzęczących dokoła.

Fornale z podkasanymi rękawami trzymali za uździenice stojące dęba ogiery, które rżały głośno, obracając rozdęte nozdrza w stronę kłaczy. Te spokojne, z pochylonymi łbami i zwisającą grzywą, osłaniały swym cieniem źrebaki, które

podchodziły je possać niekiedy. A nad tym długim, rozkołysanym szeregiem stłoczonych ciał widać było czasem, jak grzebień fali, białą rozwianą grzywę lub sterczące, spiczaste rogi i głowy przebiegających ludzi. Za linią sznura, z boku, o sto kroków dalej, w kagańcu, z żelazną obrączką w nozdrzach, stał duży, czarny byk, nieruchomy jak odlew z brązu. Dzieciak w łachmanach trzymał go na postronku.

Tymczasem zaś między dwoma szeregami przechodzili ciężkim krokiem panowie, oglądali każde zwierzę i naradzali się później po cichu. Jeden z nich - najwyraźniej jakaś ważna osobistość - idąc zapisywał coś w notesie. Był to przewodniczący jury, pan Derozerays de la Panyille. Skoro tylko spostrzegł Rudolfa, żywo podszedł ku niemu i uśmiechając się rzekł uprzejmie:

- Jak to, panie Boulanger, opuszcza pan nas? Rudolf zapewnił go, że wróci, ale gdy prezes odszedł:

- Nie - rzekł - na honor, nie pójdę: przekładam towarzystwo pani.

Pokpiwając sobie ze zjazdu, Rudolf chciał jednak swobodniej poruszać się w tłumie, pokazywał więc żandarmowi swą niebieską kartę wstępu i nawet zatrzymywał się niekiedy przed jakimś pięknym okazem, który nie budził najmniejszego zachwytu w pani Bovary. Spostrzegł to niebawem i zaczął wówczas żartować z toalet miejscowych dam. Potem tłumaczył się z zaniedbania własnego stroju. Było w nim to pomieszanie rzeczy pospolitych z wyszukanyimi, które w oczach gminu uchodzi za objaw ekscentrycznego życia, nieładu uczuć, nawyków artysty, a zawsze pewnego lekceważenia form towarzyskich, co wywołuje zachwyt lub oburzenie. Tak więc batystowa koszula o plisowanych mankietach wydymała się swobodnie na wietrze w wycięciu szarej, satynowej kamizelki, spodnie miał w szerokie pasy, trzewiki nankinowe, oblamowano lakierowaną skórą. Błyszczały tak, że się w nich odbijała trawa. Deptał nimi po końskim nawozie, jedną rękę miał w kieszeni kurtki, a słomkowy kapelusz zsunięty na bok.

- Zresztą - dodał - gdy się mieszka na wsi...

- To wszystko i tak na nic - rzekła Emma.

- To prawda - odparł Rudolf. - Niechże sobie pani tylko pomyśli, że ani jeden z tych pocziwców nie potrafi się poznać nawet na kroju ubrania!

Zaczęli mówić o szarzyźnie prowincjonalnego życia, o istnieniach, które dławi, o złudzeniach, które rozwiewa.

- Toteż - dodał Rudolf - pogrążam się w takim smutku...

- Pan? - rzekła ze 'zdumieniem - ależ sądziłam, że jest pan bardzo wesołym człowiekiem.

- Ach! tak, na pozór, gdyż dla ludzi umiem przybrać szyderczą maskę. Lecz ileż razy na widok cmentarza w księżycowym blasku zapytywałem siebie, czy nie lepiej odejść do tych, którzy tam śpią.

- Ach! A pana przyjaciele? - powiedziała - nie myśli pan o nich!

- Przyjaciele! Jacy? Czyż mam przyjaciół? Któż się troszczy o mnie?

Ostatnim jego słowom towarzyszyło coś w rodzaju pogardliwego syknięcia.

Tu musieli się rozłączyć na chwilę, by przepuścić człowieka niosącego olbrzymią piramidę krzesel. Tak był nimi obładowany, że widać było tylko spod nich czubki sabotów i końce sztywno rozpostartych rąk. Był to Lestiboudois, grabarz; torował on w tłumie drogę kościelnym krzesłom. Pełen inwencji, jeśli chodziło o własny interes, wpadł na pomysł, by w ten sposób zarobić na zjeździe; okazało się, że myśl była dobra, bo sam już nie wiedział, kogo pierwiej obsłużyć. W samej rzeczy, zmęczeni upałem wieśniacy wydzielali sobie krzesła, których słoma pachniała kadzidłem, i z pewną czcią opierali się o zakapane woskiem poręcze.

Pani Bovary ujęła znów Rudolfa pod ramię, on zaś mówił dalej, jakby sam do siebie:

- Tak! Pozbawiony byłem tylu rzeczy. Zawsze samotny! Gdybym miał jakiś cel w życiu, gdybym znalazł jakieś uczucie, spotkał kogoś... Ach! jakżebym rozwinął całą energię, do jakiej jestem zdolny, przewyciężyłbym wszystko, wszystko przełamał!

- Nie wydaje mi się pan jednak bynajmniej godny pożałowania - odparła Emma.

- Ach, tak pani uważa? - odparł Rudolf.

- Ostatecznie... - podjęła - jest pan wolny. - Zawahała się: - Bogaty...

- Nie drwij pani ze mnie - odparł.

Zaklinała, że wcale nie drwi, gdy rozległ się huk wystrzału i wszyscy bezładnie zaczęli się tłoczyć ku wsi.

Był to fałszywy alarm. Prefekt nie nadjeżdżał, członkowie jury byli bardzo zakłopotani i nie wiedzieli, czy należy otworzyć zjazd, czy jeszcze poczekać.

Wreszcie w głębi rynku ukazała się wielka najemna karetka. Wlokły ją dwa chude konie, które woźnica w białym kapeluszu nieustannie okładał batem. Binet zaledwie zdążył krzyknąć: "Do broni!" Pułkownik krzyknął w ślad za nim i biegiem rzucili się do kozłów. Niektórzy z wielkiego pośpiechu zapomnieli zapiąć kołnierzy. Ale pojazd prefekta zdawał się domyślać tego zamieszania i obie sprzęgnięte ze sobą szkapy, kołysząc się między pasami uprząży, zajęchały drobnym truchtem przed krużganek merostwa właśnie w chwili, gdy gwardia narodowa i strażacy rozwijali się przed nim w pełnym szyku, znacząc krok biciem bębna.

- Równaj w prawo! - krzyknął Binet.

- Stój! W lewo zwrot! - krzyknął pułkownik.

I po sprezentowaniu broni, gdy zamki zaszczekały z hałasem, który przypominał łoskot miedzianego rondla staczającego się ze schodów, wszystkie karabiny opadły.

Ujrzano wówczas wysiadającego z karety jegomościa w krótkim fraczku, szamerowanym srebrem, o łysym czole, z kosmykiem włosów na potylicy, o wyblakłej cerze i dobrodusznym wyglądem.

Mrużąc wyłupiaste oczy o ciężkich powiekach, by lepiej się rozejrzeć w tłumie, zadzierał jednocześnie spiczasty nos i składał w uśmiechu zapadłe wargi. Poznał mera po jego szarfie i wyjaśnił mu, że pan prefekt nie mógł przybyć, on zaś jest radcą prefektury. Potem dodał kilka słów przepaszając za zawód. Tuvache odpowiedział komplementami. Tamten powtarzał, że jest zawstydzony, i stali tak naprzeciw siebie, dotykając się niemal czołem, w otoczeniu członków jury, radnych miejskich, znaczniejszych gości, gwardii narodowej i tłumu. Pan radca, przyciskając do piersi czarny, trójkątny kapelusik, powtarzał uprzejmie wyrazy powitania, Tuvache, zgięty w kabłąk, uśmiechał się również, jąkał, szukał słów, zapewniał o swym oddaniu dla monarchii i o zaszczycie, jaki spotkał Yonville.

Hipolit, kulawy posługacz z oberży, przyszedł po konie i kuszykając odprowadził je za uzdę pod bramę "Złotego Lwa", gdzie zebrała się zaraz gromada chłopów, by obejrzeć powóz. Zadudnił bęben, zagrzmiął moździerz i panowie, jeden po drugim, weszli na estradę i zasiedli w fotelach obitych czerwonym Utrechem, wypożyczonych przez panią Tuvache.

Wszyscy ci ludzie byli do siebie podobni. Ich pulchne, jasne twarze, nieco ogorzałe od słońca, miały barwę słodkiego jabłecznika, bujne faworyty wynurzały się z szerokich, sztywnych kołnierzy, podtrzymywanych białymi krawatami, o starannie rozłożonych kokardach. Wszystkie kamizelki były aksamitne z szalowym kołnierzem. Przy wszystkich zegarkach wisiały na długiej wstążeczce breloki z koraliny. Opierali obie ręce na udach i starannie podciągali zaprasowane spodnie, których niesfoliowane sukno lśniło bardziej niż cholewy wysokich butów.



Panie z towarzystwa siedziały z tyłu, w przedsionku pomiędzy kolumnami, zaś zwykły tłum stał lub siedział naprzeciwko - gdyż Lestiboudois ściągnął tu wszystkie krzesła z łąki i co chwila biegł do kościoła, by donieść ich jeszcze, robiąc przy tym takie zamieszanie, że z trudem można się było przecisnąć do małych schodków wiodących na estradę.

- Uważam - rzekł Lheureux zwracając się do aptekarza, który przechodził zdążając na swoje miejsce - że należało tu ustawić dwa maszty weneckie przybrane bogatą tkaniną o poważnym wzorze, byłoby to niezwykle miłe dla oka.

- Zapewne - odparł Homais - ale cóż pan chce! To mer zagarnął wszystko w swoje ręce, a nie grzeszy smakiem ten biedny Tuvache. Jest nawet całkowicie pozbawiony tak zwanego poczucia piękna.

Tymczasem zaś Rudolf udał się z panią Bovary na pierwsze piętro merostwa, do sali posiedzeń, a że była pusta, oświadczył, iż będzie można stąd daleko wygodniej przypatrywać się całemu widowisku. Wziął trzy taborety z tych, które stały wokół owalnego stołu pod popiersiem monarchy, przysunął je do okna i zasiedli obok siebie.

Na estradzie zapanowało poruszenie, były długie szepty, pertraktacje. Wreszcie powstał radca. Wiedzano już, że nazywa się Lieuvain, i w tłumie nazwisko jego przechodziło z ust do ust. Zebrał kilka kartek, utkwiał w nich wzrok i rozpoczął:

"Panowie! Niech mi wolno będzie, zanim przystąpię do omówienia przedmiotu naszej dzisiejszej uroczystości (a pragnienie to, pewien jestem, podzielicie ze mną wszyscy), niech mi wolno będzie, powiadam, złożyć hołd wyższej administracji, rządowi, monarsze, tak, panowie, naszemu władcy, temu ukochanemu królowi, któremu żadna gałąź publicznego lub prywatnego dobra nie jest obojętna i który steruje nawą państwa dłonią równie stanowczą, co roztropną, wśród nieustannych niebezpieczeństw wzburzonego morza, umiając przy tym nakazać poszanowanie tak dla wojny, jak i dla pokoju, dla przemysłu, dla handlu, dla rolnictwa i dla sztuk pięknych."

- Powiniennem cofnąć się trochę - rzekł Rudolf.

- Dlaczego? - spytała Emma. Lecz w owej chwili głos radcy wzniósł się na najwyższą nutę. Deklamował:

„Minął już czas, panowie, gdy wśród waśni domowych spływały krwią place naszych miast, gdy obywatel, kupiec, robotnik nawet, układając się wieczorem do spokojnego snu, drżał na myśl, że zbudzą go nagle dzwony na pożar, gdy najbardziej rewolucyjne hasła podkopywały zuchwale fundamenty...”

- Dlatego - podjął Rudolf - że mógłby mnie ktoś zobaczyć z dołu; potem musiałbym się przez dwa tygodnie tłumaczyć, a przy mojej złej reputacji...

- ...O! pan się niesłusznie oskarża - rzekła Emma.

- Nie, nie, mam okropną opinię, przysięgam pani.

"Panowie - ciągnął dalej radca - lecz jeśli, porzucając ponure wspomnienie tych obrazów, spojrzę na obecny stan naszej pięknej ojczyzny, cóż ukazuje się mym oczom? Wszędzie handel i rzemiosło w rozkwicie. Wszędzie linie komunikacyjne, jakby nowe arterie w ciele państwa, zadzierzgają nowe więzy; nasze wielkie centra rękodzielnicze podjęły znów działalność. Ugruntowana religia uśmiecha się do wszystkich serc. Porty są przepelnione, odradza się ufność i wreszcie Francja nabiera oddechu!..."

- Zresztą - dodał Rudolf - może świat ma słuszość.

- Jak to? - spytała.

- Ha - rzekł. - Czyż nie wie pani, że istnieją dusze wiecznie udręczone? Potrzebują kolejno marzeń i czynów, najczystszych uczuć i najdzikszych namiętności i tak popełniają wszelkiego rodzaju wybryki i szaleństwa.

Spojrzała wówczas na niego, jak patrzy się na podróżnika, który zwiedził niezwykle kraje, i rzekła:

- My, biedne kobiety, nie mamy nawet tych wrażeń.

- Smutne to rozrywki, bo nie ma w nich szczęścia.

- A czyż można je kiedy znaleźć?

- Tak, spotyka się je pewnego dnia - odparł.

„J wtedy to zrozumieliście - ciągnął radca - wy, rolnicy i robotnicy wiejscy, wy, pokojowi pionierzy dzieła cywilizacji! Wy, ludzie postępu i wysokiej moralności. Zrozumieliście, powiadam, że wstrząsy polityczne są daleko niebezpieczniejsze od zaburzeń atmosferycznych...”

- Spotyka się je pewnego dnia - powtórzył Rudolf - pewnego dnia, niespodzianie, gdy straciło się już nadzieję; otwiera się wówczas niebo i jakby głos jakiś wołał: "Oto ono!" Czujemy potrzebę zwierzenia się tej osobie z całego życia, pragniemy poświęcić jej wszystko. Nie trzeba słów, by się porozumieć, gdy spotkało się już niegdyś, w marzeniach (mówiąc to, patrzył na nią). Oto wreszcie jest przed nami ów skarb, tak długo poszukiwany, migoce, lśni się. A jednak wątpimy jeszcze, nie śmiemy weń uwierzyć. Stoimy oślepieni, jak ktoś, kto z ciemności wyjdzie nagle na światło.

I zdanie to Rudolf zakończył pantomimą: przesunął ręką po twarzy - jak człowiek ogarnięty zawrotem głowy, a potem opuszczając dłoń położył ją na dłoni Emmy. Wysunęła swoją. Radca zaś ciągnął dalej:

"I któż by się temu dziwił, panowie? Ten tylko, kto jest tak zaślepiony, tak pogrążony (nie lękam się tych słów), tak pogrążony w przesądach dawnych wieków, iż nie docenia jeszcze wielkiego ducha włościan; gdzie bowiem znajdziemy taki patriotyzm, takie poświęcenie dla publicznego dobra, słowem, tyle roztropności, co na wsi? A mówiąc to, nie myślę o tej powierzchownej inteligencji, o tej płóchej ozdobie próżniaczych umysłów, ale raczej o tym głębokim rozumie, pełnym umiaru, który pozwala przede wszystkim zdążać wytrwale do pożytecznych celów i podnosząc dobro jednooki przyczynia się tym samym do powszechnego dobrobytu i do podtrzymania państwa, które jest owocem poszanowania praw i spełniania obowiązków...”

- Ach! Znowu obowiązki - rzekł Rudolf. - Zawsze obowiązki! Mam już powyżej uszu tego gadania! Zgraja starych emerytów w barchanowych kaftanach i zziębniętych bigotek z różańcem w ręku kładzie nam wciąż w uszy: obowiązek, obowiązek! Cóż, u licha, obowiązek - to umieć odczuć wszystko to, co wielkie, kochać to, co piękne, nie zaś ulegać wszystkim konwenansom wraz z hańbiącymi wymaganiami, jakie nam narzucają.

- Jednakże... jednakże - oponowała.

- O, nie! Po cóż powstawać przeciw porywom uczuć? Czyż to nie jedyna piękna rzecz na tej ziemi? Źródło bohaterstwa, zapału, poezji, muzyki, sztuki, wszystkiego wreszcie?

- Zawsze jednak - rzekła Emma - trzeba liczyć się trochę z opinią świata i stosować do wymagań jego moralności.

- Ach, bo też są dwie moralności - odparł. - Jedna ciasna, konwencjonalna, ludzka, ta, która zmienia się nieustannie, wrzaskliwa, pełzająca, przyziemna, jak ta rzesza głupców, którą pani widzi. Lecz ta druga, odwieczna, jest wokół nas i nad nami, jak przyroda, która nas otacza, i błękit niebios, który nam przyświeca.

Pan Lieuvain otarł usta chusteczką i podjął znów:

"...Czyż potrzebuję, panowie, dowodzić wam użyteczności rolnictwa? Któż zaspokaja nasze potrzeby? Któż nam dostarcza pożywienia? Czyż nie rolnik? Rolnik, panowie, obsiawszy pracowitą dłoń żyzne zagony naszych pól, wywodzi z ziemi zboże, które zmielone za pomocą przemysłnych przyrządów daje nam to, co zwiemy mąką; mąka zaś dostarczona do miast i powierzona niebawem piekarzowi, obraca się w pokarm zarówno dla biedaka, jak i dla bogacza. I znowu, czyż to nie rolnik tuczy na pastwiskach liczne stada owiec dla nas na odzież? Jak że byśmy mogli odziać się, jak wyżywić, gdyby nie rolnik? A zresztą, panowie, czyż tak daleko trzeba szukać przykładów? Któż bowiem nie zastanawiał się kiedyś nad doniosłą korzyścią, jaką wyciągamy z tego skromnego ptaka domowego, ozdoby naszych gospodarskich podwórek, który dostarcza nam jednocześnie miękkich poduszek do naszego łoża, soczystego mięsa na nasz stół i jaj? Lecz nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał wymieniać, jedno po drugim, wszystkie płody, których dobrze uprawiana ziemia, jak hojna matka, nie szczędzi swym dzieciom. Tu winnica, tam jabłonie, które nam dają jabłecznik, ówdzie kapusta, dalej sery i len, panowie! Nie zapominajmy o Inie, którego uprawa w ciągu tych lat ostatnich wzrosła niezwykle i na którą szczególnie pragnę zwrócić waszą uwagę".

Nie potrzebował jej zwracać. Cały tłum słuchał z otwartymi ustami, jakby pragnął wchłonąć jego słowa. Tuvache, siedząc tuż przy nim, wytrzeszczał i oczy. Pan Derozerays przymykał czasem powieki. Dalej aptekarz, ze swym synem Napoleonem koło nóg, przykładął do ucha rękę zwiniętą w trąbkę, żeby nie uronić ani jednej sylaby. Inni członkowie jury zanurzali co chwila brody w kamizelkę na znak aprobaty. Strażacy u stóp estrady odpoczywali wsparci na bagnietach, a Binet prężył się nieruchomo z ręką zgiętą w łokciu i ustawioną prostopadłe do tułowia i ze sterzącym pałaszem. Słyszał coś może, ale nic widzieć nie mógł, bo przyłbica hełmu zsuwała mu się aż na nos. Zastępca jego, młodszy syn imć pana Tuvache, prześcignął go jeszcze, gdyż miał hełm tak olbrzymi, że chwiało mu się na głowie, a spod niego wysuwał się rąbek kolorowego fularu. Uśmiechał się pod tym wszystkim z dziecinną słodyczą, a mała, blada jego twarzyczka, po której spływały krople potu, wyrażała rozkosz, znużenie i senność.

Cały plac włącznie z domami był szczelnie wypchany. We wszystkich oknach było pełno ludzi, wspartych na łokciach. Inni stali w drzwiach. Justyn przed wystawą apteki zdawał się całkowicie pochłonięty tym, co widział. Mimo ciszy głos pana Lieuvain gubił się w powietrzu. Dobiegały tylko strzępki zdań, przerywane chwilami przez hałas odsuwanych w tłumie krzesel. Potem rozlegał się nagle gdzieś z tyłu przeciągły ryk wołu lub też beczenie jagniąt, które nawoływały się wzajemnie po rogach ulic, gdyż pastuchowie aż tam zagnali swoje bydłota. Porykiwały więc od czasu do czasu i skubały zwisające im nad pyskiem gałązki.

Rudolf zbliżył się do Emmy i mówił szybko, stłumionym głosem:

- Czyż nie oburza pani to sprzysiężenie świata? Czyż znajdzie się choć jedno uczucie, którego on nie potępi? Najszlachetniejsze popędy, najczystsze sympatie są prześladowane, spotwarzane. A jeśli kiedyś spotkają się wreszcie dwie biedne dusze, wszystko jest tak urządzone, aby nie mogły się połączyć. Będą jednak próbować, będą trzepotać skrzydłami, będą się nawoływać wzajemnie. O! mniejsza o świat, wcześniej czy później, za pół roku czy za dziesięć lat, połączą się, pokochają, bo to ich przeznaczenie, bo stworzone zostały dla siebie.

Siedział z rękoma skrzyżowanymi na kolanach i zwracając twarz ku Emmie wpatrywał się w nią z bliska. Dostrzegła w jego oczach małe złote iskierki, lśniąco wokół czarnej tęczęwki, i nawet czuła zapach pomady połyskującej na włosach.

Ogarnęła ją wówczas jakaś niemoc. Przypomniała sobie wicehrabiego, unoszącego ją w walcu w Vaubeyssard, wicehrabiego, którego broda, jak te włosy, pachniała wanilią i cytryną, i odruchowo przymknęła oczy, aby nasycić się tą wonią. Lecz gdy wyprostowała się na krześle, dostrzegła z dala na horyzoncie "Jaskółkę", stary dyliżans, zjeżdżający powoli ze zbocza Leux i wlokący za sobą długi pióropusz kurzu. Tym oto żółtym powozem Leon tak często powracał do niej i ową drogą, tam daleko, odjechał kiedyś na zawsze. Wydało się jej, że widzi go w jego oknie naprzeciw. Potem wszystkie obrazy się zmieszały, przesunęły się obłoki i zdało się jej, że wiruje jeszcze w takt walca w blasku żyrandoli, wsparta o ramię wicehrabiego, i że Leon jest gdzieś niedaleko, że niebawem nadejdzie... a jednak tuż przy sobie czuła wciąż głowę Rudolfa. Słodczy tego doznania przenikała jej dawne pragnienia, które, jak ziarenka piasku porwane wiatrem, wirowały w subtelnej woni perfum, nasycającej jej duszę. Rozdęła nozdrza i po kilkakroć wciągnęła orzeźwiający zapach bluszczu na kapitelach. Ściągnęła rękawiczki, otarła ręce, potem wachlowała twarz chusteczką. Poprzez tętno krwi w skroniach dobiegał jej uszu zgiełk tłumy i głos radcy monotonnie klepiącego swe zdania:

"Wytrwałości! Wytrwałości! Nie słuchajcie podszeptów rutyny ani też przedwczesnych rad zuchwałego empiryzmu. Przykładajcie się szczególnie do melioracji gruntów, dbajcie o dobre nawozy, o podniesienie rasy koni, bydła, owiec i świń. Niech ten zjazd będzie dla was szlachetną areną pokojowych zawodów, gdzie zwycięzca wyciągnie rękę do pokonanego i obaj zbratają się w nadziei lepszej przyszłości. A wy, czcigodni słudzy, skromni pracownicy, o waszych ciężkich trudach nie pamiętał dotąd żaden rząd. Przyjdźcież po zasłużoną nagrodę za wasze ciche cnoty i bądźcie pewni, że od dziś oczy państwa zwrócone są na was, że państwo was zachęca, opiekuje się wami, uczyni zadość waszym słusznym żądaniom i w miarę możliwości ulży brzemieniu waszych trudów."

Pan Lieuvain usiadł wreszcie; wówczas wstał pan Derozerays i rozpoczął inną mowę. Nie była ona może tak kwiecista jak mowa radcy, lecz odznaczała się za to zwięźlejszym stylem, tj. dokładniejszą znajomością przedmiotu i podnioslejszymi uwagami. Pochwały rządu mniej tu zajmowały miejsca, więcej zaś religia i rolnictwo. Widać w niej było, jak oba te czynniki zawsze wspólnie dążyły do rozwoju cywilizacji. Rudolf i pani Bovary mówili o snach, przeczuciach i magnetyzmie. Cofając się do kolebki dziejów, mówca odmalował owe barbarzyńskie czasy, gdy człowiek w głębi lasów żywił się żołądziami. Potem porzuciwszy skórę zwierząt okrył się tkaniną, wyorał bruzdy, zasadził winnice. Czy stało się dobrze? Czy wynalazki nie przyniosły więcej szkody niż korzyści? Pan Derozerays zadawał sobie to pytanie. Stopniowo od magnetyzmu Rudolf przeszedł do powinowactwa dusz i gdy prezes wspominał Cyncynata przy pługu, Dioklecjana sadzącego kapustę i cesarza Chin rozpoczynającego rok siewem, młody człowiek tłumaczył młodej damie, że nieodparty pociąg łączący dwoje ludzi ma swe źródło w jakimś poprzednim bycie.

- My, na przykład - mówił - czemuśmy się poznali? Jaki przypadek to zrządził? Wbrew oddaleniu linie naszego życia płynęły ku sobie, jak dwie rzeki spływające po pochyłości, aby się połączyć.

I ujął jej rękę; nie cofnęła jej.

"Za ogólny dobry wynik uprawy!" - krzyknął prezes.

- Wówczas na przykład, gdy przyszedłem do państwa...

"Panu Bizet z Qumcampoix."

- Czyż wiedziałem, że będę pani towarzyszył? "Siedemdziesiąt franków."

- Setki razy chciałem uciekać, a jednak szedłem za panią, zostałem. "Nawozy."

- Tak jak zostanę dziś wieczór, jutro, co dzień, przez całe życie.

"Panu Caron z Argueil, złoty medal!"

- Bo nigdy nie doznałem w obcowaniu z kimś czaru tak przemożnego. "Panu Bain z Giyry-Saint-Martin!"

- Ja również zachowam wspomnienie o panu. "Za merynosa rozplodowego."

- Zapomni pani o mnie, przejdę jak cień. "Panu Belot z Notre-Dame."

- O! nie, wszak będę czymś w pani myślach, w jej życiu?

"Trzoda chlewna, nagroda ex aeauo: Panowie Leherisse i Cullembourg, sześćdziesiąt franków!"

Rudolf ścisnął jej rękę i czuł, że jest cała drżąca i ciepła, jak schwykana turkawka, która chce zerwać się do lotu; czy to pragnąc uwolnić dłoń z uścisku, czy też odpowiadając nań, Emma poruszyła lekko palcami.

- O! dzięki! - wykrzyknął. - Nie odpychasz mnie, pani! Jesteś dobra! Rozumiesz, że należę do ciebie. Pozwól mi patrzeć na ciebie, podziwiać cię!

Podmuch wiatru wpadając przez okna zmarszczył serwetę na stole, a na rynku wielkie czepce wieśniaczek uniosły się trzepocząc jak skrzydła białych motyli.

"Użytek makuchów z ziarn oleistych" - ciągnął prezes. I śpieszył dalej:

"Nawozy flamandzkie - uprawa lnu - drenowanie - długoletnie dzierżawy - służba folwarczna."

Rudolf milczał. Patrzyli na siebie. Suche ich wargi przebiegł dreszcz. Byli u szczytu pożądania i miękko, bezwolnie splótł się ich palec.

"Katarzyna-Nicezja-Elżbieta Leroux z Sassetot-la-Guerriere, za pięćdziesiąt cztery lata służby na tym samym folwarku srebrny medal wartości 25 franków!"

"Gdzież jest Katarzyna Leroux" - powtórzył radca.

Nie pojawiała się. Słyszeć było tylko ciche szepty:

- Idźże!

- Nie!

- Na lewo!

- Nie bój się!

- Ach, jaka głupia!

- Ko, jest tam wreszcie? - krzyknął Tuvache.

- Tak... tutaj!

- Niechże podejdzie!

Ujrzano wówczas wstępującą na estradę, drobną, starą kobiecinę, o lęklwym wyglądzie, która zdawała się jeszcze mniejsza w swej ubogiej odzieży. Na nogach miała grube drewniane chodaki, a biodra jej opasywał duży niebieski fartuch. Chuda twarz w czepku bez falbanki była bardziej pomarszczona od zwiędłej renety; z rękawów czerwonego kaftana wysuwały się długie ręce o węzlastych stawach. Tak były zaskorupiałe, złuszczone, stwardniałe od kurzu stodół, ługu pralni i tłuszczu wełny, że zdawały się brudne, choć splukane były czystą wodą; tyle się natrudziły, że pozostawały zeszywniałe, rozchylone, jakby same chciały złożyć pokorne świadectwo doznanych udręczeń. Jakaś klasztorna surowość biła z jej twarzy. Ani smutek, ani rozczulenie nie łagodziły jej wybladłego spojrzenia. W obcowaniu ze zwierzętami przejęła ich niemą obojętność. Po raz pierwszy znalazła się w tak liczonym gronie i wystraszona w duchu sztandarami, biciem w bębny, panami w czarnych frakach i orderem radcy, stała nieruchoma, nie wiedząc, czy należy podejść bliżej, czy uciec, ani dlaczego tłum ją popycha, a sędziowie uśmiechają się do niej. I tak oto stało przed tym kwitującym mieszczaństwem owe pół wieku kornej wysługi.

- Zbliźcie się, szanowna Katarzyno-Nicezjo-Elżbieto Leroux - rzekł radca wzięwszy z rąk prezesa listę laureatów. I przenosząc kolejno wzrok z kartki papieru na twarz staruszki powtarzał Ojcowskim tonem:

- Zbliżcie się, zbliżcie.  
- Czyście głucha? - wrzasnął Tuvache zrywając się z fotela. I zaczął jej krzyczeć do ucha:

- Pięćdziesiąt cztery lata służby! Srebrny medal! Dwadzieścia pięć franków! To dla was.

Gdy wzięła już medal, przyjrzała mu się. Błogi uśmiech rozjaśnił wówczas jej twarz i słycać było, jak mruzczała odchodząc:

- Dam go naszemu proboszczowi, żeby za mnie msze odprawiał.

- Cóż za fanatyzm! - wykrzyknął aptekarz pochylając się do rejenta.

Uroczystość była skończona. Tłum rozszedł się. I teraz, kiedy mowy zostały już wygłoszone, każdy powracał na swoje miejsce i wszystko odbywało się dawnym trybem: panowie szorstko pokrzykiwali na fernali, a ci znów bili batem zwierzęta, obojętnych triumfatorów, zdążających do obór, z uwieńczonymi zielenią rogami.

Tymczasem gwardziści z buteczkami zatkniętymi na bagnety udali się na pierwsze piętro merostwa z dobozem, który niósł kosz pełen butelek. Pani Bovary ujęła ramię Rudolfa. Odprowadził ją do domu. Rozstali się przed drzwiami. Potem w oczekiwaniu na bankiet Rudolf przechadzał się samotnie po łące. Uczta była długa, hałaśliwa, źle podana; ludzie tak stłoczeni, że trudno było łokciem poruszyć, a wąskie deski zastępujące ławki omal nie załamały się pod ciężarem biesiadników. Jedli obficie. Każdy chciał odbić sobie swoją składkę. Czoła ociekały potem i biały opar, jak mgiełka nad rzeką w jesienny poranek, unosił się nad stołem między lampionami. Rudolf, oparty plecami o płótno namiotu, tak był pochłonięty myślą o Emmie, że nic nie słyszał. Za nim, na trawie, służba układała stosy brudnych talerzy. Sąsiedzi zwracali się do niego, nie odpowiadał im. Napelniali mu kieliszek i cisza opanowywała jego myśli mimo wciąż wzrastającego hałasu. Rozpamiętywał jej słowa i rysunek warg. Twarz jej jak w czarnoksiężskim zwierciadle odbijała się w stali hełmów. Wzdłuż ścian spływały fałdy jej sukni, a w perspektywie rozciągały się w nieskończoność dnie pełne miłości.

Zobaczył ją znów wieczorem podczas sztucznych ogni. Ale była z mężem, z panią Homais i z aptekarzem; ten, strwożony bardzo myślą o niebezpieczeństwie, jakim grożą zagubione race, co chwila opuszczał towarzystwo, żeby udzielić panu Binet odpowiednich przestróg.

Fajerwerki, przysłane na ręce imć pana Tuvache, przez nadmiar ostrożności zostały schowane w piwnicy; toteż wilgotny proch nie zapalał się wcale i główny numer, który miał przedstawiać smoka gryzącego własny ogon, zawiódł zupełnie. Niekiedy zabłysła jakaś biedna, pojedyncza raca. Gapiący się tłum witał ją głośniejszym okrzykiem zmieszonym z piskami kobiet, które podszczypywano w ciemności. Emma w milczeniu przytulała się leciutko do ramienia Karola, potem podnosząc głowę biegła oczyma za świetlistą smugą na ciemnym niebie. Rudolf wpatrywał się w nią w blasku płonących lampionów. Dogasały jedno po drugim. Zapaliły się gwiazdy. Spadło kilka kropel deszczu. Narzuciła chusteczkę na głowę.

W tej chwili powóz radcy wyjechał z oberży. Pijany woźnica zdrzemnął się nagle i widać było z dala, jak ciemna jego sylwetka kiwa się w prawo i lewo w rytm rozkołysanych resorów.

- Doprawdy - rzekł aptekarz - należałoby surowo karcnąć za pijaństwo. Chciałbym, żeby co tydzień na drzwiach merostwa na specjalnej tablicy wypisywano nazwiska wszystkich, którzy w ciągu bieżącego tygodnia zatruli się alkoholem. Zresztą, jeśli chodzi o statystyki, byłby to rodzaj jawnych roczników, do których można by się zawsze odwołać w razie potrzeby... Lecz przepraszam.

I podbiegł raz jeszcze do kapitana, który odchodził właśnie do domu. Wracał do swej tokarki.

- Może by nie zawadziło - rzekł Homais - gdyby posłał pan kogo ze swych ludzi lub poszedł sam...

- Dajże mi pan pokój - odparł poborca - przecież wszystko w porządku.

- Bądźcie, państwo, spokojni - rzekł aptekarz wróciwszy do przyjaciół. - Pan Binet zapewnił mnie, że wszystkie środki ostrożności zostały przedsięwzięte. Nie padła nigdzie żadna iskra. Sikawki są pełne, chodźmy spać.

- O tak. Bardzo już tego potrzebuję - zauważyła pani Homais ziewając przeciągle - ale to nic, najważniejsze, że mieliśmy piękny dzień na naszą uroczystość.

Rudolf powtórzył półgłosem z czułym wejrzeniem:

- O tak! Bardzo piękny!

Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę.

W dwa dni potem ukazał się w "Pochodni Rouen" długi artykuł o zjeździe. Homais w natchnieniu ułożył go już nazajutrz.

"Skąd te festony, to kwiecie, te wieńce? Dokąd biegł ten tłum jak wzburzone fale szalejącego morza pod tropikalnym słońcem, które wygrzewa nasze skiby?"

Potem mówił o doli włościan. Zapewne, państwo zrobiło dla nich wiele, ale jeszcze nie dość! Zachęcał więc rząd wołając; "Odwagi! Trzeba tysiąca reform - dokonajmy ich." Wreszcie, opowiadając o przybyciu radcy, nie omieszkał wspomnieć o "marsowej postawie milicji", o "naszych żwawych wieśniaczkach" ani o "siwowłosych starcach, patriarchach, z których niejeden należał do szczątków nieśmiertelnych zastępów i dziś jeszcze czuł, jak serce mu bije na bitewny warkot bębna". Wymieniając członków jury, na pierwszym miejscu podał siebie i nawet w dopisku przypominał, że pan Homais, aptekarz, posłał Towarzystwu Rolniczemu studium o jabłeczniku. Gdy doszedł do wręczania nagród, odmalowywał radość laureatów w górnołotnych słowach: "Ojciec ścisnął syna, brat brata, małżonek małżonkę. Niejeden z dumą pokazywał swój skromny medal i zapewne, wróciwszy do domu, zawiesił go ze łąką w oku na cichych ścianach swej chatki.

Wieczorem około szóstej uczta zastawiona na łące pana Liegeard zgromadziła głównych uczestników tego święta. Odbyla się ona w nastroju niczym nie zamąconej, największej serdeczności. Wznoszono rozmaite toasty: Pan Lieuvain na cześć monarchy. Pan Tuvache na cześć prefekta. Pan Derozerays na cześć rolnictwa, pan Homais na cześć przemysłu i sztuk pięknych (tych bliźniąt nierozłącznych), a pan Lepichey na intencję melioracji. Wieczorem zabłyśły nagle na niebie olśniewające fajerwerki. Rzekłby kto, że to prawdziwy kalejdoskop, istne dekoracje operowe i nasza skromna miejscowość zdawała się przeniesiona w baśń z Tysiąca, i jednej nocy.

Zaznaczmy wreszcie, co żaden przykry incydent nie zamącił nastroju rodzinnego zebrania." I dodał:

"Zauważono tylko nieobecność duchowieństwa. Zapewne zakrystie inaczej pojmują postęp. Ha, jak sobie chcecie, panowie z bractwa Loyoli!"

ix Minęło sześć tygodni. Rudolf nie pokazywał się. Wreszcie zjawił się pewnego wieczoru. Nazajutrz po zjeździe powiedział sobie:

- Nie śpieszmy się, byłby to błąd. - Po tygodniu wybrał się na polowanie. Potem pomyślał, że już za późno, wreszcie rozumował tak:

- Jeśli pokochała mnie od pierwszego dnia, powinna teraz niecierpliwie się i kochać mnie jeszcze bardziej. Zatem - cierpliwości! I pojął, że obliczenia jego były trafne, gdy wchodząc do pokoju spostrzegł, że Emma zbladła.

Była sama. Zapadał zmierzch. Muślinowe firaneczki na szybach zagęszczały jeszcze mrok, a pożyłota barometru, na który padał promień słońca, budziła ogniste błyski w lustrze między zarysami polipnika.

Rudolf stał, Emma ledwie odpowiedziała na pierwsze słowa powitania.

- Miałem interesy do załatwienia - rzekł. - Byłem chory.

- Poważnie?! - wykrzyknęła.

- A więc... nie! - rzucił Rudolf siadając przy niej na taboreciku. - Ale nie chciałem tu wracać.

- Dlaczego?

- Nie domyślasz się, pani?

I spojrzał na nią raz jeszcze, ale tak namiętnie, że rumieniąc się spuściła głowę. Podjął więc; - Emmo...

- Panie! - rzekła odsuwając się nieco.

- Ach! sama pani widzi - odparł melancholijnym głosem - że miałem słusność nie chcąc tu wracać; gdyż to imię, imię, które wypełnia mi całą duszę i które wymknęło mi się, pani mi go wzbraniaasz. Pani Bovary!... Ach, wszyscy tak panią nazywają. Zresztą to nie twoje nazwisko; to nazwisko innego! Powtórzył:

- Innego!

I ukrył twarz w dłoniach.

- Tak, myślę o pani nieustannie!... Wspomnienie twoje mnie prześladowuje! Ach! wybacź!... Żegnaj!... Odejdę daleko... tak daleko, że nie posłyszysz już o mnie!... A jednak... dzisiaj... sam nie wiem, jaka siła popchnęła mnie jeszcze ku tobie! Bo nie sposób walczyć z niebem, oprzeć się uśmiechom aniołów! Porywa nas to, co piękne, urocze, cudowne!

Emma po raz pierwszy słyszała takie rzeczy; i jej miłość własna, jak ktoś wypoczywający w kąpieli, przeciągała się z lubością w ciepłe tych słów.

- Lecz jeśli nie przyszedłem - ciągnął dalej - jeśli nie mogłem widzieć pani, ach! napatrzyłem się za to na wszystko, co cię otacza! W nocy, każdej nocy wstawałem, przychodziłem aż tutaj, wpatrywałem się w twój dom, w dach lśniący przy księżycu, w drzewa ogrodu chwiejące się pod twym oknem i w małą lampkę, światło, które błyszczało w mroku poprzez szyby. Ach! nie wiedziałaś pani zgoła, że tu, tak blisko i tak daleko, jest ktoś tak nieszczęśliwy...

Odwróciła się ku niemu z tłumionym szlochem.

- O! jaki pan dobry - rzekła.

- Nie, kocham cię, oto wszystko! Nie wątpisz, prawda? Proszę, powiedz mi to. Jedno słowo! Jedno tylko słowo!

I nieznacznie zsunął się z taborecika na ziemię; ale w kuchni rozległ się stuk sabotów i Rudolf zauważył, że drzwi do pokoju są nie zamknięte.

- Ach! jakże byłabyś pani łaskawa - ciągnął wstając - gdybyś zechciała zaspokoić moje marzenie!

Chodziło o zwiedzenie jej domu, pragnął go poznać, a że pani Bovary nie miała nic przeciwko temu, wstali oboje, gdy wszedł Karol.

- Witam pana, doktorze - rzekł Rudolf.

Lekarz miło pogłaskany tym nieoczekiwanym tytułem zaczął się rozplýwać w uprzejmościach, tamten zaś skorzystał z tego, żeby się opanować.

- Pani mówiła mi właśnie o swym zdrowiu - wtrącił.

Karol przerwał mu: jest o nią istotnie bardzo niespokojny; znów wróciły ataki duszności. Wówczas Rudolf spytał, czy nie byłyby wskazane przejażdżki konne.

- Oczywiście! Świetnie! Doskonale!... Wyborna myśl! Powinnaś posłuchać tej rady.



A gdy zauważyła, że nie ma przecież wierzchowca, Rudolf zaofiarował jej swojego. Odmówiła jednak; nie nalegał; przy tym, aby upozorować swą wizytę, powiedział, że fornal, któremu puszczano krew, doświadczał nadal zawrotów głowy.

- Wpadnę tam - rzekł Bovary.

- Nie, nie, przyślę go panu; przyjedziemy razem, tak będzie panu wygodniej.

- A! To świetnie, dziękuję. I gdy tylko zostali sami:

- Czemu nie przyjmiesz propozycji pana Boulanger, który jest tak uprzejmy?

Zrobiła nadąsaną minę, wynalazła tysiąc wymówek, wreszcie oświadczyła, że mogłoby się to wydawać niestosowne.

- Ach! kpię sobie z tego - rzekł Karol wykręcając się na pięcie. - Zdrowie przede wszystkim. Nie masz racji.

- Zresztą, jak chcesz, żebym jeździła konno, kiedy nie mam amazonki?

- Obstaluj więc sobie - odparł.

Amazonka przekonała ją.

Gdy strój był gotowy, Karol napisał do pana Boulanger, że żona jest zdecydowana i że liczą na jego uprzejmość.

Nazajutrz w południe Rudolf pojawił się przed drzwiami Karola z dwoma wierzchowcami. Jeden z nich miał różowe pompony przy uszach i damskie zamszowe siodło. Rudolf włożył wysokie miękkie buty, mówiąc sobie, że nigdy pewno takich nie widziała. I rzeczywiście, Emma oczarowana była Jego strojem, gdy ukazał się na progu w aksamitnym fraku i w białych, dzianych spodniach. Była już ubrana i czekała nań.

Justyn wymknął się z apteki, żeby ją obejrzyć. Aptekarz pofatygował się również. Udzielał przestróg panu Boulanger.

- O wypadek tak łatwo! Proszę być ostrożnym!

Może konie pana są płochliwe?

Posłyszała hałas nad głową. To Felicja bębniła palcem o szybę, żeby zabawić małą Bertę. Dziecko posłało matce z daleka całusa; w odpowiedzi skinęła małej główką szpicruty, - Miłej przejażdżki - krzyknął Homais - a przede wszystkim ostrożnie, ostrożnie!

I wymachiwał gazetą patrząc, jak się oddalają.

Koń Emmy, gdy tylko poczuł ziemię, ruszył galopem. Rudolf galopował obok niej. Czasami zamieniali jakieś słowo. Emma z pochyloną nieco głową, unosząc wyprostowaną prawą rękę, poddawała się rytmowi ruchu, który kołysał ją na siodle.

U stóp wzgórza Rudolf puścił cugle. Ruszyli razem z kopyta; potem, na szczycie, konie stanęły nagle i jej duży, błękitny woal opadł.

Były to pierwsze dni października. Mgła unosiła się nad polami. Opary snuły się na widnokręgu między zarysami wzgórz; inne znów rozdierały się, wznosiły, nikły. Niekiedy w rozstępujących się mgłach dostrzec można było z daleka, w promieniu słonecznym, dachy Yonville, ogrody nad rzeką, mury, podwórza i dzwonnice. Emma mrużyła powieki, żeby rozpoznać swój dom, i nigdy to pocziwe miasteczko, w którym mieszkała, nie wydało się jej tak małe! Ze wzniesienia, gdzie stali, cała dolina wyglądała jak ogromne blade jezioro, rozpluwające się w powietrzu. Kępy drzew sterczały miejscami niby czarne skały; wyniosłe linie topoli, wznoszących się ponad mgłą, przypominały wybrzeże, którego piaski poruszał wiatr. Obok na polanie, pomiędzy jodłami, krążyły w ciepłym powietrzu brunatne plamy światła. Ziemia, rudawa jak sproszkowany tytoń, tłumiła stąpanie koni, które końcem podków potraçały leżące na ziemi szyszki.

Rudolf i Emma jechali skrajem lasu. Odwracała się niekiedy, żeby uniknąć jego spojrzenia, i widziała wówczas jedynie rzędy jodłowych pni, których nieprzerwana jednostajność męczyła ją trochę. Konie sapły. Skóra siodeł skrzypiała.

W chwili gdy wjeżdżali do lasu, ukazało się słońce.

- Bóg nam sprzyja! - rzekł Rudolf.

- Sądzi pan?

- Naprzód, naprzód! - podjął. Cmoknął. Oba konie puściły się cwałem. Wysokie paprocie po brzegach drogi czepiały się strzemienia Emmy. Rudolf pochylał się i wyplątywał je. Niekiedy, aby odsunąć gałęzie, przejeżdżał tuż koło niej i Emma czuła, jak kolano jego ociera się o jej nogę. Niebo było błękitne, liście nieruchome. Całe wielkie połacie pełne były kwitnących wrzosów; kobierce fiołków przeplatały się raz po raz z gęstwiną drzew, szarych, płowych lub złocistych, zależnie od listowia. Często dochodziło spod krzaków krótkie trzepotanie skrzydeł lub chrapliwe, łagodne krzyki wron, odlatujących w dębiny.

Zsiadli. Rudolf przywiązał konie. Ona szła pierwsza, po mchu, między koleinami.

Ale suknia, zbyt długa, krępowała ruchy, choć Emma uniosła jej ogon, i Rudolfowi idącemu za nią ukazywała się pomiędzy czarnym sukniem a czarnym bucikiem delikatna, biała pończocha, która zdawała się być czymś z nagości jej ciała. Zatrzymała się.

- Jestem zmęczona - rzekła.

- Jeszcze trochę, niech pani spróbuje! Odwagi! O sto kroków dalej zatrzymała się znowu: poprzez woal, który z jej męskiego kapelusza spływał ukośnie na biodra, dojrzeć można było twarz w przejrzystym błękicie, jakby płynącą pod falami lazuru.

- Dokądże idziemy?

Nie odpowiedział. Oddychała pośpiesznie, Rudolf rzucał spojrzenia dokoła siebie i przygryzał wąsa.

Dotarli do przestronnej poręby. Usiedli na obalonym pniu i Rudolf zaczął jej mówić o swej miłości. Nie odstraszał jej z początku prawieniem komplementów. Był spokojny, poważny, pełen melancholii.

Emma słuchała go ze spuszczoną głową, potrącając końcem bucika wiórki na ziemi.

Lecz gdy powiedział:

- Czyż losy nasze nie są już teraz wspólne?

- O nie! - odparła. - Wie pan o tym dobrze. To niemożliwe.

Wstała, by odejść. Chwycił jej rękę w przegubie. Stanęła. Po czym patrząc nań długą chwilę okiem rozkochanym i wilgotnym, rzekła pośpiesznie:

- Ach, nie mówmy już o tym więcej... Gdzie konie? Wracajmy.

Zrobił ruch pełen gniewu i zniecierpliwienia. Powtórzyła:

- Gdzie konie? Gdzie są konie?

Wówczas uśmiechając się szczególnie, z utkwionym w nią wzrokiem i zaciśniętymi zębami podszedł otwierając ramiona. Cofnęła się drżąc i wyjąkała:

- Och! Przerażasz mnie pan! Sprawiasz mi ból! Wracajmy!

- Skoro tak być musi - odparł zmieniając wyraz twarzy.

I stał się znów pełen szacunku, łagodny, nieśmiały. Podała mu ramię. Wracali.

- Cóż się pani stało? - mówił. - Dlaczego? Nie rozumiem. Pani się myli zapewne? Królujesz w mej duszy jak madonna na piedestale, masz miejsce wysokie, trwałe i niepokalane. Ale jesteś mi niezbędna do życia! Potrzebuję twych oczu, twego głosu, twych myśli. Bądź mi przyjaciółką, siostrą, aniołem.

I wyciągał ramię, otaczał jej kibić. Usiłowała wyzwolić się. Podtrzymywał ją i szli tak razem. Posłyszeli, jak konie szczypią listowie.

- Och! jeszcze - rzekł Rudolf. - Nie odjeżdżajmy! Zostań!

Pociągnął je dalej nad małą sadzawkę, gdzie rzęsa wodna zieleniła powierzchnię. Przekwitłe nenufary tkwiły nieruchomo wśród trzcin. Na odgłos ich kroków wyskakiwały z trawy spłoszone żabki.

- Złe robię, źle robię - mówiła. - Jestem szalona, że pana słucham.

- Dlaczego?... Dlaczego! Emmo!

- O Rudolfie!... - wyszeptala z wolna młoda kobieta skłaniając głowę na jego ramię.

Wełna jej sukni przylgnęła do aksamitu fraka; odrzuciła białą szyję i z westchnieniem, na wpół przytomna, we łzach, przejęta dreszczem, ukrywszy twarz oddała mu się.

Zapadały wieczorne cienie. Poziome promienie słońca prześlizgując się przez gałęzie raziły jej oczy. Tu i ówdzie, dokoła niej, wśród liści na ziemi drżały świetliste plamy, jakby rozsiane pióra przelatujących kolibrów. Cicho było; z drzew zdawała się sączyć jakaś słodycz; czuła, że serce jej znów bić zaczyna i krew krąży po ciele jak mleczna rzeka. Z oddali, znad wzgórz za lasem dobiegło jej uszu jakieś niewyraźne, przeciągłe wołanie i wsłuchiwała się w milczeniu w ten głos, co wplątał się jak muzyka w ostatnie wibracje jej rozedrganych nerwów. Rudolf z cygarem w zębach naprawiał szczyrykiem zerwaną uzdę.

Wracali do Yonville tą samą drogą. Spotykali na błocie biegnące obok siebie ślady kopyt swych koni, te same krzaki, te same kamyki w trawie. Nic się nie zmieniło wokół nich; dla niej jednak stało się coś ważniejszego, niż gdyby poruszyły się góry. Rudolf raz po raz pochylał się, by ucałować jej dłoń.

Uroczo wyglądała na koniu! Prosta, wysmukła, z kolanem podgiętym na końskiej grzywie, lekko zarumieniona powietrzem i czerwienią wieczoru.

Wjeżdżając do Yonville podcięła konia i paradowała po bruku. Przyglądano się jej z okien.

Przy kolacji mąż zauważył, że dobrze wygląda. Ale zdawała się nie słyszeć, gdy wypytywał ją o spacer. Siedziała nad talerzem nieruchoma, wsparta na łokciu, między dwiema płonącymi świecami.

- Emmc! - rzekł.

- Co?

- A więc byłem dziś po południu u pana Aleksandra, ma niemłodą klaczkę, wcale dobrą, tylko trochę ochwaconą i z pewnością można by ją kupić za jakie sto ludwików...

- I dodał:

- Myśląc nawet, że sprawi ci to przyjemność, zatrzymałem... kupiłem ją... Czy dobrze zrobiłem?... Powiedz!

Kiwnęła głową przytakująco, a po kwadransie:

- Wychodzisz dziś wieczór? - spytała.

- Tak, czemu pytasz?

- O! nic, nic, mój drogi.

I gdy tylko pozbyła się Karola, zamknęła się w swym pokoju.

Z początku była jak oszłomiona; widziała drzewa, drogę, rowy, Rudolfa. Czuła jeszcze uścisk jego ramion wśród szelestu liści i poświstu trzcin.

Ale spojrzała w lustro i zdumiała się na widok swej twarzy. Nigdy oczy jej nie były tak wielkie, tak czarne i tak głębokie. Coś nieuchwytnego powlekło i przemieniło jej postać.

Powtarzała sobie: "Mam kochanka! mam kochanka!" - lubując się tą myślą jak powtórny dojrzeniem. Posiadzie więc wreszcie owe rozkosze miłości, gorączkę szczęścia, w które zwątpiła. Wkraczała oto w coś cudownego, gdzie wszystko miało być namiętnością, uniesieniem, szaleństwem: spowijał ją błękitnawy bezkres, wyżyny uczucia lśniły w jej myśli, a życie codzienne jawiło się gdzieś daleko, na samym dole, w cieniu pomiędzy szczytami.

Przypomniały się jej wówczas heroiny przeczytanych romansów i liryczny chór wiarołomnych kobiet zaśpiewał w pamięci, czarując siostrzanymi głosami. Stawała się sama jakby prawdziwą częścią tych rojeń i urzeczywistniała wreszcie marzenie całej młodości, widząc w sobie ów ideał kochanki, o którym myślała z taką zazdrością. Zresztą odczuwała radość zemsty. Czyż nie dość się nacierpią! Ale teraz przyszła chwila triumfu i miłość, tłumiona od tak dawna, tryskała w całej pełni i wrzała radośnie. Upajała się nią bez wyrzutów sumienia, bez niepokoju bez trwogi.

Dzień następny pełen był nowej słodyczy. Składali sobie przysięgi. Zwierała mu się ze swych smutków. Rudolf przerywał jej pocałunkami, a ona, przyglądając mu się spod przymkniętych powiek, prosiła, by wymówił jeszcze jej imię i powtórzył, że ją kocha. Było to w lesie, jak dnia poprzedniego, w szałasie drwali. Ściany były słomiane, a dach schodził tak nisko, że nie można się było wyprostować. Siedzieli przytuleni na pośłaniu z suchych liści.

Od tego dnia zaczęli regularnie co wieczór pisywać do siebie. Emma zanosila list na koniec ogrodu nad rzekę i chowała go w szczelinę muru. Rudolf przychodził go zabrać i przynosił swój, który zawsze wydawał się jej zbyt krótki.

Pewnego ranka, gdy Karol wyjechał przed świtem, przyszła jej chęć zobaczyć Rudolfa natychmiast. Można było pobiec szybko do Huchette, zabawić tam godzinkę i wrócić, zanimby się ktokolwiek w Yonville obudził. Zapaliła się do tej myśli i niebawem znalazła się pośrodku łąki; szła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Świtało. Emma rozpoznała z daleka dom kochanka; blaszane chorągiewki w kształcie jaskółczych ogonów rysowały się czarno na bladym niebie.

Za podwórzem folwarcznym widniał masyw budowli, która zapewne była pałacem. Wkroczyła weń, jakby ściany same się przed nią rozstępowały. Szerokie, proste schody wiodły na korytarz. Emma nacisnęła klamkę jakichś drzwi i w głębi pokoju dostrzegła nagle śpiącego mężczyznę. Był to Rudolf. Krzyknęła.

- To ty! to ty! - powtórzył. - Jakżeś się tu dostała? O! masz całą suknię moką!

- Kocham cię! - odpowiedziała zarzucając mu ramiona na szyję.

Odkąd jej się udało to pierwsze zuchwalstwo, Emma za każdym razem, gdy Karol wychodził o świcie, ubierała się szybko i przemykała cicho schodami nad rzekę.

Kiedy jednak kładka dla krów była zdjęta, trzeba było iść wzdłuż murów, biegnących brzegiem wody. Brzeg był śliski; żeby nie upaść, czepiała się ręką o kępy przekwitłego laku. Potem szła na przełaj zaoranymi polami, grzęznąc, potykając się i błocąc cienkie pantofelki. Fularowa chustka na jej głowie powiewała wśród traw; bała się wołów, więc biegła; zjawiała się zdyszana, cała przesiąknięta świeżym zapachem soków, zieleni i wiatru. Rudolf o tej porze spał jeszcze. Wchodziła do jego pokoju niczym wiosenny poranek.

Żółte słońce na oknach przepuszczały łagodnie przyćmione złotawe światło. Emma szła po omacku, mrużąc oczy, a krople rosy zawieszona na jej włosach tworzyły jakby aureolę z topazów wokół twarzy. Rudolf ze śmiechem przyciągał ją do siebie i przyciskał do serca.

Potem oglądała jego pokój, otwierała szuflady, czesała się jego grzebieniem, przeglądała się w lusterku do golenia. Często nawet brała w zęby cybuch grubej fajki, która leżała na nocnym stoliku między cytrynami i kawałkami cukru, przy karafce z wodą.

Przynajmniej kwadrans schodził im na pożegnania. Emma płakała; pragnęła nie rozstawać się z Rudolfem nigdy. Coś mocniejszego od niej samej pchało ją ku niemu, aż wreszcie pewnego dnia, gdy zjawiała się niespodziewanie, skrzywił się jak ktoś niezadowolony.

- Co ci jest? - spytała. - Czyś cierpiący? Powiedz.

Oznajmił wreszcie z powagą, że wizyty jej stały się nieostrożne i że się kompromituje.

x Z czasem zaczęła podzielać obawy Rudolfa. Z początku nie myślała o niczym, upojona miłością. Ale teraz, gdy nie potrafiłaby żyć bez -niej, drżała, że mogłaby coś z niej utracić lub choćby tylko czymś ją zamącić. Wracając od niego rzucała dokoła niespokojne spojrzenia, wpatrywała się w każdy kształt przesuwany się na horyzoncie, w każde okienko we wsi, skąd ktoś mógłby ją dostrzec. Wsłuchiwała się w odgłos kroków, w okrzyki, w zgrzyt pługów i przystawała blada i drżąca jak liście topoli, które szeleściły nad jej głową.

Wydało się jej pewnego ranka, gdy tak wracała do siebie, że dostrzega długą lufę strzelby wymierzoną wprost w nią. Wystawała ukośnie z małej beczki ukrytej na wpół w trawie, tuż nad rowem. Emma zdrętwiała z przerażenia; szła jednak dalej, gdy z beczki wyszedł jakiś człowiek, jak owe diabliki na sprężynie, co wyskakują nagle z pudełka.

Miał wysokie kamasze po kolana, czapkę wciśniętą aż na oczy, drżące wargi i czerwony nos. Był to Binet czatujący na dzikie kaczki.

- Powinna się pani była z daleka odezwać. Zawsze, gdy się zobaczy strzelbę, trzeba ostrzec.

Poborca usiłował w ten sposób pokryć własne zmieszanie. Gdyż wobec zarządzenia prefektury, że na kaczki można polować tylko z czółna, mimo całego poszanowania dla prawa, znalazł się z nim w kolizji. Toteż co chwila zdawało mu się, że nadchodzi strażnik polowy. Ale ten niepokój zaostrzał jeszcze przyjemność i gdy tak siedział sam w beczce, nie posiadał się z radości, podziwiając własną przebiegłość.

Na widok Emmy kamień spadł mu z serca i zaraz wdał się w rozmowę.

- Zimno, że aż szczypie! Emma nie odpowiedziała. Ciągnął dalej:

- Ale to pani wcześniej wyszła?

- Tak - odparła jękając się - wracam od dziecka, które jest u mamki.

- A pięknie, pięknie! Co do mnie, tkwię tu już od świtu, ale mgła tak gęsta, że trzeba by mieć kaczkę tuż przed...

- Żegnam pana - przerwała odwracając się na pięcie.

- Sługa uniżony - odparł sucho i wrócił do beczki.

Emma pożałowała, że tak szorstko pożegnała poborcę.

Będzie snuł zapewne nieprzychylnie domysły. Wykręt z niańką był jak najgorszym pomysłem, gdyż wszyscy w Yonville wiedzieli dobrze, że mała Bovary już od roku jest u rodziców. Zresztą nikt nie narzekał w pobliżu i droga ta wiodła tylko do Huchette. Binet musiał się więc domyślić, skąd wraca, i nie będzie milczał, rozgada z pewnością! Dręczyła się tą myślą aż do wieczora, wyszukując wszystkie możliwe kłamstwa i mając wciąż przed oczyma tego bałwana z myśliwską torbą.

Po obiedzie, widząc, że jest zatroskana, Karol zaprowadził ją do aptekarza, żeby się rozerwała trochę, i pierwszą osobą, którą spostrzegła w aptece, był to znów on - poborca! Stał przed ladą, oświetlony blaskiem czerwonej kuli i mówił:

- Proszę o pół uncji wiotriolu.

- Justynie! - krzyknął aptekarz - przynieś nam kwasu siarczanego.

Potem zwracając się do Emmy, która chciała udać się do ich mieszkania, do pani Homais:

- Nie, proszę się nie fatygować, ona tu zaraz przyjdzie. Niech się pani tymczasem pogrzeje przy piecu. Przepraszam... witam, doktorze (aptekarz bardzo lubił wymawiać słowo "doktor", gdyż skierowując je nawet do kogo innego, miał wrażenie, że część splendoru, który miał dlań ten wyraz, spływa i na nich). Ale uważaj, nie poprzewracaj mózdzierzy! Przynieś raczej krzesła z małego pokoju; wiesz przecie, że nie wolno ruszać foteli z salonu.

I by odnieść fotel na miejsce, Homais wybiegł zza lady, gdy Binet poprosił go o pół uncji kwasu cukrowego.

- Kwas cukrowy? - Zdumiał się aptekarz. - Nie znam tego! Chciał pan może kwasu szczawiowego? To o szczawiowy chodzi, nieprawdaż?

Binet objaśnił, że potrzebuje gryzącego płynu dla przyrządzenia wody miedzianej, by oczyścić zardzewiałą broń. Emma zadrżała. Aptekarz zauważył:

- Rzeczywiście pogoda nie sprzyja, co za wilgoć!

- A jednak - podjął poborca z chytrym uśmieszkiem - nie wszystkim ona przeszkadza. Emma dusiła się.

- Proszę jeszcze...

„Czyż nigdy sobie nie pójdzie” - myślała.

- Pół uncji kalafonii i terpentyny, cztery uncje żółtego wosku i półtorej uncji węgla kostnego do czyszczenia lakierowanej skóry moich przyborów myśliwskich.

Aptekarz zaczął kruszyć wosk, gdy zjawiła się pani Homais z Irmą na ręku; obok niej kroczył Napoleon, a za nią Atalia. Pani aptekarzowa usiadła na aksamitnej ławeczce pod oknem, chłopczyk przykucnął na taboreciku, a jego starsza siostrzyczka krążyła koło swego tatusia w pobliżu pudełka z cukierkami ślazowymi. Aptekarz napełniał lejki, korkował flaszki, -naklejał etykiety i sporządzał paczki. Otaczało go milczenie, słychać było tylko niekiedy dźwięk mosiężnych ciężarków na szalach wagi lub jego własne ciche słowa, gdy udzielał wskazówek swemu uczniowi.

- Jakże się miewa pani młoda latorośl? - spytała nagle pani Homais.

- Cicho tam! - krzyknął mąż, który notował jakieś cyfry w brulionie.

- Czemuż jej pani nie przyprowadziła? - podjęła półgłosem.

- PSS... - szepnęła Emma wskazując palcem aptekarza.

Lecz Binet pogrążony całkiem w odczytywaniu rachunku nic zapewne nie dosłyszał. Wreszcie poszedł sobie. Uwolniona od jego osoby Emma westchnęła głęboko.

- Jak pani ciężko oddycha - rzekła pani Homais.

- Ach! bo tak gorąco - odparła.

Nazajutrz postanowili zorganizować jakoś schadzki. Emma chciała przekupić służącą podarkiem, lecz przezorniej było znaleźć w Yonville jakiś ustronny domek. Rudolf przyrzekł jej, że zajmie się tym.

Przez całą zimę trzy lub cztery razy na tydzień przychodził do ogrodu, gdy zapadła noc. Emma wyjęła umyślnie klucz od furki i Karol myślał, że się gdzieś zagubił.

Aby dać znać o sobie, Rudolf rzucał w okiennicę garść piasku. Zrywała się gwałtownie; musiała jednak czasem wyczekiwać, bo Karol miał zwyczaj długo gawędzić przy kominku i końca temu nie było.

Niecierpliwość pożerała ją. Gdyby oczy jej miały tę władzę, wyrzuciłaby go przez okno. Wreszcie zaczynała przygotowywać się do snu. Potem brała książkę i czytała najspokojniej, jakby ją bardzo zajmowała ta lektura.

Karol z łóżka wołał, żeby szła spać.

- Chodźże, Emmo, już czas!

- Tak, tak, już idę - odpowiadała.

Ale że raził go blask świecy, odwracał się do ściany i zasypiał. Wymykała się, wstrzymując oddech, uśmiechnięta, drżąca, rozebrana. Rudolf miał szeroki płaszcz, owijał ją całą i otaczając ramieniem jej kibić pociągał w milczeniu w głąb ogrodu.

Siedzieli w altance na tej samej ławeczce z próchniejących deszczulek, gdzie Leon tak miłośnie spoglądał na nią w letnie wieczory. Nie myślała już teraz o nim wcale.

Poprzez ogołocone z liści gałązki jaśminu migotały gwiazdy. Z tyłu dochodził szum rzeki, od czasu do czasu szelest trzciny na brzegu. Kłęby cieni wydymały się w mroku i niekiedy, poruszone wszystkie jednym dreszczem, zdawały się wznosić i pochylać jak olbrzymie czarne fale, które zbliżały się, by zamknąć się nad nimi. Przejęci nocnym chłodem, mocniej tulili się do siebie. Westchnienia zdawały się im głębsze, oczy, które dostrzegali za ledwie, zdawały się większe, a słowa, wyszeptane w głębi ciszy, zapadały w dusze z krystalicznym dźwiękiem i odbijały się w niej tysięcznym echem.

Gdy noc była dżdżysta, chronili się w gabinecie przyjęć, między szopą a stajnią. Zapalała łuczywo, które przyniosła tu z kuchni i schowała za książkami. Rudolf rozsiadał się jak u siebie. Śmieszył go widok biblioteki, biurka i całego pokoju i nie mógł się powstrzymać od żarcików na temat Karola, które raziły Emmę. Wolałaby go widzieć poważniejszym, a nawet w pewnych okolicznościach bardziej dramatycznym, jak na przykład wtedy, gdy wydało się jej, że słyszy w alei zbliżające się kroki.

- Ktoś nadchodzi! - szepnęła. Zdmuchnął światło.

- Masz pistolety?

- Po co?

- No... żeby się bronić.

- Czy przed twoim mężem? Ach! pocziwina! I Rudolf zakończył zdanie gestem, który miał oznaczać: „Zgniółłbym go jednym palcem.”

Była pełna podziwu dla jego brawury, choć odczuła w niej pewien brak delikatności i naiwne grubiaństwo, które ją gorszyło.

Ta historia z pistoletami dała Rudolfowi dużo do myślenia. "Jeżeli Emma mówiła poważnie, to było bardzo śmieszne - powiedział sobie - nawet wstrętne, bo nie miał żadnego powodu nienawidzić tego biednego Karola, nie będąc, jak się to mówi, pożeranym przez zazdrość"; a jeszcze z tej okazji Emma złożyła mu uroczystą przysięgę - która również nie wydała mu się w zbyt dobrym guście.

Przy tym zaczęła się stawać nader sentymentalna. Musieli wymienić miniatury, obciąć pukle włosów, a teraz prosiła o pierścionek, o prawdziwą obrączkę ślubną, na znak wieczystego związku. Często prawiła mu o wieczornych dzwonach lub o głosach natury. Potem mówiła o swojej i o jego matce. Rudolf stracił ją dwadzieścia lat temu, ale Emma pocieszała go pieszczotliwym gaworzeniem, jakby był osieroconym malcem, a nawet czasem mówiła patrząc w księżyc:

- Jestem pewna, że tam, w górze, cieszą się obie z naszej miłości!

Ale była taka ładna! Równie naiwnych miał dotąd tak niewiele! Ta miłość wolna od rozwiązłości była dla niego czymś nowym, co zmieniając zupełnie jego łatwe obyczaje pieściło zarazem jego pychę i zmysłowość. Egzaltację Emmy, którą gardził jego mieszczański, zdrowy rozsądek, uważał w głębi serca za coś uroczego, gdyż on to był jej przedmiotem. I oto, pewny jej miłości, przestał się krępować i niepostrzeżenie zmienił sposób bycia.

Nie miał już, jak dawniej, tych czułych słów, które wzruszały ją do łez, ni tych gwałtownych pieścizot, które doprowadzały ją do szaleństwa, i owa wielka miłość, w której żyła pogrążona, zaczęła opadać jak woda w rzece, wsiąkająca nagle w łożysko. Ukazało się dno. Nie chciała w to uwierzyć.

Podwoiła czułości, a Rudolf coraz mniej ukrywał swą obojętność. Nie wiedziała sama, czy żałuje, że mu uległa, czy też, przeciwnie, pragnie go kochać jeszcze bardziej. f Upokorzenie, wywołane uczuciem własnej słabości, zmieniło się w urazę, którą łagodziła rozkosz. Nie było to przywiązanie, ale jakby nieustanny czar. Miał nad nią władzę nieograniczoną. Bała się go nieomal.

Na pozór jednak wszystko układało się między nimi spokojniej niż kiedykolwiek, gdyż Rudolfowi udało się ułożyć ich stosunek według własnych upodobań. Gdy po sześciu miesiącach nadeszła wiosna, byli wzajem dla siebie jak małżonkowie czuwający spokojnie nad domowym ogniskiem.

Było to w porze, gdy ojciec Rouault zwykł był przysyłać tradycyjną indyczkę, na pamiątkę wyleczenia złamanej nogi. Do prezentu dołączał zawsze list. Emma przecięła sznurek, którym przywiązany był do koszyka, i przeczytała następujące słowa:

"Moje kochane Dzieci!

Mam nadzieję, że mój list zastanie was w dobrym zdrowiu i że indyk wart jest poprzednich, bo wydaje mi się delikatniejszy i śmiem twierdzić, bardziej utuczony. Ale na przyszły raz przyszłe wam na od-> mianę kapłona, chyba że wolicie indora, a kobiałkę, proszę, odeślijcie mi razem z dwiema poprzednimi. Miałem wypadek w wozowni, pewnej wietrznej nocy porwało mi dach aż na drzewo. Zbiory też nieszczęśliwe. Nie wiem, kiedy będę mógł was odwiedzić. Tak mi się trudno teraz z domu oddalić, odkąd jestem sam, moja kochana Emmo."

Tu była przerwa między liniami, jakby pocziwina odłożył pióro, by pomarzyć chwilę.

"Co do mnie, to jestem zdrów - poza katarem, którego nabawiłem się na jarmarku w Yvetot. Wybrałem się tam, żeby zgodzić pastucha, bo mojego odprawiłem, za bardzo mi wybredzał w jedzeniu. Ileż to się człowiek musi namęczyć z tymi zbójami! Zresztą był też nieuczciwy.

Dowiedziałem się od wędrownego kramarza, który ' przejeżdżając przez wasze miasteczko wyrwał sobie ząb, że Bovary zawsze ma huk roboty. Nie dziwi mnie to; pokazał mi ząb, a potem poszliśmy razem na kawę. Pytałem go, czy cię widział, powiedział mi, że nie, ale że widział w stajni dwa konie, więc widać praktyka idzie jak po maśle. To dobrze, moje drogie dzieci, i niech wam Pan Bóg zsyła wszystkie możliwe pomysły!

Markotno mi bardzo, że nie widziałem jeszcze mojej ukochanej wnuczki, Berty Bovary. Zasadziłem dla niej w ogrodzie pod twoim oknem śliwę i nie ' pozwolę z niej zbierać owocu, chyba później, na kompoty, które przechowam dla niej w szafie do jej przyjazdu.

Bądźcie zdrowe, dzieci kochane. Całuję cię, moja córko, ciebie także, mój zięciu, i malutką w oba policzki.



Kłaniam się pięknie wasz kochający ojciec Teodor Rouault. Przez długą chwilę trzymała w palcach ten gruby papier. Błędy pisowni splatały się tam ze sobą, a Emma biegła za słodką myślą, która ćwierkała między wierszami, jak kurka ukryta w ciernistym żywopłocie. Atrament wysuszony był popiołem z kominka, gdyż trochę szarego pyłu wysypało się z listu na suknię, i zdawało się jej, że widzi ojca, jak schyla się nad ogniskiem sięgając po szczypce. Ach! jak to było dawno, kiedy siadywała przy nim na małym stołeczku koło komina i bawiła się spalając koniec długiego kija w jasnym ogniu płonących z trzaskiem morskich trzcini!... Przypominała sobie wieczory letnie pełne blasku. Żrebięta rżały, kiedy się przechodziło, i biegały... biegały... Pod jej oknem był ul i pszczoły, krążąc w blasku, uderzały czasem o szyby jak złote, odbijające się kulki. Ileż to było szczęścia wtedy! Ile swobody! Ile nadziei! Ile złudzeń! Nic z nich teraz nie pozostało! Roztrwonila je we wszystkich przygodach swej duszy, w kolejnych okresach życia, gdy była panną, w małżeństwie i w miłości, gubiąc je nieustannie wzdłuż drogi jak podróżny, który zostawia coś ze swego mienia po wszystkich przydrożnych karczmach.

Ale któż ją tak unieszczęśliwia? Jakiż to niezwykły kataklizm tak nią wstrząsnął? I podniosła głowę rozglądając się wokół siebie, jakby szukała przyczyny swego cierpienia.

Promień kwietniowego słońca mienił się w porcelanowych przedmiotach na półeczce; ogień płonął; poprzez pantofle czuła miękkość dywanu; dzień był jasny, ciepły i słyszała radosne wybuchy śmiechu swego dziecka, Istotnie, dziewczynka tarzała się po trawniku, na sianie, które przetrząsano. Leżała na brzuchu na szczycie kopy. Służąca przytrzymywała ją za spódniczkę. Lestiboudois grabił nie opodal, a ilekroć się zbliżył, mała wychylała się i machała rękami.

- Przeprowadź mi ją! - zawołała Emma podbiegając, by uściskać córkę. - Jakże cię kocham, moja dziecinko, jak cię kocham!

Potem spostrzegłszy, że mała ma trochę brudne uszki, szybko zadzwoniła, aby przyniesiono ciepłej wody, umyła ją, zmieniła jej bieliznę, pończoszki, trzewiki, zadawała tysiące pytań o jej zdrowie, jak po powrocie z podróży, wreszcie ucałowała ją raz jeszcze i popłakując po trosze, oddała w ręce służącej, zdumionej tym wybuchem czułości.

Wieczorem Rudolf zastał ją poważniejszą niż zwykle.

"To przejdzie - pomyślał - to tylko kaprys."

I nie zjawił się na trzy kolejne schadzki.

Gdy znów przyszedł, przyjęła go zimno, niemal pogardliwie.

- Ach! Tracisz czas, moja mała. | I udał, że nie zauważa jej smętnych westchnień ani wyciągniętej chusteczki. ! Wówczas dopiero ogarnęła Emme skrucha! Zastanawiała się nawet, za co tak nienawidzi Karola i czy nie byłoby lepiej - móc go pokochać. Lecz on nie nastroczał okazji do podobnego nawrotu i uczuć i znalazła się w kłopotcie, nie wiedząc, co począć ze swą chęcią do poświęceń, gdy aptekarz w samą porę dostarczył jej odpowiedniej sposobności.

Przeczytał ostatnio pochwałę nowcoj metody leczenia szpotawych nóg i jako zwolennik postępu, powziął patriotyczną myśl, że Yonville, jeśli ma "okazać się na poziomie", winno uprawiać operacje skrzywień stopy.

- Gdyż - prawil Emmie - cóż to za ryzyko? Zważ palii (i tu wyliczał na palcach korzyści podobnego przedsięwzięcia): powodzenie prawie niezawodne, ulga fizyczna i moralna dla chorego i szybko zdobyta sława dla operatora. Dlaczego by na przykład mąż pani nie miał ulżyć temu biednemu Hipolitowi z „Pod Złotego Lwa”? Proszę wziąć pod uwagę, że nie omieszkałby on opowiedzieć o swym uzdrowieniu wszystkim podróżnym, a przy tym - tu Homais zniżał głos i oglądał się dokoła - któż

by mi zabronił postać o tym do gazety małą wzmiankę?... Mój Boże, artykuł krąży... Mówi się o nim... Z grudki śniegu rośnie lawina! I kto wie? Kto wie?

I rzeczywiście mogło się powieść panu Bovary. Nic Emmie nie wskazywało, aby miał być niezręczny, a co za radość dla niej. Jeśliby go nakłoniła do kroku, który przysporzyłby mu sławy i majątku. Niczego bardziej nie pragnęła, jak oprzeć się na czymś pewniejszym niż miłość.

Karol, usilnie namawiany przez aptekarza i przez nią, dał się przekonać. Sprowadził z Rouen podręcznik doktora Duval i co wieczór, ująwszy głowę w dłonie, pogrążał się w lekturze.

Gdy studiował tak equinusy, varusy i valgusy, czyli strephocatopodię, strephendopodię i strephexopodię (tj., mówiąc prościej, rozmaite skrzywienia stopy: bądź w dół, bądź do wewnątrz, bądź na zewnątrz) wraz z strephypopodią i strephanopodią (innymi słowy: wykręceniem stopy w dół lub w górę), pan Homais, sięgając po najrozmaitsze argumenty, namawiał gorąco posługacza z oberży, aby się poddał operacji.

- Uczujesz zaledwie tylko lekki ból: to zwykłe ukłucie, jak przy puszczeniu krwi, mniej bolesne niż wycinanie niektórych nagniotków.

Hipolit, namyślając się, wodził dokoła głupowatymi oczyma.

- Zresztą nic mi do tego - podejmował aptekarz - chodzi mi o ciebie! Przez czystą ludzkość! Chciałbym cię widzieć, mój chłopcze, wolnym od tego szkaradnego utykania, połączonego z kołysaniem całego stawu biodrowego, które wbrew twym zapewnieniom musi ci znacznie utrudniać wykonywanie twego zawodu.

Homais dowodził mu, jak to będzie się potem czuł dziarsko i żwawo, a nawet dawał do zrozumienia, że będzie miał większe powodzenie u kobiet, na co chłopak stajenny uśmiechał się ociężale. Wreszcie uderzył w jego próżność.

- Czyż nie jesteś mężczyzną, u licha? Cóż by to było, gdyby cię powołano do wojska, gdybyś miał walczyć pod sztandarami?... Co! Hipolicie!

I odchodząc oznajmiał, że nie rozumie tego uporu, tego zaślepienia, które odrzuca dobrodziejstwa nauki. Nieszczęśnik ustąpił wreszcie. Było to jakby sprzysiężenie.

Binet, który nigdy nie wtrącał się do cudzych spraw, pani Lefrancois, Artemiza, sąsiedzi, nawet mer Tuvache, wszyscy zachęcali go, nakłaniali, zawstydzali; zdecydował go wreszcie fakt, że to nie będzie nic kosztowało. Bovary podejmował się nawet dostarczyć przyrządu potrzebnego do operacji. Emma powzięła tę szlachetną myśl, a Karol przystał, mówiąc sobie w duchu, że żona jego jest aniołem.

Idąc za radami aptekarza i trzy razy ponawiając próby, kazał sporządzić stolarzowi przy pomocy ślusarza rodzaj pudła, ważącego około ośmiu funtów. Nie pożałowano na nie żelaza, drzewa, blachy, skóry, śrub i muter.

Aby wiedzieć jednak, które ścięgno trzeba przeciąć Hipolitowi, należało najpierw rozpoznać rodzaj jego kalectwa.

Stopa tworzyła niemal prostą linię z piszczelom, a wykręcona była do wewnątrz, był to więc equinus połączony z nieznacznym varusem albo też nieznaczny varus z silnie występującym equinusem. Ale z tym equinusem, szerokim rzeczywiście jak kopyto końskie, o szorstkiej skórze, suchych ścięgnach i zgrubiałych palcach, w których czarne paznokcie przypominały gwoździe podkowy, strephopod od rana do nocy uganiał jak jeleń. Widać go było ustawicznie na rynku, jak podskakiwał wokół wozów, wyrzucając naprzód swą podporę. Zdawało się nawet, że lepiej mu służyła niż druga. Ciągłe używana, nabrała jakby przymiotów moralnych cierpliwości i hartu i gdy mu poruczano jakąś ciężką pracę, wołał wesprzeć się raczej na niej.

Owóż, skoro był to equinus, należało przeciąć ścięgno Achillesa, a później dopiero zabrać się do mięśnia piszczelowego wewnętrznego i pozbyć się varusa; gdyż lekarz nie miał odwagi podjąć się obu operacji za jednym zamachem i drżał już nawet w obawie, że może naruszyć jakąś ważną, nie znaną sobie część stopy.

Ani Ambroziejusz Parę stosując po piętnastu wiekach, po raz pierwszy od czasów Celsusa, natychmiastowe podwiązanie żyły; ani Dupuytren przystępując do otworzenia wrzodu poprzez grube złoża kory mózgowej, ani Gensoul, gdy po raz pierwszy przystąpił do odjęcia górnej szczęki, nie doznawali takiego bicia serca, takiego drżenia rąk, nie mieli umysłu tak natężonego jak pan Bovary, gdy zbliżył się do Hipolita dzierżąc swój tenotom. A obok, jak w szpitalach, widniał na stole stos szarpi, woskowanych nici, mnóstwo bandaży, cała piramida bandaży, wszystkie bandaże, jakie się znajdowały w aptece. To pan Homais zajął się od rana tymi przygotowaniami, tak dla olśnienia tłumu, jak i dla podtrzymania własnych złudzeń. Karol nadciął skórę; usłyszano suchy trzask. Ścięgno zostało przecięte, operacja była skończona; Hipolit nie mógł wyjść z podziwu. Pochylił się do rąk pana Bovary, by okryć je pocałunkami.

- No, uspokój się - mówił aptekarz - później okażesz wdzięczność twemu dobroczyńcy!

I poszedł opowiedzieć o rezultatach operacji kilku ciekawym, zgromadzonym na podwórzu, którzy wyobrażali sobie, że Hipolit pojawi się od razu chodząc prosto. A Karol, zamknąwszy swego chorego w mechanicznym przyrządzie, wrócił do domu, gdzie Emma, pełna niepokoju, oczekiwała go w drzwiach. Rzuciła mu się na szyję; zasiedli do stołu; jadł dużo i nawet zażądał czarnej kawy przy deserze; był to zbytek, na który pozwalał sobie tylko w niedzielę, przy gościach.

Spędzili czarujący wieczór na pogawędkach i wspólnych marzeniach. Mówili o przyszłej fortunie, o ulepszeniach, jakie wprowadzą w domu: Karol widział już w wyobraźni, jak jego znaczenie wzrasta, dobytek się zwiększa, a żona darzy go dozgonną miłością; ona zaś była szczęśliwa, że może się orzeźwić nowym uczuciem, zdrowszym, lepszym i wreszcie obdarzyć odrobiną czułości tego biednego chłopca, który ją uwielbiał. Błysnęła jej przez chwilę myśl o Rudolffie, lecz spojrzenie jej wróciło do Karola; zauważyła nawet ze zdziwieniem, że miał wcale ładne zęby.

Byli już w łóżku, gdy pan Homais, mimo protestów służącej, wtargnął nagle do pokoju ze świeżo zapisaną kartką papieru w ręku. Była to reklama przeznaczona dla "Pochodni Rouen". Przyniósł ją do przeczytania.

- Czytaj pan sam - rzekł Bovary. Przeczytał:

"Mimo przesądów przysłaniających niby siecią część oblicza Europy, światło zaczyna jednak przenikać do naszych wiosek. Tak więc we wtorek małe osiedle Yonville było widownią eksperymentu chirurgicznego będącego zarazem aktem wysokiej filantropii. Pan Bovary, jeden z naszych najznakomitszych lekarzy..."

- Ach! to za wiele, za wiele! - powtarzał Karol, którego dławilo wzruszenie.

- Ależ nie, jak to! Bynajmniej... "...dokonał operacji na skrzywionej stopie..."

- Nie podałem terminu naukowego, bo wie pan, w gazecie... nie każdy by może zrozumiał; trzeba, aby szerokie masy...

- Oczywiście - wtrącił Bovary - proszę, czytaj pan dalej.

- A więc:

"...pan Bovary, jeden z naszych najznakomitszych lekarzy, dokonał operacji na skrzywionej stopie niejakiego Hipolita Tautain, chłopca stajennego, który od dwudziestu pięciu lat pracuje w hotelu „Pod Żółtym Lwem”, prowadzonym przez panią Lefrancois, na placu Broni. Nowość tego przedsięwzięcia? I zainteresowanie sprawą ściągnęły tak liczny tłum, że w progu zakładu utworzyło się prawdziwe

zbiegowisko. Operacja zresztą dokonana została niby jakimś czarodziejskim sposobem, ukazało się zaledwie kilka kropel krwi, jakby na świadectwo, że oporne ściętno uległo wreszcie działaniu sztuki lekarskiej. Pacjent - rzecz szczególna - (a patrzyliśmy na te własnymi oczyma) nie objawiał najmniejszych oznak bólu, Stan jego, jak dotąd, nie pozostawia nic do życzenia. Wszystko pozwala przypuszczać, że rekonwalescencja będzie krótka, i kto wie, czy na przyszłej dorocznej zabawie w miasteczku nie ujrzymy naszego dzielnego Hipolita biorącego udział w tańcach bachicznych, w gronie rozweselonych zuchów, dającego naoczne świadectwo przez swój humor i skoczne pląsy swemu zupełnemu wyzdrowieniu. Cześć więc wspaniałomyślnym uczonym! Cześć tym niestrudzonym umysłom, które poświęcają bezsenne noce na pracę nad udoskonaleniem lub przyniesieniem ulgi rodzajowi ludzkiemu! Cześć! Po trzykroć cześć! Nie jestże to właściwa chwila, by wykrzyknąć, że ślepi będą widzieć, głusi słyszeć, a chromi chodzić? Ale to, co niegdyś fanatyzm przyrzekał swym wybranym - dziś nauka udziela wszystkim! Nie omieszkamy dokładnie informować naszych czytelników o przebiegu tego wspaniałego leczenia."

Tymczasem jednak, w pięć dni później, pani Lefraneois przybiegła przerażona, wołając:

- Ratunku! On umiera!... Tracę głowę! Karol pomknął "Pod Złotego Lwa" i aptekarz, ujrawszy go na rynku bez kapelusza, wybiegł z apteki. Zjawił się zadyszany, czerwony, niespokojny, zapytując każdego spotkanego na schodach:

- Cóż się stało naszemu zajmującemu strephopodowi?

A strephopod wił się w straszliwych drgawkach, tak że przyrząd mechaniczny, w którym zamknięta była jego noga, uderzał o ścianę, jakby ją miał rozwalić. Z wielkimi ostrożnościami, aby nie zmienić pozycji chorego członka, odjęto pudło i ujrano przerażający widok. Kształt stopy zniknął pod taką puchliną, że cała skóra zdawała się być bliska pęknięcia i pokryta była sinymi plamami wywołanymi przez sławetny przyrząd. Hipolit już się był nań uskarżał, lecz nie zwracano na to uwagi. Trzeba było jednak przyznać, że miał trochę racji, i pozwolono mu odpocząć przez, parę godzin. Zaledwie jednak obrzęk ustąpił nieco, obaj uczeni uznali za właściwe zamknąć znów nogę w aparacie, zaciskając go jeszcze mocniej, by przyśpieszyć bieg rzeczy. Wreszcie gdy po trzech dniach Hipolit nie mógł już wytrzymać, zdjęli raz jeszcze mechanizm, dziwiąc się bardzo wynikom, jakie się im objawiły. Cała noga była napuchnięta, sina, pokryta gdzieniegdzie pęcherzami, z których sączył się czarny płyn. Rzecz przybierała poważny obrót. Hipolit zaczynał się nudzić i stara Lefrancois umieściła go w małej salce przy kuchni, żeby miał przynajmniej jakąś rozrywkę.

Ale poborca, który jadał tam co dzień obiady, gorzko wyrzekał na takie towarzystwo. Przeniesiono więc Hipolita do sali bilardowej.

Leżał tam, jęcząc, pod grubymi kołdrami, wybladły, z zarośniętą brodą, zapadłymi oczyma, kręcąc od czasu do czasu spoconą głową po brudnej poduszce, którą obsiadły muchy. Pani Bovary odwiedzała go. Przynosiła mu płótno na kataplazmy, pocieszała, krzepiła na duchu. Zresztą nie brakło mu towarzystwa, szczególnie w dni targowe, gdy wieśniacy wokół niego stukali bilardowymi kulami, fechtowali się kijami, palili, pili, śpiewali, wrzeszczeli.

- Jak się masz? - mówili klepiąc go po ramieniu. - Jakoś podobno nietęgo? Aleś sam sobie winien!

Doradzali mu to i owo i opowiadali o ludziach wyleczonych zgoła innymi środkami. Potem dodawali na pocieszenie:

- Bo ty się za bardzo cackasz ze sobą. Wstańże! Pieścisz się jak król jaki! No, mniejsza o to, stary nicponiu! Ale pachniesz niezbyt miło!

W istocie, gangrena posuwała się coraz wyżej. Bovary, sam już chory z rozpaczy, odwiedzał go co godzina, co chwila. Hipolit wpatrywał się w niego oczyma pełnymi przerażenia i bełkotał szlochając:

- Kiedyż ja wyzdrowieję?... Ach! Niech mnie pan ratuje!... O, ja nieszczęśliwy, nieszczęśliwy! Lekarz odchodził, zalecając mu wciąż dietę.

- Nie słuchaj go, mój chłopcze - prawiała stara Lefrancois - już dość cię namęczyli! Osłabisz się jeszcze. Masz! Zjedz no to!

I przynosiła mu jakiegoś dobrego rosółu, plaster pieczeni baraniej, kawał słoniny, czasem kieliszeczek wódki, którego nie odważał się podnieść do ust.

Ksiądz Bournisien, dowiedziawszy się, że z Hipolitem jest gorzej, przyszedł go odwiedzić. Zaczął od ubolewania nad jego cierpieniem, dodał jednak zaraz, iż należy się zeń cieszyć, gdyż jest to wola Najwyższego. i szybko skorzystał z okazji, by się z Bogiem pojednać.

- Albowiem - prawił duchowny ojcowskim tonem - zaniedbywałeś trochę swe obowiązki. Rzadko widywałem cię na mszy świętej. Od iluż to lat nie zbliżałeś się do stołu Pańskiego? Pojmuję, że twe zajęcie i wir życia oddaliły cię od drogi wiodącej do zbawienia. Ale nadszedł teraz czas, by pomyśleć o nim. Nie trać wszakże nadziei. Znałem wielkich grzeszników, którzy mając stanąć przed Bogiem (ta chwila nie nadeszła jeszcze dla ciebie-wiem o tym dobrze) wzywali Jego miłosierdzia i zmarli zapewne w podniosłym stanie ducha. Miejmy nadzieję, że podobnie jak oni świecić nam będziesz przykładem! Tak więc, na wszelki wypadek, cóż ci szkodzi rano i wieczór odmówić "Zdrowaś Mario, łaskiś pełna" i "Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech"! Zrób tak! Zrób to dla mnie! Cóż cię to kosztuje?... Obiecujesz mi?

Biedaczysko obiecał. Ksiądz odwiedzał go co dzień Gawędził z oberżystką i opowiadał nawet dykteryjki, przeplatane dowcipami i kalamburami, których Hipolit nie rozumiał. Potem, skoro tylko pozwalały na to okoliczności, wracał do tematów religijnych, przybierając odpowiedni wyraz twarzy. Gorliwość jego zdawała się odnosić pożądaný skutek, gdyż niebawem strephopod wyraził chęć odbycia pielgrzymki do Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, jeśli wyzdrowieje. Ksiądz Bournisien oświadczył, że nie ma żadnych zastrzeżeń, zbytek przezorności nigdy nie zawadzi. Niczym wszak nie ryzykował.

Aptekarz oburzał się na to, co nazywał machinacjami księdza: twierdził, że są szkodliwe dla rekonwalescencji Hipolita, i powtarzał pani Lefrancois:

- Dajcie mu spokój! Dajcie mu spokój! Załamiecie go moralnie waszym mistycyzmem!

Ale pocziwa kobiecina już go nie chciała słuchać. On to był „sprawcą wszystkiego”. Przez przekorę, zawiesiła nad łóżkiem chorego kropielnicę, pełną wody święconej, oraz gałązkę bukszpanu. Lecz religia zdawała się pomagać biedakowi nie więcej od chirurgii i nieubłagana zgorzel posuwała się coraz to wyżej w kierunku brzucha. Na próżno stosowano coraz to inne mikstury i zmieniano kataplazmy; z każdym dniem mięśnie rozluźniały się coraz bardziej i wreszcie, gdy stara Lefrancois spytała Karola, czy wobec beznadziejnej sytuacji nie należy sprowadzić z Neufchatel pana Canivet, który był sławny na cały departament, odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy. Pan Canivet, pięćdziesięcioletni doktor medycyny, cieszący się powszechnym uznaniem, pewny siebie, nie starał się nawet ukryć pogardliwego uśmiechu na widok tej nogi zgangrenowanej aż po kolano. Potem oświadczywszy bez ogródek, że trzeba ją amputować, poszedł do aptekarza wymyślać na osłów, którzy doprowadzili nieszczęśnika do podobnego stanu. Szarpiąc pana Homais za guzik od surduta wykrzykiwał na całą aptekę:

- To są paryskie wynalazki! Wymyśli stołecznych panów doktorów! To tak jak z prostowaniem zęza, chloroformem i kruszeniem kamieni nerkowych, kupa potwornych bzdur, których rząd powinien zakazać! Ale zachciewa się im uchodzić za mądrali i pakują ci leki, nie troszcząc się o skutek. My nie jesteśmy tak wielcy jak oni, nie jesteśmy mędrkami, fanfaronami, szarlatanami, jesteśmy zwykłymi praktykami, uzdrowicielami i nie przysłoby nam do głowy operować kogoś, kto świetnie się miewa! Prostować szpotawe nogi? Czyż można prostować szpotawe nogi? To tak, jakby ktoś chciał na przykład wyprostować garbusa!

Homais cierpiał słuchając tej przemowy, lecz pokrywał złe samopoczucie uśmiechem dworaka, nie chcąc zrazić pana Canivet, którego recepty docierały czasem i do Yonville; toteż nie wziął w obronę pana Bovary, nie wtrącił nawet żadnej uwagi i zapominając o swych zasadach, poświęcił własną godność na rzecz poważniejszych interesów kupieckich.

Amputacja nogi przez doktora Canivet była nie lada wydarzeniem dla całego miasteczka! Dnia tego wszyscy mieszkańcy wstali o wcześniejszej porze, a główna ulica, choć zatłoczona, wyglądała ponuro, jakby chodziło o egzekucję publiczną. W sklepiku kolonialnym rozprawiano o chorobie Hipolita; inne kramiki stały pustką, a pani Tuvache, żona mera, nie ruszała się od okna, tak była ciekawa zobaczyć chirurga.

Przyjechał kabrioletem, którym sam powoził. A że resor z prawej strony skrzywił się z biegiem czasu pod ciężarem jego tuszy, powóz jechał nieco przechylony i widać było na drugiej poduszce, obok doktora, spore pudło, pokryte czerwoną skórą, którego trzy mosiężne klamry lśniły imponująco...

Wpadłszy jak huragan w bramę "Złotego Lwa", doktor donośnym głosem rozkazał wyprząc konia, po czym udał się sam do stajni, by się przekonać, czy dobrze je owies; odwiedzając bowiem swych chorych zwykł najpierw zajmować się swą kłaczą i kabrioletem. Powiadano nawet z tego powodu: „Ach, pan Canivet to oryginał!” I szanowano go jeszcze bardziej za tę niezachwianą pewność siebie. Świat mógłby wyginać aż do ostatniego człowieka, a on nie zmieniłby najdrobniejszego ze swych przyzwyczajzeń.

Pojawił się Homais.

- Liczę na pana - rzekł doktor. - Czy wszystko gotowe? Ruszajmy!

Lecz aptekarz rumieniąc się wyznał, że jest zbyt wrażliwy, by asystować przy podobnej operacji.

- Gdy się jest zwykłym widzem - mówił - wyobraźnia, wie pan, mocniej działa. A zresztą mam system nerwowy tak bardzo...

- O, ba! - przerwał Canivet. - Wydajesz się pan, przeciwnie, skłonny raczej do apopleksji. A zresztą nie dziwi mnie to; wy, panowie aptekarze, tkwicie wiecznie w waszej kuchni, co w końcu podkopuje wam organizm. Spójrz pan na mnie: co dzień wstaję o czwartej, golę się zimną wodą (nigdy mi nie zimno), nie noszę flaneli, nie dostaję nigdy kataru, żołądek też nigdy nie sprawia mi kłopotów! Żyję raz tak, raz inaczej, jak przystało filozofowi, jadam, co się trafi. Toteż nie jestem tak wydelikacyony jak pan, i jest mi zupełnie wszystko jedno, czy mam krajać chrześcijanina, czy pierwsze lepsze kurczę. Powiesz pan, przyzwyczajenie!.. przyzwyczajenie!

Po czym bez żadnego względu na Hipolita, który pocił się ze strachu pod prześcieradłami, panowie zaczęli rozmowę, w której aptekarz porównał zimną krew chirurga z opanowaniem generała; to zestawienie pochlebilo panu Canivet i zaczął się szeroko rozwodzić nad wymaganiami swej sztuki. Uważał ją za rodzaj kapłaństwa, choć hańbili ją lekarze wiejscy. Wreszcie, wracając do chorego, obejrzał bandaże przyniesione przez pana Homais, te same, które służyły przy prostowaniu

stopy, i poprosił, by ktoś podjął się trzymania nogi. Posłano po Lestiboudois, a pan Canivet zakasawszy rękawy przeszedł do sali bilardowej; aptekarz pozostał z Artemizą i z oberżystką; obie bielsze od własnego fartucha nadstawiały uszu przy drzwiach.

Bovary w tym czasie nie śmiał ruszyć się z domu. Siedział na dole przy wygasłym kominku, z głową zwieszoną na piersi, ze złożonymi rękami, z oczyma wlepionymi martwo w jeden punkt. "Cóż to za nieszczęśliwy wypadek! - myślał - cóż za zawód!" Przedsięwziął przeciw wszystkim środki ostrożności. Wmieszał się w to zły los! A teraz cóż? Gdyby Hipolit miał potem umrzeć, on byłby jego mordercą. A przy tym, co powie swym pacjentom, gdy będą go wypytywali? A może jednak się w czymś pomylił? Szukał w myślach, lecz nic nie znajdował. Wszak najznakomitszym chirurgom zdarzały się pomyłki. W to jednak nikt nie zechce uwierzyć! Przeciwnie, będą się wyśmiewać, szkalować! Rozniesie się to aż do Forges! aż do Neufchatel! aż do Rouen! wszędzie! Kto wie, czy koledzy nie wystąpią przeciw niemu? Wywiąże się polemika, trzeba będzie odpowiadać w gazetach. Hipolit mógłby mu nawet wytoczyć proces. Widział się już zhańbiony, zrujnowany, zgubiony. I wyobraźnia, dręczona tysiącem przypuszczeń, szamotała się pośród nich jak porwana przez morze pusta beczka, miotana falami.

Emma siedziała naprzeciw i patrzyła na niego. Nie podzielała jego upokorzenia, doznawała innego:

jakże mogła sobie wyobrazić, aby taki człowiek był coś wart? Czyż już setki razy nie przekonała się dostatecznie o jego miernocie?

Karol przechadzał się wzdłuż i wszerz po pokoju. Buty jego skrzypiały na posadzce.

- Usiądź - rzekła - drażnisz mnie!

Usiadł znowu.

Jakże to się stało, że ona (tak inteligentna) mogła pomylić się raz jeszcze? Zresztą przez jakie to opłakane zaślepienie zniszczyła całe swe życie na nieustannych poświęceniach? Przypomniła sobie wszystkie swe wykwintne upodobania, wszystkie wyrzeczenia, pospolitość małżeństwa, domu, marzenia, strącone w błoto jak ranne jaskółki, wszystko, czego pragnęła, wszystko, czego sobie odmówiła, wszystko, co mogłaby posiadać! I dlaczego? dlaczego?

Wśród ciszy zalegającej miasteczko przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. Bovary zbladł, bliski omdlenia. Zmarszczyła brwi niecierpliwie i dalej snuła swe myśli. To wszak dla niego, dla tej bezmyślnej istoty, dla tego człowieka, który nic nie rozumiał, nic nie czuł! Siedział tu sobie najspokojniej, nie domyślając się nawet, że śmieszność, którą okrył swe nazwisko, splami i ją także. Czyniła wysiłki, by go pokochać, kajała się ze łzami, że uległa innemu.

- A może to był valgus? - wykrzyknął nagle Bovary, pogrążony w swych rozważaniach.

Niespodziewany wstrząs, jakim były te słowa, które spadły na jej myśli jak ołowiana kula na srebrną tacę, sprawił, że Emma drgnęła i podniosła głowę, usiłując odgadnąć, co chciał powiedzieć; i przyglądali się sobie w milczeniu, jakby zaskoczeni wzajemnym widokiem, tak daleko w przeżyciach tej chwili odbiegli od siebie. Karol patrzył na nią mętym wzrokiem człowieka pijanego, wsłuchując się jednocześnie w osłupieniu w ostatnie przeciągłe jęki operowanego, przerywane niekiedy przenikliwym okrzykiem, niby odległy skowyt zarzynanego zwierzęcia. Emma przygryzła blade wargi i zwiwając w palcach złamane źdźbło polipnika, wbijała w Karola płonące ostrza żrenic, jak drżące na cięciwie strzały. Wszystko w nim drażniło ją teraz, twarz, ubiór, to, co mówił i czego nie mówił, cała jego osoba, samo jego

istnienie wreszcie. Wyrzucała sobie, jak zbrodnię, swą dawną cnotę, a to, co pozostało z niej jeszcze, rozsypywało się teraz w gruzy pod szalonymi ciosami jej pychy. Lubowała się w gorzkiej ironii zwycięskiego cudzołóstwa. Wspomnienie kochanka pociągało ją teraz z zawrotnym urokiem. Rzuciła w nie swą duszę, porwaną ku jego obrazowi nowym uniesieniem, a Karol zdawał się jej tak wymieciony z jej życia, nieobecny, nieprawdopodobny i unicestwiony, jakby umarł w jej oczach.

Na chodniku rozległ się odgłos kroków. Karol wyjrzał i przez zapuszczoną żaluzję dostrzegł koło straganów, w pełnym blasku, doktora Canivet, który wycierał czoło jedwabną chustką. Homais szedł tuż za nim z dużym czerwonym pudłem w rękę; obaj panowie podążali w stronę apteki.

Wówczas Karol w przystępie nagłej czułości i smutku zwrócił się do żony mówiąc:

- Uściskaj mnie, moja dobra!
- Dajże mi spokój! - krzyknęła czerwona ze złości.
- Co ci jest? Co ci jest? - powtarzał, zdumiony. - Uspokój się, opanuj się. Wiesz przecież, że cię kocham!... Chodź!
- Dość tego! - wykrzyknęła ze strasznym wyrazem twarzy.

I wybiegając z pokoju zatrzaskała za sobą drzwi z taką siłą, że barometr spadł ze ściany i roztrzaskał się na posadzce.

Karol osunął się na fotel, wstrząśnięty do głębi. Zastanawiał się, co się jej mogło stać! Obawiał się choroby nerwowej, płakał i czuł niejasno, że krąży wokół niego coś złowrogiego i niepojętego.

Gdy Rudolf zjawił się wieczorem w ogrodzie, zastał kochankę wyczekującą u stóp werandy. Padli sobie w objęcia i cała uraza stopniała jak śnieg pod żarem tego pocałunku.

xii Zaczęli się znów kochać po dawnemu. Często nawet w ciągu dnia Emma pisała nagle do niego, potem przez szybę dawała znak Justynowi, który odwiązywał szybko fartuch i biegł do Huchette: zjawiał się Rudolf; wezwała go, by mu powiedzieć, że się nudzi, że nie cierpi męża, a życie jej jest okropne.

- Cóż ja mogę na to poradzić? - wykrzyknął pewnego dnia, zniecierpliwiony.
- Ach, gdybyś tylko zechciał! Siedziała na ziemi przytulona do jego kolan, z rozpuszczonymi włosami, błędzącym w dali spojrzeniem.
- Cóż takiego? - spytał. Westchnęła:
- Odeszlibyśmy stąd razem... dokądkolwiek...
- Szalona jesteś, naprawdę - rzekł śmiejąc się. - Czyż to możliwe?

Ale ona nie ustępowała; udał, że nie rozumie, i zaczął mówić o czym innym. Nie pojmował bowiem tego ciągłego niepokoju w rzeczy tak prostej jak miłość. Jej uczucie tymczasem miało jeszcze osobny motyw, przyczynę i jak gdyby sojusznika.

Miłość jej wzrastała z każdym dniem, w miarę jak wzrastał się wstręt do męża. Im bardziej oddawała się jednemu, tym głębiej nienawidziła drugiego. Nigdy Karol nie wydawał się jej tak wstrętny, palce jego tak kwadratowe, umysł tak ciężki, obejście tak gminne, jak gdy po schadzkiach z Rudolfem znaleźli się znów razem. Wówczas nie przestając grać roli cnotliwej małżonki rozplomięła się cała na wspomnienie tej głowy o smagłym czole, ocienionym kruczymi puklami, tej postaci tak krzepkiej i tak zarazem wykwińskiej, tego człowieka pełnego rozsądku i doświadczenia, a tak namiętnego w porywach swej żądz! Dla niego to opilała paznokcie z dbałością snycerza, powlekała się złożami coldcreamu i nigdy nie miała dość paczuli w chusteczkach. Obwieszała się bransoletami, pierścionkami, naszyjnikami. Gdy miał nadejść, obie wazy z błękitnego szkła napełniała różami, przystrajała mieszkanie i siebie samą, jak kurtyzana oczekująca księcia. Służąca musiała nieustannie prac jej



bieliznę; całymi dniami Felicja nie mogła ruszyć się z kuchni, gdzie mały Justyn dotrzymywał jej często towarzystwa przypatrując się tym zajęciom.

Z łokciem na długiej desce do prasowania, przyglądał się chciwie rozrzuconym wokół niego niewieścim fatałaszkom: płóciennym halkom, chusteczkom na szyję, kołnierzykom i majtkom ściągany tasiemką, szerokim w biodrach i zwężającym się u dołu.

- Do czego to służy? - pytał chłopak przesuwając ręką po krynolinie lub haftkach.

- Toś ty nigdy nic nie widział? - odpowiadała śmiejąc się Felicja. - Jakby twoja pani nie nosiła podobnych rzeczy!

- A właśnie!... Pani Homais! - I dodawał w zamyśleniu: - Alboż to taka pani jak twoja?

Ale Felicję drażniło, że się tak wciąż kręcił koło niej. Była o sześć lat od niego starsza i Teodor, lokaj pana Guillaumin, zaczynał się do niej zalecać.

- Dajże mi spokój - mówiła przestawiając garnek z krochmalem. - Idź lepiej łuskać migdały, wciąż się tylko kręcisz koło kobiet, zaczekaj z tym, smarkaczu, aż ci włosy na brodzie wyrosną.

- No, no, proszę się nie gniewać, wyczyszczę za to jej pantofelki.

Sięgał wnet po trzewiki suszące się na kominku, całe oblepione błotem - błotem schadzek - rozpadającym się w proch pod jego palcami, i patrzył, jak pył ten wznosi się z wolna w promieniu słonecznym.

- Ależ ty się boisz, żeby ich nie uszkodzić - mówiła kucharka, która nie robiła takich ceregieli, gdy czyściła je sama, bo kiedy wierzch był już nieświeży, pani oddawała jej swe pantofelki.

Emma miała ich pełną szafę i niszczyła jedne po drugich, a Karol nie ośmielił się nigdy zrobić najmniejszej uwagi, Tak samo bez słowa wydał trzysta franków na drewnianą nogę, którą uznała za stosowne ofiarować Hipolitowi. Była ona obita korkiem, zginęła się na sprężynowych stawach, a skomplikowany mechanizm pokrywała czarna nogawka, zakończona lakierowanym bucikiem. Hipolit nie ośmielił się jednak używać na co dzień tak pięknej nogi i ubłagał panią Bovary, by sprawiła mu inną, wygodniejszą. Lekarz, rzecz oczywista, poniósł koszty i tego nabytku.

Tak więc chłopak stajenny powrócił stopniowo do pracy. Widziano go uwijającego się, jak niegdyś, po miasteczku, a Karol, ilekroć usłyszał z daleka suchy stuk jego kija, skręcał szybko w inną stronę.

Załatwienia tego sprawunku podjął się pan Lheureux, kupiec bławatny: dało mu to okazję odwiedzania Emmy. Gawędził z nią o nowych dostawach z Paryża, o tysiącu drobiazgów zajmujących damy, był niezwykle uprzejmy i nigdy nie żądał pieniędzy. Emma uległa pokusie łatwego zaspokajania wszystkich swych kaprysów. I tak zachciało się jej mieć piękną szpicrutę - wystawioną w Rouen, w magazynie parasoli - by ofiarować ją Rudolfowi. W tydzień później pan Lheureux położył ją Emmie na stole.

Lecz nazajutrz zjawił się u niej z rachunkiem wynoszącym dwieście siedemdziesiąt franków, nie licząc centymów. Emma była w wielkim kłopotcie. Wszystkie szuflady sekretarzyka świeciły pustkami, winni byli za dwa tygodnie ogrodnikowi Lestiboudois, za dwa kwartały służącej, poza tym mieli jeszcze mnóstwo innych zaległości i Bovary oczekiwał z niecierpliwością na pieniądze od pana Derozerays, który zwykł był regulować rachunki około św. Piotra i Pawła.

Udało się jej zrazu ułagodzić Lheureux, wreszcie jednak stracił on cierpliwość: jego wierzyciele domagają się pieniędzy, kapitały puścił w ruch i jeśli część z nich nie wróci zaraz do niego, będzie zmuszony odebrać jej wszystkie towary.

- Proszę, weź je pan - rzekła Emma.  
- O. to żarty - odparł - chodzi mi tylko o szpicrutę. Na honor, poproszę pana doktora, by mi ją zwrócił.

- Nie, nie! - krzyknęła.

„A mam cię, ptaszku” - pomyślał Lheureux. I pewien swego odkrycia, wyszedł powtarzając półgłosem ze zwykłym sobie poświstywaniami:

- No dobrze, dobrze! Zobaczmy!

Emma myślała właśnie, jak wybrnąć z sytuacji, gdy weszła kucharka i położyła na kominku mały rulonik w błękitnym papierze od pana Derozerays. Było tam piętnaście napoleonów. Tyle wynosił rachunek. Na schodach rozległy się kroki Karola, rzuciła złoto na dno swojej szuflady i wyjęła klucz.

W trzy dni potem Lheureux zjawił się ponownie.

- Chcę pani zaproponować pewien układ - rzekł - gdyby zamiast wiadomej sumy zechciała pani...

- Oto ona - odparła wręczając mu czternaście napoleonów.

Kupiec zdumiał się i chcąc ukryć zmieszanie, zaczął się usprawiedliwiać, przeproszać i ofiarowywać znów swe usługi. Emma nie przyjęła żadnej; stała przez chwilę ściskając w kieszeni fartucha dwie pięciofrankówki, które był jej wydał przed chwilą. Przyrzekała sobie oszczędzać, by móc potem zwrócić.

"Ba! - myślała - zapomni o tym."

Prócz szpicruty o pozłacanej ręczce Rudolf dostał pieczętkę z dewizą: "Amor nel cór" 1, ponadto szarfę na szalik i wreszcie cygarnicę podobną do cygarnicy wicehrabiego, którą Karol znalazł niegdyś na drodze, a Emma przechowywała pieczołowicie. Lecz podarki te upokarzały go; odmówił przyjęcia kilku, a gdy nalegała, przyjął wreszcie, ale stwierdził w duchu, że jest despotyczna i zbyt mu się narzuca.

Poza tym miewała dziwne zachcianki:

- Gdy północ wybije, pomyśl o mnie! - mówiła. A jeśli się przyznał, że zapomniał, nie szczędziła mu wymówek, kończących się zawsze nieodmiennym pytaniem:

- Kochasz mnie?

- Ależ tak, kocham cię - odpowiadał.

- Bardzo?

- Oczywiście!

- A nie kochałeś innych... przyznaj się?

- Czy sądzisz, że byłem niewinny? - wykrzykiwał śmiejąc się.

Emma płakała. Usiłował ją pocieszyć, przyozdabiał swe zakłęcia kalamburami.

- Bo widzisz, ja tak cię kocham - podejmowała - tak kocham, że nie mogę się obejść bez ciebie, wiesz? Niekiedy porywa mnie chęć ujrzenia cię zaraz, natychmiast; szarpie mną gniew i cały huragan miłości, myślę: „Gdzie on teraz? Może rozmawia z innymi kobietami? Uśmiechają się, podchodzi do nich.” O nie, wszak prawda, nie podoba ci się żadna? Wiem, że są piękniejsze ode mnie, ale ja, ja jedna potrafię tak kochać. Jestem twoją służką, twoją nałożnicą! Tyś mój król, bóstwo moje! Jesteś dobry, piękny, mądry, silny!

Tyle razy słyszał takie rzeczy, że nie widział w nich już nic szczególnego. Emma podobna była do wszystkich kochanek, a spod uroku nowości, jak spod opadającej szaty, odsłaniać się poczęła z czasem naga monotonia odwiecznej namiętności, która przybiera zawsze te same formy i tym samym przemawia językiem. Mimo całego swego doświadczenia człowiek ten nie umiał dostrzec odmienności uczuć pod tożsamością ich wyrazu. Ponieważ rozpustne lub sprzedajne usta szeptały mu podobne słowa, nie dowierzał teraz naiwnej ich szczerości. "Przesadna mowa zwykła kryć miernotę uczuć", myślał, jak gdyby bogactwo ducha nie wyrażało się czasem

przez puste zgoła metafory, gdyż nikt, nigdy, nie może dać dokładnej miary swych potrzeb, myśli i cierpień, a słowo ludzkie jest jak pęknięty kocioł, na którym wygrywamy melodie, godne tańczącego niedźwiedzia, gdy chcielibyśmy wzruszyć gwiazdy.

Patrząc trzeźwo, jak zawsze ten, kto w jakimkolwiek związku jest stroną mniej zainteresowaną, Rudolf zorientował się, iż z miłości Emmy mógłby wyciągnąć inne dla siebie przyjemności. Uznał, że wszelka delikatność jest zbędna. Obchodził się z nią bez ceremonii. Zrobił z niej stworzenie uległe i zepsute. Był to rodzaj bezmyślnego przywiązania, uwielbienia, napawającego ją rozkoszą, odurzającego błogością; dusza jej pogrążała się w tym upojeniu, tonęła w nim, skurczona, jak księżę Klarencji w swej beczie malmazji.

Już sam wpływ miłosnych nawyknień zmienił do niepoznania sposób bycia pani Bovary. Spojrzenia jej nabrały śmiałości, mowa stała się swobodniejsza. Popełniła nawet ten nietakt, że przechadzała się z Rudolfem z papierosem w ustach, jakby naigrawając się ze świata. Ci wreszcie, którzy mieli jeszcze jakieś wątpliwości, stracili je, gdy pewnego dnia wysiadła z „Jaskółki” w obcisłej kamizelce męskiego kroju; pani Bovary-matka, która po burzliwej scenie z mężem schroniła się do syna, należała do najbardziej zgorzognionych. Nie podobało się jej i wiele innych rzeczy! Karol nie usłuchał jej rad i nie wzbronił Emmie czytania romansów; raził ją zresztą cały charakter domu. Pozwoliła sobie na uwagi; poróżnili się, szczególnie pewnego dnia, gdy poszło o Felicję.

W przeddzień wieczorem pani Bovary-matka przechodząc korytarzem przyłapała ją w towarzystwie jakiegoś mężczyzny z ciemną brodą, liczącego około czterdziestu lat, który na odgłos jej kroków szybko wymknął się z kuchni. Emma wybuchnęła śmiechem, ale zacna staruszka uniosła się i oświadczyła, że jeśli się ma jakie takie poszanowanie dla moralności, należy dbać o obyczaje służby.

- Do jakiegoż świata matka należy? - rzekła synowa z tak impertynenckim spojrzeniem, że pani Bovary spytała, czy nie broni ona własnej sprawy.

- Precz stąd! - krzyknęła młoda kobieta zrywając się gwałtownie.

- Emmo!... Mamo!... - wołał Karol, by je uspokoić.

Lecz obie uciekły, doprowadzone do ostateczności. Emma tupiała nogami, powtarzając:

- Ach! Cóż za wychowanie! Cóż za chłopka! Pobiegł do matki; nie posiadała się z oburzenia.

- Ależ ona jest bezczelna! Wariatka! Może coś gorszego jeszcze! - bełkotała, I postanowiła, że wyjedzie niezwłocznie, jeśli jej Emma nie przeprosi. Karol wrócił do żony, błagając ją, by ustąpiła; ukląkł nawet przed nią. Powiedziała wreszcie:

- Więc dobrze, pójdę!

I rzeczywiście podała teściowej rękę z godnością markizy, mówiąc:

- Przepraszam panią!

Potem, wróciwszy do pokoju, padła jak długa na łóżko i szlochając jak dziecko, tuliła głowę w poduszkę.

Umówiła się z Rudolfem, że w razie jakiegoś niezwykłego wypadku przywiąże do żaluzji strzępek białego papieru, aby mógł, jeśli będzie przypadkiem w mieście, przybiec na małą uliczkę za ich domem. Wywiesiła sygnał; oczekiwała już od trzech kwadransów, gdy nagle dostrzegła Rudolfa na rogu przy straganach. Chciała otworzyć okno i zawołać go, lecz znikł już. Zrozpaczona, rzuciła się znów na łóżko.

Po chwili jednak wydało jej się, że słyszy jakieś kroki na chodniku. To on na pewno. Zbiegła ze schodów, minęła podwórze. Był już tutaj. Rzuciła mu się na szyję.

- Bądź ostrożna - rzekł.

- Ach! gdybyś wiedział! - odparła.

I zaczęła mu opowiadać, pośpiesznie, bezładnie, przesadzając zdarzenia, zmyślając trochę i wtrącając tyle dygresji, że nic z tego nie rozumiał.

- Cóż robić, mój biedny aniele! Nie przejmuj się, bądź dzielna, cierpliwości.

- Już od czterech lat znoszę to i cierpię! Taka miłość, jak nasza, powinna się ujawnić w obliczu Boga. Wciąż mnie dręczą. To ponad moje siły! Ratuj! Tuliła się do Rudolfa; oczy jej pełne łez lśniły jak płomień pod wodą, pierś falowała szybko; nigdy nie kochał jej bardziej i tracąc głowę spytał:

- Co mam zrobić? Czego żądasz?

- Zabierz mnie stąd - wykrzyknęła - porwij!

Ach błagam cię!

I przywarła do jego ust, jakby chcąc wydrzeć upragnioną obietnicę, wymykającą się w pocałunku.

- Lecz... - podjął Rudolf.

- Cóż takiego?

- A twoja córka?

Namyślała się przez chwilę, po czym odparła:

- Zabierzemy ją, trudno!

"Co za kobieta!" - pomyślał patrząc za odchodzącą, gdyż właśnie wymknęła się do ogrodu. Wołano ją.

Stara Bovary nadziwić się nie mogła w następane dni zmianie, jaka zaszła w synowej. Emma stała się istotnie bardziej uległa i nawet posunęła swą uprzejmość tak daleko, że poprosiła ją o przepis na marynowanie korniszonów.

Czy było to dla wyprowadzenia w pole ich obojga? Lub może przez rodzaj jakiegoś wyrafinowanego stoicyzmu chciała głębiej odczuć gorycz rzeczy, które miała porzucić? Nie dbała jednak o to, co ją otaczało, przeciwnie: żyła jakby pochłonięta przedsmakiem przyszłego szczęścia. Był to niezmienny temat jej rozmów z Rudolfem. Skłaniając głowę na jego ramię szeptała:

- Ach, jak już będziemy w dyliżansie... Czy myślisz o tej chwili? Czy to możliwe? Zdaje mi się, że gdy powóz ruszy, to będzie, jakbyśmy odlatywali balonem, porwani w obłoki. Wiesz, ja już liczę dni...

A ty?... Nigdy pani Bovary nie była tak piękna jak w owym czasie, piękna tą niewymowną urodą, którą daje radość, entuzjazm, powodzenie, a która jest tylko harmonią między temperamentem a okolicznościami zewnętrznymi. Pragnienia, troski, przeżycia miłosne i wiecznie młode złudzenia rozwinęły ją stopniowo, jak nawóz, deszcz, wiatr i słońce rozwijają kwiaty; toteż zakwitła wreszcie w całej pełni swej natury. Powieki jej zdawały się jakby umyślnie wykrojone do powłóczyстых spojrzeń miłosnych, w których tonie żrenica; głęboki oddech rozdymał delikatne nozdrza i unosił kącik mięsistych warg, ocienionych czarnym puszkim. Rzekłbyś, iż wyrafinowany w zepsuciu artysta wiąże na karku bujne sploty jej włosów: spływały ciężką masą, niedbale, tak jak chciał kaprys cudzołóstwa, rozplatającego je co dnia. Głos jej i kibić nabrały teraz modulacji bardziej miękkich. Coś nieuchwytnego i przejmującego emanowało nawet z fałd jej sukni, z wygięcia stopy. Karolowi, jak za miodowych miesięcy, zdawała się zachwycająca, pełna nieprzewyciężonego uroku.

Gdy wracał późną nocą, nie śmiał jej budzić. Mała porcelanowa lampka rzucała na sufit drżący krąg blasku, a firaneczki, zasunięte nad kołyską, jaśniały w mroku przy łóżku, jak biały namiocik. Zdawało mu się, że słyszy lekki oddech dziecka; córeczka będzie teraz podraść i każdy rok przynosić będzie wielkie postępy; widział już w myślach, jak wraca ze szkoły, o zmierzchu, roześmiana, z tornistrem powalonym atramentem, z koszyczkiem w ręku. Potem oddadzą ją na pensję; będzie

to drogo kosztować; skąd wziąć na to? Zamyślał się wówczas: wydzierżawi fermę w pobliżu, będzie jej sam doglądał jadąc co rano do chorych, dochód złoży w kasie oszczędności, potem kupi jakieś akcje, wszystko jedno jakie. Zresztą zwiększy się klientela. Liczył na to, gdyż chciał Bertę starannie wychować, pragnął, by miała rozmaite talenty, uczyła się gry na fortepianie. Ach! a jaka będzie później śliczna, gdy mając piętnaście lat, stanie się podobna do matki i będzie, jak ona, nosić w lecie duże słomkowe kapelusze. Z daleka będą je brać za siostry. Wyobrażał ją sobie, pracującą przy nich, wieczorami pod lampą. Będzie mu haftować pantofle, zajmie się gospodarstwem, cały dom napelni radością i miłym szczebiotem. Wreszcie wydadzą ją za męża, znajdą jej jakiegoś poczciwego chłopca, który będzie miał dobry fach, będzie z nim szczęśliwa i szczęście to trwać będzie wiecznie.

Emma nie spała, udawała tylko; i gdy Karol zasypiał u jej boku, budziła się do innych rojeń.

Od tygodnia czwórka galopujących koni unosiła ją w nieznaną krainę, z której nie mieli już wrócić. Jechali, jechali, milcząc, spleceni w uścisku. Często ze szczytu wzgórza dostrzegali nagle wspaniałe miasto, kopuły, mosty, okręty, gaje cytrynowe, białe marmurowe katedry ze smukłymi dzwonicami, na których bociany wiły gniazda. Stąpali powoli po wielkich płytach, gdzie leżały bukiety kwiatów, a kobiety w czerwonych stanikach zapraszały, by je kupić. Rozbrzmiewały dzwony, słychać było rżenie mułów, pobrzękiwanie gitary i szum fontanny, rozpryskującej się w pył wodny, który odświeżał stosy owoców ułożonych w piramidy u stóp białych, uśmiechniętych posągów, skąpanych przez wodotryski. Aż wreszcie, pewnego wieczoru, przybyli do wioski rybackiej, gdzie wzdłuż wybrzeża i chatki suszyły się na wietrze brunatne sieci. Tu już mieli pozostać na stałe w małym domku o płaskim dachu, ocienionym palmą, w głębi zatoki nad brzegiem morza. Jeździć będą gondolą, kołysać się w hamaku i wieść życie łatwe i szerokie jak jedwabne ich szaty, a gorące i wygwieżdżone jak pogodne noce, które będą razem podziwiać. Jednak na tej bezkresnej przestrzeni nie jawiło się nic szczególnego. Dnie, jednako wspaniałe, podobne były do siebie jak fale. I kołysało się to wszystko na widnokręgu niezmierzone, harmonijne, błękitnawe, skąpane w słońcu. Ale dziecko zaczynało pokaszliwać lub Bovary zachrapał głośniejsze i zasypiała dopiero nad ranem, gdy świt białiał szyby, a Justyn otwierał już na rynku okiennice apteki, Wezwała Lheureux i powiedziała mu:

- Potrzebuję płaszcza, luźnego płaszcza, z dużym kołnierzem.
- Wybiera się pani w podróż? - spytał.
- Nie. Lecz... mniejsza o to zresztą; liczą na pana, nieprawdaż? Chodzi o pośpiech. Skłonił się głęboko.
- Potrzeba mi też kuferka - podjęła - niezbyt ciężkiego, wygodnego.
- Tak, tak, rozumiem, mniej więcej dziewięćdziesiąt dwa centymetry na pięćdziesiąt, takie się dziś robi.
- I torbę na nocną bieliznę.
- "Niewątpliwie - pomyślał Lheureux - to jakaś podejrzana sprawa."
- I proszę - rzekła pani Bovary podając mu wyciągnięty zza paska zegarek - weź pan to na pokrycie kosztów.

Lecz kupiec oburzył się, wszak znają się nie od dziś, czy to on jej nie ufa? Co za dzieciństwo! Nalegała jednak, by wziął przynajmniej łańcuszek, i gdy Lheureux odchodził, schowawszy go już do kieszeni, zawołała jeszcze:

- Przechowa pan to wszystko u siebie. Co zaś do płaszcza - zdawała się namyślać - proszę mi go również nie przynosić, da mi pan tylko adres krawca i uprzedzi go, by miał płaszcz<sup>^</sup> przygotowany do mojej dyspozycji.

Postanowili uciec w przyszłym miesiącu. Ona miała wyjechać z Yonville niby po sprawunki do Rouen. Rudolf zamówił jakoby miejsca, wystarał się o paszporty i nawet napisał do Paryża, aby zarezerwować cały dylżans aż do Marsylii, gdzie mieli kupić powóz i jechać dalej bez zatrzymywania w kierunku Genui. Emma zamierzała odesłać swe bagaże do pana Lheureux, od niego dostarczono by je wprost do „Jaskółki”, by nikt nie miał żadnych podejrzeń. W tych wszystkich przygotowaniach nie wspomniano nigdy o Bercie. On unikał tego tematu, Emma nie myślała może o niej.

Rudolf chciał mieć jeszcze dwa tygodnie przed sobą dla wydania pewnych dyspozycji, po ośmiu dniach zażądał jeszcze dwóch tygodni, potem powiedział, że jest chory, wreszcie wybrał się w podróż. Tak minął sierpień i po tych wszystkich zwłokach ustalili, że wyjadą nieodwołalnie w poniedziałek, czwartego września.

Nadeszła wreszcie sobota, wilia wiii.

Rudolf przyszedł tego wieczora wcześniej niż zwykle.

- Czy wszystko gotowe? - spytała.

- Tak.

Okrażyli klomb i usiedli w pobliżu rzeki, na murku.

- Smutny jesteś - rzekła Emma.

- Nie, dlaczego?

A jednak przyglądał się jej z jakąś szczególną tliwością.

- Czy dlatego, że odjeżdżasz? - podjęła - że porzucasz bliskich, dawne twe życie? Ach! rozumiem... Ale ja nie mam nikogo na świecie! Jesteś dla mnie wszystkim. I będę też wszystkim dla ciebie: zastąpię ci rodzinę, ojczyznę, będę dbała o ciebie, będę cię kochać!

- Jakaś ty cudna! - rzekł biorąc ją w objęcia.

- Doprawdy? - rzuciła śmiejąc się zmysłowo. - Kochasz mnie? Przysięgnij!

- Czy cię kocham? Czy kocham? Ależ uwielbiam, najdroższa!

Nisko, tuż nad ziemią, na widnokręgu płaskich łąk wstawała purpurowa tarcza księżycy. Wzniosła się szybko między gałęziami topoli, które przesłaniały ją niekiedy niby czarną, dziurawą płachtą. Potem, olśniewająco biała, rozświetliła puste niebo i rzuciła na rzekę wielką plamę, która rozprysnęła się w nieskończoność gwiazdek; i srebrny ów blask zdawał się zwijać w głębi wód, jak bezgłowy wąż o świetlistych łuskach. Podobne to było także do olbrzymiego świecznika, ociekającego kroplami topiących się diamentów. Cicha noc rozciągała się dokoła, w gąszczu kryły się płyty cienia. Emma z przymkniętymi oczyma łowiła świeże podmuchy wiatru. Milczeli, zagubieni w marzeniach. Tliwość dawnych dni załała im serca, ogromna i cicha jak owa rzeka, a słodka jak won. jaśminów, i rzuciła w głąb ich wspomnień cienie dłuższe i smutniejsze od cieni nieruchomych wierzb, wydłużających się na trawie. Niekiedy jakieś nocne zwierzątko, jeż lub łasica, zaszeleściło liśćmi, wyruszając na łowy, lub też słyhać było, jak dojrzałe brzoskwinie spadają z gałęzi.

- Ach! Cóż za piękna noc! - rzekł Rudolf.

- Będziemy ich mieli więcej - odparła Emma. I jakby mówiąc do siebie samej:

- Tak, miło będzie podróżować... A jednak mam jakiś smutek w sercu, dlaczego? Czy to lęk przed nieznanym? Obawa porzucenia nabytych przyzwyczajień?... a może raczej... Nie, to z nadmiaru szczęścia. Jakże jestem słaba, prawda? Wybacz mi!

- Jeszcze czas! - wykrzyknął Rudolf - zastanów się, może będziesz tego żałować.

- Nigdy! - rzuciła gwałtownie. I przysuwając się do niego:

- Cóż za nieszczęście może mnie spotkać? - mówiła, - Nie ma pustyni, przepaści, nie ma oceanu, którego nie przemierzyłabym z tobą. W miarę jak będziemy żyć razem, zacieśniać się będzie nasz związek niby uścisk co dzień mocniejszy, pełniejszy. Nie będziemy mieli żadnych trosk, niepokojów, żadnych przeszkód. Zawsze sami, na wieki należeć będziemy tylko do siebie. Mówże, odpowiedz mi.

Przytakiwał w równych odstępach:

- Tak, tak!..

Wsunęła mu ręce we włosy i powtarzała dziecinnym głosem, choć wielkie łzy spływały jej po policzkach:

- Rudolffie! Rudolffie! Ach! Rudolffie, mój kochany Rudolffie!

Wybiła północ.

- Północ - rzekła. - Więc to już jutro! Jeszcze jeden dzień.

Powstał i jakby ten ruch był sygnałem ich ucieczki, Emma ożywiła się nagle; - Masz paszporty?

- Tak.

- Nie zapomniałeś o niczym?

- Nie.

- Pewien jesteś?

- Oczywiście.

- Będziesz czekać na mnie w hotelu „Provence”, nieprawdaż? O dwunastej?

Skinął głową.

- A więc do jutra - szepnęła Emma w ostatnim uścisku.

I patrzyła za odchodzącym.

Nie odwracał się. Pobiegła za nim i pochylając się nad wodą w gęstwinie:

- Do jutra! - krzyknęła.

Był już po tamtej stronie rzeki i szedł prędko po łące.

Po chwili przystanął i gdy zobaczył, jak w białej szacie znika w mroku, niby zjawa, dostał takiego bicia serca, że musiał oprzeć się o drzewo, by nie upaść.

- Cóż za głupiec ze mnie! - krzyknął rzucając okropne przekleństwo. - Zresztą co mi tam, była to piękna kochanka!

Stanęła mu przed oczyma cała uroda Emmy i wszystkie rozkosze ich miłości. Rozrzewnił się z początku, a potem zbuntował przeciw niej.

- Ostatecznie - krzyknął gestykulując - nie mogę przecież skazywać się na wygnanie, obarczać się dzieckiem!

Powtarzał sobie te rzeczy, by umocnić się w swym postanowieniu.

- A przy tym kłopoty, wydatki... O! nie! Po stokroć nie! To byłoby zbyt głupie!

Xiii Wróciwszy do domu Rudolf zasiadł natychmiast przy biurku, pod głową jelenia zawieszoną na ścianie jako trofeum. Ale gdy już wziął pióro do ręki, nic mu nie przychodziło na myśl - podparłszy się więc na obu łokciach, zaczął dumać. Wydawało mu się, iż Emma cofnęła się, niby w odległą przeszłość, jakby powzięta przezeń decyzja stworzyła nagle między nimi olbrzymi przedział.

Aby znów się jakoś do niej zbliżyć, sięgnął do stojącej u wezglowia łóżka szafy po stare pudło po biszkoptach z Reims, w którym zwykł był przechowywać listy od kobiet. Wymknęła się z niego woń pleśni i zwiędłych róż. Najpierw zobaczył chusteczkę pokrytą bladymi kropelkami. Była to jej chusteczka. Zdarzyło się raz na przechadzce, że poszła jej krew z nosa, nie pamiętał już o tym. Tuż pod nią objęła się rogami o brzegi pudła ofiarowana przez Emmę miniatura. Jej strój wydał mu się pretensjonalny, a zalotne spojrzenie spod rzęs w bardzo złym guście. Potem, w miarę jak się wpatrywał w tę podobiznę i usiłował odtworzyć pierwowzór, rysy Emmy

zamazywały się stopniowo w jego pamięci, jakby twarz żywa i twarz malowana, ocierając się jedna o drugą, zatarły się wzajemnie. Wreszcie przeczytał parę jej listów. Były pełne wyjaśnień dotyczących ich podróży; krótkie, zwięzłe, naglące, jak listy handlowe. Chciał przejrzeć te długie, dawniejsze. By je odnaleźć na dnie pudła, odsunął wszystkie inne i odruchowo zaczął grzebać w tym stosie papierów i przedmiotów, spostrzegając rzucone w nieładzie: bukietki, podwiązkę, czarną maseczkę, szpilki i włosy - włosy! Ciemne i jasne; niektóre nawet zaczepiając o okucie rwały się przy otwieraniu pudła.

Błądząc tak leniwie wśród wspomnień, studiował pismo i styl Hstów, równie urozmaicony jak ich ortografia. Były czułe lub wesołe, krotochwilne, melancholijne. Jedne prosiły o miłość, inne prosiły o pieniądze. Niekiedy jeden wyraz wywoływał w pamięci jakąś twarz, gest, brzmienie głosu; czasem nie wywoływał nic.

Gdyż w samej rzeczy owe kobiety, zbiegłszy się raz w jego myśli, zawadzały jedno drugim i zmniejszały się, jakby zrównane tą samą miarą miłości. Biorąc garściami te pomieszane listy zabawiał się przez chwilę, przesypując je kaskadą z prawej ręki do lewej. Wreszcie, znudzony, senny, odniósł pudło do szafy mówiąc sobie:

"Co za stos bredni!..."

Streszczało to jego przekonania; gdyż miłostki, jak uczniacy na szkolnym dziedzińcu, tak zdeptały mu serce, że nie rosło już w nim nic zielonego, a to, co przechodziło tędy, bezmyślniejsze od dzieci, nie pozostawiało nawet, ich zwyczajem, imienia wrytego na murze.

- No! Zaczynamy! - powiedział sobie.

Napisał:

"Odwagi Emmo! Odwagi!

Nie chcę być sprawcą twego nieszczęścia... Nie chcę łamać ci życia..."

"Zresztą to prawda - pomyślał Rudolf - działałem w jej własnym interesie; jestem uczciwy."

"Czyś rozważyła do głębi twe postanowienie? Czy wiesz, w jaką otchłań pociągałem cię, biedny aniele? Nie wiesz tego, nieprawdaż? Szłaś ufna i szalona, wierząc w szczęście, w przyszłość... Ach! My nieszczęśliwi... obłąkani!..."

Tu Rudolf przerwał na chwilę, by znaleźć jakąś roztropną wymówkę.

„A gdybym jej tak powiedział, że straciłem cały majątek?... O nie! Zresztą na nic by się to nie zdało. Musiałbym później zaczynać wszystko od nowa. Bo czyż można przemówić do rozsądku takim kobietom?"

Po zastanowieniu dodał:

"Nigdy cię nie zapomnę, wierzaj mi; będę ci zawsze głęboko oddany. Lecz pewnego dnia, wcześniej czy później, płomień ten przygasłby zapewne (taki jest los spraw ludzkich). Ogarnęłoby nas znużenie i nawet, kto wie, czy nie musiałbym okrutnie cierpieć patrząc na twe wyrzuty sumienia i doświadczając ich samemu, gdyż ja to byłbym ich sprawcą. Już sama myśl o twym bólu jest dla mnie torturą. Emmo! Zapomnij o mnie! Ach! po cóż cię poznałem? Czemuś była tak piękna? Czy to moja wina? O! nie, mój Boże! To wina przeznaczenia!"

"Oto słowo, które zawsze wywiera wrażenie" - pomyślał.

"O, gdybyś była jedną z tych kobiet płochego serca, które się często spotyka, zapewne mógłbym przez samolubstwo zrobić próbę, nie grożącą ci wówczas niczym. Lecz ta czarowna egzaltacja, która jest zarówno twym powabem, jak i twą udręką, nie pozwoliła ci pojąć, cudna istoto, jak fałszywa byłaby nasza sytuacja w przyszłości. Ja zrazu też nie pomyślałem o tym i spoczywałem w cieniu doskonałego szczęścia jak w cieniu zatrutego drzewa, nie troszcząc się o następstwa tego kroku."



"Może pomyśli, że wyrzekam się jej przez skapstwo... Ach! Mniejsza o to! Trzeba z tym skończyć!"

"Świat jest okrutny, Emmo! Ścigałby nas wszędzie. Byłabyś narażona na niedyskretne pytania, na oszczerstwa, może na zniewagi. Ty, znieważona! Och!... A ja chciałbym cię wynieść na tron! Ja, który myśl o tobie unoszę jak talizman! Gdyż skazuję się na wygnanie za wyrządzoną ci krzywdę. Odjeżdżam. Dokąd? Sam nie wiem, szaleję! Żegnaj, bądź zawsze dobra! Zachowaj wspomnienie o nieszczęśniku, który cię zgubił. Naucz twe dziecię mego imienia, niech je powtarza w modlitwach."

Płomienie obu świec drżały. Rudolf wstał, by zamknąć okno, a gdy znów usiadł:

"To chyba wszystko! A, jeszcze i to, żeby mnie nie zechciała gonić."

"Będę już daleko, gdy przeczytasz te smutne kartki, chcę bowiem uciec jak najprędzej, by uniknąć pokusy ujrzenia cię raz jeszcze. Precz ze słabością! Powrócę i może kiedyś będziemy oboje bardzo trzeźwo wspominać nasze dawne uniesienia. Bądź zdro1 było jeszcze jedno pożegnalne słowo adieu napisane oddzielnie, w dwóch słowach: a Dieu. Sądził, że jest to w najlepszym stylu.

- Jakże teraz podpiszę? - spytał sam siebie. - Oddany ci?... Nie. Twój przyjaciel?... Tak, tak będzie najlepiej.

Twój przyjaciel Odczytał list. Wydał mu się udany.

- Biedna kobieta - westchnął z rozrzewnieniem. - Pomyśli, żem nieczuły jak głaz. Przydałoby się parę łez, ale nie umiem płakać. To nie moja wina.

Nalawszy więc wody do szklanki, Rudolf umoczył w niej palec i spuścił z wysoka dużą kroplę, która rozlała się bladą plamą na atramencie. Potem szukając czym by przypieczętować, natrafił na pieczęć Amor nel cor.

" Zgoła niestosowne do okoliczności... ba! Cóż to szkodzi!"

Po czym wypalił trzy fajki i poszedł spać.

Nazajutrz, gdy wstał (było to około drugiej po południu, zasnął bowiem tego dnia), kazał zbierać kosz moreli, wsunął list na spód, pod liście winogronu, i natychmiast polecił fernalowi zanieść ostrożnie kosz do pani Bovary. Posługiwał się tym sposobem, by korespondować z nią, posyłając stosownie do pory owoce lub zwierzynę.

- Jeżeli zapyta o mnie, powiedz, żem wyjechał w daleką podróż. Koszyk oddaj do rąk własnych... Idźże i miej się na baczności!

Girard włożył nową bluzę, zawinął morele chustką i ciężko krocząc w podkutych drewniakach, ruszył spokojnie do Yonville.

Zastał panią Bovary w kuchni; układała z Felicją bieliznę na stole.

- To od mojego pana dla pani - rzekł parobek. Emma, tknięta złym przecuciem, szukała po kieszeniach drobnych, wpatrując się jednocześnie w chłopca błędnymi oczyma. On zaś przyglądał się jej, zdumiony, nie pojmując, jak podobny prezent może kogoś tak wzruszyć. Wreszcie odszedł. Została Felicja, Emma nie panowała już nad sobą. Pobiegła do jadalni niby to zanieść morele. Przewróciła koszyk, wydarła liście, znalazła list, odpieczętowała go i jakby wybuchł za nią jakiś straszliwy pożar, w najwyższym popłochu pomknęła do swego pokoju. Był tam Karol. Spostrzegła go; powiedział coś; nic nie usłyszała i szybko biegła po schodach coraz wyżej, bez tchu, oszalała, pijana, trzymając wciąż w ręku tę straszliwą kartkę papieru, szeleszczącą jej w palcach, jak blacha. Na drugim piętrze przystanąła pod drzwiami, wiodącymi na strych; były zamknięte.

Spróbowała zapanować nad sobą. Przypomniała sobie o liście. Należało go doczytać do końca; nie miała odwagi. Zresztą gdzie? Jak? Mógł ją ktoś zobaczyć.

"Ach! Nie - pomyślała - tutaj mi będzie dobrze."

Pchnęła drzwi i weszła.

Duszne, rozpalone przez dachówki powietrze dławilo ją i rozsadzało skronie; powlokła się aż do zamkniętej mansardy, odsunęła zasuwkę; lunął potok olśniewającego blasku. Przed nią, za dachami, rozciągały się jak okiem sięgnąć niezmiernie pola. W dole, tuż pod nią, pusty rynek miasteczka. Kostki brukowanego chodnika połyskiwały, blaszane chorągiewki na dachach tkwiły nieruchomo. Z niższego piętra narożnego domu rozległ się jakiś warkot i zgrzyty. To Binet puścił w ruch tokarkę, Oparła się o framugę mansardy i odczytywała powtórnie list, śmiejąc się chwilami zjadliwie, z wściekłości. Lecz im bardziej starała się skupić uwagę, tym bardziej plątały się jej myśli. Widziała Rudolfa, słyszała jego głos, obejmowała go ramionami, a bicie serca, walącego w pierś ciosami taranu, stawało się coraz szybsze i bardziej nierówne.

Spoglądała dokoła i pragnęła, aby się ziemia zapadła. Czemu z tym nie skończyć? Któż ją powstrzymuje? Jest wolna. Wychyliła się i spojrzała na bruk powtarzając:

- Śmiało, śmiało!

Świetlista smuga wznosząca się z dołu wprost ku niej ścigała w przepaść ciężar jej ciała. Miała wrażenie, że plac chwieje się i wznosi wzdłuż murów i że podłoga pochyla się jednym końcem jak kołyszący się okręt. Stała tuż przy brzegu, niemal zawisała, otoczona przestworzem. Ogarniał ją błękit nieba; powietrze krążyło w pustej czaszce, że tylko ulec, tylko dać się porwać; warczenie tokarki nie ustawało, jak gniewny, wzywający ją głos.

- Żono! Żono! - krzyknął Karol. Cofnęła się.

- Gdzieś się podziała? Chodźże!

Na myśl, że ledwo uniknęła śmierci, omal nie zemdląca z przerażenia; zamknęła oczy, potem wzdrygnęła się - jakaś dłoń dotknęła jej rękawa: była to Felicja.

- Pan czeka na panią; zupa podana.

I trzeba było zejść! Trzeba było zasiąść do stołu!

Spróbowała się przemóc. Jedzenie więziło jej w gardle. Rozłożyła wówczas serwetkę, jakby chcąc się przyjrzeć pocerowanym miejscom, i chciała rzeczywiście przyłożyć się do tego i policzyć nitki w płótnie. Wtem przypomniała sobie o liście. Czyżby go zgubiła? Jak go odnaleźć? Ale takie znużenie ośwładnęło jej umysłem, że nie mogła wyszukać żadnego pozoru, by wstać od stołu. Potem ogarnął ją strach; bała się Karola; wiedział o wszystkim, to pewne!

I rzeczywiście, w jakiś szczególny sposób wypowiedział te słowa:

- Ponoć nieprędko ujrzymy pana Rudolfa.

- Kto ci to powiedział? - zachnęła się.

- Kto mi powiedział? - odparł nieco zdziwiony tym szorstkim tonem - Girard. Spotkałem go właśnie przed „Kawiarnią Francuską”. Wyjechał czy też ma wyjechać w podróż.

Z gardła jej wydobył się jakby szloch.

- Czemu się dziwisz? Wyjeżdża sobie od czasu do czasu, dla rozrywki, i na honor, pochwalam to, gdy ma się pieniądze i jest się kawalerem!... Zresztą nie najgorzej się bawi nasz przyjaciel. O! to figlarz, mówił mi pan Langlois...

Umilkł, gdyż weszła służąca.

Dziewczyna włożyła z powrotem do kosza rozrzucone na etażerze morele. Karol nie dostrzegając niezwykłych rumieńców żony kazał sobie podać owoce. Wybrał jeden i skosztował ze smakiem.

- O! wyborne - powiedział - masz, spróbuj. I podał jej kosz; odsunęła go delikatnie.

- Powąchaj, co za aromat! - dodał, kilkakrotnie podsuwając jej koszyk pod nos.

- Duszę się! - krzyknęła zrywając się gwałtownie. Lecz opanowany wysiłkiem woli spazm minął.

- To nic - rzekła po chwili - to nic. To nerwowe. Siądź, jedz!

Obawiała się, że zacznie ją wypytywać, pielęgnować, że nie pozwolą jej zostać samej.

Karol usiadł, by się nie sprzeciwić. Wypluwał do ręki pestki moreli, a potem kładł je na talerzyk.

Wtem błękitne tilbury przemknęło ostrym kłusem przez plac. Emma krzyknęła i sztywna, jak kłoda runęła na ziemię.

Rudolf po długich wahaniach zdecydował się na wyjazd do Rouen. Otóż z Huchette do Buchy nie ma innej drogi jak przez miasteczko i Emma poznała go w blasku latarni rozcinających mrok jak błyskawica.

Na zgietk, który zapanował w domu, pośpieszył aptekarz. Stół był przewrócony wraz z wszystkimi talerzami. Sos, kawałki mięsa, flaszki z oliwą, wszystko to leżało na podłodze. Karol wzywał pomocy, Berta krzyczała, Felicja drżącymi rękoma rozsznurowywała gorset pani, wstrząsanej dreszczem.

- Biegnę do laboratorium po ocet aromatyczny -  
rzekł aptekarz.

Potem, gdy Emma wachając flakonik otworzyła oczy:

- Pewien byłem - dodał - umarłego by to ocuciło.

- Odezwij się - prosił Karol - odezwij się do nas. Oprzytomnij. To ja, twój Karol, co tak ciebie kocha. Poznajesz mnie? Patrz, to twoja córeczka. Pocałuj ją!

Dziecko wyciągnęło ręce do matki, by rzucić się jej na szyję. Lecz Emma odwracając głowę wyszeptała urywanym głosem:

- Nie, nie... nikogo!

Zemdlała raz jeszcze. Przeniesiono ją na łóżko. Leżała z otwartymi ustami, z zamkniętymi oczyma, z bezwładnie odrzuconymi rękoma, blada i nieruchoma jak figura z wosku. Spod powiek wymykały się jej dwa strumienie łez, spływając z wolna na poduszkę.

Karol stał w głębi alkowy, a przy nim aptekarz pogrążony w milczącej zadumie, jak przystoi w poważnych okolicznościach.

- Uspokój się pan - rzekł trącając Karola łokciem - zdaje się, że paroksyzm już minął.

- Tak, odpoczywa teraz - rzekł Karol patrząc na śpiącą. - Biedna, biedna kobieta, znów tak zapadła'

Wówczas Homais spytał, jak się ten wypadek zdarzył. Karol powiedział, że stało się to nagle, w chwili gdy jadła morele.

- Niebawem - podjął aptekarz. - Ale może to właśnie morele spowodowały omdlenie! Zdarzają się czasem natury bardzo wrażliwe na pewne zapachy! Byłby to nawet piękny temat do studiów, tak pod względem patologicznym jak fizjologicznym. Księża, o, ci znali doniosłość tego czynnika, zawsze posługiwali się w swych obrzędach jakimiś wonnościami, Czynili zaś tak, by przytępić umysły i wywoływać ekstazę; rzecz to zresztą nader łatwa u płci pięknej, gdyż jest ona wrażliwsza od naszej. Słyszałem o niewiastach, które mdlały od zapachu palonego rogu, świeżego pieczywa...

- Żebyś jej pan nie obudził! - szepnął Bovary, - I nie tylko rodzaj ludzki narażony jest na te anomalie - ciągnął aptekarz - ale i zwierzęta. Zapewne znane jest panu szczególnie podniecające działanie nepeta cataria na rodzaj koci, a z drugiej znów strony autentyczny przykład, za którego wiarygodność ręczę: Bridoux (dawny mój kolega, dziś właściciel zakładu przy ulicy Malpalu) ma psa, który pada w

konwulsjach, gdy mu dadzą powąchać tabakierkę. Często nawet Bridoux robi ten eksperyment w obecności przyjaciół w swym pawilonie w lasku Wilhelma. Nie do wiary, żeby zwykły proszek, pobudzający do kichania, mógł spowodować tak okropne zaburzenia w organizmie czworonoga! To ogromnie ciekawe, nieprawdaż?

- Tak - przytwierdził Karol, który wcale nie słuchał.

- Dowodzi to nam - podjął znów tamten z błogim uśmiechem zadowolenia - jak liczne są nieprawidłowości systemu nerwowego. Jeśli chodzi o Danią, przyznam, że zawsze uważałem ją za nadmiernie wrażliwą. Toteż nie zalecałbym, drogi przyjacielu, żadnego z tych środków, które niby to mają zwalczać objawy choroby, a szkodzą samej naturze, nie, żadnych zbędnych leków! Dieta, nic ponadto.' Środki łagodzące, kojące. Przy tym, czy nie sądzisz pan, że należałoby oddziaływać na wyobraźnię?

- Ale w czym? Jak? - pytał Bovary.

- A! W tym rzecz! W tym właśnie cała kwestia:

"That is the question!",<sup>1</sup> jak to wyczytałem ostatnio w gazecie.

Emma zbudziła się z krzykiem:

- A list? List?

Myśleli, że jest w malignie, i rzeczywiście, o północy straciła przytomność. Wywiązało się zapalenie mózgu.

Przez czterdzieści trzy dni Karol nie odstępował od niej. Opuścił wszystkich chorych, nie kładł się i nieustannie mierzył jej puls, zmieniał synapizmy i okłady z zimnej wody. Posyłał Justyna po lód aż do Neufchatel. Lód topił się w drodze; posyłał po niego raz jeszcze. Wezwał doktora Canivet, sprowadził z Rouen swego dawnego profesora, doktora Lariviere. Był w rozpacz. A tym, co go przerażało najbardziej, była zupełna apatia Emmy. Nic nie mówiła, nic nie słyszała, zdawała się nawet nie cierpieć, jakby ciało i dusza jej wypoczywały razem po wszystkich wstrząsach.

W połowie października mogła już siedzieć na łóżku, podparta poduszkami. Karol rozplakał się patrząc, jak jadła pierwszą tartinkę z konfiturami. Wracala do sił. Wstawala po południu na kilka godzin i pewnego dnia, gdy czula się lepiej, Karol spróbował, podtrzymujac ją pod ramię, oprowadzić ją po ogródku. Piasek na ścieżkach pokryty był 7.0schłymi liśćmi. Szła wolno, krok za krokiem, powłócząc pantoflami, i wspierając się na ramieniu Karola, nie przestawała się uśmiechać.

Doszli tak w głąb ogrodu aż do altany. Wówczas wyprostowała się z wolna i przysłoniła dłonią oczy, by lepiej widzieć. Zatopiła wzrok daleko, daleko, lecz na pustym widnokręgu dymiły tylko po wzgórzach wielkie ogniska palonych traw.

- Zmęczysz się, kochanie - powiedział Bovary. I pociągnął ją łagodnie do altany:

- Usiądźże na ławeczce - dodał - dobrze ci tu będzie.

- O nie! nie tutaj - wyszeptała słabnącym głosem.

Dostała zawrotu głowy i począwszy od tego wieczoru znów zapadła na zdrowiu. Choroba jej przybrała mniej określone formy, a objawy były bardzo rozmaite. Raz dolegało jej serce, potem coś w płucach, w mózgu, w członkach. Zdarzyły się i wymioty, które Karol brał za pierwsze objawy raka.

A biedaczysko miał jeszcze przy tym i kłopoty pieniężne.

XIV Przede wszystkim nie wiedział, jak odwdzińczyć się panu Homais za wszystkie wzięte u niego środki, i choć jako lekarz mógł za nie nic nie płacić, rumienił się na myśl o tym zobowiązaniu. Przy tym teraz, gdy kucharka stała się panią, wydatki na gospodarstwo były przerażające; jedne za drugimi napływały rachunki; dostawcy szemrali, a szczególnie napastował go pan Lheureux. W istocie, w chwili gdy z Emmą było najgorzej, wykorzystał sytuację, by zaokrąglić ceny, i pośpieszył z przyniesieniem płaszcza, torby podróźnej, dwóch kufrów zamiast jednego i jeszcze

mnóstwa innych drobiazgów. Na próżno Karol mówił, że nie potrzebuje tych rzeczy, kupiec odpowiadał zuchwale, że zamówiono u niego te artykuły i że ich nie weźmie z powrotem. Zresztą nie należy się sprzeciwiać pani w chorobie; niechże się pan namyśli. Krótko mówiąc, zdecydowany był raczej ścigać go sędownie niż zrezygnować ze swych praw i odebrać towar. Karol kazał potem służącej odesłać mu wszystko; Felicja zapomniała, on miał inne kłopoty i nie myślał już o tym. Pan Lheureux ruszył znów do ataku; grożąc i jęcząc na przemian, tak sprawą pokierował, że wreszcie Bovary wystawił mu weksel z terminem sześciomiesięcznym. Lecz ledwie ów weksel podpisał, błysnęła mu zuchwała myśl, by pożyczyć u pana Lheureux tysiąc franków. Spytał więc z zakłopotaniem, czy mógłby liczyć na tę sumę, dodając, że zwróci ją po roku i że zgadza się na każdy procent. Lheureux pobiegł do swego kramiku, przyniósł talary i podyktował drugi weksel, w którym Bovary zobowiązał się wypłacić mu pierwszego września następnego roku sumę tysiąca siedemdziesięciu franków, co łącznie ze stu osiemdziesięcioma, które już był sobie zastrzegł, wynosiło równo tysiąc dwieście pięćdziesiąt. Tak więc pożyczając na sześć od sta, z dodatkiem ćwierci komisowego i dostawami przynoszącymi co najmniej trzecią część dochodu, pewien był w ciągu dwunastu miesięcy mieć sto trzydzieści franków zysku; żywił nadzieję, że interes nie skończy się na tym; nie będą mogli wykupić weksli, odnowią je i jego skromny grosz, utuczony u lekarza jak w domu zdrowia, wróci doń pewnego dnia, pulchny i okrągłutki, aż pękać będzie mieszek.

Zresztą wiodło mu się we wszystkim. Był przedstawicielem wytwórni jabłecznika dostarczanego dla szpitala w Neufchatel; pan Guillaumin obiecywał mu udziały w torfowiskach w Grumesnil, a Lheureux marzył też o założeniu nowej linii dylizansów między Argueil a Rouen, która zapewne nie omieszkałaby zrujnować wkrótce starej landary z "Pod Złotego Lwa" i która zapewniając szybszą komunikację po niższej opłacie oraz przewóz większej ilości bagażu - oddałaby mu w ręce cały handel Yonville.

Karol zastanawiał się nieraz, jak będzie mógł za rok zwrócić tyle pieniędzy. Łamał głowę, szukał wybiegu, jak na przykład żeby się zwrócić do ojca lub sprzedać coś. Ale ojciec jego byłby głuchy, a on sam nie miał nic do sprzedania. Stawał wówczas w obliczu takich kłopotów, że szybko odsuwał przedmiot owych przykrych rozważań. Wyrzucał sobie, że z tego powodu zapomina o Emmie. Gdyż wszystkie jego myśli należały do tej kobiety i sądził, że nawet chwilowym odwróceniem, ich okrada ją z czegoś.

Zima była ostra. Rekonwalescencja pani Bovary trwała długo. W pogodne dni przesuwano ją z fotelem do okna, które wychodziło na rynek, gdyż miała teraz wstręt do ogrodu i żaluzja od tej strony była zawsze zapuszczona. Kazała sprzedać konia. To, co niegdyś lubiła, drażniło ją teraz. Wszystkie jej myśli zdawały się ograniczać do starań o własną osobę. Kazała sobie podawać do łóżka lekkie posiłki, dzwoniła na służącą, by dowiedzieć się, czy pamiętano o ziólkach, lub by pogawędzić trochę. Tymczasem śnieg, leżący na dachach hał, rzucał na pokój błądy, martwy odbłask. Potem przyszły deszcze. A Emma wyczekiwała co dzień z jakimś niepokojem niezawodnego nadejścia drobnych wydarzeń, które nie obchodziły jej jednak wcale. Najważniejszym z nich był wieczorny przyjazd "Jaskółki". Oberżystka wykrzykiwała coś wtedy, odpowiadały jej inne głosy, a tymczasem kaganiec Hipolita, wyciągającego pakunki spod płóciennej budy, migotał jak gwiazda w ciemnościach. W południe wracał Karol i wkrótce znów wychodził, potem Emma piła bulion, a o piątej, gdy zmierzch zapadał, dzieci wracały ze szkoły i stukając po chodniku, uderzały kolejno linijkami o deszczułki okiennic.

Właśnie o tej porze odwiedzał ją ksiądz Bourriien. Wypytywał o zdrowie, znosił nowinki i skłaniał do pobożności w przymilnych pogawędkach nie pozbawionych humoru.. Krzepił ją już sam widok sutanny. Pewnego dnia, w najcięższym okresie choroby, gdy zdawało się jej, że umiera, zażądała komunii; i w miarę jak zrobiono w pokoju przygotowania na przyjęcie sakramentu, gdy na komodzie zastawionej lekarstwami urządzono ołtarz, a Felicja wysypała podłogę kwiatami georginii, Emma poczuła, jak jakaś moc uwalnia ją od cierpień, od wszystkich doznań, wszystkich uczuć. Ciało jej stało się lekkie i wolne od myśli, rozpoczynało się nowe życie. Zdało się jej, że wznosząc się do Boga, rozplynie się w tej miłości lekkim oparem, jak płonące kadzidło.

Pokropiono prześcieradła święconą wodą, ksiądz dobył z cyborium białą hostię i Emma, omdlewając z niebiańskiej rozkoszy, wysunęła wargi, by przyjąć zbliżające się ciało Zbawiciela. Firanki alkowy wydymały się wokół niej na kształt obłoków, a płomienie obu gromnic, jarzących się na komodzie, były jak dwie aureole świętości. Wówczas skłoniła głowę i wydało jej się, że słyszy w przestworzach śpiew harf serafińskich, a w lazurowych niebiosach na złotym tronie, wśród świętych, dzierżących palmy, widzi Boga Ojca w promiennym majestacie, jak skinieniem nakazuje płomienno skrzydłym aniołom, by zeszyły na ziemię i uniosły ją w swych objęciach.

Pamięć jej przechowała tę olśniewającą wizję jako coś najpiękniejszego, co wyśnić można. Usiłowała przedłużyć to wrażenie, które nie opuściło jej wprawdzie, ale było teraz mniej wyłączone, łagodniejsze i głębsze. Dusza jej, złamana pychą, odpoczywała wreszcie w chrześcijańskiej pokorze i Emma, lubując się swą słabością, podziwiała unicestwienie własnej woli, które miało udostępnić przyływ łaski. Istniały jednak radości doskonalsze od szczęścia ziemskiego, miłość inna, wyższa ponad wszystkie miłości, nieprzerwana, nieskończona, potęgująca się wiecznie. Wśród złudzeń nadziei objawił się jej stan czystości nadziejskiej, zlewający się z niebem, do którego pragnęła się wznieść. Chciała zostać świętą. Kupowała szkaplerze, nosiła medaliki i marzyła, by mieć w swym pokoju u wezgłowia relikwiarz oprawiony w szmaragdy, by go móc całować każdego wieczoru.

Proboszcz był zachwycony tymi skłonnościami, choć sądził, że pobożność Emmy przez nadmierną gorliwość może z czasem trącić herezją i dziwactwem. Lecz nie będąc zbyt mocny w tej materii, skoro przekraczała ona pewną normę, napisał do pana Boulard, księgarza jego ekscelencji, prosząc o przysłanie czegoś "szczególnie ciekawego dla osoby płci pięknej, obdarzonej bystrym umysłem". Kupiec z taką obojętnością, jakby ekspediował rupiecie dla Murzynów, spakował bezładnie, bez wyboru, wszystko, co miało wówczas popyt w handlu pobożnymi książkami: małe podręczniki, złożone z pytań i odpowiedzi, zjadliwe pamflety w stylu pana de Maistre i pewien rodzaj karmelkowych powieści w różowej okładce, fabrykowane przez seminarzystów-trubadurów lub skruszone sawantki. Były tam: Mysi szlachetna, Człowiek światowy u stóp Najświętszej Panny, przez pana M. de... odznaczonego kilkoma orderami; O błędach Voltaire'a dla użytku młodzieży itd.

Pani Bovary nie miała jeszcze dość jasnego umysłu, by móc poważnie zająć się czymkolwiek. Zresztą rzuciła się zbyt gwałtownie na tę lekturę. Drażniły ją przepisy kultu, arogancja pism polemicznych zraziła zaciekłością w napaści na nie znanych jej ludzi, a świeckie opowiadania, zaprawione dewocją, wydały się jej pisane z tak absolutną ignorancją światowego życia, że niepostrzeżenie odsunęły ją od prawd, których potwierdzenia oczekiwała. Czytała jednak wytrwale, a gdy książka wysuwała się jej z rąk, mniemała, że ogarnia ją najsubtelniejsza melancholia katolicka, jakiej doznać może eteryczna dusza.

Co do wspomnienia o Rudolfie, to zepchnęła je na samo dno serca i tkwił tam bardziej uroczyستی i nieruchomy od królewskiej mumii w podziemiach. Z tej zabalsamowanej miłości wymykał się wonny opar, przenikał wszystko, nasączał tkliwym uczuciem niepokalaną czystość, w której żyć pragnęła. Klęcząc na gotyckim klęczniku, zwracała do Boga te same słowa pełne słodyczy, które szeptała niegdyś kochankowi w upojeniach cudzołożnej miłości. Chciała w ten sposób wzbudzić w sobie wiarę; ale żadna rozkosz nie spływała z nieba i powstawała z klęzek ze zmęczeniem w członkach i z nieokreślonym poczuciem jakiegoś ogromnego szalbierstwa. "Te usiłowania - myślała - to jeszcze jedna zasługa" i w pysze swej pobożności Emma porównywała się do owych wielkich dam minionych czasów, o których sławie marzyła nad portretem panny de Layalliere i które z majestatycznym szelestem szamerowanych trenów odchodziły w ustronne samotnie, by wylać u stóp Chrystusa wszystkie łzy serca, zranionego ziemskim życiem.

Poświęciła się wówczas nadmiernej dobroczynności. Biednym szyła ubrania, położnicom posyłała drzewo, a pewnego dnia Karol, wróciwszy do domu, zastał w kuchni za stołem trzech nicponiów pałaszujących zupę. Sprowadziła do domu córeczkę, którą mąż podczas jej choroby odesłał do mamki. Uczyła ją czytać. I choć Berta płakała i kaprysiła, nie unosiła się teraz. Chciała pogodzić się z losem, była bezgranicznie wyrozumiała. Wszystko, co mówiła, pełne było wzniosłych wyrazów. Pytała dziecka:

- Czy już cię nie boli brzuszeczek, mój aniele?

Pani Bovary-matka nie miała jej nic do zarzucenia, chyba tylko tę manię robienia na drutach kaftaników dla sierot, zamiast cerowania własnych ścierek. Ale poczciwa kobiecina, znękana małżeńskimi swarami, odpoczywała w tym spokojnym domu i pozostała u nich aż do Wielkanocy, by uniknąć szyderstw starego Bovary, który nie omieszkał nigdy w Wielki Piątek zażądać kiełbasy.

Prócz teściowej, która pokrzepiła ją nieco na duchu prawością swych sądów i powagą obejścia, Emma niemal co dzień miała jeszcze i inne towarzystwo. Odwiedzały ją panie Langlois, Caron, Dubre-vil, Tuvache i zacna pani Homais, która nigdy nie chciała uwierzyć w żadne plotki rozsiewane o sąsiadce. Przychodziły też małe Homais. Odprowadzał je Justyn. Wchodził do jej pokoju, zatrzymywał się przy drzwiach i stał nieruchomo, w milczeniu. Nieraz pani Bovary, nie zwracając nań uwagi zabierała się do swej toalety. Wyjmowała grzebienie i potrzasała gwałtownie głową. Gdy biedny chłopak ujrzał po raz pierwszy jej włosy w czarnych pierścieniach spływające aż do kostek, zdawało mu się, że wkracza w nowy, niezwykle świat, który przeraził go swą wspaniałością.

Emma nie dostrzegła zapewne ani jego niemego zachwyty, ani onieśmienia. Nie domyślała się wcale, że miłość, która znikła z jej życia, pulsuje tuż przy niej, pod zgrzebną koszulą w tym młodzieńczym sercu chłonącym objawienie jej urody. Zresztą spowiła teraz wszystko w taką obojętność, słowa jej były tak przyjazne, a spojrzenia tak wyniosłe, obejście tak zmienne, że nie sposób było odróżnić samolubstwa od miłosierdzia ani zepsucia od cnoty. Pewnego wieczoru na przykład uniosła się na służącą, która prosiła o wychodne i jękając się szukała jakiegoś pretekstu.

- Kochasz go więc? - spytała nagle. I nie czekając na odpowiedź rumieniającej się Felicji dodała smutno:

- Idźże, biegnij! Zabaw się!

Z nadejściem wiosny kazała pozmienić wszystko w ogrodzie, mimo zastrzeżeń męża; był on jednak rad widząc, że zaczyna zdradzać jakieś przejawy! woli. Okazała ich więcej, w miarę jak wracała do sił. Przede wszystkim znalazła sposób, by

odprawić starą mamkę Rollet, która podczas jej choroby nabrała zwyczaju zbyt często przychodzić do kuchni z dwojgiem niemowląt i wychowankiem żarłoczniejszym od kanibala. Potem pozbyła się rodziny Homais, kolejno wyzwoliła od wszystkich wizyt i nawet z niniejszą gorliwością uczęszczała do kościoła, czym zjednała sobie wielkie uznanie aptekarza, który powiedział jej wówczas po przyjacielsku:

- Pozwalała się pani trochę za nos wodzić klechom!

Ksiądz Bournliisien, jak i dawniej, przychodził co dzień, wracając z lekcji katechizmu. Wolał posiedzieć na dworze, oddychając świeżym powietrzem gaju, jak nazywał altanę. O tej właśnie porze wracał Karol. Było im gorąco i popijali razem słodki jabłecznik na intencję zupełnego wyzdrowienia Emmy.

Niedaleko nich, trochę niżej, przy nadbrzeżnym murku, Binet łowił raki. Bovary zapraszał go, by się orzeźwił; on zaś znał się świetnie na odkorkowywaniu flaszek.

- Należy - powiadał wodząc dookoła i po całym widnokregu zadowolonym spojrzeniem - mocno oprzeć flaszkę na stole i potem, rozdawszy szpagat, wypychać korek małymi ruchami wolniutko, wolniutko, jak to robią z wodą sodową w restauracjach.

Ale często podczas tego pokazu jabłecznik tryskał im wprost w twarz i wtedy duchowny, śmiejąc się rubasznie, nie omieszkał nigdy zażartować:

- Doskonałość jego bije w oczy!

Był to rzeczywiście poczciwy człowiek i nawet pewnego dnia nie zgorszył się wcale, gdy aptekarz poradził Karolowi, by zawiózł żonę dla rozrywki do teatru w Rouen, na występ słynnego tenora Lagardy. Homais, zdziwiony milczeniem księdza, chciał dowiedzieć się, co o tym myśli, na co proboszcz oznajmił, że muzykę uważa za mniej niebezpieczną dla moralności niż literaturę.

Lecz aptekarz stanął w obronie piśmiennictwa. Teatr, jego zdaniem, obalał przesady i pod pokrywką zabawy nauczał cnoty.

- Castigat ridendo mores!, księżę proboszczu! Niech ksiądz weźmie na przykład większość tragedii Voltaire'a: usiane są zręcznie myślami filozoficznymi, które stanowią dla ludu prawdziwą szkołę moralności i dyplomacji.

- Widziałem kiedyś - wtrącił Binet - sztukę pod tytułem Wisit paryski. Pokazują w niej starego generała, który jest naprawdę bzikowaty. Gromi on chłopca z dobrej rodziny, który uwiódł szwaczkę, i ta...

- Zapewne - ciągnął Homais - jest zła literatura jak i zła farmacja, ale potępiać w czambuł najważniejszą gałąź sztuk pięknych wydaje mi się nedorzecznnością, barbarzyńskim pomysłem, godnym tych okropnych czasów, gdy więziono Galileusza.

- Wiem doskonale - oponował ksiądz - że istnieją dobre dzieła, dobrzy pisarze; ale już samo nagromadzenie osób płci odmiennej w czarownej sali pełnej przepychu, te pogańskie przebrania, owa szminka, pochodnie, zniewieściałe głosy, wszystko to zaszcześcić musi w duszy pewną rozwiążłość i przynieść nie cnotliwe myśli i nieczyste pokusy. Takie jest przynajmniej zdanie wszystkich ojców kościoła. Wreszcie - dodał, przybierając nagle ton mistyczny i zwijając jednocześnie iv palcach szczyptę tabaki - jeśli Kościół potępił widowiska, to znaczy, że ma rację, i musimy się poddać jego wyrokowi.

- Dlaczegoż rzucił on klątwę na aktorów - spytał aptekarz - skoro niegdyś brali oni jawnie udział w obrzędach? Tak, dawano przedstawienia pośrodku kościoła, rodzaj komedii, zwanych misteriami, które nieraz obrażały nakazy przyzwoitości.

Duchowny poprzestał na westchnieniu, zaś aptekarz ciągnął dalej:

- To tak jak z Biblią: znajdzie się tam niejedyn szczegół... pikantny, rzeczy doprawdy... swawolne! I na niecierpliwym ruchu księdza Bournliisien:



- Przyzna ksiądz, że nie jest to książka stosowna dla młodej osoby; gniewałbym się, gdyby Atalia...

- Ależ to nie my - wykrzyknął rozdrażniony ksiądz - toż to protestanci zalecają czytanie Biblii.

- Mniejsza o to! - rzekł Homais. - Dziwię się tylko, że za naszych czasów, w wieku oświeconym, ktokolwiek może jeszcze z uporem zakazywać nieszkodliwej rozrywki umysłowej, która podnosi moralność, a nieraz nawet i higienę, nieprawdaż, doktorze?

- Zapewne - odparł lekarz obojętnie, czy to że podzielał jego zdanie, ale nie chciał nikogo obrazić, czy też że nie miał żadnego zdania.

Rozmowa zdawała się skończona, gdy aptekarz uznał za stosowne zadać jeszcze ostatni cios:

- Znałem księży, którzy przebierali się w świeckie suknie, by popatrzeć na fikające tancerki.

- Cóż znowu! - obruszył się proboszcz.

- Znałem takich!

I rozdzielając sylaby Homais powtórzył:

- A! Znałem takich!

- No, to źle robili - rzekł Bournisien, gotów już wszystkiego wysłuchać.

- Dalibóg! Nie tylko takie rzeczy robią! - wykrzyknął Homais.

- Panie! - rzucił duchowny z tak gniewnym wejrzeniem, że aptekarz zmieszał się.

- Chcę tylko powiedzieć - podjął łagodniejszym tonem - że tolerancja jest najpewniejszym sposobem, by skłonić dusze ku wierze.

- To prawda, prawda - przyznał poczciwiec siadając znów na krześle.

Ale zabawił już tylko dwie minuty. Gdy odszedł, Homais rzekł do lekarza:

- A tośmy się wzięli za czuby! Widziałeś pan, jakem go zapędził w kozi róg! I wierzaj mi, zawieź panią na spektakl, choćby dlatego, by raz w życiu napsuć krwi tym klechom, do diaska! Gdyby mógł mnie ktoś wyręczyć, sam bym nawet państwu towarzyszył. Nie zwlekajcie, Lesardy wystąpi tylko raz. Jest zaangażowany do Anglii za wysokim wynagrodzeniem. Sławny to szpak, jak powiadają. Tarza się w złocie. Wozi ze sobą trzy kochanki i kucharza! Wszyscy ci artyści szastają pieniędzmi. Trzeba im życia wyuzdanego, które podnieca wyobraźnię. Ale umierają w przytułkach, bo nie mieli za młodu dość rozsądku, by zaoszczędzić trochę grosza. No, smacznego, do jutra!

Myśl o teatrze zakiełkowała szybko w głowie Karola i niebawem podzielił się nią z żoną, która odmówiła zrazu, wymawiając się zmęczeniem, kłopotem, wydatkami; lecz o dziwo, Bovary nie ustąpił, tak mu ta rozrywka wydała się dla niej wskazana. Nie widział żadnych przeszkód: matka przysłała im trzysta franków, na które już nie liczyli, długi bieżące były niewielkie, a termin płatności weksli pana Lheureux tak odległy, że nie należało jeszcze o nim myśleć. Zresztą, sądząc, że powoduje nią delikatność, Karol nakłaniał ją tym usilniej; ulegając gorącym namowom przystała wreszcie. I nazajutrz o ósmej załadowali się do „Jaskółki”.

Aptekarz, którego nic nie zatrzymywało w Yonville, ale który wmawiał sobie, że się nie może stamtąd ruszyć, westchnął na widok odjeżdżających.

- No, dobrej podróży - rzekł im - szczęśliwi śmiertelnicy!

Potem zwracając się do Emmy wystrojonej w jedwabną, błękitną suknię o czterech falbanach:

- Ślicznie pani wygląda, jak amerek! Zrobi pani furorę w Rouen.

Dyżurni stawali w hotelu "Pod Czerwonym Krzyżem" na placu Beauvoisine. Była to jedna z tych oberż, jakie się widuje na każdym prowincjonalnym przedmieściu, o wielkich stajniach i małych pokojach, gdzie na podwórku kury dziobią owies pod zabłoconymi kabrioletami komiwojażerów: pocziwe, stare domostwo o balkonach z próchniejącego drzewa, trzeszczących na wietrze w zimowe noce, zawsze pełne ludzi, gwaru i jadła. Stoły lepkie są od kawy i rumu, grube szyby popstrzone przez muchy, wilgotne serwety poplamione winem - pocziwe domostwo, pachnące wsią jak fornał ubrany z miejska, z kawiarenką od strony ulicy i ogrodem warzywnym od strony pól. Karol ruszył zaraz na miasto. Pomylił parter z amfiteatrem, łoże z galerią. Zażądał wyjaśnień, nie zrozumiał ich, odesłano go od kontrolera do dyrektora, wrócił do oberży, potem znów do kasy i tak po kilkakroć przemierzył całe miasto od teatru aż do bulwaru.

Pani kupiła kapelusz, rękawiczki, kwiaty. Pan obawiał się bardzo, że się spóźnią, toteż nie przełknęli nawet bulionu i zjawili się przed zamkniętymi jeszcze drzwiami teatru.

Tłum ludzi stał pod ścianą, stłoczony między balustradami. Na rogach sąsiadujących ulic olbrzymie afisze powtarzały dziwaczными literami: Łucja z Lammermooru... Lagardy... Opera... itd. Pogoda była piękna, upał doskwierał; pot wsiąkał we fryzury, wszyscy dobywali chustek i ocierali czerwone czoła; niekiedy ciepły powiew znad rzeki wydymał lekko fałbany perkalowych markiz nad drzwiami kawiarenek. Niżej jednak przeciągał zimny podmuch, niosąc woń sadzy, skór i oliwy. Były to wyziewy ulicy Charrettes, pełnej wielkich, mrocznych składów, gdzie przetaczają się ciężkie beczki.

By nie narażać się na śmieszność, że się tak wcześnie zjawili, Emma chciała przejść się jeszcze trochę w stronę portu. Bovary przezornie nie wypuszczał biletów z ręki i przyciskał je w kieszeni spodni do brzucha.

Gdy tylko weszła do przedsionka, serce Emmy zaczęło bić żywiej. Uśmiechnęła się z bezwiedną próżnością, widząc, jak tłum runął na prawo w korytarz, gdy ona wstępowała na główne schody. Ucieszyła się jak dziecko, pchnąwszy palcem szerokie obite drzwi i pełną piersią wciągała przesycone kurzem powietrze kularów, a gdy już zasiadła w łoży, wygięła kibić z niewymuszoną swobodą księżniczki.

Sala zaczynała się napełniać; wyciągano z futerałów lornetki, a stali bywalcy, dostrzegając się z daleka, wymieniali ukłony. Przyszli tu, by znaleźć w sztukach pięknych rozrywkę po emocjach przetargów. Lecz nie zapominając o interesach rozprawiali wciąż o bawelnie, alkoholu, barwnikach. Widać było twarze starców przygaste i bez wyrazu; bezbarwne włosy i cera upodabniały je do zaśniedziałych srebrnych medalionów. Wystrojeni młodzieńcy puszyli się w pierwszych rzędach, popisując się różowymi i seledynowymi krawatami w wycięciach kamizelek. Pani Bovary podziwiała ich z góry, patrząc, jak opierają na złoconych gałkach łasek dłonie obciśnięte w żółte rękawiczki.

Tymczasem zapłonęły świece w orkiestrze. Żyrandol opuścił się z sufitu i rzucił na salę wraz z migotaniem kryształów nagłą radość. Jedni po drugich weszli muzykanci i rozległo się, zrazu bezładne, dudnienie basów, piski skrzypiec, trąbienie kornetu, kwilenie fletów i flażolety. Wtem usłyszano trzy głucho uderzenia na scenie. Zabrzmiały kotły, rozległy się dźwięki trąb, kurtyna podniosła się odsłaniając krawędź lasu. W cieniu dębu, z lewej, znajdowało się źródło. Włóścianie i panowie z pledami przerzuconymi przez ramię śpiewali razem myśliwską piosenkę, po czym nadszedł jakiś wódz, który wzywał anioła ciemności, wznosząc w górę oba ramiona; zjawił się drugi i odeszli razem, a strzelcy znów zaczęli śpiewać.

Emma znalazła się w świecie swej młodości, w pełni lektury Waltera Scotta. Zdało się jej, że słyszy wśród mgły dźwięk szkockiej kobzy na wrzosowiskach. Znajomość powieści ułatwiała jej zrozumienie libretta; śledziła intrygę zdanie po zdaniu, a nawiedzające ją myśli rozpierzchały się wnet pod falami muzyki. Kołysana melodią, czuła, że sama wibruje cała, jakby smyczki skrzypiec przesuwają się po jej nerwach. Nie mogła się dość napatrzeć kostiumom, dekoracjom, postaciom, malowanym drzewom, które drżały, gdy przechodzono koło nich; aksamitnym toczkom, płaszczom, szpantom i wszystkim tym urojeniom ożywającym wśród dźwięków muzyki jak gdyby w atmosferze z innego świata. Wtem wysunęła się naprzód młoda kobieta, rzucając sakiewkę zielonemu masztalerzowi. Została sama i rozległ się wówczas głos fletu, podobny do szmeru strumyka i do świergotu ptaków. Łucja zaintonowała śmiało swą Cavatinę G-dur.

Skarżyła się na nieszczęsną miłość i prosiła o skrzydła. Emma również pragnęła uciec od życia, odlecieć w jakimś uścisku. Wtem zjawił się Edgar Lagardy.

Miał tę olśniewającą bladość, która użycza płomiennym rasom południa majestatu marmurów. Krzepka jego kibić ujęta była w obcisły kaftan brunatnej barwy, mały cyzelowany sztylet zwisał mu nad lewym udem, rzewnie przewracał oczyma, pokazując białe zęby. Powiadano, że pewna polska księżniczka zakochała się w nim słuchając, jak śpiewał kiedyś na plaży w Biarritz, gdzie naprawiał szalupy. Zrujnowała się dla niego. Porzucił ją dla innych kobiet, a rozgłos tych miłostek przydawał tylko sławy jego sukcesom artystycznym. Kabotyn-dyplomata, ilekroć reklamował swą osobę, nie omieszkał nigdy przemycić jakiegoś poetycznego zdania o uroku swej postaci i tkliwości duszy. Piękny głos, niezachwiana pewność siebie, więcej temperamentu niż inteligencji i więcej emfazy niż liryzmu, oto co przydawało blasku temu wspaniałemu okazowi szarlatana, w którym było coś z fryzjera i coś z toreadora.

Od pierwszej sceny wzbudził entuzjazm. Tulił Łucję w ramionach, opuszczał ją, powracał, zdawał się być zrozpaczony; zionął gniewem, potem wywodził j elegijne jęki o niezrównanej słodczy, a tony wymykały się z jego obnażonej szyi pełne łkań i pocałunków. Emma, drąc paznokciami aksamit łoża, wychylała się, by go lepiej widzieć. Serce jej wypełniało się owymi melodyjnymi skargami, rozbrzmiewającymi przy akompaniamencie kontrabasów jak wołania rozbitków w zgiełku burzy. Stały jej w pamięci wszystkie upojenia, wszystkie męki, które ją niemal o śmierć przyprawiły. Głos śpiewaczki zdawał się jej jedynie oddźwiękiem własnych uczuć, a złuda, która ją czarowała, częścią jej życia. Lecz nikt na świecie nie kochał jej taką miłością. O n nie płakał jak Edgar, gdy w blasku księżycy mówili sobie ostatniego wieczoru: "Do jutra! Do jutra!..." Sala grzmiała od oklasków. Powtórzono całą strettę. Kochankowie mówili o kwiatach na swych grobach, o przysięgach, wygnaniu, złym losie, nadziejach, a gdy zaintonowali pożegnalny finał, Emma wydała przenikliwy okrzyk, który wplątał się w wibrację ostatnich akordów.

- Dlaczego - spytał Bovary - ten książkę wziął się i prześladować ją?
- Ależ nie - odparła - to jej kochanek.
- Jednak przysiągł zemstę jej rodzinie, a tamten co był przed chwilą, mówił: „Kocham Łucję i sądzę, że przez nią kochany.” Zresztą odszedł pod rękę z jej ojcem. Bo to wszak jej ojciec, ten mały brzydki, z kogucim piórkiem u kapelusza?

Mimo objaśnień Emmy, po recitativie duetu, w którym Gilbert wyjaśnia Astonowi swe nieczne intrygi, Karol widząc fałszywą obrączkę, która miała omamić Łucję, myślał, że to upominek miłosny przysłany przez Edgara. Przyznawał zresztą, że nie rozumie tej historii, gdyż muzyka bardzo przeszkadzała słowom.

- Mniejsza o to - rzekła Emma - siedź cicho!

- Kiedy ja lubię - dodał pochylając się ku niej - wiedzieć, o co chodzi, - Cicho! Cicho! - syknęła niecierpliwie.

Łucja kroczyła podtrzymywana przez służebne, w wieńcu pomarańczowym na włosach, bledsza od białego atłasu swej sukni. Emma wspominała dzień swego ślubu. Widziała siebie tam, wśród zbóż, gdy wąską ścieżynką szli do kościoła. Czemuż, jak ta oto, nie błagała, nie opierała się? Przeciwnie, była wesola, nie dostrzegając wcale otchłani, w którą się rzucała... Ach! Gdyby w pełni świeżości urody, nie skalana małżeństwem, nie rozgoryczona wiarołomstwem, mogła być oprzeć swe życie na jakimś mocnym sercu, wówczas cnota, tkliwość, rozkosz i obowiązek, spojone w jedno, nie dozwoliłyby jej nigdy zejść z wyżyn tej szczęśliwości. Lecz owo szczęście było zapewne kłamstwem zmyślonym, by udręczyć każde pożądanie. Znała już teraz błahość owych uczuć, które sztuka wyolbrzymiała. Usiłując przeto odwrócić od nich myśli Emma chciała widzieć w tym odzwierciedleniu swych cierpień tylko fantazję plastyczną, w sam raz dobrą, by ucieszyć oczy, i nawet uśmiechała się w duchu z pogardliwą litością, gdy wtem w głębi teatru pod aksamitną kotarą ukazał się człowiek w czarnym płaszczu.

Gwałtownym ruchem zrzucił duży, hiszpański kapelusz, a instrumenty i śpiewacy zaintonowali w tej chwili sekstet. Edgar w płomiennej furii dominował nad wszystkimi czystszy od innych głosem. Aston. w basowych tonach rzucał mu mordercze wyzwania, Łucja skarżyła się przenikliwym jękiem; Artur na stronie modulował w tonach pośrednich, a krępa postać ministra wydawała z siebie chrapliwe organowe brzmienia, podczas gdy głosy kobiece, podchwytyjąc jego słowa, powtarzały je czarującym chórem. Wszyscy stali w jednym rzędzie, gestykulując; gniew, zemsta, zazdrość, trwoga, litość i osłupienie zionęły razem z ich półotwartych ust. Znieważony kochanek wywijał nagą szpadą; gipiurowa kryza drżała na falującej piersi, przechadzał się tam i z powrotem ogromnymi krokami, podzwaniając na deskach złoconą ostroga u rycerskich butów, rozszerzających się od kostki. „Posiada zapewne niewyczerpane zasoby miłości - myślała - jeśli może wylewać na tłumy takie jej potoki.” I cała jej chęć zlekceważenia tego, co widzi, rozwijała się w poezji urzekającej roli; pociągnięta ku temu człowiekowi złudą uosabianej przezeń postaci, usiłowała wyobrazić sobie jego życie, owe życie rozgłośnie, niezwykle, wspaniałe, a które jednak mogłoby się stać jej udziałem, gdyby los był tak zrzędził! Poznaliby się! Pokochali! Podróżowałyby z nim od stolicy do stolicy po całej Europie, dzieląc jego trud i sławę, zbierając kwiaty, które mu rzucano i haftując mu kostiumy. Potem, każdego wieczoru, z głębi łoża za złoconą siatką kraty napawałaby się wynurzeniami tej duszy śpiewającej tylko dla niej samej, a on, grając, spoglądałby na nią ze sceny. Wtem ogarnęło ją zamroczenie: patrzył na nią, tak, na pewno! Zapragnęła rzucić mu się w objęcia, schronić w mocnych ramionach jak w samym uosobieniu miłości i powiedzieć, wykrzyknąć: "Uprowadź mnie, porwij, uciekajmy! Dla ciebie, dla ciebie tylko żar mojej duszy i wszystkie marzenia!"

Kurtyna zapadła.

Zapach gazu mieszał się z oddechem tłumu, a poruszające się wachlarze czyniły powietrze jeszcze duszniejszym. Emma chciała wyjść; korytarze były zatłoczone, rzuciła się więc na fotel z palpitacjami, które ją pozbawiały tchu. Karol, bojąc się, że zemdleje, pobiegł do bufetu po szklanekę orszady.

Z trudem dobrnął z powrotem na miejsce, gdyż niósł w obu rękach szklanekę. Co chwila go potrącano. Wylał nawet trzy ćwierci płynu na wydekoltowane ramiona jakiejś miejscowej piękności. Czując, że coś zimnego ścieka jej wzdłuż krzyża, zaczęła wydawać przeraźliwe krzyki, jakby ją mordowano. Mąż jej, właściciel przedzalni, uniósł się gniewem na niezgrabiasza i gdy ona chusteczką wycierała

plamy na pięknej sukni z wiśniowej tafty, pomrukiwał coś szorstko o stracie, wynagrodzeniu, zwrocie kosztów Wreszcie Karol, cały zadyszany, dotarł do żony mówiąc:

- Słowo daję, myślałem, że już po mnie! Co za ścisk!... Co za ścisk!...

I dodał: - Ale zgadnij, kogo tam spotkałem na górze? Pana Leona!

- Leona?

- We własnej osobie! Przyjdzie ci złożyć swe uszanowanie.

Ledwie wyrzekł te słowa, a już były pisarz notarialny z Yonville wchodził do loży.

Wyciągnął rękę ze swobodą światowca, a pani Bovary podała mu swoją, odruchowo, posłuszna nakazowi silniejszej woli. Nie uścisnęła tej ręki od owego wiosennego wieczoru, gdy deszcz zmywał zielone liście, a oni żegnali się stojąc we framudze okna. Lecz opamiętała się wnet, wysiłkiem woli otrząsnęła się z ogarniających ją wspomnień i zaczęła pośpiesznie jąkać jakieś słowa:

- A! Witam! Jakże to, pan tutaj?

- Cicho tam! - krzyknął jakiś głos z parteru, gdyż zaczynał się trzeci akt.

- Więc pan teraz w Rouen?

- Tak, pani.

- Od jak dawna?

- Za drzwiami! Za drzwiami!

Oglądano się na nich, umilkli.

Lecz nie słuchała już od tej chwili, i chór biesiadników, scena Astona ze swym sługą i wielki duet D-dur, wszystko to odbywało się gdzieś w dali, jakby aktorów cofnięto w głąb, a instrumenty stały się mniej dźwięczne. Przypomniały się jej partyjki kart u aptekarza, przechadzka do mamki, lektury w altanie, wieczory sam na sam przy kominku, cała ta uboga miłość, tak cicha, i długa, tak dyskretna i tkliwa, a o której przecież zapomniała. Czemu więc wrócił? Jaki szczególny przypadek wplątał go znów w jej życie? Stał tuż za nią, wsparty o przepierzenie, i dreszcz przejmował ją chwilami pod ciepłym oddechem jego nozdrzy spływającym w jej włosy.

- Czy to panią bawi? - spytał pochylając się ku niej tak blisko, że końcem wąsa musnął jej policzek.

- Ach, mój Boże, nie bardzo!

Wówczas zaproponował, by opuścić teatr i pójść gdzieś na lody.

- O, nie teraz, zostanmy jeszcze - rzekł Bovary. - Ma rozpuszczone włosy, to zapowiada jakąś tragedię.

Ale scena obłędu wcale nie interesowała Emmy, a gra aktorki wydała się jej przesadna.

- Zbyt głośno krzyczy - rzekła zwracając się do zasłuchanego Karola.

- Tak... trochę... być może - odparł niepewnie, wahając się między szczerą przyjemnością, jaką odczuwał, a szacunkiem dla opinii żony.

Po chwili Leon westchnął:

- Ależ gorąco!

- To prawda! nieznośnie gorąco!

- Niedobrze ci? - spytał Bovary.

- Tak, duszę się: chodźmy!

Pan Leon zarzucił jej delikatnie na ramiona długi koronkowy szal i poszli wszyscy troje do portu, gdzie na świeżym powietrzu zasiedli przed witryną jakiejś kawiarni.

Mówiono z początku o jej chorobie, choć Emma przerywała czasem Karolowi z obawy, by - jak powiadała - nie nudzić pana Leona. On zaś oświadczył im, że spędził dwa lata w Rouen na praktyce w dużej kancelarii, by się dobrze obeznać ze

sprawami, które w Normandii załatwia się inaczej niż w Paryżu. Potem wypytywał o Bertę, o państwa Homais, o starą Lefrancois, a że w obecności męża nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia, rozmowa urwała się wkrótce.

Ludzie wychodzący z teatru nucili półgłosem lub wyśpiewywali na całe gardło: "O Łucjo moja, piękny aniele!" Wówczas Leon pozując na bywalca zaczął rozprawiać o muzyce. Słyszał takie sławy, jak Tamburini, Rubini, Persiani i Grisi; wobec nich Lagardy, pomimo swych sukcesów, nic nie był wart.

- Jednak - wtrącił Karol, który małymi łykami popijał sorbet z rumem - powiadają, że w ostatnim akcie jest naprawdę wspaniały. Żałuję, że wyszedłem przed końcem, bo zaczynało mnie to bawić.

- On da jeszcze jedno przedstawienie - podjął Leon.

Lecz Karol powiedział na to, że wyjeżdżają już nazajutrz.

- Chyba - dodał zwracając się do żony - że chcesz zostać sama, kóleczko!

Wobec niespodziewanej okazji, która zaświtała przed nim, młody człowiek, zmieniając zdanie, zaczął nagle wychwalać Lagardy'ego w ostatnim akcie. Był tam wspaniały, wzniosły!

Karol zaczął wówczas nalegać:

- Wrócisz w niedzielę. Zdecyduj się, kochanie. Nie upieraj się; jeśli masz choć trochę ochoty i myślisz, że ci to zrobi przyjemność.

Tymczasem stoliki pustoszały dokoła i kelner dyskretnie przystanął w pobliżu. Karol zrozumiał i wyciągnął sakiewkę, lecz pisarz wstrzymał go ręką i nie omieszkał nawet dorzucić z brzękiem na marmur dwóch srebrnych monet.

- Przykro mi doprawdy - szepnął Bovary - że pan tyle...

Tamten oburzył się z wielką serdecznością i sięgając po kapelusz:

- Więc to rzecz ułożona, nieprawdaż, jutro o szóstej?

Karol zarzekł się raz jeszcze, że nie może na dłużej opuścić Yonville, lecz że nic nie stoi na przeszkodzie, by Emma...

- Kiedy - wyjąkała z jakimś szczególnym uśmiechem - nie wiem sarna...

- A więc namyślisz się, zobaczymy, noc jest dobrym doradcą...

A zwracając się do Leona, który im towarzyszył:

- Teraz, gdy jest pan naszym sąsiadem, mam nadzieję, że nie pogardzi pan czasem obiadem u nas? Pisarz zapewnił, że nie omieszka skorzystać z zaproszenia, tym bardziej że i tak miał się wybrać do Yonville w interesach. Rozstali się u wylotu ulicy Slit-Herbland, w chwili gdy zegar katedralny wydzwaniał w pół do dwunastej.

## CZĘŚĆ TRZECIA

Pan Leon studiując prawo bywał również częstym gościem "Pod Strzechą" i cieszył się tam nawet wielkim powodzeniem u gryzetek, które uważały, że jest wytworny. Był najprzykładniejszym ze studentów; włosy miał ani zbyt krótkie, ani zbyt długie; nie wydawał pierwszego pieniędzy, jakie miał na cały kwartał, i był w dobrych stosunkach ze swymi profesorami. A od wszelkich wybryków powstrzymywała go zarówno małoduszność, jak i wrodzona delikatność.

Nieraz, gdy siedział nad książką w domu lub wieczorem pod lipami w Ogrodzie Luksemburskim, kodeks wysuwał mu się z rąk i wracało wspomnienie Emmy. Lecz z czasem uczucie to osłabło, nawarstwiły się inne pragnienia; nie wygasło jednak i prześwitywało przez nie, gdyż Leon nie tracił całkiem nadziei. Jaśniała zawsze przed nim niepewna obietnica, niby złoty owoc kołyszący się na fantastycznej gałęzi.

Potem, gdy ujrzał ją znów po trzech latach rozłąki, zbudziła się dawna namiętność. „Trzeba - pomyślał - zdecydować się wreszcie i zdobyć ją.” Zresztą nieśmiałość jego znikła w obcowaniu ze swawolnym półświatkiem i wracał na prowincję pogardzając wszystkimi, co nie depczą lakierowanym trzewikiem asfaltu bulwarów. Wobec paryżanki w koronkach, w salonie jakiegoś sławnego doktora udekorowanego orderami, posiadającego własny powóz, biedny pisarz notarialny drżałby zapewne jak dziecko. Lecz tu, w porcie, w Rouen, przy żonie tego skromnego lekarza czuł się swobodnie i przekonany był z góry, że potrafi ją olśnić. Pewność siebie zależy od środowiska; nie przemawia się na parterze jak na czwartym piętrze, a kobieta bogata zda się mieć na straży swej cnoty, niby pancerz, wszystkie banknoty, jakie posiada.

Rozstawszy się wieczorem z państwem Bovary, Leon szedł za nimi z daleka, a gdy zobaczył, że zatrzymali się przed oberżą "Pod Czerwonym Krzyżem", zawrócił na pięcie i całą noc obmyślał plan działania.

Nazajutrz około piątej wszedł do kuchni oberży ze ściśniętym gardłem, z bladym obliczem i z tą decyzją tchórzy, których nic powstrzymać nie zdoła.

- Pana nie ma - powiedział służący. Wziął to za dobrą wróżbę. Poszedł na górę. Emma nie zmieszała się na jego widok, przeciwnie, zaczęła przeproszać, że zapomniała mu powiedzieć, gdzie stanęli.

- O. ja to odgadłem - rzekł Leon.

- Jak?

Powiedział, że odnalazł ją wiedziony przecuciem. Uśmiechała się wówczas, a on, by naprawić niezręczność, dodał spieszenie, że szukał jej od rana po całym mieście, we wszystkich hotelach.

- Zdecydowała się więc pani zostać? - dodał.

- Tak, i źle zrobiłam. Nie należy się przyzwyczajać do niedostępnych rozrywek, gdy ma się tysiące obowiązków...

- Ach, domyślam się...

- O nie, bo pan nie jest kobietą.

Lecz mężczyźni również mają swe troski; rozmowa zaczęła się od paru refleksji filozoficznych. Emma rozwodziła się nad znikomością uczuć ziemskich i wieczystą samotnością, która spowija serce grobowym całunem.

By wydać się interesującym lub naiwnie naśladować jej melancholię, młodzieniec oznajmił, że nudził się ogromnie przez cały czas swoich studiów. Prawo drażniło go; pociągały go inne zawody, a matka nie przestawała go dręczyć w każdym liście. Mówili coraz wyraźniej o przyczynach swych cierpień, gdyż oboje egzaltowali się trochę własnymi słowami, w miarę jak postępowały zwierzenia. Lecz zatrzymywali się czasem przed całkowitym odsłonięciem swych myśli i szukali wówczas jakiegoś zdania, które by jednak mogło je wytłumaczyć. Ona nie wyznała mu swej miłości do innego, on nie powiedział, że zapomniał o niej. Może nie pamiętał już tych kolacyjek po balu z dziewczętami portowymi, a ona dawnych schadzek, gdy biegła o świcie wśród traw do pałacu kochanka. Odgłosy miasta ledwie docierały do nich, a pokoik zdawał się mały, jakby umyślnie stworzony, by zbliżyć ich w tej samotności. Emma w lekkim peniuarze opierała kok o poręcz starego fotela; żółta tapeta za nią tworzyła niby złote tło, a w lustrze odbijała się jej głowa z białym rozdziałkiem pośrodku i z pasmami gładko zaczesanych włosów, spod których wystawały koniuszki uszu.

- Lecz przepraszam - rzekła - źle robię. Nudzę pana wiecznymi skargami.

- O nie! Nigdy! Nigdy!

- Gdyby pan znał - podjęła, wznosząc w sufit swe piękne oczy zwilżone łzami - wszystkie moje marzenia.

- A ja! O, i jam wiele przecierpiał. Często wychodziłem, błąkałem się wzdłuż bulwarów, szukałem zapomnienia w gwarnym tłumie i nie mogłem umknąć dręczącym wspomnieniom, które mnie wszędzie ścigały. Jest u pewnego handlarza rycin, na bulwarach, włoska grawiura przedstawiająca mużę. Udrapowana w tunikę patrzy na księżyc, w wianku niezapominajek na rozpuszczonych włosach. Jakaś siła pociągała mnie zawsze ku niej; wpatrywałem się w nią całymi godzinami.

Potem drżącym głosem:

- Była trochę podobna do pani

Emma odwróciła głowę, czując, jak nieodparty uśmiech wypływa jej na wargi.

- Często - podjął - pisywałem do pani listy, które darłem później. Nic nie odpowiadała.

- Wyobrażałem sobie niekiedy - ciągnął - że ! jakiś przypadek sprowadzi panią. Zdawało mi się, j że poznaję ją na zbiegu ulic, i goniłem za każdym ! fiakrem, z którego powiewał szal lub woalka podobna do pani woalki.

Zdawała się zdecydowana nie przerywać jego zwierzeń. Ze skrzyżowanymi rękami i opuszczoną głową wpatrywała się w kokardę na swym pantofelku i miarowo poruszała palcami stopy pod atłasem.

- Co najsmutniejsze - westchnęła wreszcie - to wlec, jak ja, żywot beзуżyteczny. Gdyby cierpienia nasze były komuś potrzebne, myśl, że się poświęcamy, przynosiłaby nam ulgę.

Jął wówczas wychwalać cnotę, poczucie obowiązku, ciche wyrzeczenia, gdyż sam miał niewiarygodną i niezaspokojoną potrzebę poświęcania się.

- Chętnie zostałabym siostrą miłosierdzia - rzekła.

- Niestety, dla mężczyzn niedostępne są te święto powołania - odparł - i nie widzę żadnego zawodu... chyba tylko zawód lekarza...

Emma przerwała mu, wzruszając lekko ramionami, i zaczęła się uskarżać na chorobę, która ją nieomal o śmierć przyprawiła: jaka szkoda, że nie umarła wtedy! Nie cierpiałaby już teraz! Leon westchnął natychmiast tęsknie do „spokoju grobowca”; pewnego dnia napisał już był nawet testament, prosząc, by pochowano go w tej pięknej kapie z aksamitnym obramowaniem, którą dostał od niej. Oboje takimi właśnie pragnęli być i dopasowywali teraz swą przeszłość, każdy do swego ideału. Zresztą słowo, jak maszyna do walcowania, wydłuża, zawsze uczucia.



Lecz na myśl o użyciu kapy jako całunu Emma spytała:

- I czemuż to?

- Czemu?

Zawahał się.

- Bo kocham panią!

I przyklaskując sobie w duchu, że przebrnął wreszcie tę przeszkodę, Leon spod oka śledził wyraz jej twarzy.

Była jak niebo, gdy wiatr nagle rozegna chmury. Tłum zasępiających ją smutnych myśli zdawał się pierzchać z błękitnych oczu; cała jej twarz promieniała.

Oczekiwał w milczeniu, - Zawsze się tego domyślałam... - odparła wreszcie.

Wówczas opowiedzieli sobie drobne zdarzenia tej odległej przeszłości, wesela i smutki, które streścili przed chwilą jednym słowem. Wspominali altankę obrośniętą powojnikami, suknie, które nosiła, meble jej pokoju, cały jej dom.

- A nasze biedne kaktusy, cóż się z nimi stało?

- Zmarzły tej zimy.

- Ach! ileż razy myślałem o nich. Czy wie pani! Jawiły mi się często, jak niegdyś, gdy w letnie poranki słońce oświecało żaluzję... a ja widziałem pani nagie ramiona wśród kwiatów.

- Biedny przyjacielu! - rzekła wyciągając doń rękę.

Leon szybko przywarł do niej ustami, a potem odetchnąwszy głęboko:

- Była pani dla mnie - rzekł - jakąś niepojętą siłą, która władała mym życiem. Pewnego razu, na przykład, przyszedłem do pani, lecz pewno zapomniałaś już o tym?

- Bynajmniej - odparła - mów pan dalej.

- Stała pani w przedpokoju, na ostatnim schodku, gotowa do wyjścia; pamiętam nawet niebieskie kwiatki na pani kapeluszu. Bez żadnego przyzwolenia, niezależnie od mojej woli, zacząłem iść za panią. Z każdą chwilą zdawałem sobie coraz wyraźniej sprawę z popełnianego nietaktu, ale towarzyszyłem pani nadal - nie śmiałem iść tuż obok pani, nie miałem jednak siły odejść. Gdy wchodziła par; do sklepu, zostawałem na ulicy, patrzyłem przez okienko, jak zdejmuje pani rękawiczki i liczy pieniądze na kantorku. Potem zadzwoniła pani do pań.-twa Tuvache, a ja zostałem jak głupiec przed ciężkimi drzwiami, które zatrzasnęły się za panią.

Pani Bovary, słuchając go, dziwiła się, że jest już taka stara: wszystkie te zjawiające się przed nią obrazy zdawały się rozszerzać granice jej istnienia, otwierały jakby olbrzymie przestrzenie w świecie uczuć, które przemierzała teraz myślami.

Przymknąwszy powieki szeptała raz po raz: - Tak, to prawda!... To prawda!... To prawda!...

Ósma wybiła na rozmaitych zegarach dzielnicy Beauvoisine, pełnej internatów, kościołów i opuszczonych pałaców. Nie rozmawiali już, ale gdy spoglądali na siebie, czuli w głowie szum, jak gdyby z ich nieruchomych źrenic wymykały się jakieś dźwięki. Dłonie ich splotły się ze sobą; przeszłość, przyszłość, reminiscencje i marzenia mieszały się razem w słodkiej ekstazie.

Ściany pograżały się w gęstniejącym mroku, w półcieniu widniały tylko jeszcze jaskrawe barwy czterech rycin, przedstawiających historię Wieży Nesle z objaśnieniami wypisanymi na dole po hiszpańsku i po francusku. Przez małe, półokrągłe okno widać było wśród spiczastych dachów skrawek ciemnego nieba.

Wstała, by zapalić dwie świece na komodzie, po czym znów usiadła.

- A więc?... - spytał Leon.

- A więc?... - odparła.

Myślał właśnie, jak nawiązać przerwany dialog, gdy Emma rzekła:

- Jak się to stało, że nigdy dotąd nie wyjawiał mi nikt podobnych uczuć?

Pisarz zakrzyknął, że trudno zrozumieć wzniosie dusze. Co do niego, to pokochał ją od pierwszego wejrzenia i rozpaczkał myśląc o szczęściu, które mogło być ich udziałem, gdyby łaskawszy los pozwolił im być spotkać się wcześniej i związać węzłem nierozzerwalnym.

- Myślałam o tym niekiedy - podjęła.

- Cóż za piękny sen! - szepnął Leon. I bawiąc się delikatnie błękitną frędzlą jej długiej, białej szarfy dodał:

- Któż nam broni rozpocząć na nowo?...

- Nie, drogi przyjacielu - odparła. - Jestem za stara... Pan jesteś zbyt młody... zapomnij o mnie! Pokochają cię inne... i ty je pokochasz.

- Ale nie tak jak panią! - wykrzyknął.

- Ach, cóż za dziecko z pana! Bądźże rozsądny! Żądani tego!

Jęła mu przedstawiać niepodobieństwo ich miłości i dowodzić, że powinni poprzestać, jak niegdyś, na braterskiej przyjaźni.

Czy mówiła to w dobrej wierze? Zapewne sama nie wiedziała, pochłonięta czarem zniewalającego ją uczucia i potrzebą bronienia się przed nim. Wpatrując się tkliwie w młodzieńca, Emma odsuwała łagodnie nieśmiałe pieszczoty jego drżących rąk.

- Ach wybacz - rzekł cofając się, Ogarnął ją wówczas niejasny lęk przed tą nieśmiałością- groźniejszą dla niej od zuchwalstwa Rudolfa, gdy zbliżał się z otwartymi ramionami. Nigdy żaden mężczyzna nie wydał jej się tak piękny. Cała jego postać tchnęła uroczą naiwnością. Spuszczał długie, cienkie, wygięte rzęsy, a policzki jego płonęły - myślała - pożądaniem jej osoby; doświadczała nieprzepartej pokusy, by dotknąć ich ustami.

Odwróciła się wówczas, jakby chcąc spojrzeć na zegar, i rzekła:

- Mój Boże, jak już późno! Gawędzimy tak długo! Zrozumiał aluzję i sięgnął po kapelusz.

- Zapomniałam, nawet o teatrze! - dodała. - A ten pocziwy Karol specjalnie po to mnie zostawił. Miałam się wybrać z państwem Lormeaux z ulicy Grand-Pont.

I okazja była stracona, bo wyjeżdżała już nazajutrz.

- Doprawdy? - spytał Leon.

- Tak.

- Muszę jednak zobaczyć panią jeszcze - odparł - miałem jej powiedzieć...

- Cóż takiego?

- Pewną rzecz... ważną... bardzo ważną. Ale nie! Pani nie pojedzie, to niemożliwe! Gdybyś wiedziała... Wysłuchaj mnie, pani... Więc nie rozumiałaś? Nie odgadłaś?

- A jednak umie pan przemawiać - rzekła Em-ma.

- Ach! To żarty, ale dość tego! Zmiłuj się, pani! Ja cię muszę zobaczyć... raz tylko... raz jeden.

- Dobrze więc!...

Umilkła i jakby wycofując się:

- O, nie tutaj - dodała.

- Gdzie zechcesz, pani.

- Może by... - zdawała się namyślać i nagle rzuciła krótko: - Jutro o jedenastej w katedrze.

- Będę tam - wykrzyknął ujmując jej ręce, które wyzwoliła z uścisku.

Stał tuż za nią, a gdy Emma spuściła głowę, pochylił się i wycisnął na jej karku długi pocałunek.

- Ależ pan jest szalony, szalony! - wołała śmiejąc się dźwięcznie pod gradem pocałunków.

Wówczas, wysuwając głowę przez jej ramię, zdawał się szukać zachęty w jej oczach, lecz spadło nań spojrzenie lodowate, pełne majestatycznej powagi.

Leon cofnął się o trzy kroki i przystanął na progu. Po czym wyszeptał drżącym głosem:

- Do jutra.

Odpowiedziała skinieniem głowy i znikła, jak ptak, w przyległym pokoju.

Wieczorem Emma napisała do Leona nieskończenie długi list, w którym wymawiała się od wyznaczonej schadzki; wszystko było teraz skończona i dla własnego ich dobra nie powinni się już nigdy zobaczyć. Ale gdy zapieczętowała list, znalazła się w wielkim kłopotcie, bo nie знаła adresu pisarza.

"Sama mu go oddam - pomyślała. - Przyjdzie, na pewno przyjdzie."

Nazajutrz Leon podśpiewując w otwartym oknie wyczyścił sam trzewiki, powlekając je paroma warstwami czernidła; włożył białe spodnie, cienkie skarpetki, zielony fraczek, wylał cały zapas wonności na chusteczkę, potem kazał się ufryzować i znów rozrzucił włosy, by nadać im swobodnego wdzięku.

"Jeszcze za wcześnie" - pomyślał spoglądając na kukułkę balwierza, która wskazywała dziewczątą.

Przejrzał stary żurnal mód, wyszedł, zapalił cygaro, przemierzył trzy ulice, pomyślał, że już czas, i rażno skierował się na plac przed kościołem Najświętszej Panny.

Był piękny letni poranek. Na wystawach złotników lśniły srebra, a promienie słońca padając ukośnie na katedrę migotały na zrębach szarych kamieni. Wokół wieżyczek dzwonnicy, ozdobionych trójliściami, gromada ptaków zataczała kręgi na błękitnym niebie. Plac rozbrzmiewał od nawoływań i pachniał kwiatami rosnącymi wzdłuż chodników; były tam róże, jaśminy, goździki, narcyze i tuberozy, poprzegradzane w nierównych odstępach zwilżoną zielenią, kocim zieleń i mokrzyką dla ptaków; na środku szemrała fontanna, a pod wielkimi parasolami, wśród piramid melonów, przekupki z gołą głową okręcały bibułką bukietki fiołków.

Młodzieniec wziął jeden z nich. Po raz pierwszy w życiu kupił kwiaty dla kobiety. I gdy upajał się ich wonią, duma wzbierała mu w piersi, jakby ów hołd, który składał innej osobie, przynosił się i na niego.

Obawiając się jednak, że ktoś mógłby go dostrzec, śmiałym krokiem wszedł do kościoła.

Szwajcar stał właśnie w lewym portyku, pod Tańczącą Marianną, z piórem na kapeluszu, rapierem u boku i laską w ręku bardziej majestatyczny od kardynała i połyskujący jak cyborium.

Podszedł do Leona i spytał z tym dobrotliwym, przymilnym uśmiechem, z jakim duchowne o.soby zwykły przemawiać do dzieci:

- Pan zapewne nietutejszy, prawda? Życzy pan obejrzeć zabytki katedry?

- Nie - odparł tamten.

Obszedł z początku boczne nawy. Potem wyrzy na plac. Emma nie nadchodziła. Zawrócił aż do prezbiterium.

Główna nawa wraz z początkiem ostrołuków i częścią witraży przeglądała się w kropielnicach pełnych wody. Barwne odbicie, łamiąc się na krawędzi marmuru, słało się dalej na kamiennych płytach jaskrawym kobiercem. Blask z ulicy wpadał do kościoła trzema ogromnymi smugami przez trzy otwarte portyki. Czasem w głębi przesuwiał się zakryty przykłąkając z ukosa przed ołtarzem, jak człowiek pobożny, któremu się jednak bardzo spieszy. Kryształowe żyrandole wisały nieruchomo.

Płonęła srebrna lampka, a z bocznych naw, pograżonych w cieniu, wymykały się niekiedy westchnienia wraz ze szczękiem zapadającej kraty, powtórzonym przez echo pod wysokimi sklepieniami.

Leon poważnym krokiem przechadzał się wzdłuż ścian. Nigdy życie nie wydawało mu się tak piękne. Miała tu przyjść niebawem, urocza, niespokojna, oglądając się, czy ktoś jej nie śledzi - w sukni z falbaną, ze złotym lorgnon, w cienkich pantofelkach, pełna wykwintu, którego dotąd nie zakosztował, i niewysłowionego czaru cnoty bliskiej upadku. Kościół miał ją przygarnąć niby olbrzymi buduar; sklepienia zdawały się schylać, by ukryć w cieniu jej wyznania miłosne, witraże rozgorzały, by oświecić jej lica, a kadzidła miały zapłonąć, by ukazała się jak anioł wśród dymów wonności.

Nie nadchodziła jednak. Usiadł na krześle i oczy i jego spoczęły na błękitnym witrażu, gdzie dostrzec było można przewoźników niosących kosze, Wpatrywał się weń pilnie, liczył rybie łuski, guziki przy kaftanach, a myśl jego błądziła tymczasem w poszukiwaniu Emmy.

Szwajcar na uboczu oburzał się w duchu na tego intruza, który sam pozwalał sobie podziwiać katedrę. Zdawało mu się, że zachowuje się on haniebnie, okrada go niejako, popełnia niemal świętokradztwo.

Wtem na kamiennych płytach zaszeleściły jedwabie... rondo kapelusza... czarna mantyla... Tak, to ona! Leon wstał i wybiegł na jej spotka> nie.

Emma była blada, szła szybko.

- Czytaj pan - rzekła podając mu jakąś kartkę - O! nie! - i cofnęła rękę nagłym ruchem, by umknąć do kaplicy Najświętszej Panny, gdzie po-, chyliła się nad klęcznikiem i jęła się modlić.

Ta nabożna fantazja rozgniewała młodzieńca, potem wszakże doznał pewnej przyjemności widząc ją tak podczas schadzki pograżoną w modlitwie, jak andaluzyjską markizę, lecz znudziło go to wreszcie, gdyż trwało zbyt długo.

Emma modliła się lub raczej usiłowała się modlić w nadziei, że niebo natchnie ją nagle jakąś decyzją, i wzywając pomocy boskiej, poiła oczy wspaniałością ołtarza, wdychała woń białych lewkonii rozkwitających w dużych wazonach i wsłuchiwała się w ciszę kościelną, która wzmagała jeszcze zamęt panujący w jej sercu.

Wstała i zamierzali już wyjść, gdy szwajcar żywo zbliżył się do niej mówiąc:

- Pani zapewne nietutejsza? Życzy sobie pani ! zwiedzić zabytki katedry?

- O! nie - wykrzyknął pisarz.

- A czemu by nie? - odparła.

Gdyż zachwiana w swej cnocie, czepiała się kurczowo Najświętszej Panny, posągów, grobowców, słowem - wszystkiego.

Wówczas, by zwiedzać „po porządku”, szwajcar zaprowadził ich do wejścia od strony placu, gdzie n?, kamiennych płytach pokazał laską wielkie koło bez napisu i ozdób, wyłożone czarnym marmurem.

- Oto - rzekł uroczyście - powierzchnia pięknego dzwonu z Amboise. Ważył on czterdzieści tysięcy funtów. W całej Europie nie było mu równego. Rzemieślnik, który go odlał, umarł z radości...

- Chodźmy - rzekł Leon.

Pocziwina ruszył dalej; po czym, przystanąwszy przed kaplicą Najświętszej Panny, wyciągnął ręce wymownym gestem i dumniejszy niż wieśniak pokazujący swe drzewa owocowe, rzekł:

- Ta zwykła płyta przykrywa zwłoki Piotra de Breze, pana na Varenne i Brissac, marszałka Poitou i namiestnika Normandii, który poległ w bitwie pod Moithery 16 lipca 1465 roku.

Leon dygotał gryząc wargi, - A ten rycerz z prawej strony, na wspinającym się rumaku, cały okuty w żelazo, to jego wnuk, Ludwik de Breze, pan na Breval i Montchauvet, hrabia de Maulevrier, baron de Mauny, szambelan królewski, kawaler Zakonu i również namiestnik Normandii, zmarł 23 lipca 1531 roku, pewnej niedzieli, jak to głosi napis; a ów mąż pod nim, zstępujący do grobu, przedstawia tego samego człowieka. Nie sposób, nieprawdaż, dać lepszego wyobrażenia nicości?

Pani Bovary sięgnęła po Iorgnon. Leon, nieruchomy, patrzył na nią, nie próbując już nawet wtrącić słówka czy zrobić jakiegoś gestu, tak był zniechęcony tym spiskiem gadulstwa i obojętności. Niestrudzony przewodnik ciągnął dalej:

- Ta płacząca kobieta na klęczkach przy grobie, to jego małżonka, Diana de Poitiers, hrabina de Eroze, księżna de Valentinois, urodzona w 1-1:99, zmarła w 1506, a ta na lewo z dzieckiem na ręku, to Najświętsza Panna. Teraz raczcie się, państwo, odwrócić w tę stronę: oto grobowce książąt d'Amboise. Obaj byli kardynałami i arcybiskupami Rouen. Ten był ministrem Ludwika XII. Wiele dobrego wyświadczył katedrze. W testamencie zapisał trzydzieści tysięcy dukatów ubogim.

Nie przerywając swych objaśnień wpełznął ich do kapliczki całej zastawionej balustradami i odsunawszy kilka z nich, odsłonił kamienną bryłę, która mogła uchodzić za nieudolnie wyrzeźbiony posąg.

- Zdobitł on niegdyś grobowiec Ryszarda Lwie Serce, króla Anglii i księcia Normandii - rzekł z głębokim westchnieniem. - To kalwiniści, panie, doprowadzili go do tego stanu. Przez złośliwość zakopali go pod stolcem jego eksceleńcji. A oto drzwi, którymi jego eksceleńcja udaje się do swych komnat. Teraz przejdziemy do witraży Gargouille.

Lecz Leon dobył spiesznie srebrną monetę i ujął Emmę pod ramię. Szwajcar osłupiał nie pojmując tej przedwczesnej hojności, gdy zwiedzającemu pozostawało jeszcze tyle rzeczy do obejrzenia. Zawołał więc:

- Panie, a wieża kościelna! Wieża!  
- Dziękuję - rzucił Leon.  
- Źle pan robi, ma ona czterysta czterdzieści stóp wysokości, a dziewięć tylko mniej od wielkiej piramidy w Egipcie. Cały jej szczyt jest z lanego żelaza i...

Leon umykał, gdyż zdawało mu się, że jego miłość, która blisko od dwóch godzin znieruchomiła w kościele, jak kamienna płyta, ulotni się teraz smugą dymu przez ten rodzaj uciętej rury, ażurowego komina, który tak dziwacznie wznosi się nad katedrą, niby szalony wybryk jakiegoś krotochwilnego kotlarza.

- Dokądże idziemy? - spytała. Nic nie odpowiedziawszy szedł dalej szybkim krokiem i już pani Bovary maczała palce w święconej wodzie, gdy usłyszeli za sobą przyspieszony oddech i miarowe stukanie laski. Leon odwrócił się.

- Proszę pana.  
- Co takiego?  
Poznał szwajcara, który dźwigał pod pachą i podtrzymywał na brzuchu ze dwadzieścia dużych, oprawnych albumów. Były to dzieła poświęcone katedrze.  
- Głupiec - warknął Leon wybiegając z kościoła. Przed katedrą bawił się jakiś malec.

- Sprowadź mi fiakra - krzyknął pisarz. Chłopak pomknął jak strzała przez ulicę Czterech Wiatrów. Wówczas pozostali przez parę minut sam na sam, nieco zakłopotani.

- Ach! Leonie... Doprawdy... nie wiem, czy powinnam... - wdzięczyła się Emma. Potem już poważniejszym tonem:

- Czy pan wie, że to absolutnie nie wypada?  
- A czemuż to? Tak się robi w Paryżu.

To zdanie przekonało ją jak nieodparty argument, Fiakier nie zjawiał się jednak i Leon bał się, by znów nie weszła do kościoła. Wreszcie fiakier nadjechał.

- Niechże państwo wyjdą przynajmniej przez portal północny - wołał stojący za nimi w progu szwajcar. - Zobaczycie Zmartwychwstanie, Sad Ostateczny, Raj, Króla Dawida i Potępionych w ogniu piekielnym.

- Dokąd pan każe jechać? - spytał woźnica.

- Dokąd chcesz - odparł Leon pomagając Emmie wsiąść do karety.

I ciężka machina ruszyła w drogę. Zjechała ulicą Mostową, potem minęła plac Sztuk Pięknych, wybrzeże Napoleona, Nowy Most i zatrzymała się przed posągiem Piotra Corneille.

- Jedź dalej! - rzucił głos ze środka. Powóz potoczył się znów i kołysał się na pochyłości ulicy La Fayette zajeci; galopem na dworzec kolei żelaznej.

- Nie, dalej, prosto! - krzyknął znów ten sam głos.

Wydostawszy się w aleje kareta sunęła wolniutko pośród wielkich wiązków. Woźnica otarł czoło, położył skórzany kapelusz między nogami i skręcił w boczną drogę, nad wodą, koło murawy.

Kareta toczyła się wzdłuż rzeki szlakiem holowniczym wysypanym żwirem, daleko w stronę Oyssel, aż za wyspy.

Lecz nagle pomknęła przez Quatremares, Sotte-yille, Grande-Chaussee, ulicę Elbeuf i przystanęła po raz trzeci przed Ogrodem Botanicznym.

- Jedźże dalej! - wykrzyknął ten sam głos, tym razem gniewniej.

Ruszyła więc znów, minęła ulicę Św. Sewera, wybrzeże Curandiers i wybrzeże Meules, przejechała powtórnie przez most, przez Pole Marsowe i poza ogrodami szpitalnymi, gdzie starcy w czarnych kaftanach przechadzają się w słońcu wzdłuż tarasu obrośniętego bluszczem. Przemierzyła bulwar Bou-vreuil, bulwar Cauchoise, całe Mont-Riboudet aż do wybrzeża Deville.

Zawróciła i rozpoczęła wówczas wędrówkę bez celu, bez określonego kierunku. Widziano ją w Sain-Pol, w Lescure, na wzgórzu Gargan, w Rouge-Mare, na placu Gaillardbois, na ulicach Maladrerie i Dinanderie, przed świętym Romanem, świętym Wiwia-nem, świętym Mamertem, świętym Nicezym, przed komorą celną. W dole, przy ulicy Małej Wieży, przed Trzema Fajkami i przed cmentarzem. Woźnica od czasu do czasu rzucał rozpaczliwe spojrzenia na karczmy. Nie pojmował owej żądzy lokomocji, która nie pozwalała tym osobnikom zatrzymać się. Niekiedy próbował przystanąć, ale wnet rozlegały się za nim gniewne okrzyki.

Ćwiczył wówczas w najlepsze obie spocone szkapę i nie bacząc na wyboje, zawadzając o to lub owo, jechał zrozpaczony płacząc nieomal ze znużenia, z pragnienia i z żałości.

A w porcie, wśród ciężkich wozów i barył, na ulicach, koło rogatek, zdumieni mieszczanie szeroko wytrzeszczali oczy, patrząc na tak niezwykły na prowincji widok: na tę ukazującą się wciąż karete o zapuszczonych firankach, zamkniętą szczelniej niż grobowiec i kołyszącą się jak okręt.

W pewnej chwili, w samo południe, daleko za miastem, gdy słońce prażyło stare, posrebrzane latarnie, spoza żółtych perkalowych firanek wysunęła się obnażona ręka i wyrzuciła kawałeczki podartego papieru, które rozpierzchły się na wietrze i sfrunęły opodal, jak białe motyle, na kwitnące pole czerwonej koniczyny.

Potem około szóstej kareta zatrzymała się w małej uliczce w dzielnicy Beauvoisine: wysiadła z niej kobieta z twarzą zasłoniętą woalką i odeszła nie odwracając głowy.

ii Przyszędłszy do oberży Pani Bovary zdziwiła się i nie widząc dyliżansu. Hivert czekał na nią pięćdziesiąt trzy minuty i wreszcie odjechał, i Nic wprawdzie nie

zrzuciła jej do wyjazdu, ale dała słowo, że wróci tego samego wieczoru. Zresztą Karol oczekiwał na nią, a w sercu jej wzbudziła się już ta nikczemna uległość, która dla wielu kobiet jest zarazem karą i haraczem za cudzołóstwo.

Szybko spakowała rzeczy, zapłaciła rachunek, wynajęła na podwórzu kabriolet i przynaglając woźnicę, obiecując mu sowite wynagrodzenie i co chwila wypytując o liczbę przejechanych kilometrów, zdołała dogonić „Jaskółkę” przy pierwszych domach Yonville.

Usiadłszy w swym kąciku zamknęła oczy i otworzyła je dopiero u stóp wzgórza; z daleka poznała Felicję, która stała na straży przed domem kowala. Hivert zatrzymał konie, a kucharka wspinając się aż do okienka rzekła tajemniczo:

- Niech pani pójdzie zaraz do państwa Homais, to bardzo pilna sprawa.

Miasteczko było ciche jak zwykle. Na rogach ulic dymiły na wietrze małe, różowe stożki, gdyż była to pora robienia konfitur i wszyscy w Yonville smażyli je tego samego dnia. Lecz przed domem aptekarza podziwiano stos daleko szerszy; tyleż górował nad innymi, ile laboratorium górować winno nad prywatną kuchnią, a potrzeby ogółu nad zachciankami jednostek.

Weszła do mieszkania. Duży fotel był przewrócony, a na podłodze między dwoma tłuczkami poniewierała się „Pochodnia Rouen”. Emma pchnęła drzwi z korytarza. Na środku kuchni, między brunatnymi dzbanami, pełnymi wydrylowanych porzeczek, cukru miątkiego i cukru w kostkach, między wagą na stole i wielkimi rondlami na ogniu, ujrzała wszystkich Homais, dużych i małych, w fartuchach sięgających aż pod brodę i z widelcami w rękę. Justyn stał ze zwieszoną głową, a aptekarz krzychał:

- Któż ci kazał iść po niego do „Kafarnaum”?

- O co chodzi? Co się stało?

- Co się stało?... - odparł aptekarz. - Robi się konfitury: smażą się, lecz mogły wykipieć, gdyż syrop był zbyt gęsty, rozkazuję więc przynieść nowy rondel. Wówczas on przez niedbalstwo, przez lenistwo, poszedł do mojej pracowni i zdjął 7. gwoźdźnia klucz od „Kafarnaum”.

Aptekarz nazywał tak komórkę na poddaszu, pełną narzędzi i produktów należących do jego fachu.

Często spędzał tam długie godziny sam, naklejając etykiety, przelewając płyny i zmieniając opakowania. Nie uważał jej za zwyczajny skład, lecz za prawdziwe sanktuarium, z którego wychodziły później na świat, sporządzone jego rękoma, wszelkiego rodzaju pigułki, czopki, mikstury i balsamy, roznoszące jego sławę po całej okolicy. Nikomu nie wolno tam było wchodzić i Homais tak poważał ten przybytek, że sam go zamiatał. Jeśli więc apteka, stojąca otworem dla każdego, była miejscem, gdzie rozpościerała się jego pycha, „Kafarnaum” było schronieniem, gdzie zamykając się egoistycznie, Homais rozkochał się wykonywaniem ulubionych zajęć. Toteż roztargnienie Justyna wydawało mu się potworym zuchwalstwem i bardziej czerwony jak porzeczką powtarzał:

- Tak, od „Kafarnaum”! Klucz, który zamyka kwasy i żrące alkalia. Wziął zapasowe naczynie! naczynie z pokrywą, którego może nigdy nie użyję! Wszystko ma swoje znaczenie w misternych operacjach naszej sztuki. Cóż, u diabła! Trzeba umieć zachować różnicę i nie używać do celów niemal kuchennych tego, co przeznaczone do celów farmaceutycznych! To tak, jakby się pulardę krajało skalpelem, jak gdyby urzędnik...

- Ależ opanuj się! - mówiła pani Homais. Atalia zaś ciągnąc go za surdut:

- Tato - wołała. - Tato!

' - Nie, nie, dajcie mi spokój, dajcie spokój! Cóż, u diabła, lepiej zostać kupcem korzennym, słowo daję. Dalejże, leć, nie szanuj niczego, tłuc?, Lun, wypuszczaj pijawki, spal śláz, marynuj korniszony w aptecznym słoju. Podrzyj bandaże!

- Miał pan jednak... - rzekła Emma.

- Tak, za chwilę. Czy wiesz, na coś się narażał? Nie dostrzegłeś nic w lewym rogu na trzeciej półce? Mówże! Odpowiadaj! Wykrztuś jakie słowo!

- Ja... nie wiem... - wyjąkał chłopak.

- Ach! Ty nie wiesz, ale ja, ja wiem! Widziałeś butelkę z niebieskiego szkła zapieczętowaną żółtym woskiem, zawierającą biały proszek, na której własnoręcznie napisałem: „Truczizna”. A wiesz, co w niej było? Arszenik! Mogłeś tego dotknąć! Wziąć naczynie, które stało obok!

- Obok! - wykrzyknęła pani Homais składając ręce - obok arszeniku! Mogłeś nas wszystkich zatruć!

Dzieci zaczęły wydawać przeraźliwe okrzyki, jakby okrutne bóle targały już ich wnętrzności.

- Lub też otruć jakiegoś chorego! - ciągnął aptekarz. - Chciałeś więc, bym się znalazł na ławie oskarżonych? Przed sądem przysięgłych? Zawleczony na szafot? Czyż nie wiesz, jakich ostrożności przestrzegam w moich manipulacjach, choć diabelną mam w nich wprawę? Mnie samego czasem przerażenie ogarnia, gdy pomyślę o odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży. Gdyż rząd nas prześladuje, a nedorzeczne prawodawstwo wisi nad naszą głową, niby najprawdziwszy miecz Damoklesa.

Emma nie myślała już pytać, po co ją wezwano.

Aptekarz zaś ciągnął zadyszany:

- Oto, jak się odwdzięczasz za wyświadczone ci dobrodziejstwa! Jak wynagradzasz moją ojcowską opiekę! A cóż by się z tobą stało beze mnie! Któż cię żywi, kształci, odziewa? Kto ci daje możność zajęcia kiedyś zaszczytnego stanowiska w społeczeństwie? Ale przedtem dobrze się trzeba napocić i jak powiadają, urobić ręce aż po łokcie. Fabncando fit faber, age quod agis. Cytował już łacinę, tak był wzburzony. Byłby cytował i chińskie, i grenlandzkie sentencje, gdyby znał te języki, gdyż ogarnęło go jedno z tych przesileń. w których cała dusza ukazuje niejasno wszystko, co się w niej zawiera, jak ocean, gdy wśród burz otwiera swe łono, od przybrzeżnych wodorostów aż po piaski swych otchłani.

Podjął więc znów:

- Zaczynam okrutnie żałować, że się tobą zajął. Lepiej byłbym zrobił, dając ci zgnić w nędzy i brudzie, w którym się urodziłeś. Z ciebie nigdy nic nie wyrośnie! W sam raz byś cię pasać! Nie masz żadnych zdolności do nauk ścisłych! Ledwie etykietkę potrafisz przylepić! A żyjesz tu sobie jak król, we wszystko opływasz, wszystkiego masz po grdykę! Emma zwróciła się do pani Homais:

- Sprowadzono mię tutaj...

- Ach! Mój Boże! - przerwała jej poczciwa kobiecina strapiionym głosem. - Jakże to pani powiem?... Stało się nieszczęście.

Nie dokończyła. Aptekarz grzmiął dalej:

- Opróżnij go! Wyszoruj! Odnieś na miejsce, śpiesz się!

I tak potrząsał Justynom za kołnierz bluzy, aż z kieszeni wypadła książka.

Chłopak schylił się, ale Homais uprzedził go byстрыm ruchem i podniósłszy książkę zaczął się w nią wpatrywać wytrzeszczonymi oczyma, z otwartymi ustami.

- Miłość... małżeńska! - rzekł oddzielając dobitnie te dwa wyrazy. - A! Pięknie! Bardzo pięknie! Wyśmienicie! O! i ryciny! Ach! Tego już za wiele!

Pani Homais zbliżyła się.



- Nie, nie tykaj tego!

Dzieci chciały zobaczyć obrazki.

- Wyjdźcie stąd! - krzyknął rozkazująco.

Wyszły.

Przechadzał się z początku wzdłuż i wszerz wielkimi krokami, z otwartą książką w ręku, tocząc błędnie oczyma, zadyszany, obrzmiały, bliski apopleksji. Potem podszedł wprost do ucznia, stanął tuż przed nim i skrzyżowawszy ramiona rzekł:

- Ależ ty jesteś do gruntu zepsuty, nieszczęsny malcze!... Strzeż się, jesteś na pochyłej drodze!... Nie pomyślałeś więc o tym, że ta bezecna książka może wpaść w ręce moich dzieci? Wzniecić iskrę w ich mózgach, skazić czystość Atalii, zgorszyć Napoleona. On już jest mężczyzną! Czy przynajmniej jesteś pewien, że tego nie przeczytali? Czy możesz mi zaręczyć?...

- Ależ, panie - odezwała się Emma. - miał mi pan powiedzieć...

- Tak, to prawda... Teść pani umarł.

W istocie, imć pan Bovary zmarł był dwa dni temu, rażony nagle atakiem apopleksji, w chwili gdy wstawał od obiadu. W nadmiernej trosce o wrażliwość Emmy Karol poprosił pana Homais, by ów zechciał ostrożnie oznajmić jej tę straszną nowinę.

Aptekarz wymyślił odpowiednie zdanie, zaokrąglił je, wygładził, opracował rytmicznie; było to arcydzieło przezorności, umiejętnego stopniowania, zręcznych zwrotów i subtelnych uczuć, ale złość wzięła górę nad retoryką.

Emma nie pytając już o szczegóły wyszła z apteki, gdyż pan Homais podjął znów gniewne tyrady. Uspokajał się wszakże po trochu i teraz zrzędził już ojcowskim tonem, wachlując się jednocześnie swą czapeczką.

- Bo to nie to, żebym całkowicie potępiał tę pracę. Autor jest lekarzem. Są tam z punktu widzenia naukowego pewne rzeczy, o których dobrze jest, aby mężczyzna wiedział, a nawet, ośmielałam się twierdzić, o których wiedzieć powinien. Ale później, później! Poczekaj przynajmniej, aż dojrzejesz, aż się sam staniesz mężczyzną.

Na stuk kołatki Karol, który oczekiwał Emmy, podszedł do niej otwierając ramiona i ze łzami w oczach wyszeptał:

- Ach! moja kochana!

I pochylił się łagodnie, by ją pocałować.

Lecz pod dotknięciem jego warg ogarnęło ją wspomnienie tamtego, drgnęła i przesunęła ręką po twarzy.

Odpowiedziała jednak:

- Tak, wiem... wiem...

Pokazała jej list, w którym matka bez obłudnych żali, opowiadała o wypadku. Wspomniła tylko, że mąż; nie otrzymał pociech religijnych, zmarł bowiem w Doudeville, na ulicy, na progu kawiarni, po uczcie patriotycznej z byłymi wojskowymi.

Emma oddała list, potem przy kolacji uważała za odpowiednie certować się trochę, ale kiedy mąż zaczął ją namawiać, ochoczo zabrała się do jedzenia, podczas gdy Karol siedział naprzeciwko niej, bez ruchu, zgnębiony.

Niekiedy podnosił głowę i obejmował ją długim spojrzeniem pełnym rozpacz.

Raz westchnął:

- Tak bym chciał zobaczyć go jeszcze! Milczała. Wreszcie czując, że wypada coś powiedzieć:

- Ile lat miał twój ojciec? - spytała.

- Pięćdziesiąt osiem.

- A...

I to było wszystko.

Po kwadransie dodał:

- A moja biedna matka?... Cóż ona teraz pocznie?

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

Karol biorąc jej małomówność za smutek starał się milczeć, by nie pogłębiać jej cierpienia, które go roztkliwiało. Wreszcie, otrząsając własny ból, zapytał:

- Dobrze bawiłaś się wczoraj?

- Tak.

Gdy zdjęto obrus, Bovary nie wstał od stołu, Emma również; w miarę jak mu się przypatrywała, monotonia tego widoku wyganiała z jej serca wszelkie współczucie. Wydawał się słaby, niedołączny, prawdziwe zero, człowiek bez żadnej wartości. Jak się go pozbyć? Co za nudny wieczór. Ogarnęło ją jakieś odrętwienie, niby opary opium.

W sieni rozległ się na deskach suchy stuk kija. To Hipolit przyniósł walizki pani.

By je postawić, z trudem zatoczył półkole drewnianym szczudłem.

- Już nawet nie myśli o tym! - powiedziała sobie, patrząc na nieboraka, którego ruda czupryna ociekała potem.

Bovary szukał drobnych na dnie sakiewki, zdając się nie rozumieć, jak upokarzająca jest dla niego już sama obecność tego człowieka, stojącego tu jak uosobiony wyrzut jego nieuleczalnej głupoty.

- O, jaki masz ładny bukiet, rzekł dostrzegając na kominku fiołki Leona.

- Tak - odparła obojętnie - kupiłam go... u jakiejś żebraczki.

Karol wziął fiołki i chłodząc nimi zaczerwienione od łez powieki, wachał je delikatnie. Szybko wyjęła mu bukiet z ręki i wstawiła do szklanki z wodą.

Nazajutrz przyjechała pani Bovary-matka. Oboje z synem wylali dużo łez. Emma znikła pod pozorem zajęć domowych.

Następnego dnia trzeba się było zająć przygotowaniem żałobnych strojów. Zasiadły więc z pudełkami do robót nad wodą, w altance.

Karol myślał o ojcu i dziwił się, że znajduje w sobie tak głębokie przywiązanie do tego człowieka, gdyż sądził dotąd, że żywi dla niego uczucia bardzo przeciętne.

Pani Bovary-matka myślała o swym mężu. Najgorsze dni z dawnych czasów wydawały się jej godnymi zazdrości. Żal, wynikający z tak długiego przyzwyczajenia, górował teraz nad wszystkim i gdy siedziała tak schylona nad igłą, gruba łza staczała się jej niekiedy wzdłuż nosa i zatrzymywała przez chwilę na jego czubku.

Emma myślała, że zaledwie czterdzieści osiem godzin temu byli razem, w upojeniu, nie mogąc się dość sobie napatrzeć. Usiłowała odtworzyć najdrobniejsze szczegóły owego dnia, który minął. Ale przeszkadzała jej obecność świekry i męża. Pragnęła nic nie widzieć, nic nie słyszeć, by nie mieć miłosnego skupienia, które, wbrew jej wysiłkom, rozpraszało się jednak pod naporem doznań zewnętrznych. w usposobieniu' synowej uczuciom religijnym, które rozwinęły się w niej podczas choroby.

Lecz skoro tylko świekra odjechała, Emma olśniła pana Bovary swym zmysłem praktycznym. Należało zebrać informacje, sprawdzić hipoteki, przekonać się, czy chodzi o licytację, czy o likwidację.

Na chybił trafił cytowała fachowe terminy, używała wielkich słów, jak ład w interesach, przyszłość, przewidywanie i nieustannie wyolbrzymiała kłopoty spadkowe, aż wreszcie pewnego dnia pokazała mu wzór generalnego pełnomocnictwa do zajmowania się jego interesami, zaciągania wszelkich pożyczek, podpisywania i żyrowania weksli, wypłacania wszelkich sum itd.! Skorzystała z nauk Lheureux.

Karol spytał naiwnie, skąd pochodzi to pismo.

- Od pana Guillaumin.

I z najzimniejszą w świecie krwią dodała:

- Nie bardzo mu ufam. Notariusze mają tak złą opinię! Trzeba by się może poradzić... Znamy tylko... Ach! nie, nikogo.

- Chyba że Leon zechciałby... - odparł namyślając się Karol.

Ale listownie trudno się jest porozumieć. zaproponowała wówczas, że pojedzie. Karol nie chciał jej trudzić. Nalegała. Prześcigali się nawzajem w uprzejmościach. Wreszcie wykrzyknęła ze sztucznie nadąsaną minką:

- Pozwól, tak cię proszę!

- Jakaś ty dobra - rzekł całując ją w czoło, Nazajutrz wsiadła do „Jaskółki”, by zasięgnąć w Rouen rady pana Leona; zabawiła tam trzy dni.

m Były to trzy dni pełne, pyszne, wspaniałe, prawdziwy miesiąc miodowy. Skryli się w porcie, w Hotelu Bulońskim, i spędzali czas przy zamkniętych drzwiach i zapuszczonych storach, wśród kwiatów ustawionych na ziemi i mrożonych napoi, które im przynoszono już od samego rana.

Gdy nadchodził wieczór, brali krytą barękę i płynęli na wysepkę, by zjeść tam kolację.

O tej godzinie rozlegają się klepadła robotników uszczelniających boki okrętów. Dym palonej smoły wymyka się spośród drzew, a na rzece widnieją szerokie plamy tłuszczu i falują nierówno w purpurowym blasku słońca, niby medaliony z florenckiego brązu, unoszące się na wodzie.

Płynęli między przycumowanymi barkami, których długie, skośne liny opierały się lekko o wierzch łodzi.

Odgłosy miasta oddalały się niepostrzeżenie: turkot wozów, wrzawa, ujadanie psów na pokładach statków. Rozwiązywała wstążki kapelusza i lądowali na swej wysepce.

Zasiadali w niskiej izbie szynku, przy którego drzwiach wisiały czarne sieci. Jedli smażoną szynkę, bitą śmietaną i wiśnie. Kładli się na trawie, całowali się na ustroniu, w cieniu topoli. I pragnęli, jak para Robinsonów, żyć wiecznie w tym zakątku, który w błogim upojeniu wydawał im się najpiękniejszy na ziemi. Nie po raz pierwszy widzieli drzewa, błękit nieba, zieleń murawy. Nie po raz pierwszy słyszeli szmer wody i szelest liści, lecz zapewne nie podziwiali tego nigdy, jak gdyby przyroda nie istniała przedtem lub jakby stała się piękna wówczas dopiero, gdy zaspokoili swe żądze.

Z nadejściem nocy odpływali. Łódź sunęła wzdłuż brzegów wyseppek. Siedzieli w głębi, milcząc, ukryci w cieniu. Kwadratowe wiosła podzwaniały o żelazne okucia, w ciszy dźwięk ów rozlegał się jak tykanie metronomu, a z tyłu woda pluskając o burty szemrała nieustannie.

Gdy ukazał się księżyc, nie omieszkali wygłosić frazesów o poezji i melancholii miesiąca. Emma zanuciła nawet:

Czy pamiętasz ów wieczór? Płynęliśmy sami...

Słaby i melodyjny jej głos gubił się na fali, wiatr unosił trele, a Leon łowił je uchem jak szelest łopocących skrzydeł.

Stała naprzeciw niego wsparta o przepierzenie kajuty, do której wpadał przez uchyloną okiennicę blask miesiąca. Czarna suknia o draperiach rozszerzających się ku dołowi czyniła ją smuklejszą i wyższą. Z podniesioną głową, ze złożonymi rękoma patrzyła w niebo. Chwilami znikwała w cieniu przystaniającej ją topoli, a potem ukazywała się nagle jak zjawą w świetle księżyca. Leon na podłodze tuż przy niej napotkał ręką jedwabną pasową wstążkę.

Przewoźnik przyjrzał się jej i powiedział:

- A! to pewnie jednej z pań, co je woziłem onegdaj. Zjechało tu takie rozbawione towarzystwo, z szampanem, z ciastkami, z całym kramem. Były i panie, i panowie. A jeden wysoki, przystojny brunet z wąsikami, ten ci dopiero był ucieszny. Wciąż go prosili: "Opowiedz coś, Adolfie... Dodolfie...", tak go, zdaje się, nazywali.

Drgnęła.

- Dolega ci coś? - spytał Leon zbliżając się do niej.

- O nie... To pewno chłód nocy mnie przejął.

- Widzi mi się, że i on też musiał mieć szczęście do kobiet - dodał spokojnie przewoźnik w przekonaniu, że mówi komplement Leonowi.

Potem splunąwszy w garść, sięgnął znów po wioślą.

Musieli się jednak rozstać! Pożegnanie było smutne. Umówili się, że Leon będzie posyłał listy na ręce starej Rollet. Emma udzieliła mu tak dokładnych wskazówek dotyczących podwójnej koperty, aż nie mógł się nadziwić jej przebiegłości.

- Więc twierdzisz, że wszystko załatwione? - spytała w ostatnim pocałunku.

- Ależ oczywiście.

"Ciekaw jednak jestem - pomyślał potem Leon, wracając sam przez ulicę - czemu jej tek zależy na tej plenipotencji?"

iv Niebawem Leon zaczął traktować kolegów z wyższością, unikał ich towarzystwa i zaniedbywał zupełnie praktykę.

Czekał na jej listy, odczytywał je, odpisywał na nie. Przywoływał ją całą siłą pożądania i wspomnień. Nieobecność jej, zamiast złagodzić to pragnienie, wzmagala je tak bardzo, że pewnej soboty wymknął się rano z kancelarii. Gdy ze szczytu wzgórza dostrzegł w dolinie dzwonnice kościoła z blaszaną chorągiewką, obracającą się na wietrze, doznał tak rozkosznego uczucia triumfującej próżności, pomieszanej z roztkliwieniem nad sobą, uczucia, którego doświadczać muszą milionerzy odwiedzający swą wioskę rodzinną.

Zaczął krążyć wokół jej domu. W kuchni było jasno. Czatował na jej cień na firance. Ale nic się nie ukazało.

Stara Lefrancois na jego widok jęła wydawać głośne okrzyki, twierdziła, że "wyrósł i zeszczupłał", zaś Artemiza, przeciwnie, uważała, że "zmeźniał i opalił się".

Zjadł kolację, jak niegdyś, w małej salce, lecz sam, bez poborcy, gdyż Binet znieczepliwiony wyczekiwaniem na "Jaskółkę" przesunął raz na zawsze czas posiłku na wcześniejszą godzinę. Zasiadał teraz do stołu punktualnie o piątej, a mimo to wyrzekał często, że "stary gruchot" się spóźnia.

Leon zdecydował się wreszcie i zastukał do drzwi lekarza. Pani była w swoim pokoju i zeszła dopiero po kwadransie. Pan zdawał się być uszczęśliwiony jego odwiedzinami, ale nie ruszył się z domu przez cały wieczór ani przez dzień następnny.

Zobaczyli się sam na sam późnym wieczorem w uliczce za ogrodem, w uliczce, jak z tamtym. Była burza, rozmawiali pod parasolką przy świetle błyskawic.

Rozłąka stawała się dla nich nie do zniesienia.

- Lepiej umrzeć - mówiła Emma.

Zwijąta się z bólu, płacząc w jego ramionach.

- Bądź zdrow... Bądź zdrow... Kiedy cię znów zobaczę?

Rozstali się i powrócili, by ucałować się raz jeszcze. Wówczas to Emma przyrzekła mu, że znajdzie jakiś sposób, jakąś stałą okazję do swobodnych z nim. spotkań przynajmniej raz w tygodniu. Nie wątpiła, że się jej to uda. Zresztą była w ogóle dobrej myśli. Miała dostać pieniądze.

Toteż kupiła do swego pokoju dwie żółte kotary w szerokie pasy, które pan Lheureux zachwalał jako bardzo tanie, i marzyła o kobiercu. Lheureux, zapewniając, "że to nie taki ciężki orzech do zgryzienia", podjął się uprzejmie dostarczyć go...

Nie mogła się już obejść bez jego usług. Posyłała po niego dwadzieścia razy na dzień, a on, porzucając swe zajęcia, zjawiał się wnet bez szemrania.

Nie pojmowano też, dlaczego stara Rollet jada u niej teraz co dzień obiady i nawet niekiedy odwiedza ją na osobności.

W owym czasie, to jest z początkiem zimy, ogarnął ją ogromny zapał do muzyki.

Pewnego wieczoru, gdy Karol słuchał, jak gra, cztery razy z rzędu rozpoczynała ten sam utwór i niecierpliwiła się coraz bardziej, podczas gdy on, nie dostrzegając żadnej różnicy, wołał:

- Brawo... świetnie... Nie irytuj się! Graj dalej!

- Ach, gdzie tam, gram okropnie, palce mi ze-sztywniały. Nazajutrz poprosił, by mu znów coś zagrała.

- Dobrze, jeśli ci to sprawia przyjemność.

Lecz Karol przyznał, że istotnie wyszła z wprawy. Opuszczała całe takty, fałszowała. W pewnej chwili przerwała raptownie:

- O nie, dość tego. Powinna bym brać lekcje... Przygryzła wargi i dodała:

- Ale dwadzieścia franków za godzinę, to zbyt drogo.

- Tak, rzeczywiście... trochę drogo - rzekł Karol, śmiejąc się głupowato. - Wydaje mi się jednak, że można by taniej. Zdarzają się artyści bez nazwiska, co więcej są warci od najślawniejszych.

- Poszukaj ich - odparła.

Wróciwszy nazajutrz do domu Karol obrzucił ją filuternym spojrzeniem, a wreszcie nie wytrzymał i rzekł:

- Jakaś ty czasem uparta! Byłem dziś w Barfeucheres i wiesz, co mi powiedziała pani Liegeard? Ze jej trzy córki, które są u nazaretanek, biorą lekcje po pół franka i to u renomowanej nauczycielki!

Emma wzruszyła ramionami i nie otwierała już instrumentu.

Lecz gdy przechodziła koło niego (jeśli pan Bovary był w pobliżu), wzdychała:

- Ach! Mój biedny fortepian!

A gdy ją odwiedzano, nigdy nie omieszkała poinformować, że porzuciła muzykę i nie może do niej powrócić z powodów od siebie niezależnych. Wyrażano jej wówczas współczucie. Jaka szkoda! Taki talent! Mówiono nawet o tym panu Bovary. Zawstydzano go, a najbardziej aptekarz:

- Źle pan robi, nigdy nie należy marnować darów natury. Zresztą zważ, drogi przyjacielu, że zachęcając panią do dalszej pracy, oszczędzisz potem na edukacji muzycznej swego dziecka. Co do mnie, to uważam, że matki same winny kształcić swe dzieci. Myśl tę rzucił Rousseau, jest jeszcze może zbyt nowa, ale w końcu zwycięży, pewien tego jestem, jak karmienie piersią i szczepienia.

Karol wrócił więc raz jeszcze do sprawy fortepianu. Emma odpowiedziała cierpko, że najlepiej sprzedać go. Wyzbyć się tego poczciwego fortepianu, dzięki któremu jego próżność zaznała tylu chwil słodkiej satysfakcji, było dla Karola jakby nieuchwytnym samobójstwem jakiejś części jestestwa żony.

- Gdybyś chciała - powiedział - wziąć od czasu do czasu lekcję, to by nas ostatecznie nie zrujnowało.

- Tylko regularne lekcje mogą przynieść korzyść - odparła.

Oto w jaki sposób udało się jej uzyskać od męża pozwolenie, by co tydzień jeździć do miasta w odwiedziny do kochanka. Po miesiącu zauważono nawet, że zrobiła znaczne postępy.

v Jeździła do Rouen co czwartek. Wstawiała i ubierała się cicho, żeby nie zbudzić Karola, który robiłby jej uwagi, że jest jeszcze za wcześnie. Potem przechadzała się wzdłuż i wszerz, przystawała przed oknem i patrzyła na Rynek. Błady świt snuł się między słupami hal, a na domu aptekarza, o zamkniętych okiennicach, widniały niewyraźnie w blasku zorzy duże głoski szyldu.

Gdy zegar wydzwonił kwadrans na ósmą, udawała się „Pod Złotego Lwa”. Artemiza ziewając otwierała drzwi i odgrzebywała dla pani żar tlejący pod popiołem. Emma zostawała sama w kuchni, od czasu do czasu wychodziła rozejrzeć się. Hivert zaprzęgał bez pośpiechu i słuchał jednocześnie wskazówek starej Lefrancois, która wysuwając przez łufcik głowę w bawełnianym czepku obarczała go tysiącem poleceń i dawała objaśnienia, które każdego innego oszołomiłyby zupełnie. Emma przytupywała na bruku dziedzińca.

Wreszcie gdy zjadł już zupeł, wdział kapotę, zapalił fajkę i wziął bat do ręki, Hivert spokojnie zasiadał na koźle.

"Jaskółka" ruszała drobnym truchtem i przez pierwsze pół mili zatrzymywała się wciąż, by zabrać podróżnych, którzy czatowali na nią, stojąc przy szosie, przed wrotami zagród. Ci, co zamówili miejsce poprzedniego dnia, kazali czekać na siebie, niektórzy leżeli jeszcze w łózkach. Hivert wołał, krzyczał, kłął, wreszcie schodził z kozła i walił w drzwi. A wiatr dmuchał tymczasem przez popękane szybki.

Wreszcie wszystkie cztery ławeczki zapełniały się, dylizans toczył się rażno, jabłonie znikwały rzędem jedne za drugimi, a droga między dwoma rowami, pełnymi żółtej wody, biegła wciąż naprzód, zwężając się ku widnokręgowi.

Emma знаła ją na pamięć od początku do końca, wiedziała, że za pastwiskiem jest pagórek, dalej wiaz, stodoła, chatka dróżnika. Niekiedy zamykała oczy, żeby mieć niespodziankę, ale nigdy nie traciła dokładnego wyczucia odległości.

Wreszcie zbliżały się murowane domy, ziemia turkotała pod kołami, „Jaskółka” sunęła wśród ogrodów i można było dostrzec przez sztachety posążki, altanę oplecioną winem, strzyżone cisy, huśtawkę. Potem ukazywało się nagle całe miasto.

Pograżone we mgłę, schodziło amfiteatralnie i rozpościerało się w dali aż za mosty. Za nim biegło puste pole i wznosząc się jednostajnym ruchem stykało się na widnokręgu z bladym sklepieniem nieba. Cały ów krajobraz, widziany tak z góry, był nieruchomy jak malowidło. W jednym rogu skupiły się okręty na kotwicy, rzeka zataczała półkole u stóp zielonych wzgórz, a podłużne wyspy podobne były do wielkich czarnych ryb, które się zatrzymały. Kominy fabryczne wyrzucały olbrzymie, brunatne pióropusze rozwiewające się na wietrze. Słychać było warkot hut i jasne sygnaturki kościołów wznoszących się we mgłę. Bezlistne drzewa bulwarów tkwiły pośród domów jak liliowe gąszcz, a dachy, mokre od deszczu, połyskiwały na nierównej wysokości zależnie od położenia dzielnicy. Niekiedy silniejszy podmuch unosił chmury w stronę zbocza Św. Katarzyny, niby powietrzne fale rozbijające się cicho o nadbrzeżne skały.

Coś oszałamiającego emanowało ku niej z tych nagromadzonych istnień i pierś jej wzbierała wzruszeniem, jakby owe sto dwadzieścia tysięcy serc, bijących tutaj, posyłały jej naraz tchnienie namiętnych uczuć, które im przypisywała. Miłość jej potężniała wobec przestrzeni i rozbrzmiewała wrzawą wznoszących się głosów. Przelewała ją na place, parki, ulice, i stary gród normandzki rozpościerał się przed jej oczyma jak niezmierna stolica, jak Babilon, do którego wjeżdżała. Wspierając się oburącz o małe okienko, wdychała rześki podmuch wiatru. Trójka galopowała, kamienie skrzypiały w błocie, dylizans kołysał się, a Hiyert z daleka okrzykiwał na drodze kariolki, podczas gdy mieszczanie, którzy spędzili noc w lasku Wilhelma, zjeżdżali spokojnie ze zbocza we własnych bryczuszkach.

Zatrzymywano się przy rogatce. Emma zdejmowała grube śniegowce, zmieniała rękawiczki, poprawiała szal i o dwadzieścia kroków dalej wysiadła z „Jaskółki”.

Miasto budziło się wówczas ze snu. Subiekci w czapkach szorowali fasady sklepów, a kobiety, z wielkimi koszami opartymi na biodrze, rzucały od czasu do czasu donośne okrzyki na rogach ulic. Szła tuż pod ścianami domów, z oczyma wbitymi w ziemię, uśmiechając się radośnie pod czarną, spuszczoną woalką.

W obawie, by jej ktoś nie dostrzegł, wybierała zwykle okrężną drogę. Zapuszczała się w ciemne zaułki i cała zlaną potem zjawiała się u wylotu ulicy Narodowej, przy znajdującej się tam fontannie. Jest to dzielnica teatru, knajp i kobiet lekkich obyczajów. Często wymijał ją wóz naładowany trzęsącymi się dekoracjami. Garsoni w fartuchach wysypywali piaskiem kamienne płyty, pośród zielonych krzewów. Pachniało tu absyntem, ostrygami i dymem cygar.

Skręcała w boczną uliczkę, poznawała go po falujących włosach wymykających się spod kapelusza.

Leon szedł dalej nie zatrzymując się, podążała za nim aż do hotelu, wstępował na schody, otwierał drzwi, wchodził...

Cóż za uścisk!

Po pocałunkach padały szybkie słowa. Opowiadali sobie troski całego tygodnia, przecucia, obawy o listy. Ale teraz wszystko szło w niepamięć, przyglądali się sobie twarzą w twarz, ze śmiechem rozkoszy, obdarzając się najtkliwszymi imionami.

Mahoniowe łóżko miało kształt łodzi. Firanki z czerwonej lewantyny, zawieszane u sufitu, tworzyły niskie sklepienie nad szerokim wezłowiem i nie było w świetle nic piękniejszego niż ciemna jej głowa i biała płeć odcinająca się na tle owej purpury, gdy wstydliwym ruchem składała nagie ramiona, kryjąc twarz w dłoniach.

Ciepły pokój o łagodnym świetle, ozdobiony miłymi drobiazgami, wystany puszystym kobiercem, zdawał się sprzyjać miłosnej zażyłości. Metalowe pręty zakończone ornamentem, mosiężne rozety, przytrzymujące firanki i duże gałki u wilków, połyskiwały nagle, gdy zajął promień słońca. Na kominku między kandelabrami leżały dwie duże, różowe muszle, z tych, co szumią jak morze, gdy się je do ucha przyłoży.

Jakże lubili ten miły pokój, tak wesoły mimo przywiedłego nieco przepychu. Odnajdywali zawsze meble na tych samych miejscach i nieraz jej szpilki do włosów, które zapomniała w ubiegły czwartek pod postumentem zegara. Jedli śniadanie przy kominku na małym gerydonie inkrustowanym palisandrem. Emma krajała i nakładała mu na talerz potrawy, wśród przymilań i pieśczoć, śmiała się dźwięcznym, swawolnym śmiechem, gdy z cienkiego kieliszka sphywał jej na pierścionki spieniony szampan. Byli pochłonięci sobą -tak wyłącznie, iż zdawało im się, że są tu we własnym domu i pozostaną w nim aż do śmierci, jak para wiecznie młodych małżonków. Mówili "nasz pokój, nasz dywan". Ona mówiła nawet "moje pantofle" na prezent Leona, który chciał zaspokoić jej kaprys. Były to pantofelki z różowego atłasu, obszyte puchem łabędzim. Gdy siadała mu na kolanach, nogi jej, nie sięgające ziemi, zwisały w powietrzu, a wypieszczony trzewiczek trzymał się wówczas tylko na dużym palcu nagiej stopy.

Leon po raz pierwszy lubował się niewypowiedzianym czarem kobiecej elegancji. Nigdy dotąd nie napotkał tego wdzięku wystowienia, umiaru w strojach, tych póź uśpionej gołąbki. Podziwiał egzaltację jej duszy i koronki jej halki. Zresztą była to kobieta z towarzystwa, mężatka, prawdziwa metresa wreszcie!

Przez różnorodność swych nastrojów na przemian mistycznych, wesołych, szczebiotliwych, milczących, porywczych lub nonszalanckich budziła w nim tysiączne pragnienia, wywołując uśpione instynkty i reminiscencje.

Była kochanką wszystkich romansów, heroiną wszystkich dramatów, mglistą "Nią" wszystkich tomików wierszy. Odnajdywał na jej ramionach złotawą karnację Odaliski w kąpielni. Kibić miała wysmukłą jak feudalne kasztelanki, przypominała też Błada kobietę z Barcelony, ale nade wszystko była Aniołem!

Często patrząc na nią doznawał wrażenia, że dusza jego wymyka się ku niej i rozlewając się jak fala wokół jej głowy, spływa w białą pierś.

Siadał przed nią na ziemi i wsparłszy łokcie na kolanach, wpatrywał się w nią z uśmiechem.

Pochylała się ku niemu i głosem jakby zduszonym z upojenia szeptała:

- O, nie ruszaj się! Nic nie mów! Patrz na mnie!

Z twoich oczu sączy się taka słodycz, takie ukojenie! Nazywała go dzieckiem.

- Kochasz mnie, dziecko?

Odpowiedź gubiła się w porywie jego warg tulących się do jej ust.

Na zegarze kupidynek z brązu wdzięczył się, zaokrąglając ramiona pod złotą girlandą. Śmieli się zeń nieraz. Lecz gdy nadchodziła chwila rozstania, wszystko wydawało im się poważne.

Nieruchomi, stojąc naprzeciw sobie, powtarzali:

- Do czwartku... do czwartku... Nagle brała jego głowę w obie dłonie, szybko całowała w czoło i wołając:

- Bądź zdrow! - wybiegała na schody.

Szła na ulicę Teatralną do fryzjera, by ułożyć włosy. Zmierzch zapadał, zapalano lampę gazową.

Słychać było dzwonek wzywający na scenę aktorów. Po przeciwnej stronie widziała mężczyzn o ubielonych twarzach i kobiety w nieświeżych strojach, jak znikali w drzwiach prowadzących za kulisy.

Gorąco było w tym małym pokoju o zbyt niskim suficie, gdzie mruczał piecyk pośród peruk i słoików z pomadą. Śwąd żelazek i zapach natłuszczonych rąk, które dotykały jej głowy, odurzał ją wkrótce i drzemała chwilami pod swym peniuarem. Nieraz chłopiec, czesząc ją, proponował bilety na bal maskowy.

Potem wychodziła i szła ulicami do oberży "Pod Czerwonym Krzyżem". Brała znów grube śniegowce, które rano schowała pod ławeczkę, i zajmowała swe miejsce wśród zniecierpliwionych podróżnych. Niektórzy wysiadali u podnóża zbocza. Zostawała wówczas sama, Za każdym zakrętem wyraźniej widać było światła miasta zlewające się w szeroką łunę nad pograżonymi w mroku domami. Emma przyklękała na poduszkach i gubiła wzrok w tych blaskach. Szlochała, wzywała Leona, posyłała mu czułe słowa i pocałunki, które unosił wiatr.

Spotykało się na zboczu nieszczęsnego żebraka, który włóczył się o kiju pośród dylizansów. Plecy miał okryte szmatami. Stara, wytarta czapka bobrowa, okrągła jak misa, zasłaniała mu twarz, a gdy ją zdejmował, ukazywały się dwa krwawe oczodoły pośród czerwonych strzępów ciała. Sączyła się z nich ciecz zastygająca zielonymi strupami aż na nosie, którego czarne nozdrza rozdymały się konwulsyjnie. Gdy chciał coś powiedzieć, odrzucał głowę w tył ze śmiechem idioty; toczył nieustannie błękitnawymi źrenicami, które obijały się o brzegi żywych ran. Podążając za dylizansami śpiewał wesołą piosenkę:

Niekiedy w upalne dni O miłości dziewczę śni.

Dalej była mowa o ptakach, słońcu i listowiu.

Czasem zjawiał się nagle tuż za Emmą, z odkrytą głową. Cofała się z krzykiem w głąb pojazdu. Hivert pokpiwał z niego, radził mu wynająć budę na jarmarku św. Romana lub śmiejąc się wypytywał, jak się miewa jego najdroższa.



Często gdy konie już ruszyły, czapka jego nagłym ruchem wsuwała się przez okienko dylżansu, a ręka chwyciła kurczowo za stopnie między kołami, bryzgającymi błotem. Głos, początkowo słaby i jęczący, stawał się przenikliwy i włócił się w ciemności jak niewyraźna skarga niewiadomej rozpacz. Wśród dzwonek uprząży, szumu drzew i rezonansu pustego pudła wozu rozbrzmiewał coś dalekim, co wstrząsało Emmą. Przenikało ją to do głębi duszy, jak wichur zstępujący do otchłani, i porywało w przestrzeń bezgranicznej melancholii. Ale Hivert spostrzegł się i zdzielił! ślepcę mocnym uderzeniem bicia. Koniec bata chłostał go po ranach, więc upadał w błoto ze strasznym skowitem.

Wreszcie pasażerowie "Jaskółki" usypiali, jedni z otwartymi ustami, inni ze spuszczonego podbródkiem, oparci o ramię sąsiada lub z ręką wsuniętą między rzemienie, i kiwali się równomiernie w takt huśtania pojazdu. A odbłask latarni, kołyszącej się na hoiobli, wpadał do środka poprzez czekoladowe firanki z perkalu, rzucając krwawe cienie na te wszystkie nieruchome postacie. Emmą, nieprzytomną z żalu, dygotała pod cienkim okryciem i ze śmiertelnym smutkiem w duszy czuła, jak nogi ziębną jej coraz bardziej.

W domu oczekiwał ją Karol; „Jaskółka” spóźniała się zawsze we czwartki. Wreszcie pani nadjeżdżała. Całowała małą od niechcenia. Obiad nie był gotów? Mniejsza o to. Wybaczała służącej. Zresztą zdawało się, że teraz wszystko uchodzi tej dziewczynie.

Mąż widząc, że jest blada, wypytywał często, czy jej co nie dolega.

- Nie - odpowiadała Emmą.
- A jednak jesteś dziś jakaś dziwna.
- Ach. to nic, to nic!

Zdarzało się nawet, że zaraz po r zwrocie udawała się na górę do swego pokoju. Justy, który się tam znajdował, stapa? cichymi krokami usługując jej umiejętniej od najlepszej pokojówki. Przysuwał zapałki, lichtarz, książkę, rozkładał kaftanik, odchyłał kapek.

- Dobrze, dobrze - mówiła - idź już sobie!

Stał bowiem ze zwieszonymi rękami, z otwartymi oczyma jakby uwikłany w sieć nagłej zadumy.

Nazajutrz czuła się okropnie, a dni następne były jeszcze bardziej nieznośne; dręczyło ją niecierpliwe pragnienie, by znów uchwycić swe szczęście - pałaca żądza, rozplamiona znanymi obrazami, która siódmego dnia wybuchała do woli w ramionach Leona. A w porywach jego uczuć górował zachwyt i wdzięczność.

Emmą rozkoszowała się tą miłością w ciszy i skupieniu, podsyciła ją przemyślnie tkliwymi pieszczotami i bała się trochę, że może ją z czasem utracić.

Często mówiła mu z melancholijną słodyczą w głosie:

- Ach!... Porzucisz mnie!... Ożenisz się!... Postąpisz jak inni. Pytał:
- Jacy inni?
- No, mężczyźni!

Potem, odpychając go omdlewającym ruchem, dodawała:

- Wszyscy jesteście niegodziwi!

Pewnego dnia, gdy gawędzili filozoficznie o rozczarowaniach tego świata, powiedziała wreszcie (by wypróbować jego zazdrość lub też może ulegając zbyt silnej potrzebie zwierzeń), że niegdyś, nim go poznała, kochała już kogoś - "o, nie tak jak ciebie" - dodała żywo, zaklinając się na głowę córki, że nigdy nic między nimi nie było.

Młodzieniec uwierzył, chciał jednak wiedzieć, czym się ów "on" zajmował.

- Był kapitanem okrętu, mój drogi.

Nie było to uprzedzeniem wszelkich poszukiwań, a zarazem wywyższeniem się niejako przez ów mniemany urok, jakim oplatała niegdyś człowieka o wojowniczym usposobieniu i nawykłego do hołdów?

Pisarz notarialny odczuł wówczas całą nicość swej kondycji. Pozazdrościł epoletów, orderów, tytułów. Wszystko to musiało jej się podobać. Domyślał się tego po jej zbyt kownych nawykach.

Emma jednak ukrywała przed nim wiele swych pragnień, na przykład chęć posiadania - by móc nim jeździć do Rouen - błękitnego tilbury, zaprzęzonego w angielskiego konia i powozonego przez grooma w wysokich butach z szerokimi wyłogami. To Justyn nasunął jej to marzenie, błagając, by wzięła go do siebie na lokaja. Jeśli brak powozu nie zmniejszał przyjemności udawania się na schadzki, to z pewnością pogłębiał gorycz powrotu.

Gdy mówili o Paryżu, często szeptała w końcu:

' - Ach! Jakby nam tam było dobrze!

- Czyż nie jesteśmy szczęśliwi? - odpowiadał młodzieniec gładząc ją po włosach.

- Tak, to prawda - mówiła. - Jestem szalona, pocałuj mnie!

Dla męża była czulsza niż kiedykolwiek, robiła mu kremy pistacjowe, a po kolacji grywała walce na fortepianie. Uważał się za najszczęśliwszego ze śmiertelników i Emma żyła w poczuciu bezpieczeństwa, gdy pewnego wieczoru spytał nagle:

- Nieprawdaż, to panna Lempereur udziela ci lekcji?

- Tak.

- Otóż spotkałem ją właśnie u pani Liegeard - podjął Karol - wspomniałem jej o tobie: nie zna cię.

Było to jakby uderzenie piorunu. Odpowiedziała jednak spokojnym głosem:

- Ach, tak? Zapewne zapomniała mego nazwiska!

- A może - podjął lekarz - jest w Rouen kilka panien Lempereur, które udzielają lekcji fortepianu.

- I to możliwe! - a potem dodała żywo:

- Mam przecież jej kwity. O, popatrz tylko! Podeszła do sekretarzyka, przetrząsnęła wszystkie szuflady, pomieszała wszystkie papiery, aż wreszcie zupełnie straciła głowę, tak że zaczęła nalegać, by dała sobie spokój i nie przejmowała się jakimiś tam kwitami.

- O, muszę je odnaleźć - odparła.

I rzeczywiście, gdy Karol w następny piątek wciągał buty w ciemnej komórce, gdzie wisały jego ubrania, wyczuł między skarpetką a podeszwą jakiś papier, wyjął go i przeczytał:

"Otrzymano za trzy miesiące lekcji łącznie z różnymi dostawami sumę 65 f r.

Felicja Lempereur, nauczycielka muzyki"

- Skąd się to, u licha, wzięło w moim bucie?

- Zapewne - odparła - wypadło ze starego pudła z rachunkami, które stoi na krawędzi półki.

Począwszy od tej chwili całe jej życie stało się jednym pasmem kłamstw, w które spowijała swoją miłość, by ją ukryć.

Kłamstwo stało się dla niej potrzebą, manią, przyjemnością tak dalece, iż gdy mówiła, że szła wczoraj prawą stroną ulicy, należało przypuszczać, że szła lewą. Pewnego ranka, gdy swoim zwyczajem wyjechała dość lekko ubrana, zaczął nagle padać śnieg. Karol wyglądając oknem spostrzegł księdza Bournisien w bryczce pana Tuyache, który odwoził proboszcza do Rouen. Wybiegł więc i powierzył duchownemu

gruby szal, prosząc, by zaraz po przyjeździe zechciał oddać go żonie "Pod Czerwonym Krzyżem". Bournisien, ledwie zajechał do oberży, spytał o żonę lekarza z Yonville. Hotelarka odparła, że bardzo rzadko ją tu widują. Toteż spotkawszy wieczorem panią Bovary w "Jaskółce" proboszcz opowiedział jej, w jakim był kłopotcie. Zresztą nie przywiązywał, widać, większej wagi to tego zdarzenia, gdyż ją zaraz wychwalać pewnego kaznodzieję, który cieszył się podówczas wielkim rozgłosem i którego wszystkie panie śpieszyły słuchać.

Lecz jeśli on nie zaczął jej indagować, inni mogli się okazać mniej dyskretni, toteż, zdecydowała, że powinna zawsze zachodzić "Pod Czerwony Krzyż", by poczcwi sąsiedzi z miasteczka, widując ją tam na schodach, nie powzięli żadnych podejrzeń.

Pewnego dnia wszakże pan Lheureux spotkał ją, gdy wychodziła z Hotelu Bulońskiego pod rękę z Leonem. Przestraszyła się, że rozgada. On jednak nie był tak głupi.

Lecz w trzy dni potem wszedł do jej pokoju, zamknął drzwi i powiedział:

- Potrzebuję pieniędzy. Oświadczyła, że ich nie ma.

Lheureux zaczął narzekać i wyliczać wszystkie uprzejmości, jakie jej wyświadczył.

W samej rzeczy, z dwóch weksli, podpisanych przez Karola, Emma wykupiła tylko jeden. Drugi zaś został na jej prośbę zamieniony na dwa inne, które kupiec wystawił z dość nawet odległym terminem.

Potem wyciągnął z kieszeni rachunek za niezapłacone dostawy, a mianowicie za firanki, kobierce, obicie na meble, kilka sukien oraz rozmaite przybory toaletowe, których wartość wynosiła w sumie około dwóch tysięcy franków.

Emma spuściła głowę.

- Lecz jeśli nie ma pani gotówki - podjął - to posiada pani nieruchomości.

I wymienił nędzną rudę w Barneyille w pobliżu Aumale, która prawie nic nie przynosiła. Należała ona niegdyś do małej fermi sprzedanej przez starego Bovary - Lheureux wiedział o wszystkim, do ilości hektarów i nazwisk sąsiadów włącznie.

- Ja na pani miejscu pozbyłbym się tego i po spłaceniu długów miałbym jeszcze trochę grosza.

Odparła, że trudno będzie o nabywcę. Lheureux zrobił jej nadzieję, że go znajdzie. Spytała więc, co ma zrobić, by móc przystąpić do sprzedaży.

- Alboż nie ma pani plenipotencji?

Słowo to podziałało na nią jak ożywcze tchnienie.

- Niech mi pan zostawi rachunek.

- O, nie warto - odparł Lheureux.

Wrócił w następnym tygodniu chwając się, że po wielu trudach wynalazł wreszcie niejakiego Langlois, który od dawna miał oko na tę posiadłość, nie zdradzał jednak, ile by za nią zapłacił.

- Mniejsza o to ile! - krzyknęła.

Przeciwnie, należało odczekać, wymacać tego zucha. Rzecz była warta zachodu. Należało tam pojechać, a że Emma nie mogła odbyć tej podróży, ofiarował się, że pojedzie, by rozmówić się na miejscu z Langlois. Po powrocie oznajmił, że nabywca proponuje cztery tysiące franków. Emma rozpromieniła się na tę wiadomość, - Szczerze mówiąc, płaci dobrze - dodał. Połowę sumy dostała natychmiast, a gdy chciała uregulować rachunek, kupiec powiedział:

- Słowo daję, przykro mi, że się pani od razu pozbywa tak pokaźnej sumki.

Spojrzała wówczas na banknoty i marząc o niezliczonych schadzkach, które przedstawiały owe dwa tysiące franków, wyjąkała:

- Jak to? Jak to?

- O - rzekł śmiejąc się dobrodusznie - na rachunku można wypisać, co się chce. Alboż się na tym nie znam?

I wpatrywał się w nią bacznie, trzymając w ręku podłużne odcinki papieru, które przesuwiał między paznokciami. Wreszcie otworzył portfel i rozłożył na stole cztery weksle, po tysiąc franków każdy.

- Niech mi pani to podpisze - rzekł - i zachowa wszystko.

Oburzona, protestowała ze zgorzaniem.

- Ależ, jeśli oddaję pani resztę pieniędzy - odparł beczelnie Lheureux - to czyż nie wyświadczam pani w ten sposób przysługi? I wzięwszy pióro napisał u dołu na rachunku:

"Otrzymałem od pani Bovary cztery tysiące franków."

- O cóż się pani niepokoi, skoro za sześć miesięcy odbierze pani pozostałość za swoją budę, a ja ostatni weksel wystawiam z terminem późniejszym?

Emma płątała się trochę w tych obliczeniach i dzwoniło jej w uszach, jakby monety, wymykając się z worka, z brzękiem upadały wokół niej na posadzkę. Wreszcie Lheureux wytłumaczył jej, że ma za przyjaciela niejakiego Vincart bankiera w Rouen, który zdyskontuje te cztery weksle, a potem on sam zwróci pani nadwyżkę rzeczywistego długu.

Lecz zamiast dwóch tysięcy przyniósł tylko tysiąc osiemset, gdyż przyjaciel Vincart (całkiem słusznie) potrącił dwieście franków na kosztą komisowego i dyskonta. Potem upomniał się od niechcenia o kwit.

- Pojmuje pani... w handlu... czasem... I z datą, jeśli łaska, z datą.

Wówczas otworzył się przed Emma szeroki horyzont możliwych do zrealizowania kaprysów. Była dość przezorna, by odłożyć tysiąc talarów, którymi spłaciła w przewidzianym terminie trzy pierwsze f weksle. Ale ostatni z nich przyszedł przypadkiem do | domu pewnego czwartku i wzburzony Karol czekał cierpliwie na powrót żony, by się z nią rozmówić.

! Jeśli nie powiedziała mu nic o tym wekslu, to dlatego, by mu oszczędzić domowych trosk. Siadła mu na kolanach, pieściła go, gruchała. Wymieniła długą listę niezbędnych rzeczy, które wzięła na kredyt.

' - Przyznaj wreszcie, że zważywszy na ilość, to wypada niedrogo.

Karol, nie wiedząc, co począć, zwrócił się wkrótce do nieśmiertelnego pana Lheureux, który przyrzekł solennie rzecz załagodzić, jeśli podpisze mu dwa weksle, z których jeden na siedemset franków z terminem trzymiesięcznym.

Karol, by się zabezpieczyć, napisał patetyczny list do matki. Zamiast przysłać odpowiedź, przybyła sama, a gdy Emma chciała się dowiedzieć, czy zdołał coś od niej wydobyć:

- Tak - odparł - ale chce zobaczyć rachunek. Nazajutrz, skoro świt, Emma pobiegła do pana Lheureux, prosząc go, by napisał inny rachunek, nie przekraczający tysiąca franków, gdyż jeśliby pokazała ten na cztery tysiące, musiałaby powiedzieć, że i< spłaciła już dwie trzecie, a tym samym przyznać się do sprzedania nieruchomości - operacji tak zręcznie przeprowadzonej przez kupca, że istotnie wyszła na jaw dopiero później. Mimo niskiej ceny wszystkich artykułów, pani Bovary-matka nie omieszkała stwierdzić, że są to wydatki wygórowane.

- Czyż nie mogliście się obejść bez dywanu? Po co było odnawiać pokrycie foteli? Za moich czasów bywa! w domu tylko jeden fotel - dla osób leciwych. Tak było przynajmniej u mojej matki, która, wierzajcie mi. była uczciwą kobietą. Trudno, nie wszyscy mogą być bogaci! Żaden majątek nie ostoja się rozrzutności! Wstydziałabym się tak pieścić jak wy! A oto i stroje... fatałaszk! Jak to, jedwab na podszewkę po dwa

franki, kiedy można mieć za pięćdziesiąt, a nawet za czterdzieści centymów muślin, który w zupełności wystarcza.

Emma, w pół leżąc na kozetce, odpowiadała najspokojniej, jak potrafiła:

- Dość już, pani matko! Dość!

Tamta nie przestawała jej karcić, przepowiadając, że skończą w przytułku. Zresztą, była to wina Karola. Na szczęście, obiecał, że odbierze tę plenipotencję...

- Jak to?

- A tak. Przyrzekł mi to - odparła kobiecina. Emma otworzyła okno, zawołała Karola i biedak musiał wyznać, że matka wymogła na nim tę obietnicę.

Emma znikła, a po chwili wróciła i majestatycznym gestem podała pani Bovary-matce duży arkusz papieru.

- Dziękuję - odparła starsuszka. I wrzuciła plenipotencję w ogień.

Emma wybuchła przeraźliwym, spazmatycznym, nie kończącym się śmiechem: dostała ataku nerwowego.

- Ach! mój Boże! - wykrzyknął Karol. - Bo ty także nie masz racji! Przyjeżdżasz tu robić jej sceny! Matka, wzruszając ramionami, twierdziła, „że to tylko komedie”.

Lecz Karol, buntując się po raz pierwszy, ujął się za żoną tak stanowczo, że pani Bovary chciała zaraz wyjechać. Odjechała nazajutrz, a gdy usiłował ją zatrzymać w progu:

- Nie, nie! Kochasz ją bardziej niż mnie, masz rację, taki jest porządek rzeczy. Zresztą tym gorzej dla ciebie. Zobaczysz... Bądź zdrow... Gdyż nieprędko przyjadę robić jej, jak powiadasz, sceny.

Karol był jednak nadal bardzo zażenowany wobec Emmy, która wcale nie ukrywała urazy za okazany jej brak zaufania. Dobrze się musiał naprosić, by znów zechciała przyjąć plenipotencję, towarzyszył jej nawet do pana Guillaumin, by zrobić drugą całkiem podobną do tamtej.

- Rozumiem to - rzekł notariusz - człowiek nauki nie może się troszczyć o drobiazgi życia codziennego.

Karol odetchnął z ulgą po tej obłudnej uwadze, która nadawała jego niedołęstwu pochlebne pozory wyższych zainteresowań.

Cóż to był za wybuch radości w następnym czwartek, w hotelu, w ich pokoiku, z Leonem, Śmiała się, płakała, śpiewała, tańczyła, kazała podać sorbety, chciała palić papierosy, wydała mu się ekscentryczna, ale cudowna, wspaniała.

Nie wiedział, jaka reakcja całej jej istoty popycha je coraz bardziej do używania życia.

Stała się niecierpliwa, łakoma, lubieżna i przechadzała się z nim po ulicy z podniesioną głową, bez trwogi - mówiąc, że nie boi się kompromitacji. Czasem jednak drżała na myśl, że może spotkać Rudolfa, gdyż zdawało się jej, choć rozstali się na zawsze, że nie całkiem wyzwoliła się spod jego władzy.

Pewnego wieczoru nie wróciła do Yonville. Karol stracił głowę, a mała Berta nie chciała się położyć bez matki, szlochała w głoś.

Justyn na wszelki wypadek wybiegł na drogę. Pan Homais z wrażenia opuścił aptekę. Wreszcie o jedenastej, nie mogąc już wytrzymać, Karol zaprzągnął, wskoczył do powoziku, zaciął konie i około drugiej nad ranem zjawił się w oberży "Pod Czerwonym Krzyżem".

Nie było jej tam. Pomyślał, że może pisarz ją widział. Lecz gdzie go szukać? Na szczęście, Karol przypomniał sobie adres jego pryncypała. Pobiegł do niego.

Świtało. Dojrzał nad drzwiami tabliczki. Zastukał. Ktoś, nie otwierając mu, rzucił żądane objaśnienie, klnąc przy tym siarczyście na intruzów, co budzą ludzi po nocy.

W domu, w którym mieszkał pisarz, nie było ani dzwonka, ani młotka, ani stróża. Karol pięściami zaczął dobijać się do okiennicy. Przechodził właśnie policjant, przestraszył się wówczas i odszedł.

- Oszalałem - mówił sobie - zapewne zatrzymała ją na kolację pani Larmeaux. Ale państwo Larmeaux nie mieszkali już w Rouen.

- Może została przy chorej pani Dubreuil? Ach! Pani Dubreuil nie żyje już od pół roku!... Gdzież więc jest?

Wtem błysnęła mu myśl. Poprosił w kawiarni o książkę adresową i szybko odszukał nazwisko panny Lempereur, zamieszkałej przy ulicy Renelle-des-Marquiniers pod numerem 73.

Gdy wchodził w tę ulicę, na przeciwnym jej końcu ukazała się Emma. Rzucił się na nią raczej, niż uściśnął i krzyknął:

- Kto cię zatrzymał wczoraj?

- Żle się czułam.

- Co ci było?... Gdzie?... Jak?... Przesunęła ręką po czole i odpowiedziała:

- U panny Lempereur.

- Pewien byłem. Szedłem tam właśnie.

- O! nie warto! - rzekła. - Wyszła przed chwilą, Ale na przyszłość nie wpadaj tak od razu w popłoch. To mnie krępuje, rozumiesz, kiedy wiem, że najmniejsze spóźnienie tak cię wytrąca z równowagi.

Był to rodzaj pozwolenia, którego sobie udzielała, by nie krępować się w swych eskapadach. I wykorzystywała je do woli, w całej pełni. Gdy brała ją chęć ujrzenia Leona, wyjeżdżała pod byle jakim pozorem, a że nie spodziewał się jej tego dnia, zachodziła do kancelarii.

Z początku była to wielka radość, lecz wkrótce nie taił przed nią, że pryncypał bardzo się uskarża na te przerwy w pracy.

- Ach! Co tam, chodźże! - mówiła.

Wymykał się więc.

Chciała, by ubierał się całkiem na czarno i zapuścił bródkę, by upodobnić się do portretów Ludwika XIII. Zapragnęła obejrzeć jego mieszkanie. Wydało się jej nader skromne. Zarumienił się. Nie zauważyła tego i poradziła potem, by kupił sobie takie firanki, jak ona. Gdy oponował, wymawiając się wydatkiem:

- O! widzę, że ściskasz mocno te swoje grosiki! - rzekła śmiejąc się.

Leon musiał za każdym spotkaniem opowiadać jej wszystko, co robił od ostatniej schadzki. Zażądała wierszy, wierszy pisanych dla niej, miłosnego poematu na jej cześć. Ale on nie potrafił nigdy znaleźć dwóch rymów i w końcu przepisał sonet z albumu.

Zrobił to nie tyle przez próżność, ile z czystej chęci przypodobania się jej. Nie rozważał jej pomysłów, przyjmował wszystkie jej upodobania. On to raczej stawał się jej kochanką. Jej słowa były pełne czułości, a pocałunki porywały mu duszę. Gdzież się nauczyła tego zepsucia tak głębokiego i utajonego, że stawało się niemal nieuchwytnie?

vi W podróży, które Leon odbywał, by się z nią widywać, często jadał u aptekarza i uważał, że wypada mu, przez grzeczność, jego z kolei zaprosić.

- Bardzo chętnie! - odpowiedział pan Homais. - Przyda mi się zresztą, jak się trochę przewietrzę, bo już tu zupełnie zaskorupałem. Wybierzemy się na przedstawienie, do restauracji, będziemy szaleć!

- O, mój drogi - wyszeptwała czule pani Homais, przerażona niejasnymi niebezpieczeństwami, na które miał się narazić.

- Cóż znowu? Czyż nie widzisz, że rujnę zdrowie żyjąc w nieustannych wyziewach aptecznych? Oto właśnie usposobienie kobiet: są zazdrosne o Wiedzę, a potem wzbraniają nam najprawowitszych rozrywek. Mniejsza z tym, liczy pan na mnie, w najbliższych dniach wpadnę do Rouen, przepuścimy trochę grosza!

Aptekarz dawniej za nic nie użyłby podobnego wyrażenia, teraz jednak uważał, że styl swawolny i paryski jest w dobrym tonie, i tak jak jego sąsiadka, pani Bovary, wypytywał ciekawie pisarza o zwyczaje stołeczne i nawet posługiwał się żargonem, aby olśnić... mieszczuchów, mówiąc: ciupa, bałagan, fircyk, farmazon i "daję nogę" zamiast „wychodzę”.

Tak więc pewnego czwartku Emma zdziwiła się niemało, gdy w kuchni "Złotego Lwa" spotkała pana Homais w stroju podróżnym, to znaczy owiniętego w stary płaszcz, w którym nie widywała go nigdy, z walizką w jednej ręce i futrzanym workiem na nogi w drugiej. Nie zwierzył się nikomu ze swego projektu, gdyż bał się, że zaniepokoi klientelę swą nieobecnością.

Był najwyraźniej podniecony myślą ujrzenia miejsc, w których upłynęła mu młodość, bo przez całą drogę nie przestawał rozprawiać; potem, natychmiast po przybyciu, wyskoczył żwawo z pojazdu, by udać się na poszukiwanie Leona. Pisarz na próżno się bronił, pan Homais zaciągnął go do wielkiej kawiarni "Normandia", gdzie wkroczył majestatycznie nie odkrywając głowy, w przekonaniu, że zdejmowanie kapelusza w miejscu publicznym trąci prowincją.

Emma czekała na Leona trzy kwadransy. Wreszcie pobiegła do jego biura i zagubiona w różnego rodzaju domysłach, oskarżając go o zubożenie, a sobie wyrzucając słabość, spędziła popołudnie z czołem przylepionym do szyby.

A oni jeszcze o drugiej siedzieli obaj za stołem, naprzeciw siebie. Sala pustoszała; rura od pieca, w kształcie palmy, rozpościerała pod sufitem złotą kiść; obok nich za szybą, w słońcu, bulgotał mały wodotrysk w marmurowym basenie, gdzie pośród rzeżuski i szparagów trzy odrętwiałe homary rozciągały się aż pod stos przepiórek poukładanych na boku.

Homais rozkoszował się. Chociaż bardziej upajał go luksus niż dobra kuchnia, jednak wino podnieciło mu zmysły i przy omlecie z rumem zaczął rozwijać niemoralne teorie o kobietach. Nade wszystko uwodził go szyk. Uwielbiał elegancki strój w pięknie umeblowanym mieszkaniu, a co do zalet cielesnych, nie gardził grubszym kąskiem.

Leon z rozpaczą spoglądał na zegarek. Aptekarz pił, jadł i gadał.

- Musisz pan - rzekł nagle - czuć się bardzo pokrzywdzony w Rouen. Zresztą pańska miłość nie mieszka daleko.

Tamten poczerwieniał.

- No, bądźże pan szczery. Nie zaprzeczysz, że w Yonville?... Młodzieniec coś bąknął.

- U pani Bovary, czyż nie zalecałeś się?...

- Do kogo?

- Do służącej!

Nie żartował; ale próżność wcięła górę nad wszelką ostrożnością i Leon mimo woli zaprzeczył. Zresztą lubił jedynie brunetki.

- Pochwalam - wyrzekł aptekarz. - Mają więcej temperamentu.

I pochylając się do ucha przyjaciela, zaczął wyliczać oznaki wskazujące na temperament u kobiet. Zapuścił się w dygresję etnograficzną: Niemki są mdłe, Francuzki rozpustne, Włoszki namiętne.

- A Murzynki? - spytał pisarz.

- To już gust artysty - odparł Homais. - Kelner! Dwie pół czarne!

- Wychodzimy? - podjął w końcu zniecierpliwiony Leon.

- Yes.

Ale chciał przed wyjściem zobaczyć właściciela zakładu i wypowiedział kilka pochwał.

Młodzieniec, by wreszcie zostać sam, wymówił się interesem.

- A, odprowadzę pana! - rzekł Homais.

Idąc z nim ulicami mówił o żonie, dzieciach, o ich przyszłości i o aptece, opowiadał, w jakim upadku była dawniej, i o doskonałości, do jakiej ją podniósł.

Gdy stanęli przed Hotelem Bulońskim, Leon pożegnał go pośpiesznie, wpadł na schody i zastał kochankę wielce poruszoną.

Na nazwisko aptekarza oburzyła się. On jednak przedstawiał jedno za drugim wystarczające powody opóźnienia: to nie jego wina, czyż nie zna pana Homais? Czyż może myśleć, że wołał jego towarzystwo? Ale Emma odwracała się; powstrzymał ją ł osuwając się na kolana opasał ramionami w pozie rzewnej, błagalnej i pełnej pożądania.

Stała z oczyma pałającymi i patrzyła nań wzrokiem poważnym, niemal strasznym. Potem łzy go przyćmiły, różowe powieki opadły, opuściła ręce i Leon niósł je właśnie do ust, gdy ukazał się służący oznajmiając, że na pana ktoś czeka.

- Wrócisz? - spytała.

- Tak.

- Kiedy?

- Za chwilę.

- To fortel - rzekł aptekarz spostrzegłszy Leona. - Chciałem przerwać tę wizytę, bo wydało mi się, że jest panu nie na rękę. Chodźmy do Bridoux na szklaneczkę garusa.

Leon przysięgał, że musi wrócić do biura. Wówczas aptekarz zaczął żartować na temat papierków, 3! procedury. - Zostawże pan w spokoju Cujasa i Bartolego, co do diaska! Kto panu zabroni? Odwagi! Chodźmy do Bridoux; zobaczysz jego psa. To bardzo ciekawe! A ponieważ pisarz opierał się nadal:

- No więc pójdę z panem. Przeczytam gazetkę, czekając, albo przejrzę kodeks.

Leon, oszołomiony gniewem Emmy, gadaniną pana Homais i być może, ciężkostrawnym śniadaniem, stał niezdecydowany i jakby urzeczony namowami aptekarza, który powtarzał:

- Chodźmy do Bridoux! To dwa kroki stąd, przy ulicy Malpalu.

Wówczas, przez słabość, przez głupotę, z tym niewytłumaczalnym uczuciem, które pobudza nas do czynów najbardziej nam antypatycznych, dał się zaprowadzić do Bridoux; zastali go na podwórku, jak doglądał trzech chłopaków zasapanych przy obracaniu wielkiego koła maszyny do fabrykowania wody sodowej. Homais udzielił im wskazówek; uściskał Bridoux; napili się garusa. Dwadzieścia razy Leon chciał wyjść, ale tamten przytrzymał go za rękę, mówiąc:

- Chwileczkę. Zaraz pójdziemy do "Pochodni Rouen" odwiedzić tych panów. Przedstawię pana Thomassinowi. Pozbył się go wreszcie i pobiegł do hotelu. Emmy już nie było.

Właśnie wyjechała, doprowadzona do ostateczności. Nienawidziła go teraz. To niestawienie się na umówione spotkanie poczytywała za obelgę, szukała jeszcze i innych powodów, by się od niego oderwać: był niezdolny do bohaterstwa, słaby, pospolity, miękki jak kobieta, skąpy zresztą i małostkowy.

Potem, uspokoiwszy się, spostrzegła, że go oczerniła. Ale oczernianie tych, których jeszcze kochamy, odrywa nas od nich po trosze. Nie należy tykać bóstw: pozłota zostaje na rękach.



Zaczęli częściej mówić o rzeczach obojętnych miłości, w listach Emmy była teraz mowa o kwiatach, wierszach, o księżycu i gwiazdach - naiwne środki osłabłej namiętności, która czepia się wszelkiej zewnętrznej pomocy, by odżyć. Obiecywała sobie stale głęboką szczęśliwość za następną podróżą; potem przyznawała, że nie odczuła nic nadzwyczajnego. Nowa nadzieja zacierała rozczarowanie i Emma wracała ku niemu jeszcze bardziej rozplomieniona pożądaniem. Rozbierała się gwałtownie, szarpiąc cienką taśmę gorsetu, która świstała jej dokoła bioder, jak śliska żmija. Boso, na palcach, szła jeszcze raz, by sprawdzić, czy drzwi zamknięte, potem jednym ruchem zrzucała z siebie ubranie; i blada, milcząca, poważna, opadała mu na piersi z przeciągłym dreszczem.

Leon miał jednak wrażenie, że na tym czole pokrytym zimnymi kroplami, w bełkocie warg, w nieprzytomnych źrenicach, w uścisku ramion, jest coś ostatecznego, niepokojącego i ponurego, co wślizguje się między nich niepostrzeżenie, by ich rozdzielić.

Nie śmiał zadawać jej pytań; ale ponieważ wyczuwał jej doświadczenie, "przechodziła - mówił sobie - przez wszystkie próby cierpienia i rozkoszy", To, co zachwycało go dawniej, przerażało teraz. Zresztą buntował się na wzrastające z każdym dniem pochłanianie jego osobowości. Miał żal do Emmy za jej nieustanne zwycięstwo. Usiłował nawet nie kochać jej; potem na skrzypnięcie jej trzewików tchórzył jak pijak na widok mocnych trunków.

Darzyła go wprawdzie mnóstwem delikatnych względów, poczynając od wyszukanych potraw aż po wykwintny strój i przeciągłe spojrzenie. Przywoziła z Yonville na piersi róże, które rzucała mu w twarz, okazywała niepokój o jego zdrowie, udzielała rad co do prowadzenia się, i wreszcie, aby go utrzymać jeszcze, w nadziei, że niebo zechce wdać się w to może, zawiesiła mu na szyi medalik z Matką Boską. Wypytywała jak cnotliwa matka o jego towarzyszy. Mówiła:

- Nie widuj się z nimi, nie wychodź, myśl tylko o nas, kochaj mnie!

Pragnęła czuwać nad jego życiem i przyszło jej do głowy, by śledzić go po ulicach. Był zawsze koło hotelu jakiś włóczęga zaczepiający podróżnych, ten nie odmówiłby... Ale duma jej zbuntowała się.

- Ha, trudno! Niech mnie zdradza, cóż mnie to obchodzi! Czyż zależy mi na nim?

Pewnego dnia, gdy rozstali się wcześniej i wracała samotnie bulwarem, spostrzegła mury swego klasztoru; siadła na ławce w cieniu wiązów. Jakież spokój w tamtych czasach! Jakże zazdrościła niewysłowionych uczuć miłosnych, które usiłowała wyobrazić sobie według książek.

Pierwsze miesiące małżeństwa, spacerów konne do lasu, wicehrabia w walcu, Lagardy śpiewający - wszystko przesunęło się jej przed oczami... I Leon wydał się nagle równie odległy jak wszyscy.

- Kocham go jednak! - mówiła sobie. Ale cóż, nie jest szczęśliwa, nigdy nie była. Skąd ten niedosyt życia, to natychmiastowe rozsypywanie się w proch rzeczy, na których się opierała? Ale jeśli istnieje gdzieś człowiek piękny i mocny, natura wartościowa, pełna entuzjazmu, a zarazem subtelna, serce poety w postaci anioła, lira o spiżowych strunach dzwoniąca ku niebu elegijne hymny, dlaczego przypadkiem nie miałyby go spotkać? Och, to niepodobieństwo! A zresztą nie warto niczego szukać, wszystko jest kłamstwem! Każdy uśmiech kryje ziewnięcie nudy, każda radość - przekleństwo, każda przyjemność - niesmak, a najgorętsze pocałunki pozostawiają na wargach jedynie nieosiągalne pragnienie jeszcze wyższej rozkoszy.

Metaliczne rżenie przeciągnęło w powietrzu i cztery razy zabrzmiał dzwon klasztorny. Czwarta godzina! A jej zdawało się, że siedzi tu na ławce wieczność całą. Ale nieskończoność namiętności może pomieścić się w jednej chwili, jak tłum na małej przestrzeni.

- Pani Bovary Emma żyła całkowicie pochłonięta namiętnościami i nie dbała o pieniądze, niczym arcyksiężna, Pewnego razu jednak wszedł do niej niepokazny, czerwony, łysy człowieczek i oznajmił, że jest wysłannikiem pana Vincart z Rouen. Wyciągnął szpilki spinające mu boczną kieszeń długiego surduta, wetknął je sobie w mankiet i uprzejmie podał jakiś papier.

Był to weksel na siedemset franków, podpisany przez nią, i który Lheureux, mimo zapewnień, odesłał Vincartowi.

Wysłała do Lheureux służącą. Nie mógł przyjść.

Wówczas nieznajomy, który stał ciągle, rzucając na prawo i lewo ciekawe spojrzenia spod gęstych, jasnych brwi, zapytał z naiwną miną:

- Jaką odpowiedź mam zawieźć panu Vincart?

- No cóż - odparła Emma - proszę mu powiedzieć... że nie mam... W przyszłym tygodniu, niech poczeka... tak, w przyszłym tygodniu.

I człeczyna wyniósł się bez słowa.

Ale nazajutrz w południe dostała protest; widok ostemplowanego papieru, na którym widniał, kilkakrotnie powtórzony wielkimi literami, napis: "Pan Hareng, komornik w Buchy" - tak dalece ją przeraził, że pobiegła co prędzej do kupca bławatnego.

Zastała go w sklepiku, jak zawiązywał sznurkiem jakąś paczkę.

- Sługa! - rzekł. - Jestem do pani dyspozycji. Po czym, klekocąc sabotami po deskach sklepiku, ruszył przodem na pierwsze piętro i wprowadził ją do wąskiego gabinetu, gdzie na wielkim biurku leżały księgi rachunkowe chronione poprzeczną żelazną sztabą, zamkniętą na kłódkę. Przy ścianie, pod zwojami perkalu, widniała kasa, ale takich rozmiarów, że musiała zawierać nie tylko banknoty i pieniądze. Pan Lheureux istotnie pożyczzał pod zastaw i tam właśnie złożył złoty łańcuch pani Bovary wraz z kolczykami biednego starego Tellier, który zmuszony wreszcie do wyprzedaży, nabył w Quin campoix nędzny sklepik kolonialny, gdzie umierał na katar kiszek, pośród świeczek mniej żółtych od jego twarzy. Lheureux zasiadł w swoim szerokim słomianym fotelu mówiąc:

- Cóż nowego?

- Proszę! - podała mu papier.

- No, więc cóż na to poradzę? Wówczas uniosła się, przypominając dane przez niego słowo, że nie puści weksli w obieg; przyznał, że tak było.

- Ale byłem zmuszony, miałem nóż na gardle.

- I co teraz będzie? - spytała.

- Och, to proste: wyrok sądowy, a potem sekwestracja... i tyle!

Emma wstrzymywała się, by go nie uderzyć. Spytała łagodnie, czy nie ma sposobu na uśmierzenie pana Vincart.

- Ach tak, uspokoić Vincarta; nie zna go pani wcale; okrutniejszy od Araba. A jednak pan Lheureux musi się tym zająć.

- Niechże pani posłucha! Zdaje mi się, że jak dotąd byłem dość dobry dla pani. I rozłożywszy jedną z ksiąg: - Proszę! Po czym jadąc palcem w górę stronicy:

- Zobaczymy... a więc 3 sierpnia, dwieście franków... 17 czerwca, sto pięćdziesiąt... 23 marca, czterdzieści sześć... W kwietniu...

Zatrzymał się jakby w obawie, by nie palnąć głupstwa.

- Nie mówiąc o wekslach podpisanych przez męża, jeden na siedemset franków, drugi na trzysta! A już co do pani drobnych zaliczek, co do procentów, jest tego bez końca, można się zaplątać. Mam już dość!

Płakała, nazwała go nawet „swoim pocziwym panem Lheureux”. Lecz on zrzucił winę na tego "szelmę Vincarta". Zresztą nie ma ani grosza, nikt mu teraz nie płaci, zdzierają mu ostatnią kapotę z grzbietu, ubogi kramarz jak on nie może pożyczać.

Emma milczała i pan Lheureux, który obgryzał pióro, zaniepokoił się, widząc, tym milczeniem, bo podjął:

- Gdybym przynajmniej miał w tych dniach jakieś wpływy... mógłbym...

. - Zresztą - podsunęła - jak tylko zaległość za Barneville...

- Jak to?...

I dowiedziawszy się, że Langlois jeszcze nie zapłacił, okazał wielkie zdziwienie. Po czym głosem miodowym:

- A więc, stanęło na ilu?

- O, na ilu pan chcesz!

Przymknął oczy, aby się zastanowić, napisał kilka cyfr i oznajmiwszy, że przyjdzie mu to z wielkim trudem, że sprawa jest drastyczna i że "zarzyna się" - podsunął cztery weksle po dwieście pięćdziesiąt franków każdy, rozłożone na cztery miesiące.

- Byleby Vincart się zgodził! Zresztą umowa stoi. Nie przedłużę terminów ani o dzień, jestem goły jak święty turecki.

Potem pokazał od niechcienia kilka nowych towarów, ale żaden, jego zdaniem, nie był godzien łaskawej pani.

- I pomyśleć, że oto suknia po trzydzieści pięć centów metr i z gwarancją, że nie farbuje. I dają się na to nabierać! Nikt im oczywiście prawdy nie powie, nie ma głupich! - Chciał przez ten dowód łajdactwa wobec innych przekonać ją o całkowitej uczciwości wobec niej.

Potem zawrócił ją jeszcze, by pokazać trzy łokcie gipiury, którą znalazł ostatnio na jakiejś wyprzedazy.

- Czyż nie piękna! - mówił. - Używa się tego dużo teraz jako ozdobę foteli, taka moda.

I z wprawą kuglarza zawinąwszy gipiurę w niebieski papier wsunął ją w rękę Emmy.

- Niechże wiem przynajmniej...

- Ach, później - odparł odwracając się na pięcie.

Tegoż wieczora zażądała, by Bovary napisał do matki o resztę zaległego spadku. Teściowa odpisała, że nie ma już nic; likwidacja była zakończona i oprócz Barneville pozostawało im sześćset funtów renty, które będzie regularnie wysyłała.

Wtedy pani doktorowa wysłała rachunki do dwóch czy trzech pacjentów i niebawem hojnie zaczęła używać tego środka, który okazał się owocny. Nie omieszkała nigdy dorzucić w postscriptum: "Proszę nie wspominać o tym mężowi, to zbyt przykre dla jego ambicji... przepraszam... szczerze oddana..." Nadeszło kilka reklamacji, przejęła je.

Aby zdobyć pieniądze, zaczęła wyprzedawać stare rękawiczki, kapelusze, żelastwo; handlowała z zachłannością, jej chłopska krew odżywała się w chęci zysku. Potem w podróżach do miasta zakupywała fatałaszki, które pan Lheureux z pewnością weźmie pod zastaw, w braku innych. Kupiła sobie strusie pióra, chińską porcelanę, stare kufry; zapożyczała się u Felicji, u pani Lefrancois, u hotelarki z "Pod

Czerwonego Krzyża", u wszystkich, byle gdzie. Pieniędzmi, które dostała wreszcie z Barneville, zapłaciła dwa weksle, tysiąc pięćset franków rozeszło się. Zadłużyła się znowu.

Czasem wprawdzie usiłowała robić rachunki, ale sumy wypadały jej tak wysokie, że nie mogła w nie uwierzyć. Zaczynała więc od nowa, płała się w tych obliczeniach, odkładała je i nie myślała o tym więcej.

Smutny był teraz dom! Dostawcy wychodzili wściekli. Tu i tam poniewierały się chusteczki. Mała Berta, ku oburzeniu pani Homais, miała dziurawe pończoszki. Jeśli Karol odważył się na jakąś nieśmiałą uwagę, Emma odpowiadała brutalnie, że to nie jej wina!

Skąd te gniewne wybuchy? Tłumaczył wszystko dawną chorobą nerwową; wyrzucał sobie, że poczytuje za wady to, co jest słabością, i miał ochotę biec ją uściskać, - O nie! - mówił sobie - rozdrażniłbym ją!

I zostawał.

Po obiedzie spacerował sam po ogrodzie; brał małą Bertę na kolana i rozkładając dziennik medyczny próbował uczyć ją czytać. Dziecko nigdy nie uczone otwierało szeroko smutne oczy i niebawem zaczynało płakać. Wówczas pocieszał ją; przynosił wody w konewce, żeby zrobić rzeki w piasku, lub łamał gałązki ligustru, by sadzić drzewka na grządkach, co nie psuło bynajmniej ogrodu porośłego wysokimi trawami; tyle już dniówek zalegali u Lestiboudois! Potem dziecku było zimno i chciało do matki.

- Zawołaj niani - mówił Karol. - Wiesz dobrze, córeczko, że mamie nie trzeba przeszkadzać.

Zaczynała się jesień i liście już opadały - jak dwa lata temu, kiedy chorowała! - Kiedyż skończy się to wszystko?... - I spacerował dalej z rękami założonymi do tyłu.

Pani była w swoim pokoju. Nikt tam nie wchodził. Przesiadwała tam całymi dniami, w odrętwieniu, nieubrana, zapalając od czasu do czasu pachnidła, które kupiła w Rouen, w kramiku Algierczyka. Aby nie mieć w nocy obok siebie tego śpiącego człowieka, grymasiła tak długo, aż wyniósł się na drugie piętro; i czytywała do rana niedorzeczne książki, gdzie obrazy orgii mieszały się z krwawymi scenami.

Często chwycił ją strach, krzyczała, Karol nadbiegał.

- Ach, idź sobie! - mówiła.

Kiedy indziej rozplomieniona wewnętrznym ogniem podsycanym przez cudzołóstwo, dysząca, wzruszona, pełna pożądań, otwierała okno, wdychała chłodne powietrze, rozpuszczała na wiatr ciężkie włosy i patrząc w gwiazdy pragnęła książęcej miłości. Myślała o Leonie. Oddałaby wówczas wszystko za jedno z owych spotkań, które ją nasycaly.

Były to jej uroczyste dni. Pragnęła, aby były wspaniałe! Gdy nie mógł sam pokryć wydatków, szcudrze dodawała resztę, co zdarzało się niemal za każdym razem. Próbował jej wytłumaczyć, że równie dobrze byłoby im gdzie indziej, w jakimś skromniejszym hotelu; ale nie chciała się na to zgodzić.

Pewnego dnia wyjęła z torebki sześć pozłacanych łyżeczek (był to prezent ślubny od ojca Rouault) prosząc, by natychmiast zaniósł je do lombardu; Leon usłuchał, choć krok ten nie spodobał mu się. Bał się kompromitacji.

Stopniowo doszedł do przekonania, że postępowanie kochanki staje się dziwne i że może mają słuszość ci, którzy chcą go od niej oderwać.

Istotnie, ktoś napisał do jego matki długi list anonimowy, w którym uprzedzał ją, że syna gubi męzatka; pocziwa dama widząc już w myślach ów odwieczny postrach rodziny, czyli nieokreślony, szkodliwy stwór, syrenę, potwora czającego się w

fantastycznych głębiach miłości - napisała natychmiast do adwokata Dubocage, który patronował synowi i okazał się bez zarzutu w tej sprawie. Trzymał go przez trzy kwadransy, chcąc mu zdjąć łuskę z oczu, ostrzec, że stoi nad przepaścią. Taki romans zaszkodzi w przyszłości jego pozycji. Błagał go o zerwanie, a jeśli Leon nie może zdobyć się na tę ofiarę we własnym interesie, niech zrobi to przynajmniej dla niego, adwokata Dubocage.

Leon przyrzekł wreszcie, że nie zobaczy już Emmy, i wyrzucał sobie, że nie dotrzymuje słowa; rozważał wszystkie przykrości i plotki, jakie ta kobieta mogła nań ściągnąć, pomijając już żarciki kolegów opowiadane rankami przy piecu. Zresztą miał właśnie zostać starszym pisarzem: najwyższy czas było spoważnieć. Zerwał więc z fletem, egzaltacją, grą wyobraźni; każdy bowiem mieszczuch, w porywach młodości, choćby dzień jeden, choćby przez chwilę, czuje się zdolny do ogromnych namiętności, do najwyższych porywów. Najpośledniejszy rozpustnik marzy o suitankach; każdy notariusz nosi w sobie szczątki poety.

Nużyło go już, gdy Emma nagle szlochła mu na piersi; i serce jego, jak ludzie, co znoszą tylko pewną określoną dawkę muzyki, drzemało obojętnie w tym hałasie miłosnym, nie rozróżniając jego subtelności.

Znali się zbyt dobrze, aby doznawać owych zdumień posiadania, które wzmagają stokrotnie jego uroki. W niej było tyleż niesmaku, co w nim zmęczenia. Emma odnalazła w cudzołóstwie całą pospolitość małżeństwa.

Ale jak się z tego wyswobodzić? Mimo upokorzenia płaskością takiego szczęścia, czepiała się go jednak z przyzwyczajenia czy też z zepsucia; z zapamiętaniem co dzień większym niszczyła wszelką szczęśliwość, bo pragnęła zbyt wielkiej. Oskarżała Leona o zawiedzione nadzieje, jakby winien był zdrady; i nawet pragnęła katastrofy, która by ich rozdzieliła, skoro sama nie miała odwagi na rozstanie.

Mimo to pisywała do niego nadal listy miłosne, w myśl zasady, że kobieta powinna zawsze pisywać do kochanka.

Piszac jednak miała przed oczyma innego człowieka, utkanego z własnych najgorętszych pragnień, z najpiękniejszych lektur, z najmocniejszych pożądań; i stawał się wreszcie tak prawdziwy i dostępny, że drżała olśniona, choć nie potrafiła go sobie jeno uzmysłowić, bo niczym bóstwo ginął pod obfitością swych przymiotów. Zamieszkiwał błękitną krainę, gdzie jedwabne drabinki kołyszą się u balkonów, w zapachu kwiatów, w poświęceniu księżycy. Czują go przy sobie, zaraz nadejdzie i porwie ją całą w jednym pocałunku. Potem opadała złamana, bo te nieokreślone porywy miłosne męczyły ją bardziej niż największa rozpusta.

Doznawała teraz nieprzerwanego, bolesnego znużenia. Często dostawała asygnaty, stemplowane papierki - ledwie okiem na nie rzuciła. Pragnęła już nie żyć lub spać nieustannie.

W dzień śródpościa nie wróciła do Yonville; poszła wieczorem na bal maskowy. Włożyła aksamitne spodnie i czerwone pończochy, perukę z hareapem i lampion na ucho. Płasała całą noc przy wściekłych dźwiękach puzonów; ludzie otaczali ją kołem; nad ranem znalazła się pod kolumnadą teatru wśród pięciu czy sześciu masek, dziewczyn portowych i majtków, kolegów Leona; wybierali się na kolację.

Kawiarnie okoliczne były pełne. Upatrzyli w porcie podrzędna restaurację, której właściciel otworzył im na czwartym piętrze mały pokoik.

Mężczyźni szeptali w kącie, naradzając się, widać, nad kosztami. Był tam pisarz notarialny, dwóch medyków i subiekt, cóż za towarzystwo dla niej! Co do kobiet,

Emma spostrzegła się szybko, z dźwięku ich głosów, że wszystkie niemal musiały być ostatniego rzędu. Przestraszyła się, odsunęła krzesło i spuściła oczy.

Tamci zabrali się do jedzenia. Nie jadła; czoło miała rozognione, klucie pod powiekami i lodowaty chłód w skórze. W głowie czuła podłogę sali balowej, wstrząsaną rytmicznym drganiem tysiąca tańczących nóg. Po chwili zapach ponczu pomieszany z dymem cygar odurzył ją. Omdlewała, zanieśli ją pod okno.

Dniało i wielka purpurowa plama rozlewała się po bladym niebie od strony Sw. Katarzyny. Zsiniąta rzeka drgała na wietrze; na mostach nie było nikogo; latarnie gasły.

Oprzytomniała i pomyślała o Bercie śpiącej w pokoju niańki. Ale wóz pełen długich pasm żelaza przejechał ciskając o mury domów ogłuszające, metaliczne drgania.

Wymknęła się szybko, pozbyła się kostiumu, rzuciła Leonowi, że musi już wracać, i znalazła się wreszcie sama w Hotelu Bulońskim. Wszystko dokoła i ona sama było nie do zniesienia. Pragnęła moc. wyrwać się jak ptak i odświeżyć się gdzieś daleko w niepokalanych przestworzach.

Wyszła, minęła bulwar, plac i przedmieście aż ku szerokiej ulicy nad ogrodami. Szła szybko, powietrze ją kołło: stopniowo twarze tłumy, maski, kadryle, żyrandole, kolacja, kobiety, wszystko nikło jak rozwiane opary. Potem, wróciwszy do gospody "Pod Czerwonym Krzyżem", rzuciła się na łóżko w małym pokoiku na drugim piętrze, gdzie wisały ryciny z Wieży Nesle. O czwartej po południu obudził ją Hivert.

Kiedy wróciła do domu, Felicja wskazała jej szare pismo za zegarem. Odczytała:

"Na podstawie odpisu jako egzekutywa wyroku..."

Jakiego wyroku? Istotnie, dnia poprzedniego przyniesiono jej inne pismo, o którym nie wiedziała, toteż osłupiała czytając słowa:

"W imieniu Króla, prawa i sprawiedliwości, do pani Bovary..."

Przeskakując kilka wierszy dostrzegła:

"W ciągu dwudziestu czterech godzin jako termin ostateczny."

Ale co? Zapłacić całą sumę ośmiu tysięcy franków. A na samym dole: „Będzie zmuszona na drodze prawnej, a mianowicie przez zajęcie jej mebli i rzeczy."

Co począć?... Za dwadzieścia cztery godziny, więc jutro! Lheureux, pomyślała, chce ją znowu nastraszyć; odgadła nagle wszystkie jego manewry i cel jego usłużności. Pocieszało ją wyolbrzymienie sumy.

A jednak kupując, nie płacąc, pożyczając, podpisując i prolongując weksle, które nabrzmiewały za każdym nowym terminem, uzbierała wreszcie dla pana Lheureux kapitał, którego niecierpliwie oczekiwał dla swoich spekulacji. Pojawiła się u niego i z całą swobodą:

- Wie pan - rzekła - co mi się przydarzyło? To chyba żarty!

- Nie!

- Jak to?

Odwrócił się powoli i wymówił krzyżując ręce:

- Czy sądziłaś, moja paniusiu, że aż do skończenia świata będę pani dostawcą i bankierem dla twoich pięknych oczu? Muszę wreszcie pościągać moje pożyczki, bądźmy sprawiedliwi!

Oburzyła się na wysokość długu.

- Ha, trudno! Sąd go uznał! Jest wyrok! Doręczono go pani! Zresztą to nie ja, to Vincart.

- A czy nie mógłby pan?...

- O nie, nic!

- Ale... jednak... zastanówmy się. Zaczęła się plątać, nie wiedziała o niczym... to była niespodzianka...

- Czyja w tym wina? - odparł Lheureux kłaniając się drwiąco. - Podczas gdy ja haruję jak Murzyn, pani sobie miło czas spędza.

- Ach, tylko bez morałów!

- To nigdy nie zawadzi - odpalił. Zachowała się niegodnie, błagała, a nawet oparła swą dłoń. białą i długą, na kolanie kupca.

- Dajże mi pani spokój! Myślałby kto, że chcesz mnie pani uwieść!

- Nikczemnik! - krzyknęła.

- O, o! aż tak dalece! - odrzekł ze śmiechem.

- Wyjawię, kim pan jesteś. Powiem mężowi...

- Ach tak, ja też mu coś pokażę, temu mężowi! I Lheureux wyciągnął ze swej kasy kwit na tysiąc osiemset franków, który mu dała przy transakcji z Yincartem.

- Czy myśli pani - dorzucił - że biedny pocziwina nie pozna się na tej malutkiej kradzieży?

Opadła, bardziej zmiażdżona niż pod uderzeniem maczugi. Przechadzał się od okna do biurka powtarzając:

- O, pokażę mu... Pokażę mu...

Po czym podszedł do niej i głosem słodkim:

- Ja wiem, że to niezabawne; ale ostatecznie nikt od tego nie umarł i skoro to jedyny sposób, żeby oddać mi pieniądze.

- Ale skąd ja wezmę? - spytała Emma załamując ręce.

- Ba! Jak się ma przyjaciół! I patrzył w nią tak przenikliwie i strasznie, że dreszcz ją przeszył aż do głębi trzewi.

- Obiecuję panu - rzekła - podpiszę...

- Mam dość pani podpisów!

- Sprzedam coś jeszcze...

- Brednie - wzruszył ramionami. - Nie ma pani już nic.

I krzyknął w okienko prowadzące do sklepu:

- Anka, nie zapomnij o trzech kuponach numeru 14.

Ukazała się służąca; Emma pojęła i spytała:

- Ile trzeba pieniędzy na wstrzymanie kroków sądowych?

- Już za późno!

- Ale gdybym panu przyniosła kilka tysięcy franków, czwartą część sumy, trzecią część, prawie wszystko?

- Ech, nie, to zbyt wiele!

Popychał ją nieznacznie ku schodom.

- Zaklinam pana, panie Lheureux, jeszcze kilka dni!

Szlochała.

- No, no, zaraz łzy!

- Doprowadza mnie pan do rozpaczki!

- Gwiżdżę na to! - odparł zamykając drzwi za nią.

vii Okazała stoicki spokój nazajutrz, gdy pan Hareng, komornik, stawił się u niej z dwoma świadkami, aby zrobić zajęcie.

Zaczęli od gabinetu pana Bovary i nie zapisali głowy frenologicznej, którą uznali za narzędzie pracy, ale w kuchni policzyli półmiski, rondle, krzesła, lichtarze, a w jej sypialnym pokoju wszystkie drobiazgi na półce. Obejrzel jej suknie, bieliznę,

gotowalnię, całe jej życie aż po najbardziej osobiste zakątki leżało jak trup rozciągnięty na sekcji pod spojrzeniami tych trzech ludzi.

Pan Hareng, opięty w cienki, czarny surdut, w białym krawacie, z mocno napiętymi strzemionkami u spodni, powtarzał od czasu do czasu:

- Pani pozwoli? Pani pozwoli? Często wykrzykiwał:
- Urocze!... Prześliczne!...

Po czym pisał dalej, maczając pióro w rogowym kałamarzu, który trzymał w lewej ręce.

Kiedy skończyli z mieszkaniem, poszli na strych. Stał tam sekretarzyk, w którym schowała listy Rudolfa. Trzeba go było otworzyć.

- Ach, korespondencja - wyrzekł pan Hareng z dyskretnym uśmiechem. - Ale pani pozwoli, muszę się upewnić, czy pudełko nie zawiera nic innego i poruszył lekko papiery, jakby chciał z nich wytrząsnąć napoleony. Ogarnęło ją oburzenie, gdy patrzyła, jak wielka łapa o czerwonych, ślimakowatych palcach kładzie się na arkusiki, w których niegdyś tętniło jej serce.

Poszli wreszcie; Felicja weszła z powrotem do pokoju, Emma wysłała ją na czaty, by zawróciła Karola; szybko umieścili na poddaszu woźnego, który przysięgł się stamtąd nie ruszać.

Karol przez cały wieczór wydawał się jej zatroskany. Śledziła go wzrokiem pełnym niepokoju i pośród zmarszczek na jego twarzy doszukiwała się oskarżenia. Potem, gdy błędziła oczami po kominku ozdobionym chińskimi ekranami, po szerokich firankach, fotelach, po wszystkich przedmiotach, które osładzały gorycz jej życia, chwytaly ją wyrzuty sumienia lub raczej ogromny żal, który zamiast łagodzić rozdrażniał jej namiętności. Karol spokojnie poruszał głównie w kominku, oparłszy obie nogi na wilku.

W pewnej chwili woźny, nudząc się pewno w swej kryjówce, narobił trochę hałasu.

- Ktoś chodzi na górze? - rzekł Karol.
- Nie - zaprzeczyła - okienko jest otwarte i wiatr nim stuka.

Nazajutrz, w niedzielę, pojechała do Rouen, by obejść kolejno wszystkich bankierów, których znała z nazwiska.

Byli na wywczasach lub w podróży. Nie zniechęcała się i tych, których zastała, prosiła o pieniądze, zapewniając, że są jej koniecznie potrzebne, że odda. Kilku roześmiało się jej w twarz; wszyscy odmówili.

O drugiej pobiegła do Leona i zastukała do jego drzwi. Nie otwierano. Wreszcie ukazał się.

- Skąd się wzięłaś?
- Przeszkadzam ci!
- Nie... ale...

Przyznał, że gospodarz nie lubi, żeby lokatorzy przyjmowali "kobiety".

- Mam z tobą do pomówienia - podjęła. Sięgnął po klucz, ale go powstrzymała.
- Och nie! tam, u nas.

Poszli więc do ich pokoju w Hotelu Bulońskim. Wypiła całą szklankę wody. Była bardzo blada. Powiedziała:

- Leonie, musisz mi oddać przysługę. I potrząsając go za obie ręce, które ścisnęła mocno, dodała:

;- Słuchaj, potrzebuję ośmiu tysięcy franków.

- Chyba oszalałaś!
- Jeszcze nie.



Po czym opowiedziała mu historię zajęcia i przedstawiła swoją rozpaczliwą sytuację: Karol o niczym nie wie, teściowa jej nienawidzi, ojciec nie może jej pomóc, ale on, Leon, poszuka tej nieodzownej sumy.

- Jakim sposobem?...

- Cóż za niedołęga! - krzyknęła. Wówczas powiedział niezdarnie:

- Wyolbrzymiasz nieszczęście. Może wystarczy tysiąc dla uspokojenia twego jęgościa.

Tym bardziej należy coś przedsięwziąć; niemożliwością jest, by nie zdobyli trzech tysięcy franków, zresztą Leon mógłby poręczyć za nią.

- Idź! Próbuj! To konieczne! Biegnij!... O, postaraj się! Postaraj! Będę cię bardzo kochała!

Wyszedł, wrócił po godzinie i oznajmił z twarzą uroczystą:

- Byłem u trzech osób... na próżno.

Potem, siedzieli naprzeciw siebie w dwóch rogach kominka, nieruchomo, w milczeniu; Emma wzruszała ramionami dygocąc całą. Dostyszał jej szept:.

- Gdybym była na twoim miejscu, znalazłabym!

- Gdzie?

- W twojej kancelarii.

Z roziskrzonych źrenic biła piekielna zuchwałość, a powieki mrużyły się w sposób lubieżny i zachęcający; młody człowiek poczuł, że słabnie pod niemą wolą tej kobiety, która doradzała mu zbrodnię. Przeraził się i chcąc uniknąć jakichkolwiek wyjaśnień, uderzył się w czoło i wykrzyknął:

- Morel ma wrócić tej nocy! Nie odmówi mi, spodziewam się (był to jego przyjaciel, syn bogatego kupca), i jutro ci przywiozę - dodał.

Emma nie przyjęła tej nadziei z radością, której się spodziewał. Czy podejrzewała kłamstwo?

- Ale gdybym nie przyjechał do trzeciej - podjął rumieniąc się - nie czekaj na mnie dłużej, kochanie. Muszę już iść, wybacz. Bądź zdrowa!

Uścisnął jej rękę, ale poczuł, że jest bezwładna. Emma nie miała już sił na żadne uczucia.

Wybiła czwarta, więc wstała, by wrócić do Yonville, wiedziona, jak automat, siłą przyzwyczajenia.

Pogoda była piękna: był to jeden z tych dni marcowych jasnych i rześkich, kiedy słońce lśni na białym niemal niebie. Wystrojeni odświętnie mieszkańcy Rouen spacerowali beztrudnie. Doszła do placu katedralnego. Było po niesporach; tłum wylewał się przez trzy portale, jak rzeka pod trzema łukami mostu, a pośrodku, nieruchomy jak skała, tkwił szwajcar. Przypomniała sobie ów dzień, w którym trwożna i pełna nadziei wchodziła w tę nawę rozległą, a jednak mniej głęboką niż jej miłość - i szła dalej, płacząc pod woalką, ogłuszona, chwiejna, bliska omdlenia.

- Z drogi! - krzyknął jakiś głos z bramy, którą otwierano.

Stanęła, by przepuścić karego konia rzucającego się w dyszlach eleganckiego tilbury, powożonego przez dżentelmena w sobolowym futrze. Któż to był? Znała go. Pojazd przemknął i znikł.

Przecież to był on, wicehrabia! Obejrzała się; ulica była pusta. Uczuła się tak zgnębiona, tak smutna, że oparła się o mur, by nie upaść.

Potem pomyślała, że się pomyliła. Zresztą to obojętne. Wszystko w niej samej i poza nią opuszczało ją. Czowała, że jest zgubiona, że stacza się na oślep w niezgłębną otchłań, i nieomal z radością dojrzała w gospodzie "Pod Czerwonym Krzyżem" poczciwego Homais, który pilnował, jak ładowano do "Jaskółki" wielkie

pułdo, pełne farmaceutycznych zapasów; w ręku trzymał, owiniętych fularem, sześć normandzkich bułek dla żony.

Pani Homais lubiła bardzo te ciężkie bułeczki w kształcie turbanu, jadane w poście z solonym masłem: ostatni szczątek gotyckiego jadła, sięgający być może okresu wojen krzyżowych, jadła, którym krzepkie Normandy opychały się niegdyś, wyobrażając sobie, że widzą na stole, w świetle żółtych pochodni, pośród dzbanów hipokrasu i olbrzymich wędlin - głowy Saracenów do pożarcia. Żona aptekarza chrupała je tak jak oni bohatercko pomimo okropnego uzębienia; toteż ilekroć pan Homais wyruszał w podróż do miasta, nigdy nie omieszkał przywieźć jej tego pieczywa, które nabywał u wielkiego specjalisty przy ulicy Massacre.

- Jakże miło mi widzieć panią! - wyrzekł podając rękę Emmie, aby jej pomóc przy wsiadaniu do "Jaskółki".

Po czym zawiesił bułeczki na rzemykach siatki i siedział z głową odkrytą i założonymi rękami, w pozie zadumanej, napoleońskiej.

Lecz gdy ślepiec, jak zazwyczaj, ukazał się u podnóża stoku, wykrzyknął:

- Nie pojmuję, jak władze mogą tolerować ten występny sposób zarobkowania! Należałoby zamknąć tych nieszczęśników i zmusić ich do jakiejś pracy. Postęp, na honor, kroczy żółwim krokiem! Drepcemy ciągle w błocie barbarzyństwa!

Niewidomy wyciągnął kapelusz, który kołysał się na brzegu drzewiczek jak kawał oderwanego obicia.

- Otóż i schorzenie skrofuliczne - rzekł aptekarz.

I chociaż znał dobrze biedaka, udał, że widzi go po raz pierwszy, wymamrotał kilka terminów, jak "rogówka", "rogówka zmętniała", "sklerotyczna", po czym zapytał tonem ojcowskim:

- Od jak dawna, mój drogi, dotknięty jesteś tym okropnym kalectwem? Zamiast upijać się w karczmie, powinien byś raczej stosować leczenie.

Radził mu pić dobre wino, jeść dobre mięso. Ślepiec nie przerywał swojej piosenki; wyglądał zresztą na idiotę. Wreszcie pan Homais otworzył sakiewkę.

- Masz tu jeden sou, oddaj mi dwa Hardy: i nie zapomnij moich zleceń, wyjdą ci na dobre.

Hivert pozwolił sobie głośno powątpiewać o ich skuteczności. Ale aptekarz zapewnił, że uzdrowi go sam, maścią antiflogistyczną własnego wyrobu, i podał swój adres:

- Pan Homais, koło rynku, dostatecznie znany.

- No, to za fatygę - rzekł Hivert - pokaż nam "komedię".

Ślepiec przykucnął i z głową w tył przechyloną, przewracając zielonkawymi oczami i wyciągając język, pocierał sobie żołądek obiema rękami, a przy tym wydawał coś w rodzaju głuchego wycia, jak zgłodniały pies. Emma przejęta wstrętem rzuciła mu przez ramię monetę pięciofrankową. Był to cały jej majątek. Wydało jej się piękne roztrwonić go w ten sposób.

Dyliżans ruszył, gdy nagle pan Homais wychylił się przez okienko i krzyknął:

- Żadnych potraw mącznych ani mlecznych! Nosić wełnę na gołe ciało i okadzać części schorzałe dymem z jagód jałowca!

Widok znajomych przedmiotów, które przesuwają się przed jej oczyma, odrywał myśl Emmy od obecnego cierpienia. Przytłaczało ją nieznośne zmęczenie i przyjechała do domu otępiła, znękana, prawie usypiająca.

- Niech się dzieje, co chce - mówiła sobie. - A zresztą, kto wie? Czemuż by lada chwila nie miał zająć jakiś niezwykły wypadek? Może nawet Lheureux umrze.

O dziewiątej rano zbudził ją gwar głosów na placu. Dokoła hal targowych tłoczyli się ludzie chcąc odczytać wielki afisz przyklejony na jednym ze słupów. Ujrzała, jak Justyn włazi na słup i zdiera afisz. Ale w tejże chwili strażnik położył mu rękę na kołnierzu. Pan Homais wyszedł z apteki, a pani Lefrancois, pośrodku tłumu, zdawała się o czymś rozprawiać.

- Proszę pani, proszę pani! - zawołała wbiegając Felicja - to okropność!

I biedna dziewczyna, poruszona, podała jej żółty papier, który właśnie zdarła z drzwi. Emma w mgnieniu oka przeczytała, że wszystkie jej ruchomości są na sprzedaż.

Spojrzały po sobie w milczeniu. Służąca i pani nie miały dla siebie tajemnic. Wreszcie Felicja westchnęła:

- Na pani miejscu poszłabym do pana Guillaumin.

- Tak sądzisz?

A pytanie to miało znaczyć: ty, która znasz dom przez służącego, czyżbyś słyszała, że pan wspominał o mnie kiedykolwiek?

- Tak, niech pani idzie, tak będzie dobrze.

Ubrała się, włożyła czarną suknię i płaszcz w dzęty, ażeby jej nie dostrzeżono (plac wciąż pełen był ludzi); poszła ścieżką nad brzegiem wody, za miastem.

Stała zdyszana przed furką notariusza; niebo było chmurne, prószył śnieg.

Na dźwięk dzwonka ukazał się na ganku Teodor w czerwonej kamizelce; otworzył jej nieomal poufale, jak dobrej znajomej, i wprowadził do jadalni.

Nad szerokim porcelanowym piecem, w którym trzaskał ogień, stał kaktus, wypełniając wnękę, a na taoecie, w czarnych ramach, wisiła Esmeralda, Steubena i Putyfara Schopina. Zastawiony stół, dwie srebrne fajerki, kryształowe klamki u drzwi, posadzka i meble, wszystko lśniło skrupulatną, angielską czystością; szyby ozdobione były po rogach kolorowymi szklami.

„Przydałaby mi się taka jadalnia” - pomyślała Emma.

Notariusz wszedł przyciskając lewą ręką do ciała szlafrok w palmy, podczas gdy prawą szybko zdejmował i wkładał brązową aksamitną czapeczkę, pretensjonalnie przekrzywioną na prawą stronę, gdzie opadały końce trzech jasnych kosmyków, które "pożyczone" na potylicy, okalały jego łysą czaszkę.

Podał jej krzesło, po czym zasiadł do śniadania,, przeprasząc za tę nieuprzejmość.

- Panie - wyrzekła - mam prośbę...

- Jaka, pani? Słucham.

Przedstawiła mu swoją sytuację.

Pan Guillaumin znał ją, gdyż utrzymywał potajemne stosunki z kupcem bławatnym, u którego zawsze znajdował kapitały na pożyczki hipoteczne, jakie zaciągano za jego pośrednictwem. Wiedział więc (lepiej od niej) o całej historii tych weksli, zrazu drobnych, żyrowanych przez rozmaite osoby;, rozłożonych na długie terminy, ustawicznie wznawianych, aż po dzień, kiedy zebrawszy wszystkie protesty kupiec polecił swemu przyjacielowi Vincartowi, by w jego imieniu rozpoczął odpowiednie kroki sądowe, sam bowiem nie chciał uchodzić pomiędzy współobywatelami za tygrysa.

Przeplatała swe opowiadanie oskarżeniami przeciw Lheureux, na które to oskarżenia notariusz odpowiadał od czasu do czasu nic nie znaczącym słowem. Zajadając kotlet i popijając herbatę zanurzał podbródek w błękitną krawatkę, spiętą dwiema brylantowymi szpilkami, połączonymi złotym łańcuszkiem, i uśmiechał się

dziwnie, słodkavo i dwuznacznie. Lecz spostrzegłszy, że pani Bovary ma przemoczone nogi, powiedział:

- Niechże pani usiądzie bliżej pieca... i stopy wyżej... na porcelanie.

Bała się ją zabłocić. Notariusz rzekł tonem nadskakującym:

- Rzeczy piękne niczego nie brudzą. Usiłowała go wzruszyć i podniecając się sama, opowiedziała mu o swych domowych niedostatkach, kłopotach, potrzebach. Rozumiał dobrze: kobieta wykwintna! I nie przestając jeść odwrócił się cały ku niej tak, że kolaniem dotykał jej trzewika, którego podeszwa przytknięta do pieca wyginała się dymiąc.

Ale gdy poprosiła o tysiąc talarów, zaciął usta, po czym oświadczył, iż ogromnie żałuje, że nie powierzyła mu dawniej kierownictwa swych funduszków, istniało bowiem tysiące dogodnych sposobów, nawet dla damy z towarzystwa, by ciągnąć dochody z kapitału. Można było bądź na torfowiskach w Grumesnil, bądź na gruntach w Hawrze próbować bez ryzyka doskonałych spekulacji; rzucał ją na pastwę wściekłości na myśl o fantastycznych sumach, jakie mogła zarobić.

- Jak to się stało - podjął - że nie zwróciła się pani do mnie?

- Sama nie wiem - odparła.

- No, dlaczego?... Czyż taki jestem straszny? To ja raczej powinienem się uskarżać! Ledwie że się znamy! A ja tymczasem jestem pani tak szczerze oddany: nie wąpi pani o tym chyba?

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, wycisnął na niej żarłoczny pocałunek i przytrzymał na swoim kolanie; igrał delikatnie z jej palcami, prawiąc przy tym tysiące słodkich słówek.

Jego cikliwy głos szemrał jak strumyk, iskierki tryskały ze źrenic poprzez migotliwe szkła okularów, a ręce wsuwały się w rękaw Emmy, by dotknąć jej ramienia. Na policzku czuła jego przyspieszony oddech. Mierzył ją okropnie ten człowiek.

Zerwała się i rzekła:

- Ja czekam, panie!

- Na co? - spytał notariusz, który nagle pobladł.

- Na te pieniądze.

- Ależ...

Po czym ulegając wybuchowi niepowściąganey żądz:

- No więc dobrze!...

Czołgał się do niej na kolanach nie zważając na szlafrok.

- Zmiłuj się, zostań, kocham panią!

Chwycił ją wpół.

Purpurowa fala napływała na twarz pani Bovary. Cofnęła się oburzona i wykrzyknęła:

- Pan korzysta bezwstydnie z mojego strapienia! Zasluguję na litość, ale nie jestem na sprzedaż!

I wyszła.

Zostawiła notariusza osłupiałego, z oczyma utkwionymi w swe piękne haftowane pantofle. Były podarunkiem miłosnym. Widok ten pocieszył go w końcu. Doszedł zresztą do wniosku, że taka przygoda pociągnęłaby go zbyt daleko.

- Cóż za nędznik! Co za łotr!... Jaka podłość - mówiła do siebie Emma biegnąc nerwowym krokiem pod przydrożnymi osikami. Zawód wzmagął w niej oburzenie dotkniętej wstydlivosti; zdawało jej się, że Opatrzność uwzięła się na nią, i pyszniąc się tym niejako, nigdy nie miała tyle szacunku dla siebie i tyle pogardy dla innych. Ogarnęło ją coś wojowniczego. Chciała zbić wszystkich mężczyzn, napluć im w

twarz, zmiażdżyć ich; szła szybko przed siebie, blada, drżąca, wściekła, przebiegając łzawym okiem pusty widnokrąg i jakby rozkoszując się dławiającą ją nienawiścią.

Gdy ujrzała swój dom, zdrętwiała, nie mogła kroku dalej postąpić; a jednak musiała; zresztą, dokąd uciekać?

Felicja czekała na nią w drzwiach.

- No i co?

- Nic - rzekła Emma.

I przez cały kwadrans robiły razem przegląd wszystkich osób w Yonville, które mogłyby ją wspomóc. Lecz za każdym razem, gdy Felicja wymieniała kogoś, Emma mówiła:

- Niepodobna, nie zechcą.

- A pan zaraz nadejdzie!

- Wiem o tym... Zostaw mnie samą. Próbowала wszystkiego. Nie było już nic do zrobienia; i teraz gdy Karol się pojawi, powie mu:

- Odejdź. Dywan, po którym stąpasz, już nie jest nasz. Z twojego domu nie został ci już ani jeden mebel, ani szpilka, ani słomka, i to ja cię zrujnowałam, biedaku!

Wówczas on wybuchnie szlochem, potem wypłacze się i wreszcie, gdy pierwsze wrażenie minie, przebaczy.

- Tak - szeptała zaciskając zęby - przebaczy mi, on, któremu nie starczyłoby miliona na przebłaganie mnie za to, że mnie poznał... Nigdy! nigdy!

Myśl o wyższości Karola nad nią doprowadzała ją do rozpacz. Zresztą, czy wyzna mu, czy nie, i tak, za chwilę lub jutro, dowie się o katastrofie; należało więc czekać na tę okropną scenę i przyjąć brzemię jego wspaniałomyślności. Przyszła jej ochota pójść jeszcze raz do Lheureux: ale po co? Napisać do ojca:

za późno. Być może żałowała w tej chwili, że nie uległa tamtemu, gdy wtem usłyszała tętent konia w alei. To był on, otwierał bramę, był blady jak ściana. Wskoczyła na schody i wymknęła się szybko przez plac. Żona burmistrza, która rozmawiała przed kościołem z panem Lestiboudois, widziała ją wchodzącą do poborcy.

Pobiegła donieść o tym pani Caron. Obie panie weszły na strych i ukryte za bielizną wiszącą na żerdziach, usadowiły się wygodnie, aby widzieć wnętrza mieszkania Bineta.

Był sam na swym poddaszu, zajęty imitowaniem w drzewie jednego z tych nieopisanych sprzętów z kości słoniowej, złożonych z półksiężyców, z kuł drażonych jedno w drugim; całość była prosta jak obelisk i nie służyła do niczego. Zabierał się właśnie do ostatniej sztuki, dobiegał końca. W półcieniu warsztatu jasny pył ulatywał spod narzędzia jak snop iskier spod kopyt konia w galopie; oba koła kręciły się, warczały. Binet uśmiechał się, z głową spuszczoną, z rozdętymi nozdrzami, pogrążony w pełni szczęśliwości; bywa ona nagrodą jedynie zajęć poślednich. Bawia one umysł pokonywaniem łatwych trudności i zaspokajają osiągnięciem, które nie pozostawia miejsca żadnym już innym marzeniom.

- Ach! Otóż i ona! - szepnęła pani Tuvache. Ale nie sposób było, z powodu turkotu, dosłyszeć, co mówiła.

Wreszcie wydawało się paniom, że rozróżniły wyraz: franki, i pani Tuvache szepnęła cichutko:

- Prosi go o pożyczkę, żeby uzyskać zwłokę w licytacji.

- To tylko pozór - odrzekła tamta. Widziały, jak chodziła tam i z powrotem przyglądając się wiszącym na ścianie kółkom do serwetek, lichtarzom i zakończeniom poręczy, a Binet gładził brodę z zadowoleniem.

- Czyżby przyszła obstałować co u niego? - rzekła pani Tuvache.

- Ależ on nic nie sprzedaje! - zauważyła sąsiadka.

Poborca zdawał się słuchać i wytrzeszczał oczy, jakby nie rozumiał. Ona ciągnęła dalej czule, błagalnie. Podeszła do niego, pierś jej falowała; nie mówili już nic.

- Czyżby robiła mu awanse? - rzekła pani Tuvache.

Binet stał czerwony po same uszy. Ujęła go za rękę.

- Ach, tego już za wiele!

Niewątpliwie proponowała mu jakieś bezeceń-, stwo, gdyż poborca - a był to jednak człowiek i dzielny, bił się pod Bautzen i pod Lutzen, odbył kampanię francuską i nawet przedstawiono go do orderu, odskoczył nagle, jakby spostrzegł węża, i wykrzyknął:

- Co też pani przyszło do głowy!

- Należałoby ćwiczyć różgami takie kobiety - rzekła pani Tuvache.

- Gdzież ona? - podjęła pani Caron.

Bo właśnie znikła im w trakcie tych słów; dostrzegłszy ją, jak zdążyła główną ulicą i skręciła na prawo, jakby w kierunku cmentarza, pogrążyły się w domysłach.

- Matko Rollet - zawołała wpadając do niańki. - Duszno mi! Rozsznuruj mnie!

Padła na łóżko; szlochala. Matka Rollet okryła ją jakąś spódnicą i stanęła nad nią. Ponieważ Emma jej nie odpowiadała, poczciwa kobiecina odeszła do swego kołowrotka i zabrała się do przędzenia lnu.

- Och, przestań! - szepnęła, bo zdawało się jej, że słyszy tokarkę Bineta, - Co jej jest? - pytała siebie mamka. - Po co tu przyszła?

Przybiegła tu, gnana jakimś przerażeniem, które wypędziło ją z domu.

Leżała na wznak; nieruchomo, z oczyma osłupiałymi, zaledwie rozróżniając przedmioty, chociaż wyteżala uwagę z idiotycznym uporem. Wpatrywała się w pęknięcia na ścianie, w dwie główne dymiące obok siebie i w długiego pająka, który pełzł nad jej głową w szparze belki. Wreszcie zebrała myśli. Przypomniała sobie... Któregoś dnia z Leonem... Ach, jakież to dalekie... Słońce połyskiwało na rzece i pachniały powojniki. Porwana przez wspomnienia jak przez wzburzony potok, dotarła wkrótce do dnia wczorajszego.

- Która godzina? - spytała.

Matka Rollet wyszła, podniosła palce prawej ręki w stronę, gdzie niebo było najjaśniejsze, i powróciła z wolna, mówiąc:

- Niedługo trzecia.

- Ach! Dziękuję, dziękuję!

Bo przecież on przyjedzie. Na pewno. Zdobył pieniądze. Ale pójdzie pewno tam, nie domyślając się, że ona jest tutaj, więc kazała mamce biegać do domu, żeby go przyprowadzić.

- Spiesz się!

- Ależ, kochana paniusiu, idę, już idę. Dziwiła się teraz, że od razu o nim nie pomyślała. Dał jej przecież wczoraj słowo, nie zawiedzie; widziała już siebie u Lheureux, rozkładającą na biurku trzy banknoty. Potem trzeba będzie wymyślić jakąś historię, żeby wyjaśnić sprawę Karolowi, Ale jaką?

Mamka jednak długo nie wracała. Ponieważ w chacie nie było zegara, Emma łudziła się, że wydłuża sobie może upływający czas. Zaczęła spacerować w kółko po ogrodzie, krok za krokiem; poszła ścieżką wzdłuż płotu, ale wróciła szybko, spodziewając się, że kobiecina nadeszła inną drogą. Wreszcie zmęczona oczekiwaniem, ogarnięta wątpliwościami, które odpychała, nie wiedząc, czy jest tu

wieki całe, czy chwilę za ledwie, usiadła w kącie, zamknęła oczy, zatkała sobie uszy. Brama zgrzytnęła: zerwała się, lecz zanim otworzyła usta, matka Rollet powiedziała:

- Nie ma nikogo u pani!

- Jak to?

- Och, nikogo! I pan płacze. Wzywa panią. Szukają pani.

Emma nie odpowiedziała. Dyszała ciężko i przewracała błędnymi oczami, a wieśniaczka przerażona jej twarzą cofała się instynktownie, myśląc, że tamta zwariowała. Nagle Emma uderzyła się w czoło, wydała okrzyk, bo wspomnienie Rudolfa jak jasne światło w ciemną noc zabłysło w jej duszy. Był taki dobry, taki delikatny, taki szlachetny! Zresztą, gdyby się wahał z wyświadczeniem jej tej przysługi, potrafił go skłonić jednym spojrzeniem, które przypomni mu ich dawną miłość. Poszła więc w stronę Huchette nie uświadamiając sobie, że chce po "e" to, co ją niedawno tak strasznie oburzyło, nie podejrzewając się bynajmniej o prostytutkę.

VIII Zapytywała siebie idąc: "Co powiem? Od czego zacznę?" I w miarę jak się zbliżała, rozpoznawała krzaki, drzewa, trawy morskie na wzgórzu i zamek w dańi. Odnajdywała w sobie doznania pierwszej czułości i biedne jej uciśnione serce rozprężyło się miłośnie. Ciepły wiatr owiewał jej twarz; śnieg topniejąc kapał z pączków na trawę.

Weszła, jak dawniej, małą furtką od strony parku i niebawem znalazła się na głównym dziedzińcu opasanym dwoma rzędami gęstych lip. Długie ich gałęzie kołysały się z poszumem. Wszystkie psy odezwały się w psiarni, lecz nikt się nie pojawił na to donośne szczekanie.

Wstąpiła na szerokie, proste schody o drewnianej balustradzie, prowadzące na korytarz wykładany zakurzonymi płytami; otwierały się z niego drzwi do szeregu pokoi jak w klasztorach lub oberżach. Jego pokój był na samym końcu, w głębi, na lewo. Kiedy położyła rękę na klamce, siły ją nagle opuściły. Bała się, że go nie zastanie, pragnęła tego niemal, a jednak była to jedyna jej nadzieja, ostatnia deska ratunku. Usiłowała się skupić przez chwilę i zaczerpnąwszy odwagi, w poczuciu niewątpliwej konieczności weszła.

Siedział przy ogniu, z nogami na krawędzi kominka i palił fajkę.

- To ty! - wyrzekł powstając gwałtownie.

- Tak, to ja!... Chciałabym, Rudolfe, prosić cię o radę.

I mimo wszelkich wysiłków nie mogła otworzyć ust.

- Nic się nie zmieniłaś, jesteś zawsze urocza.

- Och! - podjęła gorzko. - Smutne to wdzięki, mój drogi, skoro nimi wzgardziłeś.

Więc zaczął tłumaczyć swe postępowanie i usprawiedliwiał się mętnie, nie mogąc wymyślić nic lepszego.

Dała się uwieść jego słowom, a bardziej jeszcze jego głosowi i całej postaci tak dalece, że zdawała się wierzyć lub może nawet i uwierzyła w powody zerwania; była to tajemnica, od której zależał honor, a nawet życie trzeciej osoby.

- Mniejsza o to! - wyrzekła patrząc nań smutnie. - Wycierpiałam wiele.

- Takie jest życie! - odpowiedział filozoficznie.

- Czy było przynajmniej dobre dla ciebie od czasu naszego rozstania? - podjęła

Emma.

- Och, ani dobre, ani złe.

- Może lepiej się było nie rozstawać?

- Tak, może!

- Tak sądzisz? - spytała podchodząc bliżej. I westchnęła:

- O Rudolffie, gdybyś wiedział!... Tak bardzo cię kochałam!

Wtedy dopiero ujęła go za rękę i pozostali tak przez chwilę z dłońmi splecionymi jak pierwszego dnia na zjeździe! Resztką dumy bronił się przed rozrzewnieniem. Lecz ona przyłgnawszy mu do piersi mówiła:

- Jakże mogłam żyć bez ciebie? Nie sposób odwyknąć od szczęścia! Rozpaczałam! Byłam bliska śmierci! Opowiem ci to wszystko, zobaczysz. A tyły uciekałeś przede mną!

Istotnie, od trzech lat starannie jej unikał na skutek wrodzonego tchórzostwa, które cechuje płęć silną; a Emma mówiła dalej, wdzięcznie przechylając głowę, pieszczotliwie jak zakochana kotka!

- Kochasz pewnie inne, przyznaj się. Och! Ja je rozumiem i wybaczam, urzekłeś je tak samo, jak mnie urzekłeś. Jesteś prawdziwym mężczyzną, masz wszystkie dane, by cię kochać. Ale zaczniemy na nowo, prawda? Będziemy się kochali! Spójrz, śmieję się, jestem szczęśliwa! Powiedzże coś do mnie!

Była zachwycająca z tym spojrzeniem zroszonym łzą, która drżała jak kropla dżdżu w błękitnym kielichu.

Przyciągnął ją na kolana i gładził wierzchem dłoni jej lśniąca włosy, na których, w jasnym zmierzchu, połyskiwał jak złota strzała ostatni promień słońca. Pochyliła czoło; pocałował ją wreszcie w powieki, delikatnie, końcem warg.

- Ależ ty płakałaś - rzekł. - Czemu? Wybuchnęła łkaniem. Rudolf pomyślał, że to wybuch uczucia; ponieważ milczała, wziął to milczenie za resztę wstydu i wykrzyknął:

- Ach, przebac mi! Ty jedna mi się podobasz! Byłem niedobry i głupi! Kocham cię, zawsze cię będę kochał! Co ci jest? mówże!

Już klękał.

- A więc jestem zrujnowana. Rudolffie! Pożycz mi trzy tysiące franków!

- Ależ... ależ... - wyrzekł podnosząc się z wolna, a twarz jego przybierała wyraz poważny.

- Wiesz - mówiła prędko - że mój mąż umieścił cały swój majątek u notariusza: otóż on uciekł. Zapozyczyliśmy się; pacjenci nie płacili. Zresztą likwidacja jeszcze nie skończona; będziemy coś mieli, ale później. A dzisiaj, z braku trzech tysięcy, zlicytują nas, już teraz, w tej chwili; licząc na twoją przyjaźń przysłałam tutaj.

"Ach! - pomyślał Rudolf błędna nagle - więc po to tu przysłała!" Wreszcie rzekł bardzo spokojnie:

- Nie mam ich, droga pani.

Nie kłamał. Gdyby je miał, dałby zapewne, chociaż na ogół nieprzyjemnie jest spełniać tak piękne czyny: ze wszystkich bowiem wichur targających miłością prośba o pieniądze jest najbardziej mroźną i gwałtowną wichurą.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Nie masz ich! - Powtórzyła kilkakrotnie:

- Nie masz ich! Powinna była zaoszczędzić sobie tego ostatniego upokorzenia. Nie kochałaś mnie nigdy! Nie jesteś wart więcej od innych!

Zdradzała się, gubiła się.

Rudolf przerwał jej, zapewniając, że sam jest w "kłopotach".

- Ach, żal mi ciebie - rzuciła Emma. - O tak, bardzo mi cię żal!... - I zatrzymując spojrzenie na inkrustowanym karabinku lśniącym wśród rynsztunku:

- Ale skoro się jest biednym, nie ozdobi się srebrem kolby swej broni! Nie kupuje się zegara z perłowymi inkrustacjami - ciągnęła dalej wskazując na zegar roboty Boule'a - ani pozłacanych gwizdków - dotknęła ich - ani breloczków do zegarka! Och, niczego mu nie brak! Nawet karafek z likierami! Dogadzasz sobie, żyjesz



dostatnio, masz pałac, folwarki, lasy, polujesz z chartami, jeździsz do Paryża. Na przykład choćby to - wykrzyknęła biorąc z kominka spinki do mankietów - za każdy z tych drobiazgów można by mieć pieniądze! Och, nie chcę tego! Zatrzymaj je sobie!

I cisnęła obie spinki daleko, aż pękł złoty łańcuszek uderzywszy o ścianę.

- Ale ja wszystko bym ci była oddała, wszystko sprzedała, pracowałabym własnymi rękami, żebrała po gościńcach, za jeden uśmiech, za jedno spojrzenie, po to tylko, by usłyszeć „dziękuję”. A ty siedzisz sobie spokojnie w fotelu, jakbym jeszcze nie dość przez ciebie wycierpiała. Gdyby nie ty, wiesz dobrze, mogłam żyć szczęśliwa! Kto cię zmuszał? Czy był to zakład? Kochałeś mnie przecież, mówiłeś... I przed chwilą jeszcze... Ach, lepiej było mnie wygnać! Mam ręce gorące od twych pocałunków, a oto miejsce na dywanie, gdzie przysięgałeś mi na klęczkach wieczystą miłość.

Uwierzyłam ci: przed dwa lata wodziłeś mnie wśród najwspanialszych i najczarowniejszych snów. A nasze plany podróży, pamiętasz? Och, twój list! Twój list rozdarł mi serce! A teraz kiedy wracam do niego, do niego, który jest bogaty, szczęśliwy, wolny, by go błagać o ratunek, jakiego nie odmówiłby pierwszy lepszy, kiedy wracam z całą czułością, odpycha mnie, bo kosztowałoby go to trzy tysiące franków.

- Nie mam ich! - odpowiedział Rudolf z tym doskonałym spokojem, pod którym, jak pod tarczą, kryje się gniewna rezygnacja.

Wyszła. Ściany drżały, sufit ją przygniatał; przebiegła z powrotem długą aleję potykając się o kupy zwiędłych liści, które wiatr roztrącał. Dotarła wreszcie do furtki, połamala sobie paznokcie o zamek, tak jej było spieszo otworzyć. O sto kroków dalej, zdyszana, chwiejąca się, przystanęła. Obejrzała się i raz jeszcze zobaczyła niewzruszony zamek, park, ogrody, trzy dziedzińce i wszystkie okna fasady. Stała tak, pogrążona w osłupieniu, zachowując świadomość własnego istnienia jedynie przez pulsowanie arterii, które zdawało się rozlegać po polach ogłuszającą muzyką. Ziemia pod jej stopami była miękka jak woda, a skiby zdawały się przelewać jak ogromne brunatne fale. Wszystkie wspomnienia i myśli wypełniające jej głowę wymknęły się naraz, wyskakiwały jak tysiączne odpryski fajerwerku. Ujrzała ojca, kantor Lheureux, ich pokój w hotelu, jakiś krajobraz. Ogarniał ją obłęd, przestraszyła się i zdołała oprzytomnieć, niezupełnie wprowadzić, bo już nie pamiętała przyczyny swego okropnego stanu, sprawy pieniędzy. Bolała ją tylko jej miłość i czuła, jak poprzez to wspomnienie opuszcza ją dusza, niczym ranni, co konając czują, jak uchodzi z nich życie poprzez krwawiącą ranę.

Zapadała noc, latały wrony.

Wydało jej się nagle, że w powietrzu pękają ogniste kuleczki i spłaszczając się wirują, wirują, aż wreszcie topnieją gdzieś w śniegu pośród gałęzi. W każdej z nich pośrodku widniała twarz Rudolfa. Mnożyły się, zbliżały, przenikały ją; wszystko znikło. Rozpoznała światła domów migające z daleka we mgle. Wówczas objawiła się przed nią jak otchłań jej obecna sytuacja. Dyszała, aż jej pierś rozsadzało. Nagle, w bohaterskim uniesieniu, niemal radośnie, zbiegła ze wzgórza, minęła kładkę, ścieżkę, aleję, halę i stanęła przed apteką. Nie było w niej nikogo. Już miała wejść, ale na dźwięk dzwonka mógł ktoś nadejść; wsunęła się więc przez furtkę i wstrzymując oddech, macając ściany, dotarła na próg kuchni, gdzie paliła się świeca, postawiona na płycie. Justyn z podkasanymi rękawami wynosił półmisek.

- Ach, jedzą obiad, zaczekam. Powrócił. Zastukała w szybę. Wyszedł.

- Klucz, daj mi klucz od góry, tam gdzie są...

- Jak to?

I patrzył na nią, zdumiony bladością jej twarzy, która odcinała się biało na czarnym tle nocy. Wydała mu się niezwykle piękna i majestatyczna jak zjawia; nie rozumiał, czego chce, ale przeczuwał coś strasznego.

Ona podjęła pośpiesznie, cicho, głosem słodkim, zniewalającym:

- Ja chcę, daj mi go.

Ponieważ przepierzenie było cienkie, słychać było z jadalni szczęk widelców.

Twierdziła, że musi wytruć szczury, które nie dają jej spać.

- Musiałbym uprzedzić pana.

- Nie, zostań.

I głosem obojętnym:

- Zresztą, nie warto, powiem mu zaraz sama. Chodźmy, poświeć mi!

Weszła do sieni, skąd otwierały się drzwi do laboratorium.

Wisi tam na ścianie klucz z napisem "Kafsnaum".

- Justyn! - krzyknął aptekarz, który się niecierpliwił.

- Chodźmy na górę! Poszedł za nią.

"S Klucz obrócił się w zamku, skierowała się prosto ku trzeciej półeczce, tak niezawodnie wiodła ją pamięć, chwyciła niebieski słoik, wydarła zeń korek, wetknęła rękę i wyciągnąwszy ją pełną proszku zaczęła go spiesznie połykać.

- Niech pani przestanie - krzyknął rzucając się na nią.

- Cicho bądź, bo ktoś nadejdzie. Rozpaczał, chciał wołać.

- Nie mów nic, wszystko spadłoby na twego pana. Potem zeszła uspokojona nagle, nieomal pogodna, jak po wypełnionym obowiązku.

Kiedy Karol wstrząśnięty wiadomością o zajęciu wrócił do domu, Emma dopiero co wyszła. Krzyczał, płakał, zemdłał, a ona nie wracała. Gdzie mogła być? Posyłał Felicję do Homais, do pana Tuvache, do Lheureux, "Pod Żółtego Lwa", wszędzie; w przerwach trwożnego oczekiwania widział swą opinię unicestwioną, majątek stracony, przyszłość Berty złamaną! Z jakiej przyczyny?... ani słowa! Czekał do szóstej wieczór. Wreszcie nie mogąc wytrzymać dłużej, wyobraziwszy sobie, że pojechała do Rouen, wyszedł na gościniec, uszedł pół mili, nie spotkał nikogo, poczekał jeszcze i wrócił.

Była już w domu.

- Co się stało?... Dlaczego?... Wytłumacz mi?... Zasiadła do sekretarzyka i napisała list, który pieczętowała powoli, dodając datę i godzinę. Po czym tonem uroczystym rzekła:

- Przeczytasz to jutro; a teraz, proszę cię, nie zadawaj mi pytań!... Nie, ani jednego!

- Ależ...

- Och, zostaw mnie!

I wyciągnęła się na łóżku.

Obudził ją cierpki smak w ustach. Dostrzegła Karola; znów zamknęła oczy.

Śledziła siebie z ciekawością, chcąc zdać sobie sprawę, czy cierpi. Ale nie! Jaszcz nic. Słyszała tykanie zegara, trzask ognia i oddech Karola, który stał przy jej łóżku.

"Ach! to taka niewielka rzecz, śmierć! - myślała. - Zasnę i będzie po wszystkim," Wypiła łyk wody i odwróciła się do ściany. Okropny smak atramentu nie ustępował.

- Pić!... och! Jakże chcę pić! - westchnęła.

- Co ci jest? - rzekł Karol podając jej szklanekę.

- To nic!... Otwórz okno... duszno mi! I chwyciły ją mdłości tak nagle, że ledwo zdążyła chwycić chusteczkę spod poduszki.

- Zabierz to! - rzekła pośpiesznie - wyrzuć! Wypytywał ją; nie odpowiadała. Leżała bez ruchu w obawie, że najlżejsze wzruszenie spowoduje wymioty. Czuła, jak lodowaty chłód podchodził jej od nóg pod serce.

- Ach, znów się zaczyna? - wyszeptwała.

- Co mówisz?

Obracała głowę ruchem łagodnym, pełnym trwogi, rozwierając bez przerwy szczęki, jakby miała na języku coś bardzo ciężkiego. O ósmej znowu zaczęły się wymioty.

Karol zauważył, że na dnie miednicy osiadło coś w rodzaju białego piasku, który oblepiał porcelanowe wnętrza.

- To niezwykle! dziwne! - powtórzył. Ale ona powiedziała mocnym głosem:

- Nie, mylisz się!

Wówczas, delikatnie, jakby ją gładził, przesunął ręką po jej żołądku. Wydała ostry krzyk. Cofnął się, przerażony.

Potem zaczęła stękać, zrazu słabiutko. Silny dreszcz przebiegał jej ramiona i stawała się bielsza niż prześcieradło, w które wpijały się kurczowo jej palce. Nierówny puls był teraz prawie niewyczuwalny.

Krople potu spływały po sinawej twarzy, jakby zastygłej w wyziewach metalicznych oparów. Zęby Jej szczękały, rozszerzone oczy spoglądały nieprzytomnie dokoła, na wszystkie pytania odpowiadała jedynie kiwnięciem głowy; uśmiechnęła się nawet dwa czy trzy razy. Stopniowo jęki stawały się głośniejsze. Wyrwał się jej głuchy ryk; twierdziła, że już jej lepiej i że zaraz wstanie. Ale chwyciły ją skurcze; krzyknęła:

- Ach! to okropne, mój Boże! Padi na kolana przy jej łóżku.

- Mów! co zjadłaś? Odpowiedz, na miłość Boską! I patrzył na nią z taką miłością, jakiej nigdy nie widziała w niczyich oczach.

- A więc tam... tam!... - wyrzekła słabnącym głosem.

Pomoczył do sekretarzyka, złamał pieczętkę i odczytał głośno: "Proszę nikogo nie winić..." Zatrzymał się, przesunął ręką po oczach i przeczytał raz jeszcze.

- Jak to!... Ratunku! Do mnie!

I powtarzał już tylko to jedno słowo: - otruta, otruta. Felicja pobiegła do Homais, który zaczął wykrzykiwać wieść na placu; pani Lefrancois usłyszała go aż "Pod Żłotym Lwem", niektórzy powstawali, żeby powtórzyć o tym sąsiadom, i przez całą noc miasteczko było na nogach, Karol, oszalały, bełkocąc chodził chwiejnie dokoła pokoju. Zawadzał o meble, wydzierał włosy i nigdy aptekarz nie przypuszczał, że może istnieć widok równie przerażający.

Wrócił do siebie, żeby napisać do pana Canivet i do doktora Lariyiere. Stracił głowę; sporządził ponad piętnaście brulionów. Hipolit pojechał do Neufchatel, a Justyn tak mocno grzmocił piętami konia pana Ecvary, że zostawił go na zboczach lasku Wilheima, zmordowanego i na pół żywego.

Karol chciał przewertować swój słownik medyczny; nie widział nic, wiersze tańczyły mu przed oczami.

- Spokojnie! - rzeki aptekarz. - Chodzi tylko o "stosowanie potężnego antidotum. Jaka to trucizna?

ar Karol pokazał list. Był to arszenik.

- No więc - podjął Homais - trzeba zrobić analizę.

Wiedział bowiem, że przy wszelkich zatruciach należało robić analizę; tamten zaś, nic nie rozumiejąc, odparł:

- Ach! Rób! Rób! Ratuj ją...

Potem powróciwszy ku niej, osunął się na ziemię i szlochał na dywanie z głową opartą o brzeg pościela.

- Nie płacz - wyrzekła. - Niebawem przestanę cię dręczyć.

- Dlaczego? Kto cię zmusił? Odparła:

- Tak było trzeba, mój drogi.

- Nie byłaś szczęśliwa? Czy to moja wina? Robiłem przecież wszystko, co mogłem!

- Tak... to prawda... Ty, ty jesteś dobry! I z wolna przesuwając ręką po jego włosach. Słodczy tego doznania zwiększała brzemię smutku; czuł, jak cała jego istota rozpada się z rozpaczą na myśl, że trzeba ją utracić, teraz, kiedy okazywała mu więcej miłości niż kiedykolwiek; i nie znajdował nic; nie wiedział, nie śmiał, konieczność podjęcia natychmiastowej decyzji zdruzgotowała go doszczętnie.

Skończyły się już wszystkie zdrady, myślenia, podłości i niezliczone pożądanja, które ją dręczyły. Nikt już teraz nie budził w niej nienawiści; mroczny bezwład ogarniał jej myśli i ze wszystkich ziemskich odgłosów Emma słyszała już tylko przerywaną skargę swego biednego serca, cichą i niewyraźną, jak ostatnie echo oddalającej się symfonii.

- Przeprowadźcie mi małą - rzekła podnosząc się na łokciu, - Nie czujesz się gorzej, prawda? - spytał Karol.

- Nie! Nie!

Niańka przyniosła dziecko w długiej nocnej koszuli, spod której wystawały bosa stopy; mała była poważna i zdawała się śnić jeszcze. Spoglądała ze zdziwieniem na pokój w nieładzie i mrugała oczami, olśniona przez świece ustawione na meblach. Przypominały jej widocznie poranki Nowego Roku lub zapustów, gdy obudzona tak wcześnie blaskiem świec przychodziła do łóżka matki po prezenty, bo zaczęła pytać:

- Gdzie to jest, mammo?

A ponieważ wszyscy milczeli:

- Ale nie widzę mego pantofelka! Felicja przechyliła ją nad łóżkiem, a ona patrzyła wciąż w stronę kominka.

- Czyżby to mamka go zabrała? - spytała. Na to imię, które przenosiło ją we wspomnienia wszystkich zdrad i klęsk, pani Bovary odwróciła głowę, jakby wstrętny smak innej, mocniejszej trucizny napłynął jej do ust.

Berta tymczasem siedziała na łóżku.

- Och! Jakie masz duże oczy, mammo, jaka jesteś blada, jak się pocisz... Matka patrzyła na nią.

- Boję się! - powiedziała dziewczynka odsuwając się.

Emma wzięła jej rączkę, by ją pocałować; mała wyrwała się.

- Dość! Zabierzcie ją! - krzyknął Karol, który szlochał w alkoce.

Potem objawy ustały na chwilę; zdawała się mniej podniecona; za każdym błahym słowem, za każdym spokojniejszym oddechem powracała mu nadzieja. Wreszcie, gdy wszedł Canivet, padł mu w ramiona z płaczem.

- Ach, to pan! Dzięki! Jaki pan dobry! Ale już lepiej,]. Niech pan spojrzy na nią...

Kolega nie był bynajmniej tego zdania i ponieważ, jak mówił, brał się do rzeczy prosto z mostu, przepił środek na wymioty, aby całkowicie opróżnić żołądek.

Niebawem zaczęła wymiotować krwią. Wargi jej zacięły się jeszcze mocniej. Członki miała skurczone, ciało pokryte brunatnymi plamami, a puls ślizgał się pod palcami jak napięta nitka, jak struna harfy bliska pęknięcia.

Potem zaczynała krzyczeć przeraźliwie. Przeklinała truciznę, robiła jej wyrzuty, błagała, by się pośpieszyła, i odpychała sztywniejącymi rękami wszystko, co Karol, równie bliski śmierci, usiłował jej dać do wypicia. Stał z chustką na ustach, charczał,

płakał, łkanie wstrząsało nim od stóp do głowy; Felicja biegła bezładnie po pokoju; Homais, nieruchomy, wydawał ciężkie westchnienia, a pan Canivet, zawsze pewny siebie, zaczynał jednak odczuwać niepokój.

- Do diabła!... A przecież została przeczyszczona, i z chwilą gdy przyczyna ustaje...

- Powinien ustać skutek - rzekł Homais - to jasne.

- Ależ ratujcie ją! - wołał Bovary.

Nie słuchając aptekarza, który podsuwał jeszcze przypuszczenia, że "być może jest to zbawienne przesilenie", Canivet miał właśnie zastosować driakiew, gdy usłyszano trzaskanie z bicza; wszystkie szyby zadrżały i zza węgła hał wyskoczył pojazd pocztowy niesiony przez trzy konie, pędzące z podniesionymi łbami i zabłocone po uszy. Był to doktor Lariviere.

Ukazanie się bóstwa nie sprawiłoby większego wrażenia. Bovary wznosił ręce, Canivet stanął jak wryty, a Homais zdjął czapkę na długo przed wejściem doktora.

Należał on do wielkiej szkoły chirurgicznej, jaką wypuścił spod swego fartucha Bichat, do wygasłego już dziś pokolenia praktyków-filozofów, którzy miłując fanatycznie swą sztukę uprawiali ją z zapałem i rozumem. Wszystko drżało w jego szpitalu, gdy wpadał w gniew, a uczniowie poważali go tak, że zaledwie usamodzielnieni usiłowali go naśladować we wszystkim: toteż po miastach okolicznych widywano ich ubranych tak samo jak on: w długi y- wutowany płaszcz z merynosów i szeroki czarny surdut, którego rozpięte mankiety rękawów opadały nieco na pulchne ręce, bardzo piękne ręce, zawsze bez rękawiczek, jakby chciały szybciej zanurzyć się we wszelkie niedole. Nie dbając o krzyże, tytuły i honory, gościnnie, hojny, ojcowski dla biedaków, uprawiał cnotę, nie wierząc w nią, i byłby uchodził za świętego, gdyby nie subtelny i ostry dowcip, który sprawiał, że obawiano się go jak szatana. Spojrzenie jego tnące ostrzej niż lancet przenikało do głębi duszy i wydobywało każde kłamstwo spod fałszywych racji i wstydliwych wykrętów. Kroczył tak, pełen dobrotliwego majestatu, jaki daje świadomość wielkiego talentu, fortuny i czterdziestu lat pracowitego i nienagannego żywota.

Już w drzwiach zmarszczył brwi, dostrzegłszy trupią twarz Emmy wyciągniętej na wznak, z otwartymi ustami. Po czym, zdając się przysłuchiwać temu, co mówił Canivet, przesunął wskazującym palcem pod nosem i powtarzał:

- Dobrze, dobrze.

Ale ramionami uczynił powolny ruch, który nie uszedł uwagi Karola: spojrzeli na siebie i człowiek ten, tak nawykły do widoku boleści, nie mógł powstrzymać łzy, która spadła mu na żabot.

Chciał wyprowadzić Caniveta do sąsiedniego pokoju, Karol poszedł za nim.

- Bardzo źle z nią, prawda? A gdyby obłożyć ją okładami z gorczycy? Sam nie wiem co! Niech pan coś wymyśli, pan, który uratował tylu ludzi.

Karol obejmował go obu rękami i wpatrywał się weń z wyrazem przerażonym, błagalnym, na wpół omdlewając mu na piersi.

- Odwagi, mój biedny chłopcze! Nie ma już nic do zrobienia.

I doktor Lariviere odwrócił się.

- Odchodzi pan?

- Wrócę jeszcze.

Wyszedł, jakby chciał wydać zlecenie pocztylionowi, razem z Canivetem, któremu nic zależało bynajmniej na tym, by Emma umarła na jego rękach. Aptekarz dogonił ich na placu. Taką już miał naturę, że nie potrafił wyrzec się towarzystwa ludzi sławnych. Toteż błagał pana Lariviere, by zechciał wyświadczyć mu ten niezwykle zaszczyt i spożył u niego śniadanie.

Posłano co prędzej "Pod Złotego Lwa" po gołębie, do rzeźnika po wszystkie kotlety, jakie tylko miał, do Tuvache'a po śmietaną, do Lestiboudois po jajka i aptekarz sam pomagał w przygotowaniach, a pani Hornais mówiła zaciągając tasiemki serdaczka:

- Zechce pan wybaczyć, panie doktorze, ale w naszym nieszczęsnym kraju, kiedy się nie jest uprzedzonym dzień naprzód...

- Kieliszki!!! - szepnął Homais.

- Gdybyśmy przynajmniej byli w mieście, mielibyśmy możliwość dostać nóżki faszerowane.

- Bądź cicho... Doktorze, proszę do stołu! Uważał za stosowne po pierwszych kęsach opowiedzieć kilka szczegółów o katastrofie:

- Początkowo mieliśmy uczucie suchości w przetyku, potem nieznośne bóle w nadbrzuszu, nadmierne czyszczenie, zapaść.

- Ale jakże się otruła?

- Nie wiem, doktorze, nie pojmuję nawet, gdzie mogła zdobyć kwasu arsenikowego.

Justyn, który wnosił właśnie sto? talerzy, zaczął się trząść.

- Co ci jest? - rzeki aptekarz Na to pytanie chłopak upuścił wszystko na ziemię z wielkim trzaskiem.

- Głupiec! - warknął Homais - Niezdara! Ciemięga! Osioł zatracony. Ale nagle opanował się.

- Chciałem, doktorze, zi'00'c' anpliTę i ?-" pierwsze wp"cwao;:ileiT i o/-;.';ż"^. r, ".,;:..

- Lepiej było - rzekł chirurg - wprowadzić dwa palce do gardła.

Kolega jego milczał, gdyż dostał przed chwilą poufne, a ostre wcieranie za swój środek na wymioty. Pocciwy Canivet, tak arogancki i wygadany w historii ze szpotawą nogą, był dzisiaj nader skromny; uśmiechał się wciąż potakująco.

Homais rozpywał się w swej dumie amfitriona, a żałosa myśl o Bovarym sprawiała mu niejasną satysfakcję, bo mimo woli porównywał egoistycznie własny los z jego losem.

Zresztą, obecność doktora wprawiała go w zachwyt. Popisywał się erudycją, mówił bez ładu ani składu o kantarydzie, jawajskiej truciźnie do strzał, trujących drzewach Ameryki Południowej, żmijach.

- A nawet czytałem, doktorze, że pewna ilość osób uległa intoksykacji i jakby porażeniu na skutek zjedzenia kiszki zbyt gwałtownie wędzonej. Znalazłem to w pięknym sprawozdaniu napisanym przez" jedną z naszych znakomitości farmaceutycznych, naszego mistrza, słynnego Cadet de Gassicourt!

Ukazała się znów pani Homais, niosąc jedną z tych chwiejących się maszynek ogrzewanych spirytusem; Homais lubił bowiem przyrządzać kawę na stole; sam ją zresztą palił, sam mleł, sam mieszał.

- Saccharum, doktorze - wyrzekł podając cukier.

Potem sprowadził wszystkie swe dzieci, ciekaw opinii chirurga co do ich budowy.

Wreszcie pan Leriviere zbierał się już do odjazdu, gdy pani Homais poprosiła go o poradę dla męża. Uderzała mu krew do głowy, gdy zasypiał wieczorem po jedzeniu.

- Och! To nie krwi w głowie mu brak... I unischnawszy się z tego żartu, który przeszedł niepostrzeżenie, otworzył drzwi. Ale apteka była pełna ludzi i z wielkim trudem zdołał pozbyć się imć pana Tuv;;2"'s, który obawiał się, że małżonka do.ta^ie zapal? "As. ołu", bo miała zwyczaj spluwania w popiół: pc":pm p.~"-a Binct, który

doświadczal niekiedy wilczego gEcchi, tudziez pani Caron, która miewała klucia na całym cieie, pana Lheureux, który miał reumatyzm, pani Lefrancois, której dokuczwały kwasy. Wreszcie trzy konie ruszyły z kopyta i uznano ogólnie, że nie okazał się uprzejmy.

Uwaga powszechna została odwrócona pojawieniem się księdza Bournisien. Mijał hale niosąc oleje święte.

Homais, wierny swym zasadom, porównał księży do kruków, które przyciąga zapach nieboszczyków; widok duchownego był mu osobiście niemiły, bo sutanna przypominała całun, więc nie znosił jednego ze strachu przed drugim.

Jednakże nie cofając się przed tym, co nazywał swoim posłannictwem, wrócił do pana Bovary w towarzystwie Caniveta, którego Lariviere przed wyjazdem zobowiązał do tego kroku; a nawet, gdyby nie przekładania żony, byłby zabrał ze sobą obu synów, aby ich przyzwyczać do ciężkich okoliczności, aby to była nauka, przykład, uroczysty obraz, który zostanie im w pamięci na przyszłość.

Gdy weszli, pokój był pełen uroczystej żałoby.

Na stoliku do robót, przykrytym białą serwetką, stała srebrna taca, a na niej pięć czy sześć kulek z waty, obok duży krucyfiks między dwiema płonącymi świecami. Emma, z podbródkiem na piersi, rozwierała nadmiernie powieki, a jej biedne ręce pełzały po prześcieradłach okropnym, a łagodnym ruchem konających, którzy zdają się już całun na siebie naciągać. Karol, blady jak posąg, z oczyma czerwonymi jak węgle, nie płakał już i stał naprzeciw niej, w nogach łóżka, podczas gdy ksiądz przyklękawszy na jedno kolano mamrotał ciche słowa.

Z wolna obróciła twarz i zdała się nagle rozpromieniona radością na widok fioletowej stuły, odnajdując zapewne w tym niezwykłym ukojeniu utraconą rozkosz swych pierwszych mistycznych porywów oraz wizje wieczystej błogości, które się rozpoczęły.

Kapłan wstał, by wziąć krucyfiks, wówczas wy ciągnęła szyję jak ktoś bardzo spragniony i przywarłszy wargami do ciała Boga-człowieka, złożyła na nim z całej swej konającej siły najżarliwszy miłosny pocałunek, jaki dała kiedykolwiek. Potem ksiądz odmówił Misereatur i indulgentiam, umaczał wielki palec prawej ręki w oleju i rozpoczął namaszczenia: najpierw oczu, które tak pożyły wszystkich ziemskich przepychów, potem nozdrzy złąknionych ciepłych podmuchów i woni miłosnych, potem ust, które się otwierały do kłamstwa, stękały z pychy i krzyczały z lubieżności, potem rąk, co rozkoszowały się słodczą dotknięciem, i wreszcie stóp, tak niegdyś chyżych, gdy biegła zaspokoić swe żądze, a które nie miały chodzić już więcej.

Ksiądz wytarł palce, wrzucił w ogień kawałki waty, nasiąkło oliwą, i usiadł przy umierającej, by jej powiedzieć, że winna teraz zjednoczyć swe cierpienia z cierpieniami Jezusa Chrystusa i zdać się na miłosierdzie Boże. Kończąc swe napomnienia usiłował włożyć w jej rękę poświęconą gromnicę, symbol chwały niebieskiej, która miała ją spowić za chwilę. Emma, zbyt słaba, nie mogła zacisnąć palców i gromnica, bez pomocy księdza Bournisien, byłaby spadła na ziemię.

Nie była jednak już tak bardzo blada i twarz jej miała wyraz pogodny, jakby sakrament ją uzdrowił.

Ksiądz nie omieszkał zwrócić na to uwagi; tłumaczył nawet Karolowi, że Pan przedłuża niekiedy życie ludziom, jeśli uważa to za konieczne dla ich zbawienia; i Bovary przypomniał sobie ten dzień, gdy tak samo bliska śmierci, przyjęła komunie.

"Może nie trzeba rozpaczać" - pomyślał.

W istocie, obejrzała się wokół siebie, powoli, jak ktoś zbudzony ze snu; potem głosem wyraźnym poprosiła o lusterko i trwała tak przez chwilę pochylona nad nim,

aż póki wielkie łzy nie spłynęły jej z oczu. Wtedy odrzuciła głowę w tył i z westchnieniem opadła na poduszkę.

Pierś jej zaczęła dyszeć szybko. Język cały wysunął się z ust; oczy, przewrócone, blade, jak dwie dogasające lampy i zdawała się już nieżywa, gdyby nie żebra wstrząsane gwałtownym oddechem, przerażająco szybkim, jakby dusza usiłowała wyrwać się skokami. Felicja uklękła przed krucyfiksem, nawet aptekarz ugiął nieco kolana, podczas gdy pan Canivet patrzył niepewnie na plac. Ksiądz Bournisien powrócił do modlitwy, z twarzą pochyloną nad krawędzią pościania, w swej długiej czarnej sutannie, która stała się za nim po pokoju. Karol klęczał z drugiej strony, z rękami wyciągniętymi ku Emmie. Ujął jej dłonie i ścisnął je, drgając za każdym uderzeniem jej serca, jakby na odgłos walących się ruin. W miarę jak rżenie stawało się silniejsze, ksiądz przyśpieszał pacierze: mieszały się z tłumionymi łkaniami Karola, a niekiedy wszystko zdawało się niknąć w głuchym szepcie łacińskich słów, dźwięczących jak podzwonne.

Wtem dał się słyszeć na chodniku klekot ciężkich sabotów i stukanie kija; i czyjś głos, czyjś chropawy głos, zaśpiewał:

Niekiedy w upalne dni o miłości dziewczę śni.

Emma podniosła się jak trup tknięty prądem, z włosami rozpuszczonymi, z okiem nieruchomym, rozwartym.

By pozbierać pilnie kosą zżęte kłosa zjawia się pochyla nad bruzdą, gdzie rosły.

- Ślepiec! - krzyknęła.

I zaśmiała się, śmiechem okrutnym, szalonym, rozpaczliwym, jakby widziała ohydłą twarz nędzarza występującą niby upiór z cieniów wieczności.

Tey cisyocniej powiało I Krótką i<sup>^</sup>.; ciniczkę porwało.

W drgawkach śmiertelnych opadła na materac. Wszyscy podeszli. Nie żyła.

Zazwyczaj po czyjejś śmierci tych, co pozostali, ogarnia osłupienie, tak trudno jest pojąć to nadejście nicości, pogodzić się z nim i uwierzyć w nie. Gdy jednak Karol spostrzegł, że Emma znieruchomiła, rzucił się na nią krzycząc:

- Żegnaj! Żegnaj!

Homais i Canivet wywlekli go z pokoju.

- Opanuj się pan!

- Tak - mówił wyrывая się - będę rozsądny, nie zrobię nic złego. Ale zostawcie mnie! Chcę ją widzieć! To moja żona!

I płakał.

- Wypłacz się pan - podjął aptekarz - pofolguj naturze, to ci ulży.

Oślabły jak dziecko, Karol dał się sprowadzić na dół do sali jadalnej, a pan Homais niebawem wrócił do siebie.

Na placu zaczepił go ślepiec, który przywłókł się aż do Yonville, wiedziony nadzieją otrzymania maści antyfiogistycznej, i wypytywał każdego przechodnia, gdzie mieszka aptekarz.

- Dobre sobie! Jakbym nie miał nic innego do roboty! Trudno, przyjdź później!

I wszedł pośpiesznie do apteki.

Miał napisać dwa listy, przyrządzić syrop uspokajający dla Bovary'ego, wymyślić kłamstwo, które by ukryło otrucie, i zredagować artykuł do "Pochodni", nie licząc osób, które go oczekiwały, by dowiedzieć się czegoś, i gdy wszyscy mieszkańcy Yorsyillie usłyszeli historię o arseniku, który wzięta była za cukier przy sporządzaniu kremu waniliowego, Homais raz jeszcze wrócił do pana Bovary.



Zastał go samego (pan Canivet odjechał); siedział w fotelu koło okna i wpatrywał się idiotycznie w kwadraty podłogi.

- Trzeba by teraz - rzekł aptekarz - abyś pan sam wyznaczył godzinę obrzędu.

- Dlaczego? Jakiego obrzędu?

Po czym wybełkotał głosem przerażonym:

- Och! Nie, nieprawdaż? Nie, ja chcę ją mieć przy sobie.

Homais dla dodania sobie kontenansu wziął karafkę z etażerki, aby podlać pelargonie.

- O! dzięki! - rzekł Karol. - Jaki pan dobry!

I nie dokończył, dławiony nadmiarem wspomnień, które ów gest aptekarza wywołał.

Wówczas, by go rozerwać, Homais uznał za stosowne porozmawiać o ogrodnictwie; rośliny potrzebują wilgoci. Karol schylił głowę na znak potwierdzenia.

- Zresztą niedługo znów zrobi się ładnie.

- Ach! - rzekł Bovary.

Aptekarz, nie wiedząc już, z jakiej beczki zacząć, rozsunał powoli firanki.

- O, przechodzi pan Tuvache. Karol powtórzył jak mechanizm:

- Przechodzi pan Tuvache.

Homais nie śmiał wspomnieć mu po raz drugi o wydaniu zarządzeń pogrzebowych; dopiero księdzu udało się go nakłonić.

Zamknął się w gabinecie, wziął pióro i po wyłakaniu się napisał:

"Chcę, aby ją pochowano w ślubnej sukni, w białych pantoflach, z wiankiem. Aby rozpuszczono jej włosy na ramiona; trzy trumny: jedna dębowa, jedna mahoniowa, jedna ołowiana. Aby się do mnie nie odzywano, będę miał dość siły. Trumnę niech przykryją zielonym aksamitem. Tak chce. Zróbcie to."

Panowie dziwili się bardzo romantycznym pomysłem Bovary'ego i aptekarz poszedł od razu, by mu powiedzieć:

- Ten aksamit wydaje mi się rzeczą zbyteczną. Zresztą wydatek...

- Cóż to pana obchodzi? - wykrzyknął Karol. - Zostaw mnie! Tyś jej nie kochał! Idź sobie!

Duchowny ujął go pod rękę, by przejść się z nim po ogrodzie.

Rozmawiał o znikomości spraw ziemskich. Bóg jest bardzo wielki i bardzo dobry; należy bez szemrania poddać się jego wyrokowi, a nawet mu dziękować.

Karol wybuchnął bluźnierstwami.

- Nienawidzę waszego Boga!

- Duch buntu mieszka jeszcze w tobie - westchnął duchowny.

Bovary odszedł już. Chodził wielkimi krokami wzdłuż muru, pod szpalerem, zgrzytał zębami i wznosił ku niebu spojrzenia pełne przekleństwa; ale ani listek nie poruszył się od nich.

Padał drobny deszcz. Karol miał pierś odkrytą i zaczął dygotać; wrócił do domu i usiadł w kuchni.

O szóstej dobiegł go z placu szczęk żelazniwa: to "Jaskółka" nadjeżdżała; tkwił z czołem opartym o szybę, patrząc, jak wysiadali, jeden po drugim, wszyscy podróżni. Felicja rozesała mu materac w salonie; rzucił się nań i zasnął.

Jakkolwiek pan Homais był filozofem, szanował jednak zmarłych. Toteż nie zachowując urazy do biednego Karola przyszedł wieczorem, aby czuwać przy nieboszczce, przyniósłszy ze sobą trzy księgi i teczkę, by robić notatki.

Ksiądz Bournisien już tam był i dwie wielkie gromnice paliły się w głowach łóżka, wysuniętego z alkowy.

Aptekarz, któremu ciążyło milczenia, nie omieszkał niebawem wyrazić ubolewania nad tą "nieszczęsną młodą kobietą", a ksiądz odrzekł, że nie pozostaje teraz nic innego, jak modlić się za nią.

- Jednakowoż - podjął Homais - z dwu rzeczy jedna: albo umarła w stanie łaski (jak wyraża się kościół), a wtedy nie potrzebuje naszych modlitw; albo też zesła z świata bez skruchy (takie jest, zdaje się, wyrażenie duchowne), a wówczas...

Bournisien przerwał mu oświadczając szorstko, że niezależnie od tego, należy się za nią modlić.

- Ale - zauważył aptekarz - skoro Bóg zna nasze potrzeby, do czego może służyć modlitwa?

- Jak to! - rzekł duchowny - modlitwa! To pan nie jesteś chrześcijaninem?

- Za pozwoleniem! - rzekł Homais. - Podziwiam chrystianizm. Wyzwolił on niewolników, wprowadził w świecie moralność...

- Nie o to chodzi! Wszystkie teksty...

- Och! Jeżeli chodzi o teksty, to niech ksiądz otworzy historię, wiadomo, że fałszowali je jezuici.

Wszedł Karol i zbliżywszy się do łóżka, powoli rozsunął firanki. Emma miała głowę przechyloną na prawe ramię. Jeden kąt jej otwartych ust tworzył jakby czarną dziurę w dole twarzy; oba duże palce rąk pozostały wyprostowane; coś w rodzaju białego pyłu przyprószyło jej rzęsy, a oczy zaczynały niknąć w lepkiej bladeści, jakby pająki powlekały je cienką tkaniną.

Prześcieradło, zapadło się od piersi aż po kolana, wznosząc się potem na palcach stóp; i wydało się Karolowi, że przygniata ją jakiś olbrzymi ciężar.

Zegar na kościele wydzwonił drugą. Słysząc było głośny szum rzeki płynącej w ciemnościach, za murem. Ksiądz Bournisien od czasu do czasu wycierał nos z hałasem, a Homais skrzypiał piórem po papierze.

- No dość, mój drogi - rzekł. - Odejdź pan już, ten widok cię rozdziera.

? Po wyjściu Karola aptekarz i ksiądz powrócili do poprzedniej dyskusji.

- Niech ksiądz czyta Voltaire'a! - mówił jeden - Holbacha, Encyklopedię!

- Czytaj pan Listy Żydów portugalskich^ - mówił drugi. - Czytaj Rację chrystianizmu pióra Nicolas, byłego prawnika!

Zapalili się, poczerwienieli, mówili obaj naraz, nie słuchając się wzajemnie; Bournisien był zgorzchniony takim zuchwalstwem; Homais zdumiewał się taką głupotą; i niewiele brakowało, by zaczęli obrzucać się obelgami, gdy Karol nagle znów się pojawił. Był jak urzeczony, nieustannie wchodził na górę.

Stawał naprzeciw niej, by lepiej ją widzieć, i zatracił się w kontemplacji tak głęboko, że już bezboleśnie.

Przypominał sobie wypadki katalepsji, cuda magnetyzmu; i mówił sobie, że gdyby chciał tego całą siłą woli, może i mógłby ją wskrzesić. Raz nawet pochylił się ku niej i zawołał cichutko: - Emmo! Emmo! - Od jego tchnienia płomień gromnic wygiął się ku ścianie.

O świcie przybyła pani Bovary-matka. Karol, ściskając ją, na nowo zalał się łzami. Próbowwała, podobnie jak aptekarz, zwrócić mu uwagę na koszty pogrzebu. Uniósł się tak gwałtownie, że umilkła, a nawet kazał, by natychmiast udała się do miasta po konieczne zakupy.

Pozostał sam przez całe popołudnie; Bertę zaprowadzono do pani Homais; Felicja siedziała na górze, w pokoju, razem z panią Lefrancois.

Wieczorem przyjmował wizyty kondolencyjne. Wstawał, ścisnął ręce bez słowa, po czym zasiadano rzędem przed kominkiem, gdzie inni tworzyli już wielkie półkole. Z pochyłymi głowami goście zakładali nogę na nogę i kiwali nią, wydając chwilami

ciężkie westchnienia; nudzili się niepomieranie; ale każdy starał się wytrzymać jak najdłużej.

Homais powrócił o dziewiątej (od dwóch dni tylko V - Pani Bovary jego widać było na placu), obładowany zapasem kamfory, benzoesu i pachnących ziół. Niósł także naczynie pełne chloru, aby unieszkodliwić miazmaty. Właśnie służąca, pani Lefrancois i Bovary-matka kręciły się wokół Emmy, kończąc jej ubieranie; narzuciły na nią długi, sztywny welon, który ją okrył aż po atłasowe trzewiki. Felicja szlochala:

- Ach! Moja biedna pani! Moja biedna pani!

- Spójrz na nią - mówiła wzdychając oberżystka - jaka jeszcze milutka! Przysięgłabyś, że zaraz wstanie!

Potem pochyliły się, aby jej włożyć wianek. Trzeba było trochę unieść głowę, a wówczas fala czarnego płynu wylała się z ust.

- Ach! mój Boże! suknia, uważajcie! - krzyknęła pani Lefrancois. - Niechże nam pan pomoże! - zwróciła się do aptekarza. - Czyżby się pan bał przypadkiem?

- Ja, bać się? - odparł wzruszając ramionami. - Jeszcze czego! Nie takie rzeczy widywałem w szpitalu, jak studiowałem farmację! Przyrządzaliśmy poncz w amfiteatrze po sekcjach! Nicość nie przeraża filozofa: a nawet, jak często powtarzam, mam zamiar ofiarować swoje ciało szpitalom, aby później służyło Nauce.

Nadszedł proboszcz i spytał, jak się miewa pan Bovary; a na odpowiedź aptekarza odparł:

- Nic dziwnego, cios jeszcze zbyt świeży. Wówczas Homais powinszował mu, że nie jest narażony, jak wszyscy inni, na utratę ukochanej towarzyszki; stąd wywiązała się dyskusja na temat celibatu księży.

- Albowiem - powiedział aptekarz - nie jest rzeczą naturalną, aby mężczyzna obchodził się bez kobiet! Znane są nawet zbrodnie...

- Ależ, u kaduka! - wykrzyknął duchowny. - Jakże pan chcesz, aby jegomość uwikłany w małżeństwo mógł zachować, na przykład, tajemnicę spowiedzi?

Homais zaatakował spowiedź. Bournisien jej bronił; rozwodził się nad przypadkami poprawy, jaką niejednokrotnie wywoływała. Przytaczał różne dykteryjki o złodziejach, którzy nagle stawali się uczciwi. Wojskowi przystępujący do Trybunału pokuty czuli, jak spada im łuska z oczu. We Fryburgu był pastor...

Towarzysz jego spał. Dusząc się nieco w zbyt ciężkiej atmosferze pokoju, ksiądz otworzył okno, co zbudziło aptekarza.

- A może niuch tabaki! - rzekł proboszcz. - Weź pan, to orzeźwia.

Przeciągłe naszczekiwanie dochodziły gdzieś z dala.

- Słyszysz ksiądz, jak pies wyje? - powiedział aptekarz.

- Podobno psy czują śmierć - odparł duchowny. - To tak jak pszczoły; wylatują z ula, jeśli ktoś umrze.

Homais nie zbijał już tych przesądów, bo znowu zasnął.

Ksiądz Bournisien, odporniejszy, przez pewien czas jeszcze poruszał bezdźwięcznie wargami, potem niepostrzeżenie opadła mu broda, upuścił grubą czarną księgę i zaczął chrapać.

Siedzieli tak jeden naprzeciw drugiego, z brzuchem wysuniętym naprzód, z twarzą obrzękłą, miną zasepioną, zjednoczeni, po tylu rozdźwiękach, tą samą ludzką słabością, równie nieruchomi jak trup, który leżał obok i zdawał się spać.

Karol wszedłszy nie obudził ich. To już ostatni raz. Przyszedł ją pożegnać.

Pachnące zioła dymiały jeszcze i zwoje błękitnawego oparu mieszały się we framudze okna z napływającą mgłą. Świeciło kilka gwiazd i noc była ciepła.

Wosk z gromnic kapał wielkimi łzami na prześcieradła. Karol patrzył, jak się palą, męcząc oczy blaskiem ich żółtego płomienia.

Jej atlasowa suknia, biała jak światło księżycy, mieniła się połyskami mory. Emma nikła pod nią; i zdawało mu się, że rozprzestrzeniając się poza siebie samą nasycia otaczające ją przedmioty, ciszę, noc, przelatujący wiatr, unoszące się wilgotne wonie.

Potem ujrzał ją nagle w ogrodzie Tostes, na ławce, pod żywoplotem albo w Rouen, na ulicy, na progu ich domu, w podwórzu Bertaux, Słyszał jeszcze śmiech rozbawionych družbów tańczących pod jabłonią; pokój był pełen zapachu jej włosów, a suknia szeleściła mu w ramionach z trzaskiem iskierek. To była ta sama, ta właśnie!

Długo tak rozpamiętywał wszystkie utracone szczęśliwości, jej pozy, ruchy, dźwięk głosu. Po jednej rozpachy nadchodziła druga i tak ciągle, niewyczerpanie, jak fale wzbierającego przyływu.

Zdjęła go straszliwa ciekawość; powoli, końcami palców, dygocąc, podniósł zasłonę. Lecz wydał okrzyk zgrozy, który obudził tamtych dwóch. Sprowadzili go na dół, do jadalni.

Potem przyszła Felicja i oświadczyła, że Bovary domaga się włosów.

- Odetnij trochę! - odparł aptekarz. Ponieważ nie śmiała, podszedł sarn z nożyczkami w ręce. Drżał tak mocno, że przekłuł skórę na skroni w kilku miejscach. Wreszcie, opierając się wzruszeniu, Homais zrobił dwa czy trzy mocne cięcia, na chybił trafił, co zostawiło białe znaki w pięknych czarnych włosach.

Aptekarz i proboszcz powrócili do swych zajęć nie bez tego, aby się zdrzemnąć od czasu do czasu, o co oskarżali się wzajemnie za każdym przebudzeniem. Wtedy ksiądz Bournisien kropił pokój wodą święconą, a Homais posypywał podłogę chlorkiem.

Felicja przygotowała dla nich na komodzie flaszkę wódki, ser i sporą bułkę. Toteż aptekarz, który już nie mógł wytrzymać, westchnął około czwartej nad ranem:

- Prawdę mówiąc, posiliłbym się z przyjemnością!

Duchowny nie dał się prosić; wyszedł odprawić mszę, wrócił; później przekąsili i popili, podśmiewając się po trochu, choć sami nie wiedzieli z czego podnieceni tą bezmyślną wesołością, która ogarnia nas po godzinach smutku; przy ostatnim kieliszku ksiądz rzekł do aptekarza, klepiąc go po ramieniu:

- Jeszcze kiedyś dojdziemy do porozumienia!

Na dole w korytarzu spotkali wchodzących robotników. I wtedy Karol przez dwie godziny musiał znosić mękę młota dźwięcznie uderzającego o deski. Potem zniesiono ją w dębowej trumnie, którą włożono w dwie inne; ale ponieważ ostatnia była za szeroka, trzeba było zatykać szpary wełną z materaca. Wreszcie, gdy wszystkie trzy wieka zostały zheblowane, zabite i zalutowane, wystawiono trumnę przed drzwiami; otwarto dom na oścież i mieszkańcy Yonville zaczęli napływać.

Przyjechał ojciec Rouault. Zemdlał na placu ujrzawszy kir na drzwiach.

Dostał !i~t aptekarza dopiero w trzydzieści sześć godzin po wypadku; przez wzgląd na jego wrażliwość pan Homais zredagował go tak, że nie sposób było wywnioskować, co się stało.

Pocziwiec upadł zrazu jak rażony apopleksją. Potem wyrozumował, że jeszcze nie umarła. Ale mogła umrzeć... Wreszcie wdział bluzę, wzięł kapelusz, przypiął ostrogi i ruszył co koń wyskoczy; przez całą drogę zdyszanego ojca Rouault pożerał niepokój. Raz nawet musiał zejść z konia. Nie widział nic, słyszał:

głosy wokół siebie, czuł, że wariuje.

Świtało. Dojrzał trzy czarne kury śpiące na drzewie; drgnął przerażony tą wróżbą. Wówczas ślubował Najświętszej Pannie trzy ornaty do kościoła i że pójdzie boso od cmentarza w Bertaux aż do kaplicy w Yassonville.

Wpadł do Marommy wołając na ludzi z oberży, wywalił drzwi ramieniem, poskoczył do worka z owsem, wlał do żłobu butelkę jabłecznika i znowu ścisnął kolanami swą szkapę, aż iskry sypnęły się spod czterech podków.

Mówił sobie, że ją uratują; lekarze na pewno wy-najdą jakiś środek. Przypomniawsobie wszystkie cudowne uzdrowienia, o jakich mu opowiadano.

Potem ukazywała mu się nieżywa. Była tuż przed nim, wyciągnięta na wznak pośrodku drogi. Ściągał uzdę i przywidzenie zniknęło.

W Quincampoix dla otuchy wypił trzy filiżanki kawy, jedną po drugiej.

Pomyślał, że może piszący pomylił nazwisko. Poszukał listu w kieszeni, był tam, ale nie śmiał go otworzyć.

Przyszło mu wreszcie do głowy, że był to może "kawał", czyjaś zemsta, fantazja podchmielonego jegomościa; a zresztą, gdyby nie żyła, wiadano by o tym! Ale nie! Na polach nie działo się nic nadzwyczajnego: niebo było niebieskie, drzewa się kołysały, przeszło stado baranów. Dostrzegł wioskę; widziano, jak pędził pochylony na koniu, którego okładał, aż popręgi ociekały krwią.

Kiedy odzyskał przytomność, padł z płaczem w ramiona Bovary'ego.

- Moja córka! Emma! Moje dziecko! Wy tłumacz mi? A tamten odpowiadał wśród łkań:

- Nie wiem, nie wiem! To przekleństwo! Aptekarz ich rozdzielił.

- Te okropne szczegóły są zbyt ciężkie. Sam ich panu udzielię. Otóż i ludzie nadchodzą. Z godnością, u licha! Filozoficznie!

Biedaczysko chciał okazać się silnym i powtórzył kilkakrotnie:

- Tak... odwagi!

- A więc! - wykrzyknął stary poczciewicz - będę ją miał, do pioruna! Odprowadzę ją do samego końca!

Dzwon zadźwięczał. Wszystko było gotowe. Trzeba było ruszać.

Siedząc na ławce jeden obok drugiego, widzieli przed sobą przechodzących tam i z powrotem, nieustannie, trzech zawodzących kantorów. Serpent trąbił rozgłośnie. Ksiądz Bourmsien, uroczyście ubrany, śpiewał przenikliwym głosem; skłaniał głowę przed tabernakulum, wznosił ręce, wyciągał ramiona. Lestiboudois krążył po kościele z laską; koło pulpitu kantorów spoczywała trumna, między czterema rzędami świec. Karol miał ochotę wstać i pogasić je.

Usiłował jednak wzniecić w sobie pobożność, nadzieję przyszłego życia, w którym ją znowu zobaczy. Wyobrażał sobie, że wyjechała w daleką podróż, od dawna. Ale kiedy myślał, że jest tu zamknięta i że wszystko skończone, że niosą ją do ziemi, ogarniała go dzika, czarna i beznadziejna wściekłość, zdawało mu się, że nie czuje już nic; i lubował się tą ulgą w bólu, wyrzucając sobie przy tym, że jest nędznikiem.

Na kamiennych płytach rozległo się jakby stukanie okutego kija uderzającego miarowo. Odgłos ten dochodził z głębi i urwał się nagle w bocznej nawie kościoła. Jakiś człowiek w grubej brunatnej kurtce ukląkł z wysiłkiem. Był to Hipolit, posługacz z "Pod Złotego Lwa". Paradował w swej nowej protezie.

Jeden z kantorów obchodził nawę po kweście i monety, jedne po drugich, dzwoniły o srebrną tace.

- Pośpiesz się! Ja cierpię przecież - wykrzyknął Bovary ciskając mu z gniewem pięć franków.

Kantor podziękował głębokim ukłonem.

Śpiewano, przyklękano, wstawano, końca temu nie było! Przypomniawsobie, jak to kiedyś, niedługo po ich przybyciu do Yonville, byli na mszy i stali po drugiej stronie

na prawo, pod ścianą. Dzwon zabrzmiał znowu. Hałaśliwie zsuwano krzesła. Karawaniarze wsunęli pod trumnę trzy drążki i wszyscy wyszli z kościoła.

Justyn ukazał się wówczas na progu apteki. Lecz cofnął się nagle, blady, staniający się.

W oknach ludzie przyglądali się mijającemu konduktowi. Karol na przedzie wypinał tors. Pozował na dzielnego i witał skinieniem głowy tych, którzy wychodząc z uliczek i domów przyłączali się do tłumu. Sześciu ludzi, po trzech z każdej strony, szło wolniutko, dysząc nieco. Księża, kantorzy i dwaj ministranci odmawiali *De profundis* i głosy ich rozlegały się po polach, wznosząc się i opadając falami. Niekiedy niknęły za zakrętem ścieżki, ale wielki srebrny krzyż unosił się pomiędzy drzewami.

Kobiety kroczyły w czarnych mantylkach, ze spuszczoneymi kapturami; w ręku niosły wielkie płonące gromnice i Karolowi robiło się słabo od tych nieustających modlitw i świateł, mdłych zapachów wosku i sutanny. Wiał chłodny wiatr, zieleniały żyta i rzepaki, kropelki rosy drżały na kolczastych żywopłotach wzdłuż drogi. Radosne odgłosy wypełniały widnokrąg: turkot wozu gdzieś z dala na wybojach, pianie koguta ł galop żrebaka umykającego pod jabłonkami. Czyste niebo pstrzyły różowe chmurki; błękitnawe światełka snuły się po chatach mieniących się liliowo; Karol po drodze rozpoznawał podwórza. Przypominał sobie takie ranki jak ten, gdy po wizytach u chorych wychodził, by wrócić do niej.

Czarne sukno, haftowane srebrem, podnosiło się chwilami i odstaniało trumnę. Ci, co ją nieśli, zmęczeni, zwalniali kroku, więc posuwała się urywanymi szarpnięciami, jak szalupa co chwila podrzucana falą.

Przybyli na miejsce.

Niosący trumnę ludzie zeszli dalej, aż ku miejscu na trawie, gdzie wykopany był dół.

Ustawiono się dokoła; i podczas gdy ksiądz mówił, czerwona ziemia odrzucona na bok ściekała po rogach cicho i nieustannie.

Potem przygotowano cztery sznury i zsunęto na nią trumnę. Patrzył, jak się opuszcza. Opuszczała się coraz niżej.

Wreszcie rozległo się stuknięcie; sznury skrzypiąc poszły w górę. Wówczas ksiądz Bournisien ujął łopatę, którą podał mu Lestiboudois; prawą ręką pokropił, a lewą zepchnął mocno, z rozmachem, sporą garść ziemi; deski trumny, o które uderzył żwir, wydały ten niesłychany odgłos, co brzmi nam w uszach jak oddźwięk wieczności.

Duchowny podał kropidło sąsiadowi. Był to pan Homais. Potrząsnął nim z powagą. Potem podał Karolowi. Ten osunął się na kolana i rzucał ziemię pełnymi garściami wołając: "Zegnaj!" Przesyłał jej pocałunki; włókł się ku dołowi, by dać się pogrzebać razem z nią.

Odprowadzono go; niebawem uspokoił się, doznając, być może, tak jak inni, niejasnego zadowolenia, że już jest po wszystkim.

Ojciec Rouault w powrotnej drodze zapalił spokojnie fajkę, co Homais, w duchu, uznał za niestosowne. Zauważył również, że pan Binet nie był obecny, że Tuvache "wymknął się" zaraz po mszy i że Teodor, służący notariusza, miał granatowe ubranie, "jakby nie można było zdobyć czarnego, skoro taki jest zwyczaj, do licha!" I aby podzielić się tymi spostrzeżeniami, przechodził od jednej grupki osób do drugiej. Wszyscy ubolewali nad śmiercią Emmy, a szczególnie Lheureux, który nie omieszkał stawić się na pogrzeb.

- Biedaczka! Cóż za boleść dla jej męża!

- Wie pan, gdyby nie ja - dodawał aptekarz - targnąłby się na życie.

- Taka dobra osoba! I pomyśleć tylko, że jeszcze zeszłej soboty widziałem ją u siebie, w sklepiku.

- Nie miałem chwili czasu - rzekł Homais - by przygotować kilka słów, które rzuciłbym jej na grób.

Po powrocie Karol rozebrał się, a ojciec Rouault włożył znowu swoją niebieską bluzę. Była nowa, 3- a ponieważ w drodze często ocierał sobie oczy rękawami, pofarbowała mu twarz i ślady łez rysowały się na niej w warstwie kurzu, którym była uwalana. Pani Bovary-matka była z nimi. Milczeli wszyscy troje. Wreszcie pocziwiec westchnął:

- Pamiętasz, mój drogi, jak przyjechałem do Tostes, kiedy straciłeś swoją pierwszą małżonkę. Pocięczałem cię wówczas! Potrafiłem znaleźć słowa; ale teraz...

Potem z przeciągłym jękiem, który podniósł mu całą pierś:

- Ach! Dla mnie, widzisz, to już koniec! Straciłem żonę... potem syna... a dziś oto - córkę!

Postanowił zaraz wracać do Bertaux, mówił, że nie mógłby spać w tym domu. Nie chciał nawet widzieć wnuczki.

- Nie, nie! To byłoby za smutne dla mnie. Uściskaj ją tylko mocno! Żegnaj!... Dobry z ciebie chłopak! A zresztą, nigdy nie zapomnę o tym - rzekł uderzywszy się po udzie - nie bój się! Dostaniesz zawsze swoją indyczkę.

Ale gdy był na szczycie zbocza, obejrzał się, tak jak kiedyś obejrzał się na drodze Świętego Wiktora, gdy rozstawał się z córką. Okna wsi stały w ogniu pod ukośnymi promieniami słońca, które zachodziło nad łąką. Przysłonił oczy ręką; i dojrzał na widnokręgu murowane ogrodzenie, w którym drzewa tu i ówdzie tworzyły czarne bukiety wśród białych kamieni, po czym pojechał dalej drobnym truchtem, bo koń jego kulał.

Karol z matką, pomimo zmęczenia, siedzieli do późnego wieczora. Mówili o dawnych dniach i o przyszłości.

Zamieszka w Yonville, będzie mu prowadziła gospodarstwo. Podsuwała różne pomysły, była pieśczośliwa, radując się w duchu, że odzyskuje uczucie, które od tylu już lat jej się wymykało. Północ wybiła. We wsi, jak zwykle, było cicho, a Karol czuwał i myślał wciąż o niej.

Rudolf, który dla rozrywki uganiał się pa lesie przez cały dzień, spał spokojnie w zamku; i Lean, tam, daleko, spał także.

Ale był jeszcze ktoś, kto nie spał o tej godzinie. Nad grobem pomiędzy jodłami płakał, klęcząc, młody chłopiec i pierś jego szarpana łkaniem dyszała w ciemności pod uciskiem ogromnego żalu, cichszego niż księżyc i bardziej niezgłębionego aniżeli noc. Zaskrzybiała nagle brama. Był to Lestiboudois; przyszedł po łopatę, której zapomniał. Poznał Justyna wdrapującego się na mur i zrozumiał wreszcie, kto jest tym złoczyńcą, podbierającym mu kartofle.

Xi Karol nazajutrz sprowadził małą. Spytała o mamę. Odpowiedziano jej, że mamy nie ma, że przywiezie jej zabaweczki. Berta wspominała ją jeszcze kilka razy; potem, z biegiem czasu, przestała o niej myśleć - Bovary czuł się głęboko dotknięty wesołością tego dziecka, musiał także znosić nieznośne pocieszenia aptekarza.

Wkrótce powróciły znowu kłopoty pieniężne, bo pan Lheureux poszczuł swego przyjaciela Vincarta i Karol przyjął zobowiązanie na bajeczne sumy; gdyż nigdy nie chciał się zgodzić na sprzedanie choćby najmniejszego z mebli, które były jej własnością. Wyprowadziło to z równowagi jego matkę. Uniósł się wówczas jeszcze gwałtowniej niż ona. Opuściła dom.

Wówczas wszyscy zaczęli korzystać. Panna Lempereur zażądała należności za sześć miesięcy lekcji, choć Emma nie wzięła ani jednej (pomimo owego pokwitowania, które pokazała Bovary'emu): była to umowa pomiędzy nimi obiema; księgarz upomniał się o uregulowanie trzyletniego abonamentu, matka Rollet przyszła po pieniądze za dostarczenie około dwudziestu listów, a gdy Karol poprosił o wyjaśnienia, była na tyle delikatna, że odpowiedziała:

- Ach! Ja tam nic nie wiem! To w jakichś interesach.

Za każdym długiem, który spłacał, Karolowi zdawało się, że to już koniec. Wychodziły na jaw inne, bezustannie, Upomniał się o zaległości za dawne wizyty. Pokazano mu listy żony. Wówczas trzeba było przeproszać.

Felicja nosiła teraz suknie pani; wprawdzie nie "wszystkie, bo kilka z nich zachował i chodził je oglądać do jej gotowalni, gdzie się zamykał; Felicja była mniej więcej jej wzrostu i Karol często, dostrzegłszy ją z tyłu, ulegał złudzeniu i wołał:

- Och! Zostań! Zostań!

Ale na Zielone Świąta zwinęła manatki i opuściła Yonville, porwana przez Teodora, kradnąc całą resztę garderoby.

W tym to okresie pani Dupuis, wdowa, miała zaszczyt powiadomić go „o ślubie pana Leona Dupuis, jej syna, notariusza z Yvetot, z panią Leokadią Leboeuf z Bondeville". Wśród życzeń, które Karol do niej wystosował, napisał takie zdanie:

"Jakże byłaby szczęśliwa moja biedna żona!" Pewnego dnia, błądząc po domu bez celu, wszedł aż na strych i poczuł pod pantoflem zwitek cienkiego papieru. Rozwinął go i przeczytał: "Odwagi, Emmo! Odwagi! Nie chcę być sprawcą twego nieszczęścia." Był to list Rudolfa walający się po ziemi wśród skrzynek: wiatr z okienka przywiał go aż pod drzwi. I Karol tkwił tak znieruchomiły, w tym samym miejscu, w którym niegdyś Emma, bledsza od niego zrozpaczona, pragnęła umrzeć. Odkrył wreszcie małą "R" u dołu na drugiej stronie. Któż to był? Przypomniał sobie nadszkanie Rudolfa, jego nagle zniknięcie i zakłopotaną minę, gdy spotkał go potem dwa czy trzy razy. Łudził go jednak ton listu, pełen szacunku.

i - Być może, kochali się platonicznie - rzekł sobie.

Zresztą Karol nie był z tych, co wnikają w sedno rzeczy; cofnął się przed dowodami i niepewną zazdrość utopił w ogromie swej udręki.

"Musiała być uwielbiana - myślał. - Wszyscy mężczyźni na pewno jej pożąдали."

Wydała mu się przez to jeszcze piękniejsza; i obudziło się w nim pragnienie nieustanne, dzikie, które rozplomięło jego rozpacz i nie miało granic, bo było już teraz nie do zaspokojenia. Był jej przypodobać, jakby żyła jeszcze, przejął jej gusta, jej pomysły; kupił sobie lakierowane buty, nosił białe krawaty. Smarował wąsy kosmetykami, podpisywał weksle tak jak ona. Deprawowała go spoza grobu.

Musiał sprzedać srebra, sztuka po sztuce, potem sprzedał meble salonu. Wszystkie pokoje po kolei opustoszały; ale jej pokój został nietknięty, jak dawniej. Po obiedzie Karol wchodził tam. Przysuwał do kominka okrągły stolik i przybliżał je i fotel. Siadał naprzeciw. Świeca płonęła w jednym ze złożonych lichtarzy. Berta koło niego kolorowała obrazki.

Cierpiał, biedaczysko, widząc ją tak źle ubraną, ( w bucikach bez sznurowadeł i w sukienkach porozdzieranych od rękawa aż po pas, bo przychodziła służąca nie troszczyła się o nią wcale. Ale mała była tak słodka, taka milutka, główka jej pochylała się tak wdzięcznie, strząsając pocziwe, jasne włosy na różowe policzki, że ogarniało go bezmierne rozradowanie, przyjemność zaprawiona goryczą, jak owe źle przyrządzone wina, które czuć żywicą. Naprawiał jej zabawki, sporządzał pajace z tektury lub zeszywał rozdarte brzuchy lalkom. Potem gdy napotykał oczyma pudełko



do robót, wstążkę lub nawet szpilkę tkwiącą w szparze stołu, zamyślał się i wyglądał tak smutno, że i ona stawała się smutna.

Nikt ich teraz nie odwiedzał, ba Justyn uciekł do Rouen, gdzie został subiektem w sklepie korzennym, a dzieci aptekarza przychodziły do małej coraz rzadziej, pan Homais bowiem nie troszczył się o zacieśnianie zażyłości ze względu na różnice ich pozycji społecznej.

Ślepiec, którego nie potrafił uleczyć swoją maścią, powrócił na zbocze lasku Wilhelma, gdzie tyle opowiadał podróżnym o daremnych usiłowaniach aptekarza, że pan Homais, jadąc do miasta, krył się za firanki "Jaskółki", aby uniknąć z nim spotkania. Znienawidził go; i w interesie własnej reputacji, pragnąc się go pozbyć za wszelką cenę, wszczął przeciw niemu ukrytą kampanię, która ujawniła głębię jego inteligencji i łotrostwo jego próżności. W ciągu sześciu kolejnych miesięcy można było spotkać w "Pochodni Rouen" tak oto zredagowane wzmianki:

"Wszystkie osoby, udające się w kierunku żyznych okolic Pikardii, bez wątpienia spostrzegły na zboczu lasku Wilhelma nędznika dotkniętego okropnym owrzodzeniem twarzy. Naprzykrza się, przesiaduje podróżnych i pobiera od nich prawdziwy haracz. Czyż jesteśmy jeszcze w tych potwornych czasach średniowiecza, kiedy wolno było włóczęgom obnosić w naszych miejscach publicznych trąd i skrofuły, które przynieśli z wypraw krzyżowych?"

Albo też:

"Pomimo ustaw przeciwko włóczęgostwu, okolice większych miast nadał są zapowietrzone przez bandy nędzarzy. Niektórzy włóczą się pojedynczo, i ci, być może, są najbardziej niebezpieczni. O czymże to myślą nasi edylowie?"

Po czym Homais wymyślał opowiadki:

"Wczoraj na zboczu lasku Wilhelma płochliwy koń..." Następowало opowiadanie o wypadku spowodowanym obecnością ślepca.

Dopiął swego, żebraka uwięziona. Ale wypuszczo3S no go wkrótce. Zaczął swoje na nowo i Homais także nie ustępował. Była to walka. Zwycięstwo odniósł aptekarz: jego nieprzyjaciel został skazany na dożywotnie zaniknięcie w przytułku.

Sukces ten rozzuchwiał aptekarza; i odtąd nie było już w okręgu przejechanego psa, spalonej stodoły, pobitej kobiety, aby nie powiadomił o tym natychmiast czytelników, kierując się zawsze miłością postępu i nienawiścią do kleru. Ustalał porównania pomiędzy szkołami powszechnymi a szkołami klasztornymi na niekorzyść tych ostatnich, przypominał noc świętego Bartłomieja z okazji zapisu stu franków na rzecz kościoła, wykrywał nadużycia, sypał dowcipami. Było to jego hasło. Homais podkopywał grunt; stawał się niebezpieczny.

Dusił się jednak w ciasnych granicach dziennikarstwa i niebawem zapragnął książki, dzieła! Ułożył wówczas Ogólną statystykę gminy Yonrille wraz ze spostrzeżeniami klimatologicznymi, a statystyka popchnęła go do filozofii. Zajął się wielkimi zagadnieniami: kwestią socjalną, umoralnianiem klas ubogich, hodowlą ryb, kauczukiem, kolejami żelaznymi itd. Doszło do tego, że rumienił się za swe mieszcuchostwo. Przybierał genre artystyczny, palił! Kupił sobie dwa posążki w stylu Pompadour dla ozdobienia salonu.

Nie porzucił jednak apteki; przeciwnie! Śledził wszelkie nowe odkrycia. Wziął udział w wielkim ruchu stosowania czekoladek leczniczych. On to pierwszy sprowadził do okręgu Dolnej Sekwany "rahahu" i "rewalentę". Zapalił się do łańcuchów hydroelektrycznych Pulvermachera; sam nosił taki; i wieczorem, gdy zdejmował flanelową kamizelkę, pani Homais stawała olśniona przed złotymi

zwojami, pod którymi ginął, i czuła, jak ze zdwojoną siłą bucha płomień jej uczuć dla tego mężczyzny, skrępowanego niby Scyta, a wspaniałego niczym mag.

Miał piękne pomysły co do grobowca Emmy. Zaproponował najpierw złamaną kolumnę z draperią, potem piramidę, potem świątynię Westy, rodzaj rotundy... a wreszcie "zbiorowisko ruin". A we wszystkich tych planach nie rezygnował nigdy z wierzby płaczącej, którą uważał za konieczny symbol smutku.

Obaj z Karolem wyprawili się do Rouen, by obejrzeć nagrobki u przedsiębiorcy pogrzebowego. Towarzyszył im artysta malarz, niejaki Vaufryard, przyjaciel Bridoux; przez cały czas sypał dowcipami. Wreszcie, po obejrzeniu stu rysunków, zamówieniu kosztorysu i odbyciu drugiej podróży do Rouen, Karol zdecydował się na mauzoleum; na dwu głównych ścianach miał być "geniusz trzymający zagasłą pochodnię".

Co do napisu Homais nie mógł znaleźć nic piękniejszego aniżeli: "Sta viator...", i na tym utknął, łamał sobie głowę; powtarzał bezustannie: Sta viator... Wreszcie wynalazł: "Amabilem coniugem calras" - co zostało przyjęte.

Rzecz szczególna, że Bovary, myśląc o Emmie bezustannie, zapominał o niej; i rozpaczał czując, jak obraz jej wymyka mu się z pamięci pośród wysiłków, które czynił, by go zachować. Co noc jednak śniła mu się; był to zawsze ten sam sen: zbliżał się do niej, ale gdy wreszcie trzymał ją w objęciach, rozpadała się w proch w jego ramionach.

Widziano, jak przez tydzień wchodził wieczorami do kościoła. Ksiądz Bournisien odwiedził go nawet dwa czy trzy razy, potem dał spokój. Zresztą księżyna stawał się nietolerancyjny, fanatyczny, jak mówił Homais; grzmiał przeciwko duchowi epoki i nie omieszkał co dwa tygodnie na kazaniu opowiadać o agonii Voltaire'a, który umarł pożerając własne ekskrementa, jak to wszystkim wiadomo.

Pomimo oszczędnego życia Bovary był daleki od tego, by móc spłacić dawne długi. Lheureux odmówił prolongaty choćby jednego weksla. Zajęcie stało się nieuchronne. Wówczas uciekł się do matki, która zgodziła się na zahipotekowanie jego długów, ale nie oszczędziła mu przy tym mnóstwa zarzutów przeciwko Emmie; prosiła także, w zamian za swe poświęcenie, o szal, który ocalał z rabunku Felicji. Karol odmówił. Pokłócili się.

Zrobiła pierwsze kroki do zgody proponując, że zabierze do siebie małą, która mogła być jej pomocą w domu, Karol przystał na to. Ale w chwili wyjazdu zabrakło mu odwagi. Wówczas nastąpiło zerwanie ostateczne, całkowite.

W miarę jak znikaly inne przywiązania, czepiał się coraz wyłącznie miłości do dziecka. Berta niepokoiła go jednak, kaszlała bowiem niekiedy i miewała wypieki.

Na wprost niego żyła kwitnąca i wesoła rodzina aptekarza, któremu wszystko na świecie sprzyjało. Napoleon pomagał mu w laboratorium, Atalia haftowała dlań czapeczki, Irma wycinała krążki z papieru do przykrywania konfitur, a Franklin jednym tchem recytował tabliczkę mnożenia. Był najszczęśliwszym z ojców, najbardziej uprzywilejowanym z ludzi.

Złudzenie! Pożerała go głucha ambicja. Homais pragnął dostać Krzyż Legii Honorowej. Tytułów do tego mu nie brakło: 1. Podczas cholery odznaczył się poświęceniem bez granic. 2. Opublikował, i to na własny koszt, szereg prac użyteczności publicznej, takich jak... (tu przypominał swój memoriał pod tytułem: O jabłeczniku, jego wyrobie i jego skutkach) nadto uwagi o mszycy owczej przesłane Akademii, Statystykę ogólną, nawet swoją pracę magisterską; nie mówiąc już o tym, że był członkiem kilku towarzystw naukowych (był członkiem jednego).

- Wreszcie - wołał robiąc pirueta - choćby tylko za odznaczenie się przy pożarach!

Wówczas to Homais przechylił się na stronę rządu. Oddał potajemnie panu prefektowi duże usługi przy wyborach. Zaprzedał się wreszcie, sprostytuował się. Wystosował nawet do monarchy petycję, w której błagał go, "by oddał mu sprawiedliwość", nazywał go "naszym dobrym królem" i porównywał z Henrykiem IV.

I co rano aptekarz rzucał się na gazetę, aby znaleźć wiadomość o swej nominacji; nie nadchodziła. Wreszcie, nie mogąc już wytrzymać, kazał wytyczyć w swym ogrodzie gazon w kształcie gwiazdy z dwoma pasemkami trawy u szczytu naśladującymi wstęgę. Spacerował wokół tego z rękami założonymi, rozmyślając nad niedołęstwem rządu i niewdzięcznością ludzką.

Przez szacunek czy też przez rodzaj zmysłowości, która kazała mu przewlekać poszukiwania, Karol nie otworzył jeszcze skrytki w palisandrowym biurku Emmy. Pewnego dnia wreszcie usiadł przy nim, obrócił klucz i nacisnął sprężynę. Były tam wszystkie listy Leona. Tym razem nie mógł już mieć wątpliwości! Pochłonał wszystkie do ostatniego, przeszukał wszystkie kąty, wszystkie meble, wszystkie szuflady, rycząc, nieprzytomny, oszalały. Znalazł jakieś pudełko, rozbił je kopnięciem. Portret Rudolfa skoczył mu wprost w twarz spomiędzy porzrzucanych liścików miłosnych.

Dziwiono się jego przygnębieniu. Przestał wychodzić, nie przyjmował nikogo, odmawiał nawet wizyt chorym. Wówczas zawyrokowano, że zamyka się, aby pić.

Czasami jednak ktoś ciekawy zaglądał przez płot ogrodu i dostrzegał ze zdumieniem tego człowieka z długą brodą, niechlujnie odzianego, dzikiego, który przechadzając się płakał głośno.

W lecie, wieczorami, zabierał córeczkę i prowadził na cmentarz. Wracali po nocy, kiedy na placu nie świeciło już nic oprócz okienka Bineta.

A jednak rozkosz jego bólu była niepełna, bo nie miał wokół siebie nikogo, kto by mógł ją dzielić; odwiedzał więc panią Lefrancois, aby móc rozmawiać o niej. Ale oberzystka słuchała tylko jednym uchem, gdyż jak i on miała swoje zmartwienia - pan Lheureux założył właśnie pośrednictwo handlowe, a Hivert, powszechnie ceniony za załatwianie sprawunków, żądał podniesienia płacy i groził, że przejdzie "do konkurencji".

Któregoś dnia, gdy wybrał się na jarmark do Argueil, aby sprzedać konia - ostatni ratunek - Karol spotkał Rudolfa.

Obaj pobledli spojrzawszy na siebie. Rudolf, który przysłał jedynie wizytówkę z kondolencjami, bąknął zrazu jakieś przeprosiny, potem nabrał odwagi i posunął nawet swój tupet (było bardzo gorąco, sierpień) do zaproszenia go na butelkę piwa w knajpie.

Rozparty naprzeciw niego, żuł cygaro nie przerywając rozmowy i Karol zatopił się w zadumie przed tą twarzą, którą ona kochała. Zdawało mu się, że widzi znów coś z niej. Było to jakby olśnienie. Pragnął być tym człowiekiem.

Tamten mówił wciąż o uprawie roli, o bydło, sztucznych nawozach, zatykając banalnymi zdaniem wszystkie przerwy, w które mogłaby się wśliznąć aluzja; Karol nie słuchał; Rudolf widział to i śledził w drgnieniach jego twarzy przesuwające się wspomnienia. Twarz ta powlekała się czerwienią, nozdrza latały szybko, wargi drżały; była nawet chwila, w której Karol, pełen ponurej wściekłości, wlepił oczy w Rudolfa, a ów jakby przerażony zamilkł. Ale niebawem rysy tamtego znów znieruchomiały w tym samym żalobnym znużeniu.

- Nie mam do pana żalu - rzekł.

Rudolf zaniemówił. A Karol, z głową w dłoniach, powtórzył zgaszonym' etosem, z rezygnacją bezmiernej boleści:

- Nie, nie mam już do, pana żalu! I dodał nawet wielkie słowo, jedyne wielkie słowo, jakie, kiedykolwiek posiedział:

- Tak chciało przeznaczenie

Rudolf, który pokierował owym przeznaczeniem, uznał go za nazbyt dobrodusznego jak na człowieka W jego położeniu, śmiesznego nawet i trochę nikczemnego.

Nazajutrz Karol usiadł na ławce w altanie. Przez drewnianą kratkę przenikało światło; liście winnej latorośli rysowały się cieniami na piasku, pachniał jaśmin, niebo było niebieskie, kantarydy brzęczały wokół kwitnących lilii i Karol dławił się jak młodzieniec od tych niejasnych tchnień miłosnych wzbierających w tym jego zbolącym sercu.

O siódmej mała Berta, która nie widziała Karola przez całe popołudnie, przyszła zawołać go na obiad.

Głowę miał odrzuconą, opartą o mur, oczy zamknięte, otwarte usta i trzymał w dłoniach długie pasmo czarnych włosów.

- Tatusiu, chodźże! - wyrzekła.

I myśląc, że chciał zażartować, popchnęła go lekko. Upadł na ziemię. Nie żył.

W trzydzieści sześć godzin później, na prośbę aptekarza, nadjechał pan Canivet. Zrobił sekcję, nie znalazł nic.

Kiedy wszystko sprzedano, zostało dwanaście franków i siedemdziesiąt pięć centymów, które posłużyły na opłacenie podróży panny Bovary do babki. Poczciwa kobiecina zmarła tegoż roku; ojciec Roualt był sparaliżowany, więc wzięła ją do siebie ciotka. Jest uboga i posyła ją dla zarobku do przędzalni bawełny.

Od śmierci Bovary'ego trzech lekarzy następowało kolejno w Yonville, nie mogąc się tam utrzymać, tak dalece pan Homais utrudniał im życie. Ma szaloną klientelę; władze go oszczędzają, a opinia publiczna chroni.

Ostatnio dostał order.